

NORA ROBERTS

pisząca jako

**J.D.
ROBB**

POŻĄDANIE I ŚMIERĆ



Prószyński i S-ka

POLECAMY W SERII

Dotyk śmierci

Sława i śmierć

Skarby przeszłości

Kwiat Nieśmiertelności

Śmiertelna ekstaza

Czarna ceremonia

Anioł śmierci

Święta ze śmiercią

Rozłączy ich śmierć

Wizje śmierci

O włos od śmierci

Naznaczone śmiercią

Śmierć o tobie pamięta

Zrodzone ze śmierci

Słodka śmierć

Pieśń śmierci

Śmierć o północy

Śmierć z obcej ręki

Śmierć w mroku

Śmierć cię zbawi

Obietnica śmierci

Śmierć cię pokocha

Śmiertelna fantazja

Fałszywa śmierć

Pociąg do śmierci

Zdrada i śmierć

Śmierć w Dallas

Celebryci i śmierć

Psychoza i śmierć

Wyrachowanie i śmierć

Ukryta śmierć

Niewdzięczność i śmierć

Święta i śmierć

Obsesja i śmierć

NORA ROBERTS

J.D.

pisząca jako

ROBB

POŻĄDANIE I ŚMIERĆ

Przełożyła
Bogumiła Nawrot

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
DEVOTED IN DEATH

Copyright © 2015 by Nora Roberts

All rights reserved

Projekt okładki

Elżbieta Chojna

Opracowanie graficzne okładki

Ewa Wójcik

Zdjęcie na okładce

© Enzoart/Fotolia.com

Redaktor prowadzący

Joanna Maciuk

Redakcja

Ewa Witan

Korekta

Mariola Będkowska

ISBN 978-83-8097-813-3

Warszawa 2016

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

Choćby się jak koza z capem

Parzyli, obłapiali się jak małpy,

Gonili niczym wilki w rui...

William Szekspir

*Nieludzkie traktowanie człowieka przez człowieka jest -powodem
żałoby niezliczonych ich rzesz!*

Robert Burns

Rozdział 1

Właściwie to za pierwszym razem wcale nie chcieli nikogo zabić.

Zależało im na przyzwoitym samochodzie – to nawet nie musiała być jakaś wypasiona bryka – bo ich gruchot krztusił się i rzeził, a potem rozkraczył się na środku drogi akurat, gdy przejechali granicę między Oklahomą i Arkansas.

To Ella-Loo wymyśliła, jak zdobyć nowy środek lokomocji. Zawsze miała mnóstwo pomysłów i marzeń, a odkąd poznała Darryla, uwierzyła, że jej marzenia mogą się spełnić.

Pracowała w barze dla kowbojów w Dry Creek, w tej części stanu, gdzie wąski pas Oklahomy wrzyna się w Teksas. Wcześniej żadne z jej marzeń się nie spełniło; prawdę mówiąc, facet, z którym była – ten łobuz Cody Bates – podbił jej oko i rozciął wargę, a potem tak mocno ją pchnął, że upadła na podłogę przed barem, w którym teraz pracowała.

Wiedziała, że jest stworzona do większych rzeczy niż nalewanie piwa i kiepskiej whisky kowbojom i chodzącym za nimi krok w krok apatycznym kobietom. Była stworzona do czegoś więcej niż obciążanie fiutów albo szybkie numerki w kiblu lub kabinie pikapa z facetami, od których zionęło piwem i których jedyną ambicją był udział w rodeo.

Dostrzegła swoją szansę, kiedy pewnego wieczoru w barze „Rope ‘N Ride” pojawił się Darryl Roy James. Wiedziała o tym w chwili, kiedy na niego spojrzała.

On był kimś, kogo jej brakowało. Tym, który był jej nieodzowny, by została kobietą, jaką mogła i powinna się stać.

Później mu powiedziała, że kiedy wszedł przez wahadłowe drzwi, światło – czerwono-złote jak o zachodzie słońca – spowijało go niczym aureola. Połyskiwały w nim jego jasne włosy i oczy niebieskie i tak przejrzyste, jak woda w jeziorze na widokówce.

I wtedy wiedziała już wszystko, co musiała wiedzieć.

Nie był taki, jak zajeżdżający oborą, obłapiający dziewczyny bywalcy „Rope ‘N Ride”.

Miał w sobie coś.

Po krótkim, ale intensywnym tańcu godowym, po tym, jak niemal ją przygwoździł do drzwi kabiny w toalecie, a potem jeszcze raz do ściany zaraz obok wejścia, powiedział jej to samo.

Jedno spojrzenie, powiedział. Ledwie się przyjrzał, już ją pokochał. To z książki. Z Szekspira. Darryl czytał Szekspira – nazywał go Wygadany Wiluś – kiedy robił maturę w schronisku dla nieletnich w hrabstwie Denton w Teksasie, po tym, gdy jako szesnastolatek uciekł z domu, żeby szukać szczęścia.

Opuścił schronisko, mając osiemnaście lat i podjął pracę w warsztacie samochodowym przyjaciela swojej matki. Znał się na silnikach tak, jak niektórzy znają się na koniach. Barlow, który przez cały czas tak zrzędził, że Darryl nie mógł się skupić, powiedział mu raz, że gdyby wkładał tyle samo wysiłku w pracę, ile w marzenia o tym, żeby być gdzieś daleko stąd, dorobiłby się fortuny.

Ale Darryl nie widział sensu w zaharowywaniu się na śmierć, kiedy jest tyle innych sposobów zdobycia wszystkiego, na czym mu zależało. A najlepszą metodą, jaką znał, było odbieranie tego komuś innemu.

Ponieważ nie chciał znów trafić do więzienia, wytrwał w warsztacie prawie trzy lata, które wydawały się wiecznością.

Potem zdobył to, co chciał, kradnąc sześć tysięcy osiemset dolarów, które Barlow zarobił na lewo i trzymał w szufladzie z podwójnym dnem w swojej kanciapie.

Już to samo świadczyło, jakim kretynem jest Barlow.

Darryl zabrał jeszcze trochę sprzętu oraz części samochodowych i włamał się do gablotki, w której Barlow trzymał cenny nóż myśliwski Bowie, uznawszy, że uda mu się to cacko spieniężyć gdzieś po drodze.

Spakował manatki, kiedy jego matka w pracy obsługiwała gości baru za nędzną pensję i jeszcze nędzniejsze napiwki. Wziął trzy tysiące dwieście dolarów z woreczka, który trzymała w puszcze z mąką, i w ten sposób miał okrągłe dziesięć tysięcy.

Ponieważ uważał się za dobrego syna, zostawił jej sześćset czterdzieści sześć dolarów razem z liścikiem następującej treści:

„Wielkie dzięki, Mamo. Całuję, Darryl”.

Załadował wszystko do pikapa, który zabrał z warsztatu,

i powiedział *adios* przeklętej dziurze, za jaką uważał Lonesome w Oklahomie.

Pojawił się w „Rope ‘N Ride” i w życiu Elli-Loo w dniu swoich dwudziestych pierwszych urodzin.

Uznali to za zrządzenie losu, bo potrzebowali siebie nawzajem.

Przed upływem dwudziestu czterech godzin Ella-Loo z workiem marynarskim, zawierającym cały jej życiowy dobytek, znalazła się w pikapie razem z Darrylem.

Jechali szybko, nie liczyli się z groszem, kradli, kiedy naszła ich ochota, i przy każdej nadarzającej się okazji pieprzyli się jak wściekłe norki.

Nim Darryla aresztowano w Tulsie za próbę przywłaszczenia sobie pierścionka zaręczynowego dla ukochanej, przepuścili prawie całą kasę.

Dostał cztery lata – bo miał przy sobie nóż myśliwski – i tym razem trafił do stanowego zakładu karnego w Oklahomie.

Ella-Loo czekała na niego. Zatrudniła się w jakimś barze, dorabiała, obciążając fiuty – ale nie pozwalała na żadne numerki, nawet kiedy faceci proponowali jej niezłą kasę.

Była wierna swojemu mężczyźnie.

Tak sumiennie, jak ksiądz odprawiający niedzielną mszę, odwiedzała Darryla co tydzień i podczas jednej wizyty w „mokrej celi” zaszła w ciążę.

A on czytał Szekspira i pogłębiał swoją wiedzę techniczną. Nauczył się więcej o budowie silników, o tym, jak skonstruować bombę, poznał bardziej złożone tajniki obsługi komputerów, liznął nieco informatyki.

Zdobywał wiedzę, którą zamierzał wykorzystać, kiedy wyjdzie na wolność.

Ella-Loo nazwała córeczkę Darra na cześć Darryla i zawiozła ją do Elk City, gdzie zostawiła małą babci.

Chociaż było jej bardzo ciężko wytrzymać tak długo bez ukochanego, została tam całe dziesięć dni. Wystarczająco długo, żeby jej matka zakochała się we wnuczce, a ojczym przestał tak się mieć na baczości.

Wiedząc, że matka nigdy nie pozwoli, żeby ojczym napuścił na nią

policję, zabrała srebra po prababce – i tak kiedyś byłyby jej – zostawiła córeczkę i pojechała do McAlester na kolejne widzenie.

Może kiedyś, jak już postanowią osiąść gdzieś na stałe, razem z Darrylem wrócą po córkę. Ale, jak powiedział jej kochanek, byli sobie przeznaczeni i musieli w pełni przeżyć każdą chwilę życia.

W tym scenariuszu nie było miejsca na dziecko.

Darryl wyszedł po trzech i pół roku, wypuścili go w nagrodę za dobre sprawowanie. Czekala na niego w białej, obcisłej sukience i czerwonych szpilkach.

Ledwo dotarli do pokoju, wynajmowanego na miesiąc, sukienka wylądowała na podłodze, a buty śmignęły w powietrzu.

Obydwoje chcieli jak najszybciej ujrzeć McAlester w tylnym lusterku wozu, więc spędzili tam tylko tę jedną noc, jedząc, pijąc wino musujące, które Ella-Loo zwinęła z baru, w którym już nie zamierzała pracować ani obciążać fiutów, i uprawiając seks.

Chcieli jechać na wschód, aż do Atlantyku. Ella-Loo była spragniona światła wielkiego miasta, gwaru i tego wszystkiego, czego nie ma w Oklahomie.

Nowy Jork, powiedziała Darrylowi, to ich przeznaczenie, bo to jedyne wystarczająco duże i ruchliwe miasto, które zatrzyma ich na dłużej.

Kiedy pikap zaczął się krztusić i rzezić, Darryl wykorzystał swoje umiejętności oraz części, które wyciągnął z innego wozu, znalezione na parkingu, i sprawił, że mogli pojechać dalej. Kierowali się na wschód, słuchając radia na cały regulator, a Ella-Loo przytuliła się do Darryla, jakby stanowili całość.

Lecz mimo wszystkich jego umiejętności stary rzęch nie nadawał się na tak długie trasy i jazdę z taką prędkością, więc w końcu rozkraczył się na dobre.

Wtedy Ella-Loo wpadła na genialny pomysł.

Darrylowi udało się prowizorycznie naprawić wóz w takim stopniu, by mogli zjechać z głównej drogi, a Ella--Loo w tym czasie sprawdzała coś w samochodowym komputerze. Doszła do wniosku, że może im się poszczęści na krótkim odcinku szosy numer dwanaście, trochę na południe od Bentonville.

Wyciągnęła tamtą białą sukienkę i czerwone szpilki, pomalowała usta na czerwono i pochyliła się do przodu, by przeczesać palcami swoje długie blond włosy.

Miała nadzieję, że trafi się jakiś samotny facet – bo nie miała wątpliwości, że na jej widok każdy facet się zatrzyma. Sukienka opinała jej krągłości, a kiedy Ella-Loo odgarnęła włosy do tyłu, opadły jej na ramiona niczym u syreny.

Roześmiała się i odsunęła Darryla, kiedy próbował się do niej dobrać.

– Poczekaj, mój drogi, poczekaj. I na razie się nie pokazuj. Jak będzie przejeżdżał jakiś facet, z całą pewnością się zatrzyma, żeby mi pomóc.

– Nie zechce na tym poprzestać. Jezu, Ella-Loo, jesteś taka seksowna jak czarne, koronkowe majtki. Od samego patrzenia na ciebie zrobił mi się taki twardy, że aż mnie boli.

– I właśnie o to mi chodzi. Kiedy będzie przejeżdżała kobieta, może się zatrzymać albo nie. Dwóch facetów się zatrzyma, dwie kobiety – być może. Czyli nic pewnego. Ale wcześniej czy później...

Przesunęła palcem po jego ustach i na moment przywarła do niego całym ciałem, aż jęknął, a potem go odpędziła.

– Później dostaniesz więcej, misiaczku. Jeszcze nie zapadł zmrok. Ludzie są bardziej skłonni, by się zatrzymać i pomóc, kiedy jest jeszcze w miarę widno. Idź i schowaj się za tamtym krzakiem. Muszę wyglądać na bezradną, a to niemożliwe, kiedy będę miała u boku takiego silnego przystojniaka jak ty.

Dobrze wybrała miejsce – może aż za dobrze, bo słońce coraz bardziej zniżało się na niebie, a drogą nie przejechał żaden samochód.

– Może uda mi się go jakoś uruchomić – zawołał Darryl. – Byleby dotrzeć do jakiegoś motelu albo miasteczka, a tam coś skombinujemy.

– Uda się nam, Darrylu – przekonywała go. – Musimy tylko... Jedzie jakiś samochód. Kiedy się zatrzyma, daj mi trochę czasu. A potem wyjdź i zajmij się resztą. Zajmiesz się resztą, prawda, Darrylu?

– Wiesz, że tak.

Stała obok auta, z rękami złożonymi jak do modlitwy, mając nadzieję, że w jej dużych, niebieskich oczach maluje się nadzieja

i obawa.

Ubóstwiała grać.

Ogarnęło ją podniecenie, kiedy samochód – do tego całkiem niczego sobie – zwolnił. Mężczyzna opuścił szybę w oknie, wychylił głowę.

– Jakież kłopoty?

– Och tak, proszę pana, niestety. – Zorientowała się, że jest starszy, ma koło pięćdziesiątki, więc Darrylowi łatwo będzie go obezwładnić, związać i zaciągnąć w krzaki. – Silnik zgasł i nie chce zapalić.

Próbowałam się skontaktować ze swoim bratem – to jego wóz – ale chyba rozładował mi się telefon, a może zapomniałam zapłacić rachunek. Zawsze o czymś zapominam.

– Ale nie zapomniała pani zatankować, prawda? – spytał.

– Och nie, proszę pana. To znaczy, mój brat, Henry, zatankował do pełna. Henry Beam (tak nazywał się jej nauczyciel historii w szkole średniej) z Fayetteville. Może go pan zna... Mam wrażenie, że wszyscy znają Henry'ego.

– Obawiam się, że nie. Nie jestem stąd. Zatrzymam się przed pani wozem i rzucę okiem.

– Bardzo panu dziękuję. Zupełnie nie wiedziałam, co robić.

Na dodatek robi się ciemno.

Zjechał na pobocze. Jego wóz był srebrny i chociaż wołałaby czerwony jak jej buty, uznała, że nie będzie wybrzydzać. Zmieszła się, kiedy ją poprosił, by podniosła maskę, więc sam sięgnął do kabiny auta i zwolnił dźwignię.

Zauważyła, że mężczyzna ma na ręku ładny zegarek – srebrny i błyszczący jak samochód. Zapragnęła, żeby Darryl go wziął.

– Niezbyt się znam na pikapach – zaczął nieznajomy – więc jeśli to coś bardziej skomplikowanego, mogę panią podrzucić do Bentonville. Może pani skorzystać z mojego telefonu, żeby skontaktować się ze swoim bratem.

– Jak ładnie z pana strony. Bałam się, że zatrzyma się ktoś, kto nie będzie tak miły, i nie wiedziałam, co robić. – Spojrzała w stronę zarośli. Nie przestała trajkotać, żeby zagłuszyć szelest, jaki powstał, kiedy Darryl wysunął się zza krzaka. – Moja mama zacznie się martwić, jeśli

nie wrócę do domu, więc jeśli jedzie pan do Bentonville, to świetnie. Osobiście panu dziękuję za odwiezienie mnie do domu.

– Zdawało mi się, że powiedziała pani „Fayetville”.

– Co? Och, Henry... – zaczęła.

Widocznie jej wzrok coś zdradził albo może mężczyzna usłyszał ciche kroki Darryla, bo cofnął się i odwrócił, akurat, kiedy Darryl zamachnął się łyżką do opon. Trafiał tamtego w ramię.

Mężczyzna skoczył na Darryla jak diabeł, który wyrwał się z piekła.

Wszystko działo się tak szybko – słychać było tylko głuchoe odgłosy ciosów pięścią, zwierzęce pochrząkiwania i warknięcia. Myśląc wyłącznie o Darrylu, Ella-Loo złapała łyżkę do opon, która mu wypadła z ręki, i mocno zacisnęła na niej palce.

Zamachnęła się i z całej siły uderzyła w plecy rozjuszo-nego dobrego samarytanina. Zrozumiała swój błąd, kiedy to go nie powstrzymało. Za drugim razem wycelowała w nogi.

Jedną się pod nim ugięła – Ella-Loo wyraźnie usłyszała trzask. Ale zdołał się odwrócić i uderzyć na odlew, aż się zachwiała. Nim odzyskała równowagę i zamachnęła się, żeby zdzielić go w drugą nogę, Darryla ogarnęła furia.

– Ręce precz od mojej dziewczyny, bo cię zabiję!

Zaczął okładać swego przeciwnika pięściami, wzrok miał dziki, wyszczerzył zęby. Ledwo udało jej się uskoczyć, kiedy mężczyzna, z zakrwawioną twarzą, nie mogąc ustać na złamanej nodze, upadł na wznak.

Uderzył głową w przedni zderzak pikapa i osunął się na ziemię. Nie zastanawiając się, co robi, Ella-Loo doskoczyła do niego i walnęła go łyżką do opon w twarz. Dwa razy, z całych sił.

Leżał nieruchomo, oczy miał szeroko otwarte w zmasakrowanej twarzy. Ściekająca krew utworzyła kałużę wokół jego głowy.

Ella-Loo sapała jak parowóz i cała się trzęsła.

– Czy... Nie żyje?

– Kurde, Ella-Loo, kurde. – Patrząc na leżącego mężczyznę, Darryl wyciągnął z tylnej kieszeni chustkę, żeby otrzeć z twarzy pot i krew. – Wygląda mi na trupa.

– Zabiliśmy go.

– Nie zrobiliśmy tego celowo. Kurde, Ella-Loo, uderzył cię prosto w twarz. Nie mogłem mu tego puścić płazem. Nikomu nie pozwolę skrzywdzić mojej dziewczyny.

– Ja też nie chciałam, żeby znów wstał i cię uderzył. Więc... Musisz go stąd zabrać. Zaciągnij go za te krzaki, Darrylu. Pospiesz się, zanim ktoś nadjedzie. Weź jego portfel, zegarek na rękę. Zabierz wszystko, co ma przy sobie. Tylko się pośpiesz.

Znalazła w pikapie jakąś szmatę, wytarła nią łyżkę do opon i wrzuciła na tylne siedzenie ich nowego wozu.

– Zabierz też jego ubranie, misiaczku.

– Co?

– Weź wszystko. Nigdy nic nie wiadomo. Tylko pośpiesz się!

Zaczęła przenosić ich rzeczy ze skrzyni pikapa do drugiego samochodu.

– Wrzuć wszystko na tył, potem obejrzymy.

Serce jej waliło, dłonie jej drżały. Ale ruchy miała szybkie i pewne.

– Musimy zabrać wszystkie nasze rzeczy, misiaczku, i chyba powinniśmy wytrzeć kierownicę i całą resztę. Wszystko, czego dotykaliśmy. Ja to zrobię.

Postarała się najlepiej, jak umiała, a potem dokończyła z pomocą Darryla, bo nie mieli zbyt wiele rzeczy do zabrania z zepsutego auta. Nim minęło dziesięć minut, Darryl siedział za kierownicą, a Ella-Loo obok niego.

– Nie przekraczaj teraz dozwolonej prędkości. Musimy znaleźć się jak najdalej od tego faceta i naszego wozu.

Wytrzymała kilometr, pięć, dziesięć. Na dwudziestym piątym się załamała.

– Zjedź na bok, zjedź na bok! Widzisz tamtą drogę? Wielki Boże, zjedź, Darrylu, tam, gdzie te drzewa.

– Zemdliło cię, kotku?

– Wciąż czuję jego krew. Masz ją na sobie. Ja też.

– Już dobrze. Wszystko będzie dobrze. – Zjechał z drogi, dotoczył się do drzew, zatrzymał wóz. – Kotku.

– Widziałeś jego twarz? Jak wpatrywał się w nas, ale nic nie

widział? I krew leciała mu z ust i z uszu.

Odwróciła się do niego, twarz jej świeciła jak słońce, oczy miała wielkie, pełne niedowierzania i pożądania.

– Zabiliśmy człowieka. Razem.

Rzucili się na siebie. Zawsze kochali się jak szaleni, ale teraz, gdy czuli świeży zapach krwi i mieli świadomość tego, co zrobili, zawładnęła nimi jakaś dzika żądza. Ich krzyki rozbrzmiewały echem w samochodzie.

Kiedy skończyli, gdy pot zlepił ich ciała niczym klej, a biała sukienka cała była w strzępach i plamach krwi czerwonej jak jej szpilki, Ella-Loo uśmiechnęła się do kochanka.

– Następnym razem nie chcę, żeby trwało to tak krótko.

Następnym razem nie będziemy się tak spieszyć.

– Kocham cię, Ella-Loo.

– Ja ciebie też kocham, Darrylu. Nikt nigdy tak się nie kochał, jak my. Będziemy mieli wszystko, czego tylko zapagniemy, będziemy robili wszystko, czego tylko zechcemy, stąd do samego Nowego Jorku.

Pierwsze zabójstwo, a właściwie nieszczęśliwy wypadek, wydarzyło się w gorący, sierpniowy wieczór. Nim w połowie stycznia dotarli do Nowego Jorku, mieli na swoim koncie dwadzieścia dziewięć ofiar.

Zobaczywszy Nowy Jork, Ella-Loo poczuła to samo, co wtedy, gdy pierwszy raz ujrzała Darryla.

Wiedziała, że to miasto jest stworzone dla niej.

*

Lodowaty wiatr hulał w pełnym śmieci zaułku, niczym igły kłując nieosłoniętą skórę, wył i dmuchał od Madison Street przez wąwóz, który utworzyły pokryte graffiti domy. Mury z czerwonej cegły kruszyły się, beton był wyszczerbiony.

Nieliczne latarnie, które jeszcze się paliły, rzucały fioletowe cienie i upiorne żółte kręgi światła, więc wszystko przybrało siną barwę.

Najgorsze z ulicznych prostytutek – licencjonowanych i nie – mogły zaprowadzić frajera do jednej z wąskich nisz, w nadziei, że osłoni je to przed zimnem i wiatrem, kiedy będą uprawiały najstarszy zawód

świata. Zdesperowany ćpun, spragniony działki, mógł podążyć za dilerem do tego mrocznego zaułka.

Wszyscy pozostali, rozważający przejście tędy na skróty, równie dobrze mogli umieścić na ubraniu pulsujące światło, wystawiając się na cel dla ulicznych bandytów, gwałcicieli i jeszcze groźniejszych przestępców.

Nie dotyczyło to Doriana Kupera, bo ten skończył marnie gdzie indziej, nim jego zwłoki zawinięto w plastikową płachtę i porzucono obok kontenerów na śmieci. Zawinięta płachta wyglądała zupełnie jak wór z odpadkami, szarpany przez wiatr i gryzonie.

Dorianowi było już to obojętne, ale zimny wiatr okazał się na tyle przenikliwy, że porucznik Eve Dallas poddała się i naciągnęła na głowę czapkę narciarską, ozdobioną płatkami śniegu, chociaż głupio się w niej czuła. Nie włożyła jednak puszystych rękawiczek – czapkę i rękawiczki dał jej w prezencie w pewien zimny, grudniowy dzień Dennis Mira o rozmarzonych oczach.

Pomyślała przelotnie, że dwadzieścia cztery godziny temu wygrzewała się prawie naga na skąpanej w słońcu piaszczystej plaży na prywatnej wyspie, należącej do jej męża, a Roarke, też prawie nagi, leżał obok niej.

Bez względu na to, jak rozpoczęła dwa tysiące sześćdziesiąty pierwszy rok, już wróciła do Nowego Jorku. I śmierć też.

Zajmowała się zabójstwami, więc kiedy inni spali, ona, nie zważając na wstrętą pogodę na godzinę przed świtem, przykucnęła obok zwłok. Dłonie miała obnażone, jeśli nie uwzględnić substancji zabezpieczającej, brązowe oczy zmrużyła i spoglądała nimi obojętnie.

– Zabił cię na śmierć, co, Dorianie?

– Mieszkał w Upper West Side, Dallas. – Detektyw Peabody, w różowym płaszczu i różowych kozakach, ozdobionych futerkiem, z twarzą niemal niewidoczną zza kolorowego szalika, którym kilkakrotnie owinęła szyję, przekazywała partnerce dane ze swojego palmtopa.

– Wiek trzydzieści osiem lat, kawaler. Pierwszy wiolonczelista zespołu Metropolitan Opera.

– Co robi trup wiolonczelisty z Upper West Side w Mechanics

Alley? Nie zabito go tutaj. Dużo krwi na plastikowej płachcie, a także na jego ciele. Ślady sznura na przegubach rąk i kostkach u nóg, niektóre stłuczenia i rany szarpane wyglądają, jakby powstały przynajmniej poprzedniego dnia. Może wcześniej. Morris to potwierdzi.

– Dużo ran ciętych i kłutych, śladów oparzeń, siniaków. – Peabody przyjrzała się zwłokom. Miała oczy brązowe jak Eve, ale ciemniejsze. – Wiele powierzchniowych. Ale również sporo...

– Tak, sporo poważnych. Związano go, zakneblowano – kąciki ust ma rozcięte i otarte – i godzinami torturowano. Może dzień albo dłużej, aż przestało to być zabawne. A potem... Rozpruto mu brzuch. Upłynęło sporo czasu, nim się wykrwawił na śmierć. Dużo wycierpiał.

Wyjęła mierniki i ustaliła godzinę zgonu.

– Kres nastąpił wczoraj o dwudziestą drugą dwadzieścia.

– Dallas, dziś rano zgłoszono jego zaginięcie, zrobiła to matka. No więc... Przedwczoraj nie stawił się w pracy, nie odbierał telefonów, wczoraj po południu nie pojawił się w szkole Juilliarda, gdzie uczy, a wieczorem nie przyszedł na spektakl.

– Czyli minęły dwa dni. Skontaktuj się z tym, kto przyjął zgłoszenie o zaginięciu, zdobądź pełen raport. Poinformujemy najbliższego krewnego.

Przysiadłszy na piętach, Eve przyjrzała się uważnie twarzy denata. Na zdjęciu widać było atrakcyjnego mężczyznę o ciemnozielonych, zalotnych oczach, z długimi ciemnoblonde włosami, o wąskiej twarzy i pełnych ustach.

Zabójca obciął mu włosy, zostawiając tu i ówdzie małe kępki i drobne, brzydkie skaleczenia na skórze głowy. Na policzkach wypalił małe kółka, przypominające czarne pryszczki. Białka oczu pokrywała siateczka popękanych żyłek. Ale sprawca skupił się przede wszystkim na torsie, objawiając znaczną pomysłowość. Eve przypuszczała, że Morris, szef lekarzy sądowych, stwierdzi liczne złamania kości i uszkodzenia narządów wewnętrznych.

– Niektóre z tych oparzeń są małe i precyzyjnie wykonane – zauważyła. – Prawdopodobnie posłużono się jakimś narzędziem. Ale widzisz te na wewnętrznej części dłoni? Są większe i nie tak starannie zrobione. Ktoś gasił papierosy, jointy czy co tam, na dłoniach ofiary.

Wiolonczelista. Wiolonczela to rodzaj skrzypiec, prawda?

– To... – Peabody zakreśliła rękami w powietrzu kształt sporego instrumentu, a potem udała, że przesuwa po nim smyczkiem.

– Tak, duże, pękate skrzypce. Do gry na niej potrzebne są dłonie. Poparzone dłonie, złamane cztery palce u prawej dłoni, lewa dłoń zmiażdżona jakimś ciężkim przedmiotem. Może to rozgrywki personalne. Świadczą o tym te ucięte włosy. Pozostawienie nagich zwłok być może również.

Eve uniosła jedną dłoń ofiary i przyjrzała się pobieżnie paznokciom, świecąc sobie latarką.

– Nie widzę skóry za paznokciami ani niczego, co przypominałoby rany kogoś, kto się obroni. – Skupiła uwagę na głowie, uniosła ją ostrożnie i pomacała czaszkę. – Duży guz na potylicy.

– Może z kimś się pokłócił... – zaczęła Peabody. – Z kimś, kogo znał. Odwrócił się i z całej siły został uderzony w tył głowy. Na tyle się wkurzyli, by go związać, zakneblowali mu usta i go torturowali.

– Tego nie zrobił ktoś, kto się wkurzył. – Eve pokręciła głową i się wyprostowała. Wiatr szarpnął jej długim, skórzanym płaszczem, aż jego poły wydeły się wokół jej nóg. – Ani ktoś cierpliwy i działający misternie jak... Pamiętasz Pana Młodego?

– Chyba nigdy go nie zapomnę.

– Uczynił sztukę z torturowania. Traktował to jak pracę zawodową. To bardziej przypomina zabawę.

– Zabawę?

– Człowiek wkurzony zwykle daje komuś łupnia. Człowiek wkurzony zwykle bije po twarzy, szczególnie jeśli to jakieś osobiste porachunki.

Natomiast tutaj, pomyślała, twarz pozostała niemal nietknięta, jakby zabójca chciał ją oszczędzić.

Żeby było wiadomo, kim jest ofiara? Żeby dało się ją łatwo rozpoznać?

– Człowiek wkurzony nie torturuje ofiary przez dwa dni – dodała.

– Chyba że jest wkurzony i szalony. Ale wtedy spodziewałabym się więcej obrażeń w wyniku użycia pięści albo kija. Widać uszkodzenia genitaliów, lecz nie tak liczne, jak można by się spodziewać, gdyby

zabójcą była wkurzona przyjaciółka czy kochanka.

– Ale sprawdzimy to.

Eve popatrzyła w kierunku Madison, a potem odwróciła się, spojrzała na północ, w stronę Henry.

– Zabójca musiał mieć jakiś środek transportu i najprawdopodobniej zaparkował na Madison. Porzucił zwłoki bliżej Madison. Ofiara ma metr siedemdziesiąt osiem wzrostu, waży siedemdziesiąt kilogramów. Technicy kryminalistyki ustalą, czy zwłoki ciągnięto w plastikowej płachcie, nie wydaje mi się jednak. Trudno o pewność w tych ciemnościach, ale czy zaciągnął tu zwłoki, czy je zatargał, musi być silny. Albo ktoś mu pomógł. Zobaczymy, czy znajdziemy jakieś ślady.

Uniosła wzrok i spojrzała na ciemne okna.

– Środek nocy, środek zimy. Zimno jak wszyscy szatani.

– Diabli.

– Dlaczego? Nieważne – powiedziała szybko Eve. – Tak czy owak to pozbawione sensu. Co ma diabeł wspólnego z zimnem? A pomyśleć, że dwadzieścia cztery godziny temu grzałam się na słońcu.

– Udał ci się urlop?

– Nie było najgorzej.

Błękitne niebo, błękitna woda, biały piasek i Roarke. O tak, nie było najgorzej.

Ale urlop się skończył.

– Wezwijmy techników i ekipę z kostnicy. Niech dwóch mundurowych popilnuje zwłok. – Spojrzała na zegarek. – Najpierw wstąpimy do mieszkania ofiary. Nie ma sensu budzić jego matki o takiej porze, żeby ją poinformować o śmierci syna.

Mocniej nacisnęła głupią czapkę na zmarznięte uszy, a wtedy wypadła jej latarka. Kiedy Eve się pochyliła, żeby ją podnieść, spojrzała na zwłoki w miejscu, gdzie padał snop światła.

– Chwileczkę. Czy to... Peabody, mikrogogle.

– Zauważyłaś coś?

– Lepiej zobaczę, czy coś zauważyłam, w mikrogoglach.

Uklękła obok zwłok i odsunęła lewą rękę denata.

– Kurde, prawie byłabym to przeoczyła.

– Co? – Peabody wyjęła mikrogogle z zestawu podręcznego Eve, wcisnęła je partnerce do ręki i starała się przechylić głowę tak, by zobaczyć miejsce oświetlone przez latarkę.

– To serce. Tyle krwi i obrażeń, że przeoczyłabym. Morris od razu by to zobaczył, gdy tylko ofiara znalazłaby się na stole, ale w tym świetle nie dostrzegłam tego.

– Ja wciąż nic nie widzę.

– Tuż pod pachą. – Pochylając się niżej, w goglach na nosie, Eve przyłożyła dwa palce, by zmierzyć długość i szerokość. – Dwa i pół centymetra na dwa i pół centymetra. Precyzyjny jak tatuaż. W środku inicjały. E nad D.

– D jak Dorian.

– Być może. – Z całą pewnością rzucało to nowe światło na zabójstwo. – Może to jednak sprawka wkurzonej kochanki, eks-przyjaciółki albo kobiety, która chciała zostać jego kochanką. Zrobione za życia czy po śmierci? – ciekawa była. – Podpis czy oświadczenie? Jest precyzyjnie wykonane. Zabójca nie szczędził czasu i przyłożył się do tego.

– McQueen tatuował swoim ofiarom numery – przypomniała sobie Peabody – żeby policja wiedziała, ile ich miał na koncie. Może to podpis E, który obrał sobie naszą ofiarę na cel i w swojej chorej wyobraźni uznał, że coś go z nią łączy. A ponieważ takie związki nigdy się nie kończą dobrze, zabójca rąbnął ofiarę, skrępował ją i zakneblował, a potem torturował, by ostatecznie zabić i wytatuować serce, a w nim swój inicjał nad inicjałem ofiary.

Eve skinęła głową. Niezła teoria. Solidna i logiczna.

– Całkiem możliwe.

– Może to nie pierwszy chory, wyimaginowany związek E.

– Również całkiem możliwe. – Dallas wyprostowała się i zdjęła gogle. – Wprowadzimy dane do IRCCA, poszukamy podobnych zabójstw. Ale na razie jedźmy do mieszkania ofiary. Może uda nam się ustalić, imię którego z jego znajomych zaczyna się na „E”.

– Jego matka mieszka w tym samym budynku – powiedziała Peabody, kiedy Eve dała znak jednemu z mundurowych, stojących u wylotu zaułka.

– Cóż, zaoszczędzi nam to trochę czasu. Obejrzymy jego mieszkanie, a potem powiadomimy matkę o śmierci syna.

– Też gra w orkiestrze. Na małej wiolonczeli.

– Są takie?

– Żartowałam. Jest pierwszą skrzypaczką.

– Uznaj, że się roześmiałam z twojego żartu. Mieszka w tym samym budynku, wykonuje właściwie ten sam zawód. Prawdopodobnie zna wszystkich znajomych syna, których imię zaczyna się na „E”. I wie, jak sobie radził w pracy, w życiu osobistym.

Eve się odwróciła, by przeprowadzić krótką rozmowę z mundurowym.

Zabezpieczywszy miejsce zbrodni, z braku świadków, których mogłaby przesłuchać, bo zwłoki znalazły androidy, wsiadła do swojego wozu. I z niewypowiedzianą ulgą poleciła włączyć ogrzewanie na full.

Z jeszcze większą ulgą zdjęła czapkę, ozdobioną płatkami śniegu.

– Och. Bardzo ci w niej ładnie.

– Gdybym chciała ładnie wyglądać, nie zostałabym policjantką. – Eve przeczesła palcami krótkie, brązowe włosy. – Adres, Peabody.

– Zachodnia Siedemdziesiąta Pierwsza między Amsterdam a Columbus.

– Daleko od miejsca, gdzie skończył. – W przemarzniętych palcach czuła ukłucia miliona igiełek.

Jednym z urządzeń, które nauczyła się obsługiwać w wypasionym, celowo niepozornym samochodzie, zaprojektowanym przez jej męża specjalnie dla niej, był autokucharz.

I właśnie w tej chwili pomyślała, że mogłaby zabić dla filiżanki prawdziwej kawy.

– Komputer, włączyć autokucharza... – poleciła Eve.

– Hurra!

– Zamknij się, Peabody, bo nie dostaniesz kawy.

Autokucharz uruchomiony. Czego sobie pani życzy, porucznik Eve Dallas?

– Jedna czarna kawa, jedna z mlekiem i cukrem, obie w kubkach podróżnych.

Jedną chwileczkę. Czy życzy sobie pani, żeby podać z przodu?

– Tak, tak, życzę sobie.

– Nie wiedziałam, że to możliwe – wtrąciła Peabody. – Myślałam, że obsługiwani są tylko pasażerowie, siedzący z tyłu... Ojej!

Polecenie wykonane – poinformował komputer, kiedy dwa kubki podróżne wysunęły się spod deski rozdzielczej.

– Ale super.

Eve wzięła kubek z czarną pokrywką, zostawiając ten z kremową pokrywką dla Peabody.

Kawa była wyśmienita, mocna i gorąca.

– Podoba mi się to – oświadczyła Peabody, trzymając w obu dłoniach kubek.

– Lepiej się nie przyzwyczajaj do kawy. Może następnym razem przed piątą rano, kiedy zrobi się minus dwadzieścia stopni i będziesz wolała nie wiedzieć, jaka jest temperatura odczuwalna, znów się napijemy kawy. Ale tylko wtedy.

Peabody jedynie się uśmiechnęła i pociągnęła pierwszy łyk.

– Bardzo mi się to podoba – powtórzyła.

Rozdział 2

Eve doszła do wniosku, że gra na dużych, pękatych skrzypcach musi być dobrze płaćta. Dorian Kuper mieszkał w dwupoziomowym apartamencie w pieczołowicie odrestaurowanym budynku – jednym z tych, które przetrwały wojny miejskie. Dom stał w ekskluzywnej części Upper West Side – bryła z bielutkich cegieł, połyskująca szybami.

Kiedy portier w klasycznym czarnym paltocie, narzuconym na uniform, powitał ją z całym uszanowaniem, a nie przemądrzałymi uwagami na temat niepozornie wyglądającego wozu, którym podjechała, natychmiast się zorientowała, że właścicielem kamienicy musi być Roarke. Najwyraźniej portier Frank zapoznał się z okólnikiem.

– Czym mogę służyć, pani porucznik?

– Chcemy się dostać do mieszkania Dorian Kupera.

Jego okrągła, niemal cherubinkowa twarz spoważniała.

– Obawiałem się tego. Proszę wejść do środka, na dworze tak wieje. Słyszałem o zaginięciu pana Kupera. Domyślam się, że go pani znalazła, ale nie ma nic dobrego do powiedzenia na ten temat.

Weszła do ciepłego holu, wyłożonego szaro-żyłkowym marmurem, gdzie rozchodziła się osobliwie ostra woń kwiatów w srebrnym wazonie, stojącym na stole pośrodku.

– Znaleźliśmy go. I nie mogę powiedzieć nic dobrego na ten temat – potwierdziła.

– To będzie wielki cios dla pani McKensie, jego matki. Naprawdę byli mocno ze sobą związani. Chciałem powiedzieć, że miły był z niego gość, pani porucznik. Zawsze zagadał do człowieka.

– Czy zna pan kogoś, kto nie uważał go za miłego gościa?

– Musiałbym pomyśleć. Miał wielu przyjaciół. Bywali u niego na przyjęciach, żeby wspólnie muzykować.

– Miał jakieś sympatie?

Frank przestąpił z nogi na nogę.

– Wszystko, co nam pan powie – powiedziała Peabody, dotykając lekko jego ramienia – pomoże nam w odszukaniu tego, kto go zabił.

– Rozumiem, ale trudno mi mówić o życiu osobistym mieszkańców budynku. Pan Kuper miał sympatie, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, ale nie było to nic poważnego.

– No dobrze. Czy ktoś się tu kręcił w ciągu ostatnich paru tygodni, pytał o niego? – spytała Eve. – A może jakiś były przyjaciel sprawiał kłopoty?

– Nic mi o tym nie wiadomo. A kiedy się jest portierem, zazwyczaj wie się takie rzeczy.

– Dziękuję panu, Frank. Proszę nas wpuścić do jego mieszkania.

– Główne wejście na szóstym piętrze, numer sześćset. Mogą panie skorzystać z pierwszej windy. Muszę uzyskać zgodę na udostępnienie jego klucza i kodu dostępu. To zajmie tylko chwilę.

– Mam klucz uniwersalny.

Frank skinął głową i podszedł do granitowego kontuaru. Stuknął w niego, a wtedy pojawił się ekran.

– Dyżurna droid jest na zapleczu. Nie włączam jej tak wcześnie. Zwykle o tej porze panuje tu cisza i spokój, więc nie miałyby to sensu. Może pani wjechać na górę, pani porucznik.

Chrząknął, kiedy Eve i Peabody wsiadały do windy.

– Czy... Czy jego matka już wie?

– Porozmawiamy z nią, kiedy obejrzymy mieszkanie. Jak pan powiedział, jeszcze wcześnie. Nie ma sensu jej budzić, by przekazać taką złą wiadomość.

– Będzie zdruzgotana. Bardzo się kochali.

Chociaż sama nie wiedziała, jak to jest mieć kochającą matkę, Eve skinęła głową, nim wsiadła do windy.

Szóste piętro – poinformował komputer, kiedy winda ruszyła, co świadczyło, że Frank jest równie kompetentny, jak droid.

– Miły facet, wielu przyjaciół, kochał matkę, był biseksualistą. – Eve się zastanowiła. – W ciągu paru minut całkiem sporo się dowiedziałyśmy od portiera.

– Był wyraźnie zasmucony – zauważyła Peabody. – Kiedy portier jest smutny, wiadomo, że podczas śledztwa zetkniemy się ze sporą liczbą zasmuconych ludzi.

– Jeśli szukasz szczęśliwych ludzi, przestań pracować w wydziale

zabójstw. Albo w ogóle zrezygnuj z pracy w policji – odparła Eve.

Drzwi windy rozsunęły się na szeroki hol, wyłożony szarym dywanem. Na ścianach wisiały dzieła sztuki. Między drzwiami do poszczególnych mieszkań stały zaokrąglone stoliki, a na nich wąskie, przezroczyste wazony z białymi kwiatami.

Mieszkanie numer sześćset zajmowało zachodni narożnik i znajdowało się najdalej od windy. Pierwszorzędna nieruchomość w pierwszorzędnym budynku. Tak, pomyślała Eve, gra na dużych, pękatych skrzypcach przynosi niezłą kasę.

– Wszelkie możliwe zabezpieczenia – zauważyła, włączwszy rekorder. – Kamera, czytnik dłoni, podwójne zamki z atestem.

Pokonała je wszystkie, posługując się swoim kluczem uniwersalnym, otworzyła prawe skrzydło podwójnych drzwi wejściowych. Automatycznie włączyło się przyćmione światło.

– Praktyczne – powiedziała – ale dla nas za ciemno. Światło na pełną moc – poleciała.

– Łał. – Peabody zrobiła wielkie oczy, kiedy rozbłysły lampy. – Ale luksus.

Według Eve mieszkanie urządzone z klasą, w tradycyjnym stylu. Takim, jaki lubił Roarke. Bogate, głębokie kolory, przepastne kanapy i fotele. Wysokie oparcia, opływowe linie. Ciemne, błyszczące drewno, tu i tam srebro i kryształy. Kwiaty w wazonach, które wyglądały na stare i cenne, świece w smukłych lichtarzach.

Obrazy przedstawiały wszelkiego rodzaju krajobrazy: wiejskie, miejskie, nadmorskie.

– Zacznijmy od tego poziomu. Sprawdźmy, czy jest tu gabinet. Interesuje nas komputer i domowy telefon zamordowanego.

Skierowała się w lewo, a Peabody w prawo.

Kiedy Eve rozsunęła podwójne chowane drzwi, ujrzała duże pomieszczenie w kształcie litery L. Salon, jadalnia i kuchnia.

Porządna kuchnia, doszła do wniosku, z okazałą płytą grzejną i piekarnikiem oprócz podwójnego autokucharza, długie blaty do pracy, jasnozłote z malutkimi, błyszczącymi punkcikami. Jak piasek na plaży, pomyślała, gdy chodząc po kuchni, otwierała na chybił trafił drzwiczki od szafek, wysuwała szuflady.

Sporo sprzętu kuchennego, sensownie rozmieszczonego.

W dużej, w pełni zaopatrzonej spiżarni znalazła domowego droida o wyglądzie kobiety w średnim wieku, z sympatyczną twarzą, niskiego wzrostu i krępej budowy. Droid w szarej sukience i białym fartuszkowi miał martwe spojrzenie wyłączzonego robota.

– Znalazłam droida! – zawołała Eve i zaczęła szukać włącznika.

– Jest tu toaleta i odlotowy pokój muzyczny... – powiedziała Peabody, wchodząc. – Fortepian, wiolonczela, kontrabas, trójce skrzypiec, flety, pikolo. Jest tak duży, jak to pomieszczenie. Wysokiej klasy miejsce do wydawania przyjęć. Tutaj.

Okrzyknęła Eve, sięgnęła pod stalowosiwy kocyk na karku droida i zrobiła, co trzeba, żeby go uruchomić.

Martwe niebieskie oczy ożyły. Wąskie usta rozciągnęły się w wesołym uśmiechu.

– Czym mogę służyć w ten śliczny poranek?

Silny irlandzki akcent wywołałby śmiech albo grymas u Roarke'a, którego irlandzki język brzmiał śpiewnie. Eve tylko uniosła brwi i pokazała swoją odznakę.

Droid o wesołych oczach zeskanował odznakę i poddał sprawdzeniu.

– Pani porucznik, a cóż takiego może chcieć ode mnie miejscowa *gardi*?

– Jestem porucznik Dallas, a to detektyw Peabody. Kiedy ostatni raz cię włączono?

– Chętnie odpowiem na to i wszystkie inne pani pytania, jak tylko uzyskam zgodę mojego Doriana. Ten nicpoń wciąż leżałby w łóżku o tej porze, gdyby pani się nie pojawiła.

– Nicpoń?

– Jest pełen życia. Ciężko pracuje, ale lubi też dobrze się zabawić. Skoro tak wcześnie go obudzono, z pewnością będzie chciał kawy. Z chęcią przygotuję ją też dla pań.

– Nie napiję się kawy. Dorian Kuper nie żyje.

W oczach droida na chwilę pojawiło się coś przypominającego szok.

– Nie rozumiem. Proszę powtórzyć.

Znów wkroczyła Peabody.

– Czy możesz nam się przedstawić?

– Jestem Maeve.

– Maeve, z żalem musimy cię poinformować, że ostatniej nocy ktoś zabił Doriana. Bardzo nam przykro.

– Przecież jest młody i zdrowy. – Smutek, do tego można by przysiąc, że szczerzy, widać było w spojrzeniu Maeve, słyszało się go w głosie. – Nie żyje? Uległ wypadkowi?

– Zamordowano go. Chodźmy stąd – powiedziała Eve. – Nie ma co sterczeć w spiżarni.

– Nikt by go nie skrzywdził. Najmocniej przepraszam, ale sądzę, że zaszła jakaś pomyłka.

– Nie zaszła żadna pomyłka – zapewniła ją Eve. – Ustalono jego tożsamość i ją potwierdzono.

Maeve podeszła do szafki, usiadła na stołku.

– Dlaczego ludzie są tacy delikatni?

– To zagadka. Kiedy ostatni raz miałaś styczność z Dorianem?

– Jedną chwileczkę. – Jej oczy na chwilę stały się puste, a potem pojawiła się w nich konsternacja. – O, Boże. O, Boże. Widzę, że minęło sześćdziesiąt dwie godziny i osiemnaście minut, odkąd mój Dorian mnie wyłączył. Czy od tak dawna nie żyje?

– Nie. I do tej pory nikt cię nie wyłączył?

– Nikt.

Eve zdziwiła się, dlaczego funkcjonariusz, przyjmujący zgłoszenia o zaginionych, nie wyłączył i nie przesłuchał domowego droida, ale przypomniała sobie, że wniosek dopiero co wpłynął.

– Czy Dorian był sam, kiedy cię wyłączył?

– Owszem. Powiedział, że idzie na próbę przed wieczornym przedstawieniem. W tej chwili wystawiają *Giselle*. Powiedział, żeby na niego nie czekać – lubił się ze mną droczyć – i że rano sam mnie obudzi, bo prawdopodobnie późno wróci do domu. Zamierzał zjeść kolację z przyjaciółmi. Często to robił.

– Czy możesz nam dać pełen spis jego przyjaciół, osób, które go odwiedzały w domu?

– Naturalnie. Mogę sporządzić listę i ją wydrukować, jeśli to pani

pomoże. Albo mogę się połączyć z każdym komputerem i stworzyć plik.

– Uwzględnij również osoby, z którymi łączyły go zażyłe stosunki
– dodała Eve.

– Mój Dorian miał duże grono przyjaciół wszelkiego rodzaju. Lubił wydawać przyjęcia w domu, urządzał też wieczorki muzyczne, a także kameralne spotkania dla kilku osób czy nawet z jednym gościem, którego traktował wyjątkowo.

Podobnie jak portier, domowy droid dużo wiedział, pomyślała Eve.

– Czy ktoś się denerwował, kiedy przestawał być traktowany wyjątkowo?

– Nigdy o tym nie słyszałam, a z całą pewnością bym usłyszała, gdyby tak było. Mój Dorian rozmawiał ze mną, powiedziałby mi, gdyby zakończenie jakiejś znajomości przysporzyło mu kłopotów. Jeśli chodzi o przyjaciół, z którymi łączyły go zażyłe stosunki, jak się pani wyraziła, wybierał takich, jak on, szukających kogoś na krótko. Nie był jeszcze gotów na stały związek. Zawsze najważniejsza była dla niego muzyka. Kiedy pracował, pani porucznik, nic innego się nie liczyło. – Maeve wydała lekkie westchnienie. – Spędziłam tu wiele godzin, wykonując swoje obowiązki i słuchając jego gry. Komponował operę. Zajmował się tym, gdy miał na to czas i był w odpowiednim nastroju.

– Rozumiem.

– Będzie mi go brakowało. – Kiedy Eve znów uniosła brwi, Maeve pokręciła głową. – Nie zrozumie pani tego, to nie uczucia, jakimi darzą siebie nawzajem ludzie. Ale matka Doriana postarała się, żebym pod każdym względem przypominała Maeve, jego nianię z czasów, kiedy był małym chłopcem. Bardzo go kochała, a on ją.

Dziwne, pomyślała Eve, ale jest mnóstwo ludzi z krwi i kości, którzy nie potrafią się zdobyć na tak szczere uczucia, jak domowy droid Maeve.

– W takim razie przykro mi.

– Mogę pocieszyć i wesprzeć jego matkę, jeśli będzie tego chciała. Z całą pewnością byli sobie nawzajem wielce oddani.

– Zapytamy ją o to. Bardzo nam pomoże ta lista przyjaciół. A teraz razem z moją partnerką musimy obejrzeć mieszkanie.

– Chętnie służę wszelką pomocą. Porucznik Dallas, może mi pani

wytłumaczyć, dlaczego ludzie się nawzajem zabijają? Nie rozumiem tego.

– Bo tego nigdy się nie da zrozumieć – odparła Eve.

*

Eve zostawiła Peabody sprawdzenie komputerów i telefonów, a sama poszła do sypialni, mieszczącej się na górze.

Tak jak się tego spodziewała, w szufladzie nocnej szafki znalazła pełen asortyment wspomagaczy, erotycznych gadżetów i zabezpieczeń. Świadczyło to, że w tej dziedzinie życia Dorian Kuper był otwarty i nie miał zahamowań. Niewielka ilość medykamentów – same legalne – wskazywała, że cieszył się dobrym zdrowiem.

W łazience znajdowało się bardzo dużo drogich kosmetyków do pielęgnacji twarzy i ciała, a także eleganckie przybory toaletowe, czyli dbał o swój wygląd. A w sporej garderobie miał wszelkiego rodzaju ubrania – od eleganckich do pozornie niedbałych. Co znaczyło, że nie hołdował tylko jednemu stylowi ubierania się.

W ścianie garderoby znalazła mały sejf i poczuła zadowolenie, kiedy udało jej się go otworzyć, chociaż prawdopodobnie zajęło jej to trzy razy więcej czasu, niż zajęłoby Roarke'owi, który był jej nauczycielem w tej dziedzinie.

Zobaczyła tam trochę gotówki, paszport, małą kolekcję zegarków na rękę, spinki do mankietów, nic niezwykłego, nic zaskakującego.

Na piętrze był mały gabinet, ale szybko stwierdziła, że Dorian robił tam tylko to, co absolutnie niezbędne. Rachunki płacił na czas, na bieżąco zapisywał w kalendarzu terminy prób, przedstawień, wyjazdów, spotkań towarzyskich.

W żadnym z dwóch pokoiów gościnnych nie znalazła nic szczególnie interesującego. Oba świadczyły o dobrym guście i smaku ofiary oraz wyjątkowej umiejętności utrzymania porządku przez domowego droida.

– Mam od Maeve spis przyjaciół i jego kopię na dyskietce. Jest dość długi – dodała Peabody, kiedy Eve wróciła na dół. – Wyłączyłam ją na jej prośbę. Powiedziała, że w każdej chwili jest do usług pani McKensie, kiedy tylko zajdzie taka potrzeba.

– Powiemy jej o tym. – Eve spojrzała na zegarek. – Równie dobrze możemy to zrobić teraz. Na górze nie rzuciło mi się w oczy nic szczególnego. A jak tam komputery, telefony?

– Często się kontaktowałam z różnymi ludźmi. Rozmawiałam z przyjaciółmi, umawiałam się z nimi, zamawiałam jedzenie, wino na przyjęcia. Poinformowałam wydział przestępczości komputerowej, ale nie natknęłam się na żadne groźby, kłótnie ani na cokolwiek podejrzanego, nic, co by świadczyło, że ktoś go próbował śledzić. Dużo kontaktów, związanych z pracą.

– Z pracą? – powtórzyła Eve, kiedy przygasiły światło i wyszły na korytarz. – Na górze ma gabinet, tam płacił rachunki i tym podobne.

– Chodzi mi o muzykę. W pokoju muzycznym ma komputer. Początkowo myślałam, że to garderoba, ale okazało się, że to małe pomieszczenie do pracy. W komputerze są różne utwory muzyczne, kompozycje, nad którymi pracował, nagrania, których musiał słuchać. Nic poza tym. Tylko muzyka.

– Rozumiem. – Eve umieściła policyjną pieczęć na drzwiach. – Niech nasi informatycy zabiorą sprzęt elektroniczny, sprawdzą wszystko. – Uważała, że maniacy komputerowi z wydziału przestępstw elektronicznych nie znajdą nic ciekawego, ale lepiej wszystko dokładnie sprawdzić.

– Wyślij wiadomość do funkcjonariusza, który odebrał zawiadomienie o zaginięciu Kupera. Poinformuj go o zabójstwie, dowiedz się, co ustalił. Prawdopodobnie niewiele, jeśli w ogóle cokolwiek.

– Już się robi.

– Matka mieszka w lokalu numer pięćset osiem, prawda? – Eve wsiadła do windy, poprosiła o piąte piętro, a w tym czasie Peabody wysłała e-mail. – Przyszło coś z IRCCA?

– Jeszcze za wcześnie, przesłałam dane zaledwie godzinę temu. Sądzisz, że nie był pierwszą ofiarą tego mordercy?

– Po co ktoś miałby torturować przez czterdzieści osiem godzin wiolonczelistę, by potem go zabić? Może to porachunki osobiste. Może jeden z tych bardziej zażyłych przyjaciół „na chwilę” nie był zadowolony z takiego układu. Może jakiś inny wiolonczelista chciał go

wygryźć z jego miejsca w orkiestrze. Może ofiara wiedziała o czymś albo o kimś, co chciał poznać ktoś inny. Jest wiele możliwości. Między innymi nie można wykluczyć, że nie był pierwszą ofiarą zabójcy. To serce nie daje mi spokoju. Ile jest na liście osób, których imię zaczyna się na literę E?

– Trudno mi powiedzieć tak z głowy, ale kiedy przeglądałam spis, widziałam Ethana, Elizabeth, Edgara, Ellyse. Ponieważ lista zawiera dwieście osób, prawdopodobnie znajdziemy ich więcej.

Wysiadły na piątym piętrze, gdzie Mina McKensie miała mieszkanie najbliżej windy. Takie same zabezpieczenia, zauważyła Eve. Nacisnęła guzik dzwonka.

Po chwili zapaliło się zielone światelko.

– Dzień dobry. Czym mogę służyć?

Głos był głęboki, o brytyjskim akcencie.

– Porucznik Dallas i detektyw Peabody. – Przysunęła do skanera swoją odznakę. – Chciałyśmy porozmawiać z panią Miną McKensie.

– Naturalnie.

Zamki kliknęły, drzwi się otworzyły.

Kolejny droid, pomyślała Eve. Ten tutaj wyglądał jak dystyngowany dżentelmen z burzą ciemnych włosów, siwiejących na skroniach. Miał na sobie czarny garnitur.

– Proszę wejść. Pani McKensie jeszcze nie zeszła na dół.

Poinformuję ją o przybyciu pań.

Zaprowadził je do pokoju dziennego, który matka ofiary urządziła bardziej nowocześnie niż syn swoje mieszkanie. Również z klasą, stwierdziła Eve, ale raczej w barwach podstawowych, a dzieła sztuki były odważniejsze.

– Mogą panie poczekać tutaj. Proszę usiąść i czuć się jak u siebie. Czy podać paniom coś do picia?

– Nie, dziękujemy. Chcemy tylko porozmawiać z panią Miną McKensie.

– Naturalnie.

Podszedł do kręconych schodów i wszedł na górę.

Domyśli się, uznała Eve. Domyśli się, jak tylko droid jej powie, że na dole są policjantki. Ostatnia iskierka nadziei będzie się jeszcze tliła,

ale matka się domyśli.

Eve zauważyła jakiś ruch, uniosła wzrok. Mina McKensie jeszcze się nie ubrała, miała na sobie długi, zwiewny szlafrok z kremowego jedwabiu. Pełne wyrazu oczy kontrastowały ze złotą cerą. Eve dostrzegła, jak na twarzy tej kobiety nadzieja walczy z rozpaczą.

Kostki u jej rąk pobieleły, kiedy zaciskała palce na poręczy, pospiesznie idąc na dół.

– Dorian. Proszę nie kazać mi czekać. Proszę mi wszystko powiedzieć od razu.

– Pani McKensie, z przykrością musimy poinformować, że pani syna zamordowano.

Uniosła obie ręce, jakby chciała odsunąć od siebie te słowa, a potem ostrożnie, jak niedołęzna staruszka, usiadła w fotelu czerwonym jak szminka.

– Jesteście pewni, że to Dorian? Macie stuprocentową pewność, że to on?

– Tak. Przykro nam z powodu poniesionej przez panią straty.

– „Strata”? To takie mało znaczące słowo. Na ogół to, co tracimy, można zastąpić czymś innym. Na przykład klucze czy kolczyki. Załatwiamy sobie inne. Ale...

Kiwała się lekko w fotelu, z jej oczu płynęły łzy.

– Wiedziałam. Wiedziałam. Wiedziałam, kiedy nie przyszedł na przedstawienie. Nigdy nie opuściłby przedstawienia. Ale myślałam sobie: nie, to... Coś innego. Coś innego. Lecz nie odbierał telefonów, a błagałam go, żeby tylko mnie poinformował, że nic mu nie jest. Nigdy nie pozwoliłby mi się zamartwiać. Nigdy by tego nie zrobił. Policja mi powiedziała, że musimy poczekać ze zgłoszeniem zaginięcia. Dlaczego, dlaczego?

Peabody usiadła i nachyliła się do niej.

– Wiele dorosłych ludzi czasami znika na dzień czy dwa, bo odczuwa taką potrzebę.

– Ale Dorian nie był taki.

– Rozumiem, pani McKensie.

– Czy miałoby to znaczenie? – spytała ostro, niemal oskarżycielskim tonem. – Gdybyście wcześniej zaczęli go szukać, czy...

– Nie sędzę. – Peabody delikatnie ujęła jej dłoń. – Przykro mi, ale nie sędzę. Czy przynieść pani wody, pani McKensie?

– Muszę... – Zamknęła oczy, a spod jej powiek wypłynęły dwie łzy. – Jarvis, proszę, nalej mi brandy.

– Naturalnie, proszę pani. Już się robi.

– Muszę się napić brandy – powtórzyła Mina i otworzyła oczy. – I potrzebna mi chwila. A potem proszę mi powiedzieć, co spotkało Doriana. Muszę to wiedzieć. I chcę wiedzieć, gdzie jest, żebym mogła go zobaczyć. Muszę zobaczyć swojego syna.

– Zorganizujemy to, pani McKensie.

Wzięła od droida brandy, uniosła kieliszek do ust i pociągnęła długi łyk.

– Nie załamie się. Nie przy świadkach. Nie załamie się – powtórzyła, ale głos jej drżał, a łzy płynęły po twarzy. – Proszę mi powiedzieć, co spotkało mojego syna.

– Pani McKensie, czy chce pani, żebym zadzwoniła do kogoś i poprosiła, by tu przyjechał?

– Nie potrzebuję nikogo. Muszę wiedzieć, co się stało.

– Pani McKensie... – Eve podeszła i usiadła na eleganckim, srebrnym stoliku. Utkwiła spojrzenie w zapłakanych oczach kobiety. – Trudno będzie pani słuchać tego, co powiem. Bardzo trudno. Jeśli jest ktoś, komu pani ufa, na kim może pani polegać, możemy poprosić, by ta osoba tu przyjechała i została z panią, kiedy już pani wszystkiego się dowie. Rozmawiałyśmy z domowym droidem pani syna. Chce pani, żebyśmy uruchomili Maeve i ją tu sprowadzili?

– Nie. – Kolejna łza potoczyła się po jej policzku, ale pani McKensie wzięła głęboki oddech i pokręciła głową. – Nie, nie Maeve. Jeszcze nie teraz. Ethan. Ethan Chamberlin. Dyrygent orkiestry. Mój kochanek. Wczoraj wieczorem nie chciałam, żeby u mnie został, ale... Jarvis, proszę, skontaktuj się z panem Chamberlinem i...

– Może będzie lepiej, jeśli ja z nim porozmawiam. – Peabody wstała.

– Jarvis, daj pani detektyw numer telefonu.

– Zadzwonię z drugiego pokoju. – Peabody dała znak droidowi, żeby ją wyprowadził.

– Nie załamie się – powtórzyła Mina. – Jestem silna. Sama wychowałam Doriana po śmierci jego ojca. Dorian miał wtedy zaledwie sześć lat. Sama go wychowałam, pracując. Jestem bardzo silna. Proszę mi powiedzieć, co się stało.

– Jego zwłoki znaleziono w Mechanics Alley. Zna pani te okolice?

– Chyba nie.

– To w centrum. Lower East Side. Czy znane są pani jakieś powody, dla których miałyby tam się wybrać?

– Nie. Nie. Ma przyjaciół w centrum miasta. W Village, Tribeca, SoHo. Dorian łatwo nawiązywał przyjaźnie. Chcę wiedzieć, w jaki sposób umarł.

– Ustali to lekarz sądowy.

– Ale pani wie. Na tym polega pani praca, prawda? Wie pani, co go spotkało. Jestem jego matką i też mam prawo to wiedzieć.

– Pani McKensie, lekarz sądowy musi określić przyczynę śmierci. Mogę pani powiedzieć, że po oględzinach na miejscu przestępstwa wszystko wskazuje na to, że był związany. Odniósł liczne obrażenia.

Mina bardzo ostrożnie pociągnęła drugi łyk brandy.

– Związali go, żeby sprawić mu ból? Żeby nie mógł ich powstrzymać?

Tak, to silna kobieta, doszła do wniosku Eve. I niegłupia.

– Wszystko na to wskazuje, ale lekarz sądowy będzie musiał przeprowadzić sekcję. Bardzo mi przykro. Czy zna pani kogoś, kto chciałby zrobić coś takiego pani synowi? Kogoś, kto żywił do niego urazę? Była sympatia, rywal?

– Nie. – Mina przycisnęła palce do czoła i zrobiła wolny wdech. – Nie, nie znam. Nie zbywam pani, po prostu był powszechnie lubiany.

– Uczył w szkole Juilliarda. Może skarcił jakiegoś studenta.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Lubił uczyć. Nie musiał tego robić dla pieniędzy. Poświęcał swój czas, bo chciał rozwijać nowe talenty. Cieszył się, pomagając studentom. Nikt z jego znajomych nie mógł go skrzywdzić, odebrać mu życia. Nikt z jego znajomych nie mógłby tego zrobić.

– Byliście blisko ze sobą związani. – Nie oderwała wzroku od twarzy Miny. Do pokoju wróciła Peabody.

– Tak. Bardzo blisko.

– W takim razie zapytam, czy zna pani kogoś, kto chciałby zranić panią, zabijając syna? Kogoś, kto żywi urazę do pani? Były kochanek, rywalka?

– O Boże. – Kiedy odstawiała kieliszek ręce jej się trzęsły, więc splotła je na kolanach. – Zabić Doriana, żeby sprawić mi ból? Nie znam nikogo zdolnego do czegoś tak okropnego. Pewni ludzie niespecjalnie mnie lubią, tacy, z którymi się nie zgadzam. Czasami bardzo. Ale przysięgam, że żadna spośród znanych mi osób nie skrzywdziłby Doriana. Lubili go nawet ci, którzy nie darzyli mnie szczególną sympatią. Pomysł, że ktoś mógłby go skrzywdzić z mojego powodu...

– Pani McKensie, musiałam o to zapytać. Musimy uwzględnić każdą ewentualność.

Peabody usiadła w fotelu.

– Pan Chamberlin już tu jedzie – powiedziała.

– Dziękuję.

– Czy pani syn wspominał o kimś, kto mu nie dawał spokoju? Miał wielbicieli, prawda? – spytała Eve. – Miłośników opery, miłośników jego gry?

– Tak... Znaczący się, wiele osób lubiło go słuchać, przychodziło na przedstawienia, czekało, żeby z nim porozmawiać, poprosić o autograf.

– Czasami wielbiciele wyobrażają sobie, że łączy ich wyjątkowa więź z ich idolem i wpadają w złość, kiedy osoba, którą się interesują, nie odwzajemnia ich uczuć.

Mina znów splotła ręce, by opanować ich drżenie. Skinęła głową.

– Tak, rozumiem. Naturalnie, że Dorian miał swoich wielbicieli.

Był młody, bardzo atrakcyjny i utalentowany. Od czasu do czasu, szczególnie poza sezonem, grywał w klubach. Naturalnie nie utwory operowe, tylko jazz, blues. Dorian potrafił grać na wielu instrumentach. Ktoś mógł się dowiedzieć, że będzie grał w jakimś klubie, i pójść tam, żeby go posłuchać. Albo po występie zaczekać na niego przy wejściu za kulisy. Nikogo sobie nie... Chwileczkę.

Usiadła prosto.

– Przez kilka ostatnich tygodni mówił o pewnej dziewczynie. Jak jej było na imię? – Mina na chwilę zamknęła oczy. – Earnest Tina!

– Ernestina? Zna pani jej nazwisko?

– Nie, nie, Earnest Tina. Była przesadnie zasadnicza. Raz poszedł z nią do baru na drinka, co świadczy, że jest atrakcyjna. Powiedział, że przez większość czasu analizowali muzykę Wagnera, Mozarta i innych. Nie jest muzykiem, tylko kompozytorką. Tak. Komponuje operę i bardzo poważnie do tego podchodzi. Powiedział, że kilka dni po tym spotkaniu przyszedł do jakiegoś klubu, w którym grał, i nie kryła oburzenia, że Dorian marnuje swój czas i talent na coś, co uważała za gorszy rodzaj muzyki. Skwitował to śmiechem, ale nie zmieniła zdania.

– Tina – powtórzyła Eve. – Nie zna pani jej nazwiska?

– Przykro mi, nigdy mi nie mówił, jak jej na nazwisko. Wspomniał kiedyś o niej przy porannej kawie. Może komuś innemu powiedział więcej.

– Sprawdzimy to – odrzekła Eve.

Rozległ się dzwonek u drzwi.

Peabody wstała i dała znak droidowi, żeby się cofnął.

– Ja otworzę.

– Nie chcę widzieć nikogo poza Ethanem. Nie chcę...

– Proszę się nie niepokoić – zapewniła ją Eve.

– Muszę zobaczyć syna, pani porucznik. Przepraszam, uleciało mi pani nazwisko.

– Dallas. Wszystko zorganizuję. Zajmę się tym, jak tylko się z panią pożegnaj. Jest w rękach doktora Morrisa. Zapewniam panią, że nie mógł lepiej trafić.

– Mina. – Mężczyzna, który wbiegł do pokoju, był niezwykle dziarski. Bardzo wysoki i chudy jak szczapa, tak, jak droid, miał pokaźną grzywę włosów, siwiejących na skroniach. A do tego ciemnobrązowe, przenikliwe oczy i czarne brwi.

Nie zwracając uwagi na Eve, ukląkł obok fotela Miny i objął ją mocno.

– Chodzi o Doriana. O Doriana...

Chociaż dotrzymała słowa i się nie załamała, z jej ust wydobył się przeciągły szloch.

1 Gra słów: *Earnest Tina* znaczy „Poważna Tina”.

Rozdział 3

Na ulicy Eve skapitulowała w obliczu wiatru i wyjęła z kieszeni swoją głupią czapkę.

– Trzymała się dłużej, niż sądziłam – zauważyła Peabody.

– To się nazywa mieć stalowe nerwy. Wstąpimy teraz do Morrisa, a potem zaczniemy przesłuchiwać przyjaciół Kupera i jego kolegów z pracy. Chcę porozmawiać z Chamberlinem. Dyrygent kieruje orkiestrą, prawda? Tak, koniecznie musimy z nim porozmawiać.

Zajęła miejsce za kierownicą, przez chwilę siedziała i spoglądała w boczne lusterko, obserwując ruch samochodów.

– Earnest Tina.

– Miał poczucie humoru – zauważyła Peabody. – Przy-puszczalnie opowiedział o niej jeszcze komuś. Możemy ustalić nazwy klubów, w których lubił grywać.

– Może to ona. – Eve wykorzystała lukę i włączyła się do ruchu, wywołując kakofonię klaksonów. – Pisze operę... Ludzie nadal się tym zajmują? Sądziłam, że wszyscy kompozytorzy oper nie żyją od setek lat.

– Parę lat temu skomponowano mierną operę *Hałas*. Wysłuchałam jej fragmentu, ale tylko rozboleła mnie głowa. Sądzę jednak, że nadal komponuje się tradycyjne opery.

– Cóż, jedną z nich pisze ona, a skoro nazywa się Earnest Tina, z pewnością nie będzie to żaden chłam. Wypytywała Kupera o dawnych kompozytorów operowych. Może chciała skorzystać z jego protekcji, by wystawiono jej dzieło. Jego matka sypia z dyrygentem, można by to też wykorzystać. Ale według niej Kuper nie traktował muzyki wystarczająco poważnie, grywał w jakichś obskurnych klubach. Jej zdaniem to przejaw braku szacunku do muzyki i do opery.

Wydawało się to mało prawdopodobnym motywem, ale...

– Ludzie zabijają z różnych dziwacznych powodów – dokończyła Eve.

– Ale tortury?

– Musimy się spotkać z tą Earnest Tiną, aby ocenić, do jakiego

stopnia jest stuknięta. Sprawdźmy Ethana Chamberlina. Jego imię zaczyna się na E. Może nie mógł dostać tego, czego chciał, od matki, tak silnie związanej emocjonalnie z synem.

– A może w gruncie rzeczy wolałby zabawiać się z synem, a nie z mamusią.

– Nieźle to wykombinowałaś.

– Założę się, że byłaś w operze – powiedziała Peabody, uruchomiwszy swój palmtop.

– Dwa razy. I powiedziałam: wystarczy. Szybciej mi kaktus wyrośnie na dłoni, nim znów tam pójde.

– Chyba chciałabym chociaż raz zobaczyć operę. Te kostiumy, muzyka, libretto, wszyscy wystrojeni...

– Nie można zrozumieć nic z tego, co wyśpiewują, a na koniec wszyscy umierają. Mamy tego wystarczająco dużo w pracy.

– Ale jeśli opera śpiewana jest po włosku... Chyba chciałabym iść na włoską operę... To bardzo romantyczne.

– Nie rozumiem, jak śmierć może być romantyczna.

– Cóż, weźmy chociażby Romea i Julię...

– Samobójstwo pary nastolatków. No tak, czuję, jak mi mięknie serce.

Peabody trochę się naburmuszyła, ale nie przestawała szukać informacji.

– To tragedia romantyczna.

– To jeden z tych oksygonów.

– Moronów.

Eve odwróciła głowę i utkwiała w Peabody stalowy wzrok.

– Powtórz to jeszcze raz.

– Mówi się „oksymoron”. Oksymoron, nie oksygon.

– Co za różnica. – Eve wzruszyła ramionami.

– Mam dane dyrygenta – powiedziała szybko Peabody. – Ethan Chamberlin, wiek sześćdziesiąt dwa lata. Dwukrotnie rozwiedziony, jedno dziecko, córka, lat trzydzieści, mieszka w Londynie. Od jedenastu lat jest dyrygentem w Nowym Jorku, poprzednio dyrygował Londyńską Orkiestrą Symfoniczną. Mieszka... Hmm, dwie przecznice na południe od ofiary i jego matki. Ma na koncie kilka drobnych zatargów z prawem.

Zniszczenie prywatnej własności... Roztrzaskał altówkę... Wyrównał straty. Wyrzucił przez okno pikolo i zagroził, że w następnej kolejności wyrzuci muzyka, który grał na tym instrumencie. Dopuścił się rękoczynów, ale wycofano oskarżenie. Potem zrobił to jeszcze raz, otrzymał wyrok w zawieszeniu i skierowano go na warsztaty, dotyczące technik radzenia sobie ze złością.

– Gwałtownik. I człowiek porywczy. – Eve pokręciła głową. – Nie umie zapanować nad gniewem. Chociaż nie wydaje mi się, by morderstwo popełniono w przypiływie gniewu. Ale porozmawiamy z nim. Znajdź osoby o imionach, zaczynających się na literę E, i zbierz o nich informacje. Dasz radę uporządkować je z uwzględnieniem adresów zamieszkania, żebyśmy nie jeździły tam i z powrotem, by przesłuchać tych ludzi?

– Jasne. Jego mama sprawiała wrażenie absolutnie przekonanej, że nie zrobił tego nikt ze znajomych.

– Matka go kochała i uważała, że wszyscy pozostali też go kochają. Ale nie kochała go przynajmniej jedna osoba znana im lub nie. Dlatego sprawdzimy ten wątek.

Zaczął prószyć drobny śnieg. Eve wiedziała, że oznacza to, iż iloraz inteligencji u przynajmniej połowy kierowców, którzy w tej chwili prowadzą samochody, spadnie minimum o jedną trzecią, a co za tym idzie osłabną ich umiejętności kierowania pojazdami mechanicznymi, więc na ulicach zapanuje prawdziwy chaos.

Pognała na południe, postanowiwszy uniknąć tego koszmaru.

*

Gdy tylko przekroczyła próg kostnicy, ściągnęła czapkę i schowała ją do kieszeni.

Biały tunel rozbrzmiewał echem ich kroków – poświęteczny chwilowy spokój, pomyślała Eve. Wkrótce się skończy.

Zauważyła, jak Peabody spogląda na automaty, sprzedające gorące napoje.

– Wiesz, jakie są niezdrowe.

– Tak, ale zaczął padać śnieg, a jak tylko pada śnieg, zaraz myślę o gorącej czekoladzie. Chociaż ten dziwny, brązowy płyn, sikający

z automatu, niewiele przypomina czekoladę. Dlaczego policji nie stać na porządne automaty z napojami?

– Bo wtedy wszyscy siedzielibyśmy, popijając gorącą czekoladę, zamiast pracować.

Pchnęła drzwi do królestwa Morrisa.

Rozpoznała operę – nie wiedziała, która to konkretnie, ale usłyszała tragizm w głosach śpiewaków i dramatyczne tony, tak typowe dla oper.

Morris stał nad ciałem Doriana Kupera. Przezroczysta peleryna chroniła śliwkowy garnitur głównego lekarza sądowego. Intrygującej twarzy o wydatnych kościach policzkowych nie okalały czarne włosy, bo splótł je w jeden misterny warkoczyk i związał srebrnym rzemykiem.

Na zabezpieczonych dłoniach miał krew. Kuper leżał z otwartą klatką piersiową, naciętą wzdłuż i ukośnie w górę.

– *Traviata* – powiedział Morris, unosząc wzrok, jakby widział scenę w Metropolitan. – Wybieram się na nią w przyszłym tygodniu.

– Lubisz operę?

– Tak, trochę. – Odszedł od stołu, żeby zmyć z rąk krew i środek zabezpieczający. – Znałem go.

– Ofiarę? – Eve przestała rozmyślać nad eklektycznym gustem muzycznym Morrisa i skupiła uwagę na jego powiązaniach z ofiarą. – Kupera? Znałeś Doriana Kupera?

– Tak. Był z niego znakomity muzyk. Naprawdę znakomity. I mam na myśli nie tylko jego niezwykły talent, ale również stosunek do muzyki. Przykro mi, że znalazł się u mnie w taki sposób.

– Przyjaźniliście się?

– Można tak powiedzieć. Znaliśmy się dobrze. Czasami zaglądał do „Po północy”, klubu bluesowego, który obaj lubiliśmy. Kilka razy graliśmy tam razem. Zamawialiśmy coś do picia, rozmawialiśmy o muzyce.

Saksofon, przypomniała sobie Eve. Morris świetnie gra na saksofonie.

– Przykro mi.

– Mnie też. Poszedłem z Amaryllis na przyjęcie, które u siebie wydawał, zaledwie kilka tygodni przed tym, nim ją zabito. Dziwne,

prawda, jak czasem losy ludzi się splatają?

Zobaczyła na jego twarzy świeży żal z powodu śmierci ukochanej kobiety.

Odwrócił się i wyjął z lodówki pepsi, sok pomarańczowy dla Peabody i napój imbirowy dla siebie. Podał im puszki, otworzył swoją.

– Wypijmy za starych przyjaciół – powiedział.

– Co o nim wiesz?

– Miał wielu przyjaciół, bardzo różniących się od siebie, jeśli można sądzić na podstawie przyjęcia w domu oraz osób, które przychodziły z nim do klubu. Widać było, że matka i syn świata poza sobą nie widzą. Widywałem go z mężczyznami i kobietami. Nie krył się z tym. Potrafił zagrać wszystko. Można mu było wręczyć instrument, a on sprawiał, że słuchacze śmiali się lub płakali.

Morris napił się i spojrzał na ciało Kupera.

– Bardzo go lubiłem.

– Znasz niejaką Tinę, jego znajomą?

– Jak już powiedziałem, miał wielu... Tinę? – Morris roześmiał się krótko. – Earnest Tinę?

– Zgadza się. Znasz ją?

– Nie. Przyszła pewnego wieczoru... Przed świętami. Chyba na początku grudnia. Akurat nie mogłem sobie znaleźć miejsca, wziąłem więc saksofon i pojechałem do klubu. Dorian już tam był, podobnie jak kilka innych osób, które obaj znaliśmy. Weszła... Jest brunetką... Tak, atrakcyjną brunetką. Zajęła miejsce przy stoliku, zrobiła minę pełną dezaprobaty. Podszedł do niej, rozmawiali przez chwilę. Pomyślałem sobie: kłótnia kochanków, bo kobieta sprawiała wrażenie bardzo rozgniewanej.

Urwał, znów się napił, zmrużył oczy.

– Niech pomyślę. Dorian położył dłoń na jej ramieniu, jakby chciał ją poklepać, ale strąciła jego rękę. Nie znam treści ich rozmowy. Mówiła głównie ona, a potem w dość teatralny sposób wybiegła z klubu.

Pamiętam, co mu rzuciła na odchodnym: „Nigdy ci nie wybaczę.

Nigdy”. Miała łzy w oczach. Kiedy wrócił, żeby coś zagrać, ktoś rzucił żartobliwą uwagę na temat jego rozgniewanej dziewczyny, a wtedy odparł: „Nie jest moją dziewczyną ani przyjaciółką. To Earnest Tina,

a niezbyt lubię osoby zbyt zasadnicze. Wkurzyła się, bo uważa, że zadowolam się byle czym”. To jego słowa. Potem roześmiał się i zaproponował: „Zaimprovizujmy coś na cześć Earnest Tiny”.

– Nie znasz jej nazwiska?

– Nie.

– Możesz ją opisać?

– Tak, z całą pewnością.

– Wystarczająco dobrze dla Yancy’ego? – spytała, mając na myśli policyjnego rysownika portretów pamięciowych.

– Na pewno mogę spróbować, jeśli to jakoś ci pomoże. Chodzi o to „E” w sercu? „E” i „D” w sercu, które zabójca wyciął na ciele ofiary.

– Zgadza się. Nie wiem, czy ktoś, kto tak poważnie traktuje siebie, posłużyłby się pierwszą literą ironicznego przezwiska, ale być może. Chcę z nią porozmawiać. Więc jeśli Yancy’emu uda się sporządzić na tyle wierny portret pamięciowy, by go wykorzystać w programie do identyfikacji na podstawie rysów twarzy, znajdziemy ją.

– Zadzwoń do niego i się umówię.

– Z góry dziękuję.

– No dobrze. – Morris wziął głęboki oddech, a potem odwrócił się w stronę ofiary. – Dziwne, ale mi to pomogło. A teraz porozmawiajmy o tym, co mu zrobiono.

Wziął mikrogogle dla siebie i dla Eve, wiedząc, że Peabody chętnie odpuści sobie bliższe oględziny zwłok, i zaczął mówić.

– Uderzenie ciężkim, tęnym przedmiotem w tył głowy. Sądząc po kształcie rany, kluczem francuskim. Takim do rur.

– Powszechnie używanym przez hydraulików.

– Tak. Łatwo je kupić. To najstarsza rana. Jeszcze nie dokończyłem rekonstrukcji wydarzeń, ale... – Polecił, by komputer odtworzył przebieg wypadków. Razem z Eve przyglądał się, jak wygenerowana komputerowo postać ofiary otrzymuje cios od tyłu.

– Cios zadano z góry i od tyłu.

– Z góry na dół – zauważyła Eve. – Napastnik uniósł narzędzie nad głowę. Czyli ofiara była pochylona, kiedy otrzymała cios. Żeby coś podnieść, sięgnąć po coś, zawiązać sznurowadło. Nie zabito go w zaułku, gdzie go znaleziono.

– Po analizie zdjęć z miejsca przestępstwa zgadzam się z tobą.
– Napadnięto na niego, a potem gdzieś go przewieziono, żeby zabójca mógł się nad nim trochę poznać. Zaatakowano go i umieszczono w jakimś pojeździe. Logika podpowiada, że napadnięto go w pobliżu pojazdu, do którego go następnie wciągnięto. Po pierwszym uderzeniu ofiara straciła przytomność, prawda?

– Tak, zgadza się.
– Czyli łatwo było go związać.
– Posłużono się taśmą klejącą. Sądzę, że laboratorium to potwierdzi – powiedział jej Morris. – Stwierdziłem obecność lepkiej substancji na przegubach rąk i kostkach u nóg.
– Ale nie na ustach.
– Rany w kącikach ust powstały w wyniku otarć od mocnego, cienkiego paska. Znalazłem ślady silikonu na zębach i języku.
– Knebel, stosowany podczas zbliżeń seksualnych.
– Skłaniam się do takiego wniosku.
– Upokorzenie z podtekstem erotycznym. Czy go zgwałcono?
– Brak jakichkolwiek śladów uprawiania seksu.
– No dobrze. – Eve wsunęła ręce do kieszeni, próbując sobie wyobrazić przebieg zdarzenia. – Czyli ogłuszono go i związano. Mając usta zakneblowane tego rodzaju kneblem, można wydawać dźwięki, ale są one niezrozumiałe. Lecz zabójca słyszał, jak ofiara krzyczy albo błaga o litość.
– Skłaniam się ku temu, że Dorian i krzyczał, i błagał o litość. Zleciłem wykonanie badania toksykologicznego, więc się dowiemy, czy podano mu jakieś narkotyki. Nie znalazłem żadnych śladów od paralizatora ani strzykawki.
– Gdyby mu coś podano, mniej by czuł. Jaką frajdę miałyby z tego zabójca? – Eve ugryzła się w język. – Przepraszam.
– Niepotrzebnie przepraszasz. Rozumowanie podobne do sposobu rozumowania sprawcy doprowadzi do jego ujęcia. Ślady oparzeń. Zgadzam się z tym, co ustaliłaś na miejscu przestępstwa. Niektóre są od papierosów, inne od narzędzia. Na przykład te.
Włożył gogle, podobnie jak Eve i obydwoje pochylili się nad zwłokami.

– Dolna część tułowia, brzuch, genitalia. Precyzyjne ślady od oparzeń wąskim płomieniem.

– Ręcznej opalarki. Ślady na kończynach, na dłoniach są większe, nie takie precyzyjne. Powstały w wyniku gaszenia niedopałków papierosów. Siniaki na klatce piersiowej nie są od ciosów pięścią.

– Raczej od pałki. Podobnie jak na podszewkach nóg. Widać, że wiele ran jest płytkich. Zarówno kłutych, jak i ciętych. Posłużono się przynajmniej dwoma różnymi narzędziami.

– Rany kłute, które widzę, pochodzą od szpikulca do lodu lub czegoś w tym rodzaju.

– A rany cięte zadano wyszczerbionym nożem.

– Zabójca sprawił sobie całą skrzynkę z narzędziami.

– Powierzchnowe rany są starsze, podobnie jak ślady oparzeń.

Niektóre powstały dwa dni temu.

– Dopiero zaczął. Nie chciał, aby Kuper zbyt szybko wyzionął ducha. Chciał, żeby się bał, cierpiał, czuł się bezradny.

– Palce łamano mu w pewnych odstępach czasu, nie wszystkie naraz. Kości prawej ręki zmiażdżono, a lewej złamano.

– Prawą rękę zmiażdżono mu butem albo jakimś narzędziem. Bądź upuszczono na nią coś ciężkiego.

– Skłaniam się ku narzędziu. Mocno, kilka razy uderzono młotkiem w kłykcie. Najpierw u lewej dłoni, a u prawej w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Głębsze rany cięte i kłute też zadano w ciągu ostatniej doby.

– Rany, zadawane w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, są coraz bardziej brutalne. Zabójca szykował się do uśmiercenia ofiary.

– Zgadza się, Dallas, ale niektóre rany opatrzył.

– Co? Jak to?

– Znalazłem ślady substancji, którą w laboratorium zidentyfikują jako NuSkin lub jego pochodne. Niektóre poważniejsze rany opatrzono, żeby powstrzymać krwawienie, a potem znów otwarto. I to kilkakrotnie, nim rozpruto mu brzuch, co spowodowało zgon.

– Trochę potrwało, nim się wykrwawił.

– Przynajmniej godzinę, nawet uwzględniając wcześniejsze obrażenia i traumę. Bardziej prawdopodobne, że dwie godziny, nim

upływ krwi doprowadził do utraty przytomności i odczuwania bólu. Śmierć nastąpiła później, ale przynajmniej już nic nie czuł.

– Czy zabójca mógł się temu przyglądać, filmował to? Poprzedni morderca wszystko rejestrował, cały swój wielki eksperyment. Ale to... Nie sprawia wrażenia czegoś skrupulatnie przygotowanego, jakiegoś zwariowanego doświadczenia naukowego. Chodziło o upokorzenie ofiary, zadanie jej bólu, sterroryzowanie.

Eve zdjęła gogle, wypła łyk pepsi, zaczęła chodzić tam i z powrotem, próbując to sobie wyobrazić.

– Zabójca wszystko sobie zaplanował, przygotował narzędzia, zorganizował środek transportu i miejsce zbrodni. Ale wyłamane palców u jednej dłoni, zmiażdżenie drugiej, gaszenie niedopałków na kończynach, dłoniach, stopach, oparzenia narzędziem na tułowiu i genitaliach... Pałka. Szpikulec do lodu, wyszczerbione ostrze. Knebel. Rozebranie ofiary do naga. Czy to dzieło jakiegoś psychopaty czy też... A serce? Kiedy zabójca wyciął serce na ciele ofiary?

– Już po jej śmierci. Cienkim, gładkim ostrzem. I bardzo precyzyjnie.

– Bo to podpis. Jest w tym duma albo może... Może to „D” wcale nie oznacza Doriana. On był nieważny. Jego cierpienie owszem. Mordercy sprawiało radość torturowanie Kupera, rozciągnięcie go na ziemi dla zabawy. Ale to, kim był? Jego imię? Może nie miało to najmniejszego znaczenia. Według matki nikt z jego znajomych nie mógłby zrobić czegoś takiego. Jeśli to nie dzieło kogoś, kogo znał, jego imię nie ma znaczenia. Ważne są „D” i „E”.

– Wycięli mu na ciele serce – mruknął Morris – jak zakochani wycinają na drzewie serce ze swoimi inicjałami.

– Czyli było ich dwoje? – Peabody głośno wypuściła powietrze z płuc. – Kobieta i mężczyzna?

– To tylko jedna z możliwości. Ale wkraczamy na teren zarezerwowany dla Miry. Przedstawię jej te hipotezy, bo to ciekawa teoria. Rozebrali go, zakneblowali kneblem, jaki można kupić w sex-shopach, poparzyli mu genitalia. Ale nie zgwałcili go, bo mają siebie, żeby zaspokajać swoje potrzeby seksualne.

– Jeśli tak było, to, co mu zrobili, to...

– Gra wstępna – dokończyła Eve, bo Morris nie mógł się na to zdobyć.

Położył dłoń na ramieniu zamordowanego.

– Nigdy o coś takiego nie prosiłem i teraz też nie powinienem tego robić. Ale znajdź ich.

Racja, nigdy nie prosił, pomyślała Eve. A ona nie powinna mu odpowiedzieć, ale nie mogła się powstrzymać.

– Znajdę ich. Możesz być tego pewien.

*

– Znów jest smutny. – Peabody zaczekała, aż wyszły na ulicę. – Przez to zabójstwo znów zaczął myśleć o Coltraine i posmutniał.

– Otrząśnie się z tego. – Ale rozważała, czy nie zadzwonić do księdza, bo przypomniawszy sobie, że Morris zaprzyjaźnił się z Chale'em Lopezem i to pomogło mu pozbić się po śmierci kobiety, którą kochał. – Zajmiemy się sprawą, Morris szybciej się z tym upora, jak znajdziemy zabójcę.

– Chcesz, żebym sprawdziła, czy uda mi się umówić spotkanie z Mirą?

– Tak. Najpierw pojedziemy do komendy. Chcę założyć teczkę sprawy, rozmieścić to, co wiemy, na tablicy, trochę pomyśleć nad teorią, że sprawcami są kobieta i mężczyzna. Powiedz Mirze, że wyślę jej raport.

– Dobrze. Uważasz, że wybrali sobie ofiarę na chybił trafił?

– Trudno powiedzieć. W tej chwili nawet nie wiemy, gdzie go napadnięto, skąd go porwano. Musimy porozmawiać z jego przyjaciółmi i kolegami z pracy – ciągnęła Eve, jadąc w coraz gęściejszej śnieżycy. – Na razie poprzestaniemy na sprawdzaniu osób, których imiona zaczynają się na literę E. Obie teorie są równie dobre. Zaczynaj dzwonić do osób z listy i umawiać się na spotkania z nimi w komendzie. Wtedy będę mogła się spotkać z Mirą, jeśli znajdzie jakieś okienko.

Peabody umilkła i wzięła się do pracy. Po jakimś czasie uniosła głowę i spojrzała przez okno na padający śnieg.

– Uważam, że to kobieta i mężczyzna.

– Bo sądzisz, że ja tak uważam?

– Dzięki temu dostrzegłam, że to możliwe, chociaż moją pierwszą reakcją było „nie”. Nie, bo to zbyt chore. Ale – powiem to, zanim mnie ubiegiesz – widziałyśmy gorsze rzeczy. Dużo gorsze. I to serce, klasyczny symbol miłości, który początkowo nastawił mnie na „nie”, potem sprawił, że uznałam, iż to całkiem prawdopodobne. Podpisali go – razem lub osobno – nie jak się podpisuje własne dzieło, tylko posługując się symbolem miłości, chociaż mają o niej bardzo pokrętnie wyobrażenie.

Eve odczekała chwilę.

– Dlaczego tak cię to wkurzyło?

– Bo wierzę w symbole miłości, do jasnej cholery. Koło mojego rodzinnego domu rośnie wielkie drzewo. Mój tata wrył na nim inicjały swoje i mojej mamy, zanim ja i moje rodzeństwo pojawiliśmy się na świecie. A kiedy już zaczęliśmy przychodzić na świat, zrobił wokół drzewa ławkę, zostawiając dużo miejsca, żeby mogło dalej rosnać. I rośnie. A oni siedzieli na ławce i przyglądali się nam, jak się bawimy, patrzyli na ogród. W dniu naszych szóstych urodzin tata pomagał nam zbijać nasze własne budki dla ptaków. Więc teraz na gałęziach wiszą budki dla ptaków i dzwoneczki wietrzne, zrobione przez moją mamę, i... To coś wyjątkowego, naprawdę wyjątkowego. A wszystko się zaczęło, kiedy tata wyciął w korze serce, a w jego środku inicjały. I...

– Tylko nie zacznij mi się tu mazać, Peabody – ostrzegła ją Eve, słysząc, że się na to zanoszą.

– Nie będę się mazać. Ale chodzi mi o to, że kiedy pojechaliśmy tam na święta, rodzice zabrali nas pod drzewo, a tata wręczył McNabowi nóż i powiedział, że McNab powinien wyciąć nasze inicjały. Bo wiedzą, że ja kocham jego, a on mnie, i wierzą, że to prawdziwe uczucie, na całe życie. To bardzo wiele dla mnie znaczyło, bo nasze drzewo jest wyjątkowe. Symbole są ważne i nie powinno się ich wykorzystywać w taki sposób. I tyle.

Eve w milczeniu wjechała do podziemnego garażu w komendzie i zaparkowała na swoim miejscu.

– Ludzie codziennie profanują i beczeszczą to, co dobre, czyste i wyjątkowe. Widzimy to, wiemy o tym, jakoś sobie z tym radzimy – powiedziała w końcu.

– Wiem, ale...

– Zamknij się. Pomyśl, że jeśli jakiś chory porąbaniec na swój chory sposób wykorzystuje to, co dobre, czyste i wyjątkowe, ten symbol staje się jeszcze ważniejszy. Nie da się pomniejszyć jego znaczenia, póki na to nie pozwolimy.

Peabody jednak trochę się rozczuliła, a teraz otarła twarz dłońmi.

– Masz rację. Masz całkowitą rację. Niepotrzebnie tak się tym przejęłam.

– To było bardzo miłe – dodała Eve, kiedy wysiadły z samochodu.

– To, co zrobili twoi rodzice.

Odwróciła głowę, słysząc szybki stukot obcasów, i zobaczyła, jak Mira idzie przez garaż w kierunku windy.

Eve pomyślała, że kolor płaszcza, sięgającego do bardzo zgrabnych kolan doktor Charlotte Miry, można nazwać akwamarynowym. Szpilki z całą pewnością były szmaragdowozielone, podobnie jak sukienka, widoczna spod płaszcza. Na obciętych na pazia brązowych włosach konsultantka miała elegancki, szafirowo-niebieski beret. W rękę trzymała torebkę w tym samym kolorze, co beret, a przez ramię przewiesiła pasek torby z miękkiej, brązowej skóry.

– O, dzień dobry. Właśnie przyszedł czy też... Peabody, wszystko w porządku?

Delia odruchowo znów wytarła twarz.

– Tak, tak. Miałam chwilę słabości, to wszystko. Właśnie dzwoniłam do pani sekretarki, żeby spytać, czy uda się pani spotkać dziś z Dallas.

– Czyli, że dopiero co przyjechałyście. – Mira niebieskimi oczami spojrzała na Eve. – Właściwie przyszedłam dwadzieścia minut przed czasem. Wyruszyłam z domu nieco wcześniej, bo nie wiedziałam, jak się będzie jechało, kiedy zaczął sypać śnieg. Jeśli chcesz, mogę teraz wstąpić do ciebie.

– Świetnie.

Gdy tylko miała okazję porozmawiać z najlepszą terapeutką i profilerką policyjną, zawsze skrupulatnie korzystała z tej możliwości.

– Jakaś nowa sprawa? Dopiero co wróciłaś z urlopu.

– Wróciliśmy wczoraj po południu. O czwartej nad ranem dostałam nowe śledztwo. Droid-policjant znalazł zwłoki.

Uznawszy, że nie warto tracić czasu, Eve zaczęła opowiadać Mirze o sprawie, jak tylko wsiadły do windy.

– W ostatni weekend razem z Dennisem i przyjaciółmi wybraliśmy się do Met na *Giselle*. Twój denat z pewnością grał. – Mira przesuwiała się, kiedy winda stawała niemal na każdym piętrze i wsiadali kolejni funkcjonariusze. – Przetrzymany i torturowany przez dwa dni. Jakiś podtekst seksualny?

– Chyba nie. Zabójca posłużył się prawdopodobnie ręczną opalarką, żeby wypalić małe ślady na genitaliach.

Wszyscy policjanci w zatłoczonej windzie przestąpili z nogi na nogę, Eve wyobraziła sobie, że aż się skulili, dając w ten sposób wyraz współczucia, a do tego włączył się instykt samozachowawczy.

– Nie okaleczono go?

– Nie tak, jak myślisz. Połamane kości, ślady oparzeń, rany cięte, siniaki, głównie na tułowiu, brzuchu, kończynach. Do tego złamane i zmiżdżone palce u rąk. Obcięli mu włosy, pozostawiając małe kępki tu i tam. A miał długie, gęste, lśniące włosy.

– Chcieli go upokorzyć. Ale twarz niemal nietknięta, brak ran na genitaliach. Nie wygląda mi to na porachunki osobiste.

– Gdyby ktoś mi przytknął opalarkę do jaj, potraktowałbym to jako bardzo osobistą sprawę – powiedział jeden z gliniarzy.

Mira uśmiechnęła się do niego.

– Oparzenia z czasem się goją. Gdyby to były porachunki osobiste, ucięto by mu jądra.

– Albo polano je kwasem – wtrąciła od niechcienia Eve. – Prowadziłam kiedyś sprawę dziewczyny, która się wkurzyła. I gdy facet był pod wpływem zonera, polala mu jaja kwasem.

Kiedy winda przystanęła na piętrze, gdzie mieścił się wydział zabójstw, Eve przepchnęła się między policjantami, próbując utworować drogę dla Miry i Peabody.

– Wszyscy w tej windzie, którzy mają jaja, obejrzą je sobie przy pierwszej nadarżającej się okazji – powiedziała, czym rozśmieszyła konsultantkę.

– Bardzo trafna analiza.

Kiedy skręciły do wydziału zabójstw, Eve zobaczyła, że detektyw

Baxter się podnosi, jakby na nią czekał. Ale znów usiadł.

– Witam panią, doktor Mira. Ładnie pani wygląda.

– Pan też, detektywie. Jak zwykle.

Mira spojrzała w kąt, gdzie postawili wyjątkowo żalosną choinkę. I gdzie Eve, Baxter i niemal wszyscy gliniarze, którzy w tej chwili tu przebywali, bardzo blisko otarli się o śmierć w ostatnim dniu roku dwa tysiące sześćdziesiątego.

– Będzie mi brakowało waszej bardzo eklektycznej i uniwersalnej dekoracji świątecznej – powiedziała. – Przygotujecie może coś na walentynki.

– Wykluczone – oświadczyła Eve kategorycznym tonem, na wypadek, gdyby ktoś wpadł na jakiś osobliwy pomysł. – Peabody, zacznij umawiać ludzi na przesłuchania. Doktor Mira, może przejdiesz do mojego gabinetu? Zaraz do ciebie przyjdę. – Ale najpierw zwróciła się do Baxtera.

– Coś pilnego?

– Nie, nic pilnego, szefowo. – Wzruszył ramionami. Miał na sobie elegancki, idealnie skrojony garnitur. – Chciałem tylko coś z panią omówić, kiedy będzie pani miała wolną chwilę.

– Po rozmowie z Mirą. – Spojrzała przez pokój i przypatrzyła się uważnie krawatowi Jenkinsona. Dziś włożył krawat w białe płatki śniegu na niebieskim tle tak jaskrawym, że kłuło w oczy.

– To się nigdy nie skończy, prawda?

Baxter się skrzywił i pokręcił głową.

– Weszło to teraz do tradycji wydziału zabójstw. Reineke mi powiedział, że Jenkinson znalazł ulicznego sprzedawcę, który udziela mu rabatu, kiedy kupuje od razu pięć krawatów.

– Niech Bóg ma nas wszystkich w swojej opiece – mruknęła Eve i poszła do swojego gabinetu, by porozmawiać z doktor Mirą.

Rozdział 4

Mira usiadła w niewygodnym fotelu dla gości, ale na samiutkim jego skraju.

– Pozwól, że zrobię, co muszę zrobić na komputerze, i wtedy będziesz mogła zająć moje miejsce. – Eve zmarszczyła czoło, patrząc na brzydką, niewygodną namiastkę fotela, która tu stała, odkąd przydzielono jej ten gabinet. – Chyba powinnam poprosić o nowy fotel dla gości.

– Czego do tej pory nie zrobiłaś, bo wolisz nie mieć tu gości.

– Coraz trudniej mi się od nich opędzać. Nie mam na myśli ciebie.

Doskonale ją rozumiejąc, Mira zdjęła beret, poprawiła ciemnobrązowe włosy.

– Przynajmniej nie dziś.

– Masz ochotę na herbatę? Gdzieś tu musi być.

– Szczerze mówiąc, o tej porze dnia z chęcią napiję się twojej wybornej kawy.

Eve podeszła do autokucharza, równie starego, co fotel, i zaprogramowała dwie kawy.

– Chcę rozmieścić na tablicy to, co wiem. Wtedy łatwiej mi będzie wszystko ci wytłumaczyć. – Postawiwszy sobie kawę pod ręką, usiadła za biurkiem i włączyła komputer. Podłączyła do niego rekorder, a potem kazała wyświetlić wybrane przez siebie zdjęcia z miejsca przestępstwa.

– Za godzinę napiszę raport i będę miała kopię ustaleń Morrisa – zaczęła. – Najbliższa krewna – matka ofiary – została powiadomiona i przesłuchana. Poza nią nie rozmawialiśmy jeszcze z nikim, nie licząc portiera w budynku, gdzie mieszkała ofiara. Razem z Peabody obejrzałam mieszkanie zamordowanego, a potem zwróciliśmy się do wydziału przestępstw elektronicznych z prośbą o sprawdzenie sprzętu, ale nie znalazłyśmy nic, co by świadczyło, że ktoś ofierze groził. Na tym zdjęciu – ciągnęła, przenosząc fotografię na tablicę – widzimy odnoszącego sukcesy, utalentowanego muzyka, który miał szerokie grono przyjaciół. Jednym z jego znajomych był Morris.

– Morris znał ofiarę?

– Zamordowany regularnie odwiedzał kluby jazzowe i bluesowe, gdzie grywał z innymi muzykami. Był wszechstronnie utalentowanym instrumentalistą i interesował się różnymi rodzajami muzyki.

– Podobnie jak Morris – powiedziała Mira, kiwając głową.

– Na marginesie, mocno go to tępnęło. Przywołało wspomnienia o Coltraine. Było to widać. Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do tego księdza, Lopeza. Zaprzyjaźnili się.

Mira znów skinęła głową.

– Dobra myśl. Odczekałabym dzień czy dwa, żeby zobaczyć, czy sam się z nim nie skontaktuje, czy też nie będzie czuł takiej potrzeby. Doskonale znasz się na ludziach, jesteś jego dobrą przyjaciółką. Zorientujesz się.

– Dobrze. – Da jej to trochę czasu, nim postanowi wsadzić nos w osobiste sprawy Morrisa. Odczeka dzień lub dwa.

– Morris scharakteryzował zamordowanego podobnie, jak jego matka – ciągnęła Eve, o wiele pewniej się czując, kiedy rozmawiała o śmierci. – Miły gość, utalentowany, sympatyczny, utrzymywał zażyłe stosunki z przedstawicielami obu płci, podobno z nikim nie wiążąc się na poważnie. Żadnych wrogów, nikogo szczególnego w jego życiu, bardzo towarzyski, bardzo oddany własnej karierze.

Eve wstała i wskazała swój fotel. Zresztą wołała stać.

– Nie ustaliliśmy jeszcze, kiedy go porwano ani czy dobrowolnie udał się z zabójcą. Ponieważ na samym początku został mocno uderzony w tył głowy, bardziej prawdopodobne, że go napadnięto i porwano, a potem przez dwa dni był przetrzymywany i torturowany.

Wprawdzie Mira wstała, ale nie usiadła w fotelu Eve, tylko stanęła obok niej i przyjrzała się tablicy.

– Oparzenia, rany szarpane, stłuczenia. Połamane i zmiażdżone kości.

– Obrażenia były coraz poważniejsze. Te drobne są starsze. Według Morrisa posłużono się trzema narzędziami: szpikulcem do lodu lub czymś w tym rodzaju, nożem o wyszczerbionym ostrzu i drugim, gładkim. Oparzenia pochodzą od papierosów i ręcznej opalarki. Ofiarę skrępowano taśmą klejącą lub czymś podobnym i zakneblowano.

- Takie kneble zwykle są sprzedawane w sex-shopach.
 - Brak śladów świadczących o tym, że go zgwałcono. I jak widać, obrażenia na genitaliach nie są tak poważne, jak na tułowiu i kończynach.
 - Podobnie jak te na twarzy. Ale włosy mu obcięto prawie do gołej skóry. No i rozebrano go do naga. Chcieli go upokorzyć. Pozbawienie włosów wskazuje na motyw osobisty. Ale nie było okaleczeń na twarzy i genitaliach, co świadczy o braku podłoża osobistego.
 - No i to. – Eve stuknęła w zdjęcie wykrojonego serca z inicjałami.
 - D jak Dorian, E jak zabójca. – Mira zmarszczyła czoło. – Bardzo osobiste, nawet romantyczne. Niezwykle precyzyjnie wycięte, prawda? Ale...
 - No właśnie. Ale.
 - Spodziewałabym się większej koncentracji na genitaliach i twarzy. Spodziewałabym się jakiejś aktywności seksualnej. Jeśli to sprawka porzuconego lub nieszczęśliwego kochanka albo wielbiciela, który sobie ubzdurał, że coś go łączy z ofiarą, spodziewałabym się jakiegoś odzwierciedlenia tego w zadanych ranach.
 - No właśnie. A widać jedynie eskalację działań, mających upokorzyć Kupera, sprawić mu ból, zastraszyć. Morris powiedział, że niektóre obrażenia opatrzono.
 - Ach. – Mira skinęła głową. – Żeby więzień zbyt szybko nie zmarł. Na koniec rozplątano mu brzuch?
 - Tak, to końcowy akt. Minęło trochę czasu, nim ofiara straciła przytomność, wykrwawiła się.
 - Musimy zdobyć więcej informacji o zamordowanym, żeby móc lepiej zrozumieć jego oraz środowisko, w jakim się obracał. Ale jeśli był przypadkową ofiarą, bardzo prawdopodobne, że nie mamy do czynienia z jednym zabójcą.
- Wydawało się to logiczne.
- Para o inicjałach „D” i „E”, która się kocha, która uprawia seks, której sprawia przyjemność torturowanie i mordowanie.
 - Potrzebuję więcej danych – powiedziała Mira – ale jeśli ofiara została celowo wybrana, należy szukać kogoś, kto chciał ją poniżyć i sterroryzować, mając nad nią całkowitą kontrolę. Jeśli Dorian Kuper

stał się przypadkowym celem, a ku temu się skłaniam na podstawie przedstawionych faktów, należy szukać sadysty, o czym świadczy choćby obcięcie włosów, jak i zadawanie bólu związanemu, bezbronnemu człowiekowi.

– Serce nie pasuje do tego obrazu. Ten swego rodzaju podpis wszystko zmienia – upierała się Eve.

– Być może. Jeśli mamy do czynienia z kobietą i mężczyzną, wielce prawdopodobne, że to sadyści, dla których poniżanie ofiary, kontrolowanie jej i zadawanie bólu stanowi rodzaj seksualnej podniety, lecz nie wykorzystują jej seksualnie, tylko nawzajem zaspokajają swoje potrzeby w tej dziedzinie. Brak śladów pikeryzmu, czyli dżgania dla przyjemności – dodała. – Nie nakłuto piersi, pośladków, nie okaleczono genitaliów, nie zgwałcono ofiary. Zadawanie różnych ran, posługiwanie się różnymi narzędziami...

Urwała i tak jak Eve miała to w zwyczaju, okrążyła tablicę, zaczęła chodzić po gabinecie.

– Zwykle mamy do czynienia z dwiema osobami, dominującą i uległą. Jedna zadaje ból, druga się temu przygląda. Albo osoba dominująca każe uległej zadawać ból. Ale w tej początkowej fazie śledztwa nie można wykluczyć, że to prawdziwy duet, którego obaj członkowie są absolutnie równi, jeśli chodzi o władzę i autorytet.

– To musiało być zaplanowane. Nie działają pod wpływem impulsu. Musieli mieć jakieś pomieszczenie, gdzie przez dwa dni mogli torturować ofiarę. Do tego także środek transportu, narzędzia.

– Psychopata lub psychopaci-drapieżnicy, którzy planują, a nawet przeprowadzają próby. Sadyści, których podnieca sprawianie bólu innym. Może zabójstwo z lubieżności. Mordowanie sprawia im wielką przyjemność. Serce symbolizuje miłość, jedność. Wierzą, że są zakochani, a ofiara to prezent, którym się nawzajem obdarowują.

– Nie wiem, czy Kuper był ich pierwszą ofiarą – sprawdzamy podobne zabójstwa – ale z pewnością nie będzie ostatnią. Drapieżcy muszą polować. Sadyści muszą znaleźć sobie ofiary. A kochankowie, jeśli mamy z nimi do czynienia, muszą zyskać nową podniętę.

– Zgadzam się. Możliwe, że serce jest podpisem, symbolem, a przestępca idealizuje swoje zabójstwo i ofiarę. Może to jedna osoba,

cierpiąca na brak podniety seksualnej. Romantyk. Przykro mi, że nie mogę powiedzieć nic bardziej konkretnego.

– Nie szkodzi, wiem, jakimi podążać tropami. Zdobędziemy więcej danych, kiedy przesłuchamy przyjaciół, kolegów z pracy. Będziemy wiedzieli więcej po otrzymaniu odpowiedzi z IRCCA. Wyślę ci raport, jak zdobędę więcej informacji. Dziękuję za poświęcony mi czas.

– W pełni zapłaciłaś kawę. – Mira wręczyła Eve pusty kubeczek, a potem się uśmiechnęła. – Wyglądasz na wypoczętą. Nieczęsto mogę ci to powiedzieć.

– Przez kilka dni nic nie robiłam, tylko się wylegiwałam.

– Zasłużyłaś sobie na to. Nikt z nas nie zapomni szybko, jak spędziłyśmy ostatni dzień roku. Informuj mnie na bieżąco – zakończyła i jeszcze raz spojrzała na tablicę. – Bardzo bym chciała sporządzić profil sprawcy – dodała, nim wyszła.

Kiedy Eve została sama, zasiadła do napisania raportu wstępnego, założyła książkę śledztwa, wprowadziła poprawki na tablicy.

Uwzględniła raport Morrisa, kiedy do niej dotarł. Podniosła wzrok, słysząc stukot obszytych futerkiem kozaków Peabody.

– Umówiłam pierwsze osoby na przesłuchania – zakomunikowała Delia. – Przewidziałam pół godziny na jedną osobę. Udało mi się ściągnąć Chamberlina. Nakłonił matkę ofiary do wzięcia środka uspokajającego, włączył droida Maeve, by jej towarzyszył. Bardzo chce z tobą porozmawiać, więc umówiłam go pierwszego.

– Świetnie. Zawsze dobrze porozmawiać z szefem. Gdyby mi tylko przysłali... W końcu – powiedziała, kiedy komputer poinformował o nadejściu wiadomości. – Wyniki z IRCCA. Komputer, wyświetlić informacje na ekranie.

Peabody przechyliła głowę, kiedy na ekranie zaczęły się pojawiać dane.

– Kurczę blade, Dallas, masa podobnych przestępstw.

– Komputer, usuń zamknięte sprawy. Oraz te, w których stwierdzono napaść na tle seksualnym, okaleczenia albo gwałt.

Eve odchyliła się na oparcie fotela i uniosła brwi.

– Liczba spadła. Komputer, zaznacz wszystkie przypadki, kiedy ofierze wycięto lub wypalono serce na ciele.

Ściągnęła brwi, kiedy komputer wskazał dwadzieścia spraw.
– Przypadki, gdy na ciele ofiary wycięto lub wypalono litery „D” i „E”.

– Powtórzę, Dallas: kurczę blade.

– Dwadzieścia – powiedziała Eve. – Dwadzieścia, od Tennessee do New Jersey. Kobiety, mężczyźni wszystkich ras, w różnym wieku. Trudno stwierdzić, czy coś łączy ofiary. Pierwsza z września zeszłego roku, czyli średnio jedna tygodniowo, ale...

– Zdarzają się dłuższe przerwy – zauważyła Peabody. – Czasami dwa tygodnie, czasami dziesięć dni. Ale w Ohio i Pensylwanii dwie ofiary tygodniowo, potem znów odstępy się wydłużyły.

– Bo ofiar jest więcej niż dwadzieścia.

– Więcej?

– Taki zabójca, kiedy się rozsmakuje, potrzebuje więcej i więcej ofiar. Jak ćpun coraz częściej musi brać działkę. Pozbyli się niektórych zwłok – myślała na głos Eve. – Ukryli je, zakopali? Może spróbowali czegoś innego, więc komputer tych morderstw nie uwzględnił, ale bardziej prawdopodobne, że staranniej ukryli zwłoki. Zabili kilka osób, których nikt nie szukał. Włóczęę, kogoś, kto pracował w kilku miejscach, bezdomnego, śpiącego na ulicy.

– Czyli „D” wcale nie jest inicjałem ofiary.

– Nie. „E” i „D”, jak dwójka do szaleństwa zakochanych smarkaczy. Komputer, pokaż ofiary w porządku chronologicznym z uwzględnieniem miejsca ich śmierci.

Przetwarzam...

– Pierwsza ofiara – zaczęła Eve, kiedy komputer pracował. – We wrześniu, w Nashville. Kobieta po dwudziestce, uznawana za zaginioną przez pięćdziesiąt sześć godzin. Jej zwłoki znalazł w niezamieszkanym domu agent obrotu nieruchomości z potencjalnym nabywcą.

– Założę się, że cena wywoławcza nieruchomości znacznie spadła.

– Cha, cha. Ofiara nie żyła od około dwudziestu ośmiu godzin. Nie poświęcili jej tak dużo czasu. Na miejscu przestępstwa nie znaleziono odcisków palców ani DNA.

– Nie była ich pierwszą ofiarą.

Zadanie ukończone – poinformował komputer.

– Wyświetlić na ekranie.

Eve przyglądała się trasie znaczonej kolejnymi trupami.

– Nieco krążyli – zauważyła Peabody – ale właściwie zmierzali na północny wschód.

– Parę krótkich zjazdów z trasy. – Może coś ich zainteresowało, pomyślała Eve, może odwiedzali przyjaciół. – Może musieli zboczyć z trasy, żeby się zabawić. Czy Nowy Jork to cel ich podróży, czy jedynie kolejny etap?

Za mało danych, by móc odpowiedzieć na pytanie.

– Nie pytałam ciebie. Komputer, przekopuj wszystkie informacje na mój domowy komputer, na komputer służbowy i domowy detektyw Peabody. Peabody, zacznij wydzwaniać do osób, kierujących tamtymi śledztwami. Dowiedz się, czy FBI też wściubiło swój nos. Jeśli tak, ustal, który z ich agentów się tym zajmuje.

– Tak jest. Chamberlin powinien się pojawić lada chwila.

– Porozmawiam z nim. Zarezerwowałaś salę przesłuchań?

– Masz do swojej dyspozycji salę A na sześć godzin.

Eve skinęła głową.

– Dorian Kuper nie znał swojego zabójcy. Był po prostu następny w kolejce. Ale może czegoś się dowiemy. Przystąpię do przesłuchań. A ty zbierz informacje. Daj mi znać, kiedy uzyskasz wszystko, co się da. Każ zaprowadzić Chamberlina do sali przesłuchań A, jeśli się pojawi, nim będę wolna. Potrzebuję pięciu minut. Kurde. Dziesięciu.

Wysłała raport do Miry – postara się jak najszybciej poinformować komendanta, ale przede wszystkim chciała przekazać nowe szczegóły konsultantce. Nim skończyła, usłyszała odgłos zbliżających się kroków.

Nie Peabody, pomyślała. Lżejsze kroki, lepsze buty.

Baxter.

Kiedy uniosła wzrok, lekko zirytowana, Baxter stanął w progu jej gabinetu.

– Masz kilka minut?

– Właściwie nie. – Dokończyła raport, wysłała go.

– Tak, widzę. – Spojrzał na tablicę, na ekran. – A niech mnie. Ten sam sprawca?

– Nie miałam okazji sprawdzić prawdopodobieństw, według mnie jest wysokie. Baxter, lada moment zaczynam przesłuchanie, więc się streszczaj.

– To może poczekać.

Jeśli nie będzie miała czasu dla swoich ludzi, może i nadal będzie dobrym oficerem śledczym, ale na pewno kiepską szefową.

– Gadaj. Mam chwilę.

– Chodzi o to, że... Za dwa dni Trueheart podchodzi do egzaminu na detektywa.

– Wiem. Zapisałam sobie. Czy jest jakiś problem?

– Nie. Może. Nie.

Eve usiadła. Baxter stał z rękami w kieszeniach, pogrążony w myślenie, co w nich miał. To było do niego niepodobne. Czekala.

– Wiesz, że na niego naciskałem. Naprawdę piliłem go, żeby się zapisał na ten egzamin... I tobie też wierciłem dziurę w brzuchu, żebyś wyraziła zgodę.

– Nie wyraziłam zgody dlatego, że wierciłeś mi dziurę w brzuchu.

– Czyli jest gotów?

– Masz jakiś powód, by sądzić, że jest inaczej?

– Nie. Znaczący się, trochę się denerwuje. I bardzo słusznie. Ale się uczył. Przepytywałem go.

Pogrążenie na chwilę ustało, a potem znów się zaczęło. Eve czekała.

– Ma sporo intuicji, szefowo, i wysoko ceni etykę pracy. Jest cholernie dobrym gliną. Nadal nieco zielonym, ale nigdy tak do końca nie przestanie być żółtodziobem. Właśnie między innymi dlatego jest takim świetnym gliną. Chodzi o to, że... Naprawdę naciskałem na niego, żeby spróbował zostać detektywem.

– Uważasz, że gdyby sam nie czuł, że jest gotów, i tak by spróbował, żeby ci sprawić przyjemność?

Baxter otworzył usta, a potem wypuścił powietrze z płuc.

– Nie. Nie tak łatwo do czegoś go zmusić. Już nie. Chodzi o mnie. Jezu, szefowo, chodzi o mnie. Nie przespałem spokojnie jednej nocy, odkąd... Odkąd wszyscy o mało nie wylecieliśmy w powietrze. Przypuszczałem, że przyczyną mojej bezsenności jest właśnie ten

wypadek, ale to nieprawda. Do diabła, człowiek się przyzwyczaja, że coś takiego może go spotkać na służbie. Boję się, bo nie chcę zawieść młodego.

– W takim razie odpręż się. Nie zawiodłeś go. Kiedy ci go przydzielili, zastanawiałam się, jak to będzie. Trzeba było sprawić, żeby przestał być taki naiwny, i udało ci się, a zarazem nie zniszczyłeś w nim tego, co czyni z niego takiego człowieka, jakim jest. Wyszkoliłeś go, Baxter, i pomogłeś mu zostać cholernie dobrym gliną. Jeśli tym razem nie uda mu się zostać detektywem, będzie to jedynie oznaczało, że jeszcze nie jest gotów. Jeśli mu się uda, co bardziej prawdopodobne, domyślam się, że poprosisz mnie, żebym ci go przydzieliła jako partnera. I zrobię to, ale zaznaczam, że jeśli kiedyś będziesz chciał wyszkolić kolejnego nowicjusza, wyrażę zgodę. Jesteś w tym lepszy, niż sądziłam.

– No dobrze. No dobrze. Dzięki. Mniej się denerwowałem, kiedy sam zdawałem egzamin na detektywa.

– Bo byłeś pewien, że zdasz. Zajmujecie się teraz jakąś pilną sprawą?

– Nie. Ostatnią, którą nam przydzielono, zakończyliśmy dziś rano. Pomyślałem sobie, że przeanalizujemy kilka niezamkniętych śledztw, żeby umysł Truehearta pracował na najwyższych obrotach.

– Może będę miała coś innego, co mu w tym pomoże. Na razie weźcie się do analiz innych bieżących śledztw. Jeśli sprawy przybiorą taki obrót, jak się tego spodziewam, będę miała aż nadto roboty, by jego umysł pracował na najwyższych obrotach. A na razie odmaszerować.

– Tak jest.

– Baxter? Jeśli ktoś nie jest cholernie dobrym gliną, przestaje pracować w moim wydziale.

Skinął głową, nieco uspokojony.

– Dzięki, szefowo.

Kiedy wyszedł, posiedziała jeszcze chwilę; patrzyła na tablicę, myśląc o Dorianie Kuperze.

Potem wstała od biurka i wyszła z gabinetu. Kiedy opuszczała salę ogólną wydziału, akurat weszła Peabody.

– W samą porę. Właśnie zaprowadziłam Chamberlina do sali przesłuchań A. Nie jest w najlepszym stanie, Dallas.

– Może dzięki temu uda mi się z niego coś więcej wydusić. Mira już ma informacje. Powinnaś napisać raport dla Whitneya. I nie pytaj „Ja?” tym swoim głupim tonem – uprzedziła ją Eve. – Wiesz, jak sporządzić raport, a oszczędzisz mi trochę czasu. Skontaktuj się ze wszystkimi śledczymi z wydziału, których uda ci się dopaść. Porozmawiamy o tym, jak skończę przesłuchania. Jeśli będziesz potrzebowała kogoś do pomocy, zwróć się do Baxtera i Truehearta. Nie prowadzą żadnego śledztwa, tylko analizują kilka niezakończonych spraw.

– Elyssa Tesh, skrzypaczka, powinna tu dotrzeć za pół godziny.

– Zajmę się nią, jak skończę rozmawiać z Chamberlinem.

Do roboty.

Dyrygent siedział w sali przesłuchań A, ręce położył na porysowanym stole. Przeniósł zmęczony wzrok ze swoich dłoni na twarz Eve.

– Muszę jak najszybciej wrócić do Miny.

– Nie zatrzymam pana długo. Nagram naszą rozmowę. Włączyć nagrywanie – poleciła. – Porucznik Eve Dallas przystępuje do przesłuchania Ethana Chamberlina. Poinformuję pana o przysługujących panu prawach. Tego wymaga procedura.

– Nie pierwszy raz jestem przesłuchiwany.

Eve odczytała mu prawa i obowiązki.

– Rozumiem i nie chcę obecności żadnego pieprzonego adwokata.

Czy jestem podejrzany?

– W tej chwili zbieramy informacje. Sądzę, że może nam pan w tym pomóc. Pracował pan z Dorianem, i jak sądzą, jest pan związany z jego matką.

– Mina i ja od wielu lat pozostajemy w monogamicznym związku.

– Nie mieszkacie państwo razem.

– Obojgu nam odpowiada taki układ. Dorian... Dorian był dla niej całym światem. Wiem, że zabrzmiał to jak frazes, ale naprawdę traktowałem go jak syna. Jeśli dochodziło między nami do sporów, to zawsze dotyczyły wyłącznie muzyki. Jest... Był niezwykle utalentowany. Kiedy się ma taki talent, ma się też swoje zdanie. – Niemal się uśmiechnął. – Od czasu do czasu okazywało się, że jego

zdanie jest lepsze od mojego. Nieczęsto, ale się zdarzało.

– Łatwo wpada pan w złość, panie Chamberlin.

– Zgadza się. Zapłaciłem zasądzone mi grzywny, ukończyłem program radzenia sobie z gniewem. Gwiżdżę na to. – Teatralnym gestem machnął ręką. – Dzięki swojej pasji i temperamentowi jestem wielkim dyrygentem. Dzięki mojej pasji i temperamentowi każdy muzyk, z którym pracuję, wspaniale gra. Bo tego wymagam.

– A jeśli okaże się niewystarczająco dobry, niszczy mu pan pikolo.

– Jestem z tego znany. – Skwitował to wzruszeniem ramion. – Jeśli ktoś nie gra wspaniale, nie zasługuje, żeby być członkiem mojej orkiestry.

Ponieważ Eve właściwie to samo powiedziała Baxterowi o swoich policjantach, nie mogła się przyczepić do słów Chamberlina.

– Czy kiedykolwiek roztrzaskał pan wiolonczelę Doriana?

– Dorian zawsze grał wspaniale. Świat stał się gorszy, kiedy go zabrakło. Pani porucznik...

Znów splótł dłonie tak mocno, że aż pobiełały mu kostki.

– Proszę nie pozwolić, żeby Mina go zobaczyła, póki...

Powiedziała mi, że go torturowano. Jeśli zostały jakieś ślady... – Urwał i na chwilę odwrócił wzrok. – Proszę nie pozwolić, żeby go zobaczyła w takim stanie... Nie chcę, żeby jej ostatnim wspomnieniem o Dorianie było to, co mu zrobiono. Znam doskonałych specjalistów od makijażu.

– Może pan zaufać doktorowi Morrisowi, lekarzowi sądowemu, jeśli o to chodzi.

– Nie znam tego Morrisa.

– Ale ja go znam. Może mu pan zaufać.

Zmrużył oczy i utkwiał w niej wzrok.

– Jeśli Dorian nie będzie... Jeśli nie będzie wyglądał tak, jak powinien, pociągnę do odpowiedzialności tego Morrisa i panią.

– Zrozumiałam i przyjmuję do wiadomości.

– Naprawdę myśli pani, że mogłem zrobić to, co mu zrobiono?

Torturować go?

– Nie – odparła swobodnym tonem Eve, przyglądając się, jak zaskoczony Chamberlin mruga oczami. – Ale dochodzenie dopiero się zaczęło. Niech pan mi powie, kto mógł mu to zrobić.

– Nie wiem – odparł i położył na stole ręce, zaciśnięte w pięści. – Znam bardzo wielu jego przyjaciół i znajomych. Znam wszystkich członków orkiestry. Ale nie wiem, kto mógłby zrobić coś takiego.

– Sam pan powiedział, że zawsze wspaniale grał, a pan, dyrygent, traktował go jak syna. Mogło to budzić zazdrość, niezadowolenie, wściekłość.

Chamberlin pokręcił głową.

– Pomógłby każdemu, kto miałby jakieś trudności. Przychodziłby wcześniej albo zostawałby dłużej. Żył dla muzyki i dla ludzi. Czy w orkiestrze jest miejsce na rywalizację, konflikt, dramaty? Gdyby nie było na to miejsca, brakowałyby pasji, a bez pasji nie ma mowy o doskonałości. Ale znam swój zespół, żaden z jego członków nie zrobiłby czegoś takiego. – Nachylił się ku niej. – Co mu zrobili? Powie mi pani? Czego od niego chcieli? Gdyby zażądali pieniędzy, dałby im! Czego ten szaleniec chciał od Doriana?

Jego cierpienia, pomyślała Eve. Jego krwi. Jego śmierci. Ale powiedziała jedynie:

– Dopiero rozpoczęliśmy śledztwo. Zapewniam pana, że poświęcę Dorianowi całą uwagę i że sprawdzimy wszystkie tropy.

– To pustosłowie.

– To prawda i tylko tyle mogę panu powiedzieć. Kiedy ostatni raz widział pan Doriana?

– Dwa wieczory temu... Dziś będzie trzy. Na przedstawieniu. Potem razem z Miną zjedliśmy późną kolację z grupką przyjaciół. Kiedy nazajutrz zorientowaliśmy się, że Dorian nie wrócił do domu, nie zaniepokoiło nas to. Ale zaniepokoił się, gdy nie pojawił się na przedstawieniu następnego wieczoru. Nigdy wcześniej coś takiego mu się nie zdarzyło. Wyjaśniłem to, kiedy zgłosiliśmy policji jego zaginięcie.

– Proszę mi wszystko powtórzyć.

– Pytaliśmy, czy ktoś go widział. Theo Barron, oboista, powiedział, że jeszcze z dwójką przyjaciół wybierali się do klubu w śródmieściu, mieli spotkać się tam z Dorianem. Do klubu „Po północy”. Często tam chadzał, żeby grać, żeby się odprężyć. Ale się nie pojawił. Theo pomyślał, że prawdopodobnie spiknął się z kimś. Kilka drinków, potem

seks. Dorian prowadził bujne życie erotyczne. Theo próbował się do niego dodzwonić, zostawił mu parę wiadomości, ale właściwie nie bardzo się przejął. Lecz Dorian nie oddzwonił i nie wrócił do domu.

– Dlaczego nie poszli tam razem? Ten Theo i Dorian?

– Theo flirtuje z jedną ze śpiewaczek altowych z zespołu operowego. Chciał zaczekać na nią, aż się przebierze, bo udało mu się ją namówić, żeby z nim poszła. Theo powiedział, że Dorian wyszedł przed nimi.

– Jak zwykle jeździł do śródmieścia?

– Taksówką. Złapałby taksówkę.

– No dobrze. – Zanotowała sobie. – Co pan wie o Earnest Tinie?

– Ach. – Chamberlin roześmiał się krótko. – Nadęta mała idiotka.

Przeprowadziła rozmowę ze mną i jeszcze z kilkoma osobami z orkiestry i z zespołu opery, bo podobno pisze jakiś referat. Zasadnicza to łagodne określenie. Jak powiedziałem, jest nadęta, apodyktyczna i bezkompromisowa. Dorian był dla niej miły, prawdopodobnie rozważał, czy się z nią nie przespać, ale wywołała scenę w jego ulubionym klubie. Nie znam szczegółów, bo nie było mnie przy tym, lecz go zirytowała. Po czymś takim straciła u niego wszelkie szanse.

– Zna pan jej imię i nazwisko?

– Tina R. Denton. Zapamiętałem, bo przedstawiła się pełnym imieniem i nazwiskiem, łącznie z inicjałem drugiego imienia. – Rozsiadł się na krześle i na chwilę przycisnął palce do powiek. – Pani porucznik, Tina jest jak komar. Brzęczała za uchem, aż miało się ochotę ją porządnie pacnąć, lecz nie byłaby zdolna do zrobienia czegokolwiek więcej poza wywołaniem lekkiego swędzenia.

– Sprawdzamy każdy trop – przypomniła mu Eve. – Niech pan teraz wraca do matki Doriana. Kiedy doktor Morris będzie gotów, powiadomimy państwa. Jeśli coś się panu przypomni, jakiś szczegół, proszę o kontakt ze mną.

Kiedy go wyprowadziła, zobaczyła kobietę – po trzydziestce, z długimi blond włosami, związanymi w koński ogon. Miała śliczną twarz, teraz mokrą od łez, a ciemnoniebieskie oczy były podpuchnięte i zaczerwienione.

– Mistrzu – powiedziała łamiącym się głosem.

Chamberlin odwrócił się do niej i kiedy się zawahała, wyciągnął do niej rękę.

– Mistrzu – powtórzyła i rzuciła mu się w ramiona, wtuliła twarz w jego tors. – Czy to jakiś koszmarny sen? Może mi pan powiedzieć, że to jakiś koszmarny sen?

– Nie. Odszedł od nas, Ellyso.

– Jak? – Cofnęła się, na jej twarzy walczyły ze sobą rozpacz i wściekłość. – Nikt nam nie chce powiedzieć, jak to się stało, nikt nam nie chce powiedzieć, dlaczego.

– Ja powiem. Ellysa Tesh?

– Tak. Kim pani jest?

– Porucznik Dallas. Porozmawiajmy w sali.

– Chcesz, żebym z tobą został? – spytał Chamberlin.

– Będzie lepiej, jak porozmawiam z panią Tesh bez świadków.

Proszę tutaj – powtórzyła Eve i otworzyła drzwi do sali przesłuchań A.

– Dam sobie radę. Jak Mina?

– Jadę teraz do niej.

– Czy też mam przyjechać? Kiedy będę mogła się z nią zobaczyć?

Czy powinniśmy wszyscy do niej pojechać?

– Jeszcze nie teraz. Zorientuję się. Może jutro. – Pocałował ją w czoło. – Może jutro.

Eve zaprowadziła Ellyse do sali i ponownie włączyła rekorder. Kiedy odczytała jej prawa i obowiązki, kobieta podniosła rękę do góry, jakby chciała to wszystko odsunąć na bok.

– Mam w nosie swoje prawa i to, że pani wszystko nagrywa. Co spotkało Dorianą?

– Wezwaliśmy tu panią, żeby odpowiedziała pani na kilka pytań. Zacznijmy od tego, kiedy ostatni raz widziała pani Dorianą albo z nim rozmawiała?

– Na przedstawieniu tego wieczoru, kiedy zniknęła. Co stało się...

– Co pani robiła po przedstawieniu?

– Och, na litość boską! Pojechałam taksówką z Theo, Hanną i Samuelem do klubu „Po północy” w centrum miasta. Dorian udał się tam przed nami, lecz kiedy dotarliśmy na miejsce, nie zastaliśmy go tam. Zamierzałam z nim pojechać, ale... Coś mnie zatrzymało.

– Co?

– Matka. Mieszka w Austin, zadzwoniła do mnie tuż po przedstawieniu. Moja siostra się zaręczyła. Matka była taka przejęta, tak długo ze mną rozmawiała, że nie zdążyłam dogonić Doriana, żeby mu powiedzieć, że z nim pojedę. Gdybym zdążyła... Gdybym zdążyła...

Do oczu znów napłynęły jej łzy.

– Wyruszyliśmy prawie godzinę po nim. Hanna musiała się przebrać i zmyć sceniczny makijaż. Co najmniej trzydzieści, czterdzieści minut po nim. Ale nie zastaliśmy go w klubie, a Stewie powiedział, że w ogóle się nie pojawił.

– Co za Stewie?

– Barman. Jesteśmy stałymi gośćmi klubu... Dorian zagląda najczęściej, ale wszyscy tam chodzimy posłuchać muzyki, albo pograć, odprężyć się. Nie było go – wymamrotała. – Pomyślałam... Wszyscy sobie pomyśleliśmy, że spotkał kogoś i zmienił plany. Theo próbował się do niego dodzwonić, ale włączyła się poczta głosowa. Nie pojawił się następnego wieczoru. Nigdy nie opuścił żadnego przedstawienia. Wtedy wszyscy zaczęli się niepokoić. Nie mogliśmy go znaleźć, lecz na policji powiedziano nam, że musimy poczekać, nim Mina będzie mogła złożyć zawiadomienie o jego zaginięciu. Gdybyście wcześniej zaczęli go szukać...

– Niczego by to nie zmieniło – dokończyła za nią Eve. – Czy wiedział, że pani się w nim kocha?

Ellysa zacisnęła usta i pokręciła głową, w oczach miała łzy.

– Nie. Pilnowałam się, żeby się z tym nie zdradzić. Byłby miły, a to by mnie dobiło. Od czasu do czasu sypialiśmy ze sobą, ale wiedziałam, że traktował mnie tylko jak przyjaciółkę. Czuł do mnie sympatię. Lubiłam sobie wyobrażać, że pewnego dnia, kiedy będzie gotów, zorientuje się. Zobaczy, że kocham go od pierwszego razu, kiedy... Od trzech lat, dwóch miesięcy i pięciu dni. Wówczas dołączyłam do zespołu. Wtedy pierwszy raz go zobaczyłam, pierwszy raz usłyszałam jego grę. I od tamtej pory go kocham... Proszę. Błagam, żeby mi pani powiedziała, co się stało. Przecież pani wie. Proszę mi powiedzieć, co spotkało Doriana.

– Czy zna pani kogoś, kto chciałby zrobić mu krzywdę?

– Nikogo. Nikogo – powtórzyła zdecydowanie. – Niektórzy ludzie potrafią lekko iść przez życie, a jednak zostawiają głęboki ślad. Dorian był jednym z nich. Wiem, kim pani jest. Czytałam książkę, widziałam film. Oglądam telewizję. Wiem, że prowadzi pani śledztwa w sprawie zabójstw. Czy ktoś go napadł na ulicy?

– Nie. – Wkrótce i tak wszystko wyjdzie na jaw, pomyślała Eve. – Z dotychczasowych ustaleń wynika, że został porwany i przez dwa dni przetrzymywany, jeszcze nie wiemy gdzie. Torturowano go, a potem zabito.

– Tor... Jak to? – Jej twarz zastygła; zbladła tak, że przez chwilę wyglądała, jak wyrzeźbiona z lodu. – Jak mam to rozumieć?

– Ten, kto go przetrzymywał wbrew jego woli, zadawał mu ból. Czy zna pani kogoś, kto by aż tak nienawidził Doriana? A może denat wiedział o czymś, na czym komuś aż tak bardzo zależało, by zadać mu ból, żeby to od niego wyciągnąć? Czy był komuś winien pieniądze, miał jakieś tajemnice?

– Nie – wykrztusiła, a po chwili energicznie pokręciła głową. – Nie, nie, nie. Przypuszczam, że miał swoje tajemnice jak każdy z nas. Nikomu nie był winien żadnych pieniędzy, przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Nie uprawiał hazardu, nie brał narkotyków. Nie robił niczego takiego, co może wpędzić człowieka w długi. Dwa dni? Mój Boże, dwa dni? I przez cały ten czas znęcano się nad nim?

Wstała od stołu, skrzyżowała ramiona i zaczęła krążyć po pokoju.

– Dwa dni. Boże. Boże. Nie, nie, nie. Nikt z jego znajomych nie mógłby zrobić czegoś takiego.

Gwałtownie odwróciła się w stronę Eve.

– Jest pani mężatką. Z książki, z filmu, z tego, co widziałam w telewizji, jasno wynika, że kocha pani swojego męża.

– Moje życie osobiste nie ma tu nic do rzeczy.

– Nieprawda! Wie pani, jak to jest kochać kogoś i znać go, bo żeby go pokochać naprawdę, trzeba znać tę osobę. Ja znam Doriana. Nikt spośród naszych znajomych nie mógł tego zrobić. To ktoś obcy. Jakiś chory, pokręcony, sadystyczny drań. „Może mi pan pomóc”... „Może mi pan dać kilka dolarów”... „Może mi pan pokazać, jak się stąd dostać do Siódmej Alei”... – to by wystarczyło. Pomógłby, Dorian by pomógł.

Zatrzymał taksówkę...

Przycisnęła dłonie do twarzy.

– Która to mogła być godzina? Kilka minut po wpół do dwunastej.

Wyszedł przed budynek opery, zatrzymał taksówkę. Ustali to pani. Musi pani ustalić, czy wsiadł do taksówki czy też ten, kto mu to zrobił, porwał go sprzed Lincoln Center. A może Dorian dotarł do centrum miasta i tam go pochwycono. Musi pani...

– Obiecuję pani, pani Tesh, że zrobię, co do mnie należy.

– Nie znała go pani.

– To nie ma znaczenia. Teraz należy do mnie i dam z siebie wszystko.

– Czy jest pani taka dobra, jak napisali o pani w książce, jak pokazali na filmie?

– Dam z siebie wszystko – powtórzyła Eve.

Rozdział 5

Eve wróciła do swojego wydziału i podeszła do biurka Peabody.

– Daj mi to, co masz. Zamienimy się.

– FBI włączyło się do sprawy. Zajmuje się nią agent Carl Zweck.

Badają trop od Branson w stanie Missouri, ale już się porozumieli z detektyw kierującą śledztwem w Pleasant Acres w New Jersey w sprawie zabójstwa z zeszłego tygodnia. Właśnie skończyłam z nią rozmawiać – zameldowała Delia. – Detektyw Francine Lupine. To małe miasteczko, Dallas, tam nie mają doświadczenia ani środków, by zajmować się seryjnymi mordercami. Szuka wszelkiej pomocy, jaką tylko może uzyskać. Właśnie w tej chwili przesyłam wiadomości na twój komputer. Dotarłam do dwóch kierujących śledztwami w Pensylwanii. Posuwam się od końca. Według FBI to para sprawców, związanych uczuciowo. My też się ku temu skłaniamy.

– Mają ich rysopisy?

– Nie mają nic. – Peabody uniosła rękę. – Mozolnie przekopuję się przez tomy akt, pełnych okrągłych zdań, z których jednak niewiele wynika. Wygląda na to, że sprawcy od czasu do czasu zmieniają samochody. Udało się dotrzeć do kilku, wcześniej należących do ich ofiar, ale nie znaleziono żadnych śladów. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy przeprowadzono dziesiątki przesłuchań i, jak można się spodziewać, niektóre uzyskane informacje się wykluczają. Kobieta i mężczyzna, dwóch mężczyzn, wszystkie możliwe rasy, duża rozbieżność wieku. Po wyliczeniu prawdopodobieństw raczej należy się skłaniać ku temu, że to kobieta i mężczyzna w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu lat.

Eve przyznała jej rację, że to niewiele.

– Z dotychczasowych ustaleń wynika, że po przedstawieniu Kuper wyszedł z zamiarem udania się do klubu „Po północy” w centrum miasta. Tam miało do niego dołączyć kilkoro przyjaciół. Earnest Tina to niejaka Tina R. Denton. Nie ma związku z tym zabójstwem, ale sprawdzimy ją.

Według Eve sprawdzanie wszelkich tropów nie było stratą czasu, nawet kiedy tak się wydawało na pierwszy rzut oka.

– Z tego, co ustaliliśmy do tej pory, Kuper najprawdopodobniej złapał taksówkę, pojechał do centrum i tam został napadnięty. Jego śmierć to zwyczajny przypadek, po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Zobaczymy, co dadzą rozmowy z pozostałymi osobami, czy tamci potwierdzą czas i wydarzenia tego wieczoru, kiedy zaginął Kuper. Wygląda na to, że wcześniej mu nie grożono ani go nie śledzono.

– Z całą pewnością masz słuszność. Z tego, co wiemy, tych dwoje pojawia się gdzieś, wybiera sobie ofiarę, zabawia się z nią i jedzie dalej. Zwykle działają w miejscach odludnych, a w przypadku dużych miast zatrzymują się w opuszczonych budynkach. Dwa, trzy dni i po wszystkim. Tutaj też mogli już zakończyć swoją działalność przestępczą, Dallas, i wyjechać z miasta. Taki mają sposób postępowania.

– Sprawdźmy to. Spójrz na trasę ich przejazdu, Peabody. Wyraźnie zmierzali w stronę Nowego Jorku. Tutaj chcieli dotrzeć. Przekonajmy się dlaczego.

W swoim gabinecie Eve przejrzała notatki Peabody i doszła do wniosku, że jedna tablica to za mało. Po raz pierwszy, rozmieszczając informacje o poprzednich ofiarach zabójców, zaczęła żałować, że nie ma większego gabinetu.

Wymagało to trochę zachodu, ale udało jej się znaleźć taksówkę, którą Kuper zatrzymał na Broadwayu. Kazał się zawieźć do centrum i wysadzić na rogu Perry i Siódmej – kilka przecznic od klubu.

Dlaczego? – zadała sobie pytanie Eve. Bo był ładny wieczór?

Sprawdziła, jaka była pogoda, i skinęła głową.

– Ładny wieczór – mruknęła. – Postanowił się przejść, rozprostować nogi, zaczerpnąć powietrza. Znał te okolice. Jak go namierzyli?

Znów usiadła, położyła nogi na biurku, zamknęła oczy.

Kobieta, pomyślała, gdyż była przekonana, że ma do czynienia z kobietą i mężczyzną. Kobieta go zwabiła.

„Przepraszam!” Była zalotna, ale trochę zdenerwowana, trochę bezradna. Z całą pewnością niegroźna. „Czy mógłby mi pan pomóc?”

Zgubiłam się.”

Taaak, być może, może po prostu tak.

Albo podstęp, wykorzystywany przez Dahmera – klasyczny, ale skuteczny przez dziesiątki lat.

Samotna kobieta próbuje podnieść coś ciężkiego, by włożyć to do bagażnika samochodu.

„Może pani pomóc?”

„Och... Byłby pan tak dobry? Nie mogę sobie z tym poradzić.”

Ktoś pochyła się i wyświadcza przysługę, a drugi z pary przestępców zachodzi go od tyłu, wali w głowę. Wciągają ofiarę do samochodu – furgonetki albo wozu terenowego, jedno z nich wsiada z tyłu, by obezwładnić porwanego, drugie zajmuje miejsce za kierownicą.

Znów otworzyła oczy, przyjrzała się uważnie tablicy.

Nie mogli go przez dwa dni przetrzymywać w samochodzie. Mają gdzieś jakąś metę, kryjówkę, najprawdopodobniej gdzieś w centrum. W jaki sposób ją znaleźli? Tam go zabrali, a potem porzucili jego zwłoki również w centrum miasta.

Eve wyznaczyła trasę, oszacowała czas przejazdu z Perry do Mechanics Alley. Zaznaczyła ten fragment miasta na mapie.

Prawdopodobnie gdzieś tu go zabili, pomyślała. Gdzieś w tej okolicy.

Opuszczony budynek? Żaden dom nie pozostaje długo pusty, pomyślała. Wprowadzają się narkomani, bezdomni, dzicy lokatorzy.

Poszukała i znalazła sześć takich pustostanów na tym terenie. Kazała mundurowym je sprawdzić.

Potem zabrała się do kontynuowania tego, co wcześniej robiła Peabody – zaczęła wydzwaniać do detektywów, zajmujących się podobnymi sprawami w innych miejscowościach.

Późnym popołudniem do gabinetu weszła Peabody. Miała podkrążone oczy. Rzuciła na biurko Eve opakowanie czegoś z automatu sprzedającego przekąski.

– Co to takiego?

– Przysmak wegetariański. Ja nazywam to wegetariańskim paskudztwem, ale da się zjeść. Czy mogę prosić o kawę? Padam na pysk.

Eve wskazała palcem autokucharza i poinformowała swoją partnerkę, co robiły inne ofiary podobnych morderstw w dniu swego zniknięcia i czego się dowiedziała od innych śledczych.

– Ten z Woodsbury w Ohio traktuje sprawę priorytetowo. To pierwsze zabójstwo w tej miejscowości od ponad dziesięciu lat. Postawił sobie za punkt honoru wykrycie sprawcy. Może stanowić dobre źródło informacji w toku śledztwa i... Jezu Chryste.

Eve z trudem przełknęła pierwszy kęs wegetariańskiego przysmaku, złapała kawę z mlekiem Peabody, napiła się.

– Ale świństwo. Kto rozmyślnie robi coś, co tak smakuje?

– Może na świecie jest więcej sadystów, niż przypuszczamy.

– Kurde. Kurde. Nawet nie chcę myśleć, co w tym jest, a teraz też we mnie. Do tego popiłam to świństwo kawą, zniszczoną przez dodatek mleka i cukru. Na dodatek teraz zgłodniałam.

Wyrzuciła jedzenie do recyklera, gdzie było jego miejsce.

– Nie czułam głodu, a teraz czuję. Cholera.

Podeszła do autokucharza, zaprogramowała koktajl witaminowy.

I nie kryła rozczarowania, kiedy go dostała.

Pomyślała z goryczą, że Feeneyowi udało się zakamufłować w swoim autokucharzu prawdziwą kawę, programując ją jako koktajl ze szpinaku. A czy ona dostała baton, który ukryła pod nazwą koktajlu witaminowego?

Nie.

– Przeklęty złodziej batoników. Powinnam się domyślić, że mnie okradł, kiedy byłam na urlopie.

– Masz tam batoniki? Jakie...

– Już nie. – Zdegustowana Eve wróciła do swojego biurka i otworzyła szufladę. – Łobuz zostawił głupie batony energetyczne, a te naprawdę dobre, czekoladowe, zabrał.

– Czekoladowe!

– Zniknęły! – Żeby się ukarać za własną naiwność, Eve pociągnęła łyk koktajlu. Okazało się, że nie jest taki najgorszy. Odpakowała batonik energetyczny.

– Z planu miasta wynika – powiedziała – że Kuper został napadnięty między Perry i Christopher. Ogłuszyli go, wciągnęli do

samochodu, obezwładnili. Kryjówkę naj-prawdopodobniej mają gdzieś w tej okolicy. Kazałam -mundurowym sprawdzić opuszczone budynki na tym -terenie.

– Moje przesłuchania nie przyniosły nic nowego ani istotnego. Theo Barron i Samuel Deeks przyszli z własnej woli, więc przesłuchałam ich wcześniej.

– Część paczki z klubu „Po północy”.

– Zgadza się. Theo przez cały czas płakał, powtarzał, że gdyby nie próbował podrywać tej śpiewaczki, Hanny, byłby z Dorianem i ten nadal by żył.

– Muszę się z nim zgodzić. – Kiedy Peabody wytrzeszczyła zmęczone oczy, Eve tylko machnęła ręką. – To nie czyni z niego winnego ani odpowiedzialnego za to, co się stało. Po prostu stwierdzam fakt. Tych dwoje nie napadłoby na dwóch mężczyzn. Wybierają na ofiary samotne osoby – przynajmniej z tego, co wiemy.

– Nadal uważasz, że mają na swoim koncie więcej ofiar?

– Jeszcze tego nie wiem, ale tak podpowiada logika. Między niektórymi zabójstwami są dłuższe przerwy. Może się spieszyli, może nie napatoczył się nikt odpowiedni, ale najbardziej logicznym wyjaśnieniem jest, że zabili kogoś gdzieś indziej podczas tych dłuższych przerw. Może nie znaleziono ciała albo nie powiązano z nimi tej zbrodni. Ale to... – Wskazała batonikiem plan Nowego Jorku. – Wygląda obiecująco. Sprawdzimy to.

– Zaplanowałam tę przerwę, ale niebawem kolejne osoby zgłoszą się na przesłuchanie.

– Czy Baxter i Trueheart są na miejscu?

– Tak, nie dostali żadnego nowego śledztwa.

– Zapoznaj ich z tą sprawą – poleciła Eve. – Niech przesłuchają tych, których umówiłaś, a my udamy się w teren. Daj mi pięć minut, żebym poinformowała Mirę, co nowego, i wysłała raport do Whitneya.

Próbowała osobiście porozmawiać z konsultantką, ale sekretarka-strażniczka Miry oświadczyła, że pani doktor ma spotkanie. Więc Eve napisała szybko, jak się przedstawia sprawa, i wysłała notatkę do przyjaciółki i do komendanta.

Ponieważ miała koktajl pod ręką, dopiła go, a potem złapała

płaszcz.

– Gotowi? – spytała Baxtera, kiedy weszła do sali ogólnej swojego wydziału. Skinęła głową Trueheartowi.

– Tak jest.

Zatrzymała się na chwilę i spojrzała na młodą, szczerą twarz Truehearta.

– Wy też jesteście gotowi?

– Ja? Tak jest, pani porucznik.

– Chodzi o egzamin na detektywa, mój młody praktykancie.

– Tak jest, pani porucznik. Jestem gotów.

– I bardzo dobrze. Peabody, ze mną.

Eve zarzuciła na ramiona płaszcz, kierując się do ruchomych schodów, a przypomniawszy sobie przenikliwy chłód tego ranka, wyciągnęła szalik, który Peabody zrobiła dla niej na drutach.

– Według FBI pierwszego zabójstwa dokonali w Tennessee – zaczęła. – Ale nie wierzę w to. Było to zbyt dobrze zorganizowane, zbyt czyste. Czy pierwszy raz nie powinien być bardziej nieudolny? Może nawet zrobili to pod wpływem impulsu. Kiedy się zorientowali, że porwanie, torturowanie i zabijanie, tak ich rajcuje?

– Może za pierwszym razem zabili kogoś, kogo znali. – Gdy jechały do garażu, Peabody owinęła swój długi szalik wokół szyi, a potem zawiązała go w skomplikowany, artystyczny węzeł. – Kogoś, kto ich wkurzył. Albo przynajmniej jedno z nich. Albo kogoś, od kogo czegoś chcieli.

– To już bardziej prawdopodobne – zgodziła się z nią Eve. – Od kiedy są razem? Jak się poznali? Jeśli chodzi o pierwsze zabójstwo, może działali w obronie własnej albo był to nieszczęśliwy wypadek. No i przy okazji stwierdzili, że ich to rajcuje.

Wsiadły do windy.

– Czy są z Nowego Jorku i wrócili do domu – oboje lub jedno z nich – czy też są z zachodu i szukają rozrywki w wielkim mieście? Jeszcze za mało o nich wiemy, żeby spekulować. Wciąż za mało wiemy. Ale nie są wybredni, jeśli chodzi o ofiary. Nie tylko wybierają, kogo popadnie, również korzystają z okazji. Poprzednią ofiarę, siedemdziesięciokilkuletnią kobietę, najprawdopodobniej napadli na

parkingu koło małego centrum handlowego, gdzie pracowała. W miejscu, znajdującym się poza zasięgiem kamer monitoringu. Porzucili ją dwa dni później w wąwozie odległym o dziesięć kilometrów. Mamy też dwudziestoletniego mężczyznę, który zniknął z parkingu przy autostradzie w Pensylwanii. Porzucili go dwa dni później koło szosy biegnącej na północny wschód.

Wysiadła z windy i ruszyła do swojego wozu.

– Zawsze jedna ofiara, zawsze samotna, wszystko wskazuje na to, że raczej korzystają z okazji, niż kogoś sobie upatrują. Zwłoki najczęściej porzucają w pewnej odległości od miejsca, gdzie zabili ofiarę. Co oznacza, że mają metę raczej w Lower West, a nie w pobliżu Mechanics Alley.

Usiadła za kierownicą, cofnęła wóz.

– Gdyby Kuper nie wysiadł z taksówki przy Perry, gdyby kazał się zawieźć do samego klubu, prawdopodobnie wciąż grałby na swojej wiolonczeli, a ktoś inny by stracił życie.

– Niewykluczone, że zdążają na północ – zauważyła Peabody. – Nigdy wcześniej nie byli w takim wielkim mieście, jak Nowy Jork.

– I właśnie dlatego sędzę, że mogli sobie obrać Nowy Jork jako cel podróży.

No bo wystarczy się rozejrzeć, pomyślała Eve, prowadząc samochód. Miliony potencjalnych ofiar.

Licencjonowane prostytutki, żebracy, roztargnieni turyści, dyrektorzy, spieszący na spotkania o późnej porze, skupieni wyłącznie na interesach, sklepikarz, zamykający na noc sklep, striptizerka, zdążająca do domu przed świtem.

Do wyboru, do koloru, uznała Eve.

Zaparkowała na Perry, a wtedy coś sobie przypomniała.

– Bądź tak dobra i skontaktuj się z Charlesem albo Louise.

Mieszkają niedaleko stąd, a szczególnie Louise wychodzi z domu i wraca o dziwnych porach, do tego sama. – Lekarze i policjanci, pomyślała Eve, nie mają normowanego czasu pracy. Pracują na okrągło.

– Już to zrobiłam, jak tylko spojrzałam na plan miasta.

– I dobrze zrobiłaś. Wysiadł z taksówki tutaj, na rogu Perry i Greenwich. Trzy przecznice od Christopher, a potem jeszcze półtora

kwartału wzdłuż Christopher do klubu. Dopadli go gdzieś na obszarze tych czterech i pół kwartału.

Zacząła iść, rozglądając się, próbując sobie wyobrazić, jak to było.

– Zna te okolice, często tu bywa. Było zimno, ale bezchmurnie. Nie wiał wiatr, nie padało. Przyjemny, mroźny wieczór, akurat na spacer szybkim krokiem, by zapomnieć o operze, być może nastroić się na jazz.

– Dotarcie do celu nie zajęłoby mu więcej niż pięć minut – wtrąciła Peabody.

– I tyle im wystarczyło. – Eve się zatrzymała. – Tutaj. Spójrz na tę kamienicę z piaskowca. Nikt nie sprzątnął śniegu z chodnika ani ze schodów. Wszystkie żaluzje opuszczone. O co chcesz się założyć, że mieszkańcy tego domu wyjechali? Służbowo albo na wakacje.

– Sądzisz, że sprawcy wykorzystali ten dom? Sama powiedziałaś, że śnieg jest na chodniku i na schodach. Gdyby zabrali tam Kupera, zostałyby ślady na śniegu.

– Nie sądzę, że zabrali go do środka, tylko że stąd go porwali. Zaparkowali przed tym budynkiem. Owszem, są inne w sąsiedztwie, ale w pewnej odległości. Dochodzi dwunasta, jest zimna, bezchmurna noc, same budynki mieszkalne. Założę się, że w oknach wielu z nich było ciemno. Musieli go porwać szybko i nie robiąc hałasu. Kobieta go zagadnęła, mężczyzna zaatakował. Tak to musiało się odbyć. Ogłuszyli go, obezwładnili, wywieźli. Popytajmy mieszkańców.

Najpierw spróbowały w najbliższym budynku, kolejnej szacownej kamienicy z piaskowca. Kwadratowy dziedziniec przed drzwiami frontowymi sprawiał, że dom był trochę odsunięty od chodnika. Drzwi otworzyła niania, zeskanowała identyfikatory Eve i Delii, potem uważnie przyjrzała się policjantkom, nim je wpuściła, ale tylko do przedsionka.

– Dzieci jedzą podwieczorek. Jeśli Justin się dowie, że przyszła policja, oszaleje ze szczęścia. Kocha filmy o glinach i gry z glinami. Czy coś się stało?

– Nie. Ale mam kilka pytań. Czy mieszkańcy sąsiedniego domu wyjechali?

– Państwo Minnicker? Tak. – Niania, mająca niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, prychnęła. – Proszę mi nie mówić, że ktoś się do nich włamał. Mają takie zabezpieczenia, że nie powstydziliby się ich

Biały Dom. I nie można powiedzieć, że są mili. Nadęci, nie jak moi państwo. A ta kobieta... Przyszła do mnie ostatniego lata, bo moja mała Rosie zerwała jeden z jej kwiatków. Wystawał poza sztachety na ulicę. Co wielkiego się stało, jak Rosie go zerwała? A co zrobiła moja pani, która ma klasę? Zamówiła w kwiaciarni wielki bukiet dla tamtej kobiety. I nawet nie doczekała się słowa podziękowania. Oto, jacy ludzie tam mieszkają.

Skrzyżowała ręce na piersiach, wyraźnie zniesmaczona.

– Założę się, że na Hawajach wpadli w jakieś tarapaty, prawda? Bo tam polecili i z tego, co słyszałam, zamierzali tam zostać do marca.

– Nie wiem, czy wpadli w jakieś tarapaty. Czy mieszka tu pani?

– Nie. Na ogół pracuję od ósmej do czwartej. A o co chodzi?

– Czy w ciągu kilku ostatnich dni zauważyła pani w pobliżu jakiś samochód nie stąd? Może zbyt często tędy przejeżdżał albo parkował przed sąsiednim budynkiem?

– Przykro mi, ale nie zauważyłam nic takiego. – Urwała, przechyliła głowę, zmrużyła oczy. – Zaczynają rozrabiać. Muszę do nich wrócić. Może spytają panie pana Haversa z domu sąsiadującego z naszą kamienicą z drugiej strony. Często zdarza mu się pracować do późna. To bardzo miły człowiek.

Zastały pana Haversa w domu. Chętnie zgodził się z nimi porozmawiać.

Był zwalistym mężczyzną, według Eve po pięćdziesiątce, patrzył na przybyłe nieobecny wzrokiem.

– Ostatniej nocy nie – mruknął. – Ani przedostatniej. Dwa dni temu... Tak, pracowałem. Piszę horrory i ostatnio akurat koło dziesiątej wieczorem mam wene.

– Drew Henry Havers? – spytała Peabody.

– Zgadza się.

– Od lat straszy mnie pan swoimi powieściami.

Jego pospolita, blada twarz rozpromieniła się natychmiast.

– To najlepszy komplement, jaki usłyszałem. Dziękuję.

– Gdzie pan pracuje? – spytała Eve.

– Och, na górze. Okna mojego gabinetu wychodzą na ulicę, więc nie przeszkadzam żonie i dzieciom. Sypialnie są po drugiej stronie

domu. Samochód, powiedziała pani, samochód nie stąd? Kiedy jestem pochłonięty pracą, nie zwracam uwagi, co się dzieje na zewnątrz. Ale... – Podrapał się w głowę, potarł oczy. – Chodziłem po gabinecie, zastanawiając się, czy chory psychicznie potwór ma wypruć bohaterowi książki wnętrzości, czy też, jeśli uwzględnić okoliczności, raczej obdrzeć go ze skóry. Widziałem zaparkowany samochód przed sąsiednim budynkiem. Mieszkają tam bardzo niesympatyczni ludzie. Teraz ich nie ma, bo wyjechali. Ale niestety, nie zainteresowałem się bliżej tym samochodem. Nawet nie pamiętałem, że tamtych nie ma. Mogłem sobie pomyśleć: ha, nieśąsiedzi – tak ich nazywamy – kupili sobie nowy wóz. Ale przecież ich nie było.

– Co to był za samochód?

– Ach... Nie zwróciłem uwagi. Ciemny. Tak, nie biały ani kremowy, tylko ciemny. I nie był to samochód osobowy – powiedział po chwili zastanowienia. – Coś większego. Może jedna z tych mocnych terenówek? Albo furgonetka. Chyba furgonetka.

– Czy widział pan jakichś ludzi w pobliżu wozu?

– Nie wyglądałem przez okno. Widziałem tyle, ile mogłem zobaczyć, chodząc po pokoju. Ale wydaje mi się, że kogoś widziałem. Nie mogę powiedzieć, czy to była kobieta, czy mężczyzna. Był cały zakutany. I chyba miał fotel. Albo sobie to wyobraziłem, pomyliła mi się fikcja z rzeczywistością. No bo czemu ktoś miałby sterczeć na ulicy z fotelem? Przepraszam, ale chyba wszystko mi się pomieszało.

– Co ta osoba robiła z fotelem?

– Nie wiem... Może nie było żadnego fotela. Moja żona wiecznie powtarza, że częściej bujam w obłokach, niż chodzę po ziemi. Odniosłem wrażenie, że wkłada go do furgonetki. Czy też go z niej wyciągał?

– Pamięta pan, o której godzinie to było?

– Nie mam pojęcia. Z całą pewnością po dziesiątej wieczorem, kiedy usiadłem do pisania. Prawdopodobnie dobrze po dziesiątej, gdyż dociągnąłem powieść do chwili zabójstwa. Ale przed drugą nad ranem, bo wtedy przerwałem i położyłem się spać. Dobrze przed drugą, bo zdecydowałem się na wyprucie wnętrzości i pisałem do sceny rytualnego zabójstwa ofiary, nim przerwałem. Przykro mi, że nie mogę

więcej pomóc. Wysoko sobie cenię pracę policji. A szczególnie policjantek, które czytają moje książki.

– Dziękujemy za poświęcony nam czas, panie Havers – powiedziała Eve. – Jeśli coś sobie pan przypomni, proszę się z nami skontaktować. Peabody, daj panu swoją wizytówkę.

Obeszły jeszcze kilka pobliskich domów, ale nie dowiedziały się niczego, co potwierdziłoby słowa Haversa.

– To przez niego mam koszmary w nocy – oświadczyła Peabody, kiedy wróciły do samochodu.

– Dlaczego czytasz książki, po których męczą cię koszmary? – Życie i praca, pomyślała Eve, dostarczają dość koszmarów.

– Nie wiem. Nie mogę się temu oprzeć. Jest naprawdę dobry. Lubię historie ze szczęśliwym zakończeniem, a jego książki takie są. Znaczą się, dobro zwycięża zło – po tym, jak polało się dużo krwi i śmierć zebrała obfite żniwo. Tak, jak w naszej pracy – dokończyła Peabody. – Może dlatego.

– Ciemna terenówka albo furgonetka. Skłaniał się raczej ku furgonetce. Niewiele, ale zawsze coś. I kobieta z fotelem.

– Nie powiedział, że to była kobieta.

– Z pewnością się okaże, że to była kobieta. Kobieta, próbująca załadować fotel do furgonetki.

– Klasyczny podstęp – uznała Peabody.

– Często okazuje się skuteczny. Nadszedł Kuper, zobaczył, jak tamta zмага się z fotelem, zaproponował pomoc.

Tak, jak sobie to wcześniej wyobraziła, pomyślała Eve. To było najbardziej logiczne, najbardziej prawdopodobne.

– Wszystko pasuje, łącznie z porą. Skoro już tu jesteśmy, wstąpmy do klubu.

*

„Po północy” był nastrojowym, małym lokalem, gdzie nieliczni goście słuchali bardzo wiekowego pianisty, brzdąkającego na pianinie, i kobiety o twarzy i figurze syreny, która kołysząc się, śpiewała o nieszczęśliwej miłości.

Wyobraziła sobie Morrisa, jak gra tu na saksofonie jakąś rzewną

melodię. I na podstawie tego, co w ciągu ostatnich godzin dowiedziała się o Dorianie Kuperze, wyobraziła tu sobie również jego, jak szarpie struny wiolonczeli.

Kameralne miejsce, uznała, ze stolikami stojącymi blisko siebie i przytulonymi do estrady. Jeden bar, obsługiwany przez jednego barmana, przyćmione, niebieskawe światło.

Porozmawiały z barmanem, kelnerką, leciwym pianistą i syreną. Też nie kryli żalu i zaskoczenia, ale nie powiedzieli niczego nowego.

– Naprawdę go lubili – zauważyła Peabody, kiedy wyszły z ciepłego wnętrza na szarą, zimną ulicę.

– Zdaje się, że potrafił sobie zjednywać ludzi. Czego się dowiedziałyśmy?

– Że zaglądał tu przynajmniej trzy, cztery razy w miesiącu i był lubiany.

– I że jego zabójcy nigdy się tu nie pojawili. To mały, kameralny klub, czasami zajrzy tu ktoś obcy lub turysta, który gdzieś usłyszał o tym miejscu, ale przeważnie przychodzi stała klientela. Zauważyliby parę, która kręciła się w pobliżu w czasie, kiedy Kuper zniknął. Co jeszcze bardziej przemawia za tym, że był przypadkową ofiarą. Znalazł się w złym miejscu o złej porze.

– No dobrze. Tak, widzę to. Wszyscy zapamiętali Earnest Tinę i to ze szczegółami.

– Skoro już o niej wspomniałaś... – Eve sprawdziła, która godzina.

– Podrzucę cię do komendy. Chcę wiedzieć, czy Baxter i Trueheart dowiedzieli się czegoś nowego. Skontaktuj się z naszymi komputerowcami, może znaleźli w urządzeniach elektronicznych ofiary coś, co przeoczyłyśmy. Jeśli nie będzie nic nowego, idź do domu. Ja w drodze do domu porozmawiam z Earnest Tiną, ta kobieta pracuje, a także mieszka na trasie mojego przejazdu. Nie pasuje na zabójczynię, więc ze spokojnym sumieniem będziemy mogły ją wykreślić.

– Powinna być w domu. Sprawdziłam jej plan zajęć. – Peabody wsiadła do samochodu. – Ostatnia lekcja powinna się skończyć pół godziny temu. Nawet gdyby została dłużej w szkole, nim dotrzesz do centrum miasta, powinna być już w domu. Może najpierw się upewnij. Obawiam się, że będą okropne korki.

Rozdział 6

Jechało się fatalnie, lecz Eve się nie poddawała. Wcisnęła się przed inne samochody, wymuszała pierwszeństwo i jakoś się przedzierała do centrum. Prawdę mówiąc, nawet sprawiało jej przyjemność przeklinanie ślamazarnie sunącego maksibusa czy też wygłaszanie niepochlebnych uwag o kierowcy jednomiejscowego mini, który lawirował między pojazdami, wykorzystując najmniejsze luki między nimi.

Z szyderczym uśmiechem spoglądała na tablice reklamujące radośnie NOWE WIOSENNE KOLEKCJE! w przeklętym SkyMall, kiedy temperatura na zewnątrz spadła poniżej minus dwóch stopni.

Jadąc na północ, zdążyła uaktualnić swoje notatki, przejrzała raport Truehearta z przeprowadzonych przesłuchań trzech osób i skontaktowała się ze szkołą Juilliarda.

Tina R. Denton rzeczywiście opuściła już mury uczelni.

Eve bez trudu znalazła budynek, którego szukała – pobielony dom szeregowy, przebudowany tak, żeby zrobić w nim cztery mieszkania. Znalezienie miejsca do zaparkowania okazało się nie takie proste. Rozważała, czy nie stanąć w drugim rzędzie, ale przypomniawszy sobie swoje własne zmagania z ruchem ulicznym, uznała, że byłoby to nie fair. Przynajmniej niektórzy kierowcy i pasażerowie nie zasłużyli sobie na taką karę.

Kiedy jednak wypatrzyła wolny skrawek chodnika po drugiej stronie ulicy, bez skrupułów włączyła syrenę, pionowo wzniosła wóz i przemknąwszy nad dachami innych samochodów osiadła na tym miejscu.

W najmniejszym stopniu nie przejęła się rykiem klaksonów.

Ruszyła do skrzyżowania, przeszła na drugą stronę ulicy, zawróciła i spojrzawszy na numery lokali na drzwiach frontowych, nacisnęła guzik dzwonka do mieszkania Earnest Tiny.

– Czego?

Usłyszawszy zniecierpliwiony głos, Eve przybliżyła odznakę do zeskanowania.

– Porucznik Dallas z policji nowojorskiej. Muszę porozmawiać z Tiną R. Denton.

– Teraz nie mogę. Pracuję.

– To tak, jak ja. Jeśli nie może pani teraz, to wezwiemy panią na przesłuchanie jutro rano do siedziby komendy.

– Nie może pani tego zrobić!

Eve tylko się uśmiechnęła.

– O co zakład?

Rozległo się gniewne syknięcie, a potem zgrzyt odsuwanych zamków.

Na zdjęciu w kartotece Earnest Tina wyglądała korzystniej niż w rzeczywistości. W tej chwili brązowe włosy zebrała i związała z tyłu, więc jej pociągła, kanciasta twarz przypominała końską. Kobieta nie miała makijażu, a do tego najwyraźniej coś zażyła.

Eve poczuła też zoner i zobaczyła jego efekty, bo małe, jasnoniebieskie oczy Earnest Tiny były szkliste.

– To nękanie.

– Proszę złożyć skargę. Wtedy nie będę się czuła zobligowana do przymknięcia oczu na fakt, że jest pani pod wpływem narkotyków, i że paliła pani zoner, bo w powietrzu nadal unoszą się resztki dymu. Jeśli wpuści mnie pani do środka, porozmawiamy sobie, a potem każda z nas zajmie się swoimi sprawami.

– We własnym domu każdemu wolno robić to, co mu się żywnie podoba.

– Nie, nigdzie nie wolno robić tego, czego zabrania prawo. – Wsunąwszy nogę za próg, Eve z zimną pogardą spojrzała na kobietę. – No więc jaka jest pani decyzja, pani Denton?

– Och, w takim razie niech pani wejdzie. Ale może pani być pewna, że zapiszę sobie pani nazwisko i numer pani odznaki.

– A ja zaznaczę w raporcie, że nie była pani skłonna do pomocy policji.

W pokoju dziennym dało się zauważyć przesadną dbałość o porządek. Wszystko było na swoim miejscu. Mieszkanie urządzone w minimalistycznym stylu, wykluczającym wszelkie zdjęcia, kwiaty czy rośliny doniczkowe. Naprzeciwko ściennego ekranu stała ciemnoszara

kanapa. Obok lampy stojącej był jeden fotel, obity takim samym materiałem.

Earnest Tina – jak Dallas zawsze ją nazywała w myślach – nie zaproponowała, żeby usiadły, a Eve o to nie poprosiła.

– Znała pani Dorianą Kupera i pokłóciła się z nim pani w klubie „Po północy”.

– Tak, znałam Dorianą. Słyszałam dziś, że został zamordowany. To wielka strata dla opery, ale nie mam z tym nic wspólnego.

– Była pani na niego bardzo zła.

– Raczej zniesmaczona tym, że człowiek tak utalentowany jak on traci czas, by zajmować się poślednią muzyką.

– Już nigdy nie będzie tego robił.

– Ani swoją grą nie sprawi radości tym, którzy cenią prawdziwą sztukę.

– Przejdźmy do konkretów. Gdzie pani była w niedzielę między jedenastą wieczorem a pierwszą w nocy?

– W domu. O jedenastej już leżałam w łóżku.

– Sama?

– Moje życie osobiste nie...

– Sama? – powtórzyła Eve ostrym tonem.

– Tak, sama. Po południu byłam na wieczorku muzycznym, wróciłam do domu o szóstej. Zjadłam coś, a potem pracowałam do dziesiątej. Chyba nie sądzi pani, że mam coś wspólnego ze śmiercią Dorianą?

– A wczoraj między dziesiątą wieczorem a pierwszą w nocy?

– Byłam na próbie „Cyganerii” w szkole Juilliarda. Od siódmej do dziesiątej. Później razem z dwójką kolegów poszliśmy do baru, żeby porozmawiać o tym, co należy poprawić lub zmienić. Dyskutowaliśmy do północy, a potem złapaliśmy jedną taksówkę i wróciłam do domu.

– Nazwiska.

– To bezczelność.

– Tak, proszę to uwzględnić w swojej skardze. Nazwiska.

Wymieniła je, wysoko zadzierając brodę.

– A teraz proszę stąd wyjść.

– Właśnie mam taki zamiar. Czy jest pani właścicielką

samochodu?

– Nie. Mieszkam w mieście, w którym doskonale funkcjonuje transport publiczny, a z domu do pracy mam pięć minut drogi piechotą.

Bardziej, żeby jej dokuczyć, niż z jakiegoś innego powodu, Eve zadała jeszcze jedno pytanie:

– Czy była pani kiedyś w Nashville w stanie Tennessee?

– Z całą pewnością nie. Po co miałabym tam jechać? To ojczyzna muzyki country, prawda? – Wymówiła słowo „country” tak, jakby to było najgorsze przekleństwo. – Chociażby z tego powodu moja noga nigdy nie postanie w tym mieście.

– Jestem pewna, że mieszkańcy jakoś to przeboleją. Dziękuję za poświęcony mi czas.

– Jeśli pani znowu spróbuje mnie nękać, zatrudnię adwokata.

– Wrócę tu tylko wtedy, jeśli się okaże, że pani mnie okłamała.

I wtedy rzeczywiście będzie pani potrzebny adwokat.

Na korytarzu Eve usłyszała, jak Earnest Tina głośno zatrzaskuje za nią drzwi. Wyszła na ulicę, zaczerpnęła świeżego powietrza i pomyślała, że musi czegoś się napić.

Na szczęście miała już niedaleko do domu. Przejechała przez bramę do swego ogrodu wkrótce po tym, jak niebo przybrało barwę indygo i zapaliły się latarnie, rzucając na chodniki białe kręgi światła.

Ciemna sylwetka zbudowanego przez Roarke’a domu, który stał się też jej domem, wznosiła się niczym zamek ze swoimi wymyślnymi wieżyczkami. Światło paliło się w zbyt wielu oknach, by móc je zliczyć.

Eve bardziej chciała być tutaj, niż się napić. W domu, gdzie znajdzie wytchnienie, gdzie będzie mogła zapomnieć o wszystkim. I w spokoju zająć się śledztwem.

Zostawiła samochód przed wejściem frontowym. Zmagając się z wiatrem, który znów się nasilił, ruszyła do drzwi.

Wiedziała, że w holu zastanie ubranego na czarno chudzielca, a u jego stóp – spasionego kocura.

Summerset, kamerdyner Roarke’a, uniósł brwi.

– A więc zaliczyła pani pierwszy dzień w pracy bez widocznych obrażeń ani szkód. Jak długo to potrwa?

– Może to się skończyć zaraz, jeśli postanowię cię kopnąć w ten

twój kościsty tyłek.

– Dzień nie byłby kompletny bez takiej uwagi.

Rzuciła płaszcz na słupek balustrady, bo był pod ręką i ponieważ irytowało to Summerseta. I razem z kocurem, który teraz zaczął się ocierać na powitanie o jej nogi, zaczęła wchodzić na górę.

Zatrzymała się jednak.

– Założę się, że jesteś wielkim wielbicielem opery. To do ciebie podobne.

– Lubię różne gatunki muzyki, nie wyłączając opery. Słyszałem grę Dorian Kupa w Met, w klubie „Po północy” i w innych miejscach. Dopiero co dowiedziałem się o jego śmierci. To wielka tragedia, kiedy ginie ktoś tak młody i wybitnie utalentowany.

– Każde zabójstwo to wielka tragedia.

– Ale niektóre tragedie są większe od innych. Czy trafił teraz w pani ręce? W wiadomościach nie podano, kto kieruje śledztwem.

– Tak, jest teraz mój – powiedziała Eve i ruszyła na górę.

W sypialni podeszła prosto do lokalizatora.

– Gdzie Roarke?

Roarke’a nie ma w domu – poinformował ją automat.

Jeszcze nie wrócił, pomyślała i przypomniała sobie, że powinna sprawdzić swoją komórkę. I naturalnie znalazła wiadomość od niego.

„Pani porucznik, mam nadzieję, że dobrze upływa ci dzień”.

Zdjęła marynarkę, słuchając jego głosu, w którym pobrzmiwał lekki irlandzki akcent.

„Musiałem niespodziewanie wyjechać do Detroit, ale nie powinno mi to zająć dużo czasu. Będę w domu o wpół do ósmej, może wcześniej. Do tego czasu dbaj o moją policjantkę”.

Będzie miała trochę czasu. Rozmieści informacje na tablicy w swoim domowym gabinecie, zacznie przeglądać notatki i raporty.

Albo, pomyślała, kiedy Galahad ocierał się o jej nogi jak futrzany wąż, najpierw się zrelaksuje.

Usiadła, zdjęła buty, pogłaskała kota, który wskoczył na łóżko obok niej. A potem przebrała się w strój do ćwiczeń.

Kiedy skierowała się do windy, kot spojrzał podejrzliwie na rozsuwające się drzwi. Miał dziwne oczy, każde innego koloru.

– Ja też nie jestem wielbicielek klatek, jeżdżących w górę i w dół, ale... Niedługo wrócę – powiedziała mu, nim drzwi się zamknęły.

Właściwie nie miała jeszcze okazji, żeby w pełni docenić prezent gwiazdkowy od Roarke'a, bo *dojo* ukończono podczas ich nieobecności.

Teraz weszła do środka i wzięła głęboki oddech.

Złota podłoga lśniła. Pomieszczenie miało swój własny ogródek z białymi kwiatami, a w kącie znajdowała się kamienna konstrukcja, gdzie łagodnie szemrała woda. Za przesuwanymi drzwiami ukryto małą kuchnię, zaopatrzoną w zapas wody źródlanej i napojów energetycznych.

Kawa była tu zakazana, co Eve uważała za niesłuszne, ale musiała się z tym pogodzić.

Za drugimi przesuwanymi drzwiami urządzono przebieralnię, w której trzymano miękkie, białe ręczniki, maty, czarne i białe ubrania treningowe. Znajdowały się tam jeszcze jedne drzwi, prowadzące do prysznic, a stąd można było przejść do sali gimnastycznej, jeśli wolałyby tam ćwiczyć.

Roarke pomyślał nawet o dziełach sztuki – ale ten człowiek myślał o wszystkim. Ryciny przedstawiały pogodne ogrody, gałęzie wiśni, uginające się pod ciężarem kwitnących kwiatów, zielone wzgórza, zasnuwane poranną mgłą.

Wokoło panował spokój, a także dyscyplina i prostota.

I była tu w pełni wyposażona sala do projekcji holograficznych.

Podwójny prezent obejmował *dojo* i mistrza Lu. Jeśli miała czas, mogła się zgłosić do mistrza po instrukcje albo ograniczyć się do sesji we własnym *dojo*.

Mogła również wyświetlić jego hologram.

Zrobiła to teraz, pragnąc poćwiczyć z mistrzem sztuk walki.

Jego postać zamigotała pośrodku pomieszczenia. Włosy miał splecione w długi warkocz, muskularny tors ukrył pod zwyczajną, czarną bluzą.

Klasnął w dłonie i się uklonił.

– Porucznik Dallas.

– Mistrzu Lu, dziękuję za ten zaszczyt.

– Cieszę się, że mam tak znamienitą uczennicę.

– Mogę poćwiczyć tylko przez trzydzieści minut, ale...

– W takim razie nie wolno nam zmarnować ani chwili.

– Pańskie kopnięcie z wysokości jest... No cóż... Wprost niewiarygodne. Nigdy nie udało mi się wyskoczyć tak wysoko ani kopnąć tak czysto. Jeśli...

– Bardzo pani miła. Ale to przyjdzie z czasem. Podczas naszej pierwszej lekcji nauczę panią oddechu.

– Oddechu?

– Wszystko zaczyna się od oddechu. Na początku jest oddech – powiedział, podchodząc do niej – a potem oddech i ruch. Ręce.

Ujął ręce Eve i patrząc swej uczennicy prosto w oczy, przycisnął jedną dłoń do jej brzucha, a drugą do serca.

– Oddech to życie. Nie jest pani kamykiem, wyrzuconym na brzeg przez falę, tylko rybą, pływającą w wodzie. Proszę tak nabierać powietrza, by wypełnić nim płuca, wciągać światło. Wolno – powiedział jej – świadomie. Podczas wydechu pozbywamy się powietrza. Potem chwila przerwy, bardzo ważna. I znów wdech.

Więc robiła wdechy i wydechy.

Kiedy jechała windą na górę, musiała przyznać, że umysł ma jaśniejszy. Kto by przypuszczał, że jest tyle rodzajów oddechów?

A gdy znalazła się w ich sypialni i ujrzała Roarke'a, rozpinającego koszulę, cóż... zabrakło jej tchu. Włosy sięgały mu niemal do ramion, tworząc czarne, jedwabiste obramowanie twarzy, stworzonej, by zapierać dech, sprawiać, że kolana robiły się jak z waty, by podbijać serca. Właśnie teraz czuła to wszystko i jeszcze więcej.

Bywały chwile, kiedy spoglądał na nią, tylko spoglądał, jego idealnie wykrojone usta rozciągały się w uśmiechu, a oczy – zimniejsze i bardziej niebieskie niż wszystkie morza świata – rozbłyskiwały miłością. Wtedy ją też zalewała fala miłości. Właśnie teraz była taka chwila.

– Sesja z mistrzem Lu?

– Tak. – Weszła do środka, żeby zamknęły się za nią drzwi windy.
– Uczyłam się oddychać. Myślałam, że to wiem, bo przecież żyję i w ogóle, ale okazało się, że wcale nie. Wiedziałeś, że można nabrać powietrza aż do palców u nóg? Chyba mi się to udało. Brzmi to absurdalnie, ale chyba udało mi się nabrać powietrza aż do palców

u nóg.

Roześmiał się, położył ręce na biodrach Eve i przyciągnął ją do siebie.

– Byłaś rybą, nie kamykiem. Obejrzałem kilka pierwszych lekcji. – Objął ją w pasie. – Właśnie tego mi dziś brakowało. – Pocałował ją wolno, namiętnie. – Przyzwyczaiałem się, że mogę to robić o każdej porze dnia i nocy.

– Powrót do rzeczywistości. Jak było w Detroit?

– Musiałem dokręcić kilka śrub. Słyszałem, że tobie już się trafiło nowe zabójstwo?

– Podczas mojej nieobecności z pewnością musieli zająć się kilkoma.

– Niewątpliwie. Dorian Kuper, wiolonczelista.

– Znałeś go?

Roarke pokręcił głową, odsunął się od Eve i zdjął koszulę.

– Tylko ze słyszenia. Naturalnie słyszałem jego grę. Jak zginął? Informacje są bardzo skąpe. Domyślałam się, że celowo.

– Torturowali go przez dwa dni, nim rozpruli mu brzuch, żeby się wykrwawił na śmierć. Bo to na pewno nie jest dzieło jednego sprawcy.

Włożył szary sweter, a Eve zadała sobie pytanie, dlaczego ten kolor wyglądał tak nijako i nudno w mieszkaniu Earnest Tiny, a na Roarke'u nabiera takiej głębi i wyrazistości.

– Rzeczywiście, powrót do rzeczywistości – mruknął Roarke. – Zidentyfikowałaś zabójców?

– Jeszcze nie, ale jest ich dwoje, a Kuper nie był ich pierwszą ofiarą. Mają ich na sumieniu bardzo dużo.

– Chyba powinniśmy coś zjeść i napić się wina, żebyś mogła mi wszystko opowiedzieć.

– Chętnie napiję się wina. To sadyści – zaczęła, kiedy razem wyszli z sypialni. – Ale nietypowi.

Opowiedziała mu wszystko tak, jakby przedstawiła to innemu gliniarzowi. Mógłby się skrzywić na takie porównanie, ale naprawdę rozumował jak policjant.

Kiedy rozmieszczała informacje na tablicy, Roarke przygotował jedzenie. Co oznaczało, że nie ma co liczyć na pizzę, ale w życiu

niezbędne są kompromisy. To jedna z małżeńskich zasad. On z całą pewnością poszedł na kompromis, uznała Eve, gdy podał jej kolację w gabinecie na małym stoliku, w otoczeniu śmierci.

– Uważasz, że Nowy Jork był celem ich podróży?

– Nie wiem, czy na zawsze, ale wystarczy spojrzeć na mapę, zobaczyć, gdzie zabijali. Droga nie biegnie prosto jak strzała, ale zawsze, kiedy zbaczali z trasy, później na nią wracali. By podążać na północny wschód.

Wzięła kieliszek z winem, który jej podał i wskazała mapę.

– Wygląda mi to na objazdy. Może musieli zatankować czy też coś zjeść, może po drodze coś ich zainteresowało albo mieli blisko do jakichś znajomych, więc zbaczali z drogi o te kilka kilometrów.

– Ale wracali na trasę – powiedział, kiwając głową – i znów podążali na północny wschód. Co zabierali swoim ofiarom?

No proszę, pomyślała. Rozumuje jak gliniarz.

– Gotówkę i biżuterię, jeśli taką znaleźli. Auto, a w kilku przypadkach części samochodowe. Nie wszystkie, ale większość ich ofiar, o których nam wiadomo, to ludzie z grup wysokiego ryzyka. prostytutki, bezdomni. Ale zdarzają się też inni. Często na pustkowiu. Jak mieszkająca samotnie siedemdziesięciokilkuletnia kobieta. Wykorzystali jej dom na miejsce tortur i zabójstwa, zabrali cenne przedmioty, łatwe do przewiezienia. Lub dwudziestokilkulatek, wracający późną porą z baru do domu bocznymi drogami. W tym przypadku skorzystali z jakiegoś pustego domku letniskowego.

– I żadnych śladów?

– Wszystkie usunięte. Może się zabezpieczają, może technicy niedbale szukali. – Zbyt wiele zabójstw, pomyślała, by każde wziąć pod lupę, sprawdzić dokładnie. – Nie wiem tego. Ale przynajmniej jedno z nich jest na tyle zorganizowane, by zachować środki ostrożności. Nie znaleziono wszystkich miejsc, gdzie dokonano zabójstw. Sprawcy z zasady nie pozostawiają ofiar tam, gdzie odebrali im życie. Porzucają je na wysypiskach śmieci, na ogół w sporej odległości od miejsca dokonania morderstwa. I korzystają z plastikowych płacht.

– Więc ktoś mógłby pomyśleć, że chodzi o włamanie, bo jeśli nie ma krwi, nikt nie zgłasza, że mogło dojść do zabójstwa.

– No właśnie. A zanim zaczęto coś podejrzewać, ślady na miejscu przestępstwa ulegały zniszczeniu. Mieli szczęście – mruknęła Eve. – Zwyczajne szczęście. Są zorganizowani, ostrożni, ale również dopisuje im szczęście.

– Chodź coś zjeść. – Ujął ją za rękę i poprowadził do stolika.

Na białych, kwadratowych talerzach leżały medaliony wieprzowe, polane jakimś sosem, kopczyk złocistych pieczonych ziemniaków, posypanych zieleniną, a do tego barwna mieszanka zimowych warzyw.

Eve doszła do wniosku, że jej mąż jest bardziej pomysłowy, jeśli chodzi o wyczarowanie wspaniałych potraw, niż ona kiedykolwiek będzie.

– To serce, inicjały... – zaczął myśleć na głos.

– Ich podpis.

– Tak, ale zarazem wyznanie, nie uważasz? Nie tylko zrobiliśmy to razem, ale jesteśmy razem.

– Prawdziwa miłość.

– Czy nie tak uważają? Serce z ich inicjałami jest symbolem.

Dodaj do tego, że nie wykorzystują seksualnie swoich ofiar.

– Ponieważ są sobie nawzajem wierni. Uważaliby to za zdradę.

– Gdyby nie to serce, co byś o tym myślała?

Zastanowiła się, jedząc. Nie wiedziała, co to za sos, ale zdecydowanie coś w sobie miał.

– Prawdopodobnie doszłabym do wniosku, że nie jest to dzieło jednego człowieka. Naturalnie jeden zabójca też może sobie wybrać ofiarę, zwabić ją gdzieś, związać i torturować na różne sposoby. Ale uwzględniając, kto padł ofiarą zbrodni, istnieje większe prawdopodobieństwo, że jest dwóch sprawców. Kobiety raczej nie zatrzymują się na drodze na widok nieznanego mężczyzny ani nie otwierają mu drzwi do domu wieczorem. Dwie z zamordowanych prostytutek nie miały licencji na świadczenie usług przedstawicielkom tej samej płci. Nie, żeby nie mogły tego robić na boku, ale jest większe prawdopodobieństwo, że klient był mężczyzną. A samotnej kobiecie łatwiej zwabić faceta na klasyczną zagrywkę „czy mógłby mi pan pomóc przenieść ten ciężar”.

– Czyli skłaniasz się ku temu, że sprawcami jest para: kobieta

i mężczyzna.

– Najprawdopodobniej. Nie wykluczyłabym jednego zabójcy, lecz raczej optuję za dwójką. Ale... – Skinęła głową. – Gdyby nie to serce, nie uważałabym, że łączy ich uczucie. Seks owszem, ale nie romantyczna miłość. – Znow skinęła głową. – I chcą, by ich uważano za parę zakochanych. Ciekawe.

– Jak się to wszystko zaczęło?

Eve uśmiechnęła się i spróbowała warzyw, za którymi nigdy nie przepadała.

– No wiesz, nie wszyscy przestępcy rozumują jak gliniarze.

– Ci, którzy odnieśli sukces, robią to. Nawet jeśli są byłymi przestępcami. – Roarke wziął do ręki kieliszek z winem i zaczął się zastanawiać na głos. – Jest mało prawdopodobne, by obudzili się pewnego ranka i wpadli na taki pomysł. „Co ty na to, żeby dziś gdzieś pojechać, znaleźć sobie kogoś, kogo moglibyśmy torturować, a potem zabić?”. Przynajmniej bez czegoś, co uznali za powód. Jedno z nich mogło zabić w przypiływie szału bądź w obronie drugiego. Znow mamy tu element miłości. Albo nawet niechcący spowodowali czyjąś śmierć.

– I to mogło wszystko zapoczątkować – zgodziła się z nim Eve. – Albo całkiem przypadkowo odkryli, że tortury mogą być podniecią seksualną, kiedy popełniali inne przestępstwo. Bądź jedno z nich wciągnęło drugie w swoje zboczone hobby.

Roarke spojrział na tablicę.

– Wygląda na to, że mają wprawę w uprawianiu owego hobby.

– Tak, i w tym cały szkopuł. W jaki sposób osiąga się wprawę w czymkolwiek?

– U podstaw leżą wrodzone zdolności i prawdziwe zainteresowanie, pasja. Ale to praktyka czyni mistrza, nieprawdaż? Z całą pewnością nie zaczęli od ofiary, zajmującej obecnie pierwsze miejsce na twojej liście.

– Też tak myślę. Jak widzisz, stopniowo stawali się coraz brutalniejsi. Mniejsze odstępstwa między poszczególnymi zabójstwami, a potem dłuższa przerwa. Systematycznie coraz dłużej utrzymywali ofiarę przy życiu, aż się zdecydowali, by trwało to czterdzieści osiem godzin. Ale zbyt gładko im poszło z główną ofiarą na naszej liście, żeby

nie zabijali już przedtem. No i te dłuższe przerwy...

– Ofiar jeszcze nie znaleziono albo nie uznano ich za ofiary przestępstwa.

– Pod tym względem nie zgadzam się z FBI. Ich profilerzy uważają, że nasza para ma na swoim koncie dwadzieścia ofiar lub niewiele więcej. Z Kuperem dwadzieścia jeden. Według mnie podczas tych dłuższych przerw zabili kolejne osoby, tylko jeszcze nie odnaleziono ciał. Tacy zabójcy nie zmniejszają częstotliwości popełniania zbrodni, chyba że na jakiś czas zostaną do tego zmuszeni. FBI skłania się ku takim samym wnioskom, jeśli chodzi o te dłuższe przerwy, ale koncentruje się na tej grupie potencjalnych ofiar i na tej trasie. Wyszło im niewielkie prawdopodobieństwo, że kobieta z Nashville nie jest ich pierwszą ofiarą. I zbyt dużo czasu tracą na rozważania, czy mają do czynienia z seryjnymi mordercami czy też takimi, których ogarnia szal zabijania.

– Sądzę, że ofiarom jest to obojętne. Podobnie jak ich bliskim.

– Tak. Czyli podczas tych dłuższych przerw też zabijali. Jeśli chodzi o ofiary, nie widać żadnych preferencji, sprawcy wybierają je na chybił trafił. Czyli mamy do czynienia z zabójcami-sadystami, zdolnymi do uczuć wyższych, ale tylko wobec siebie nawzajem.

Najprawdopodobniej kobieta i mężczyzna, najprawdopodobniej atrakcyjni, niebudzący obaw swoim wyglądem czy zachowaniem. Żadna z przesłuchiowanych przez nas osób nie zapamiętała nikogo, kto by się jakoś wyróżniał, rzucał się w oczy.

– Czyli się nie wyróżniają.

– Są na tyle przeciętni, by niknąć w tłumie. Na tyle sprytni, by nie robić nic, co zwróciłoby na nich uwagę. Już samo to, że widzą kobietę i mężczyznę, zmniejsza czujność ludzi. Para, która przysłała do baru, żeby się napić, melduje się w motelu, wynajmuje domek. Regularnie zmieniają samochody, więc zanim zaczynamy szukać jednego, oni już jeżdżą innym.

– Za wcześnie, by poczuć bezsilność, prawda?

– W przypadku Kupera tak. Ale kiedy się patrzy na całościowy obraz, nie powiedziałabym. Dysponujemy masą informacji, lecz nie mamy nic, co pozwoliłoby nam ich przyszpilić.

– Co zamierzasz robić?

– Skupię się na zabójstwie Kupera. Dlaczego wybrali sobie właśnie to miejsce? Zupełnie przypadkowo czy też mieli jakiś konkretny powód? Jeden ze świadków widział samochód, podążymy tym tropem. Ciemna terenówka albo furgonetka, skłaniał się raczej ku furgonetce. Zrobimy, co w naszej mocy, dla Kupera, ale musimy znaleźć ich pierwszą ofiarę. Trzeba się cofnąć w czasie od pierwszej znanej nam ofiary, sprawdzić zgłoszenia o zaginięciach, niedokończone śledztwa, nierozwiązane sprawy, to, co uznano za przypadkową śmierć. Pierwsza ofiara jest najistotniejsza.

– Czy federalni się tym nie zajmują?

– Zlecieli komuś szperanie tu i tam, ale głównie skoncentrowali się na pierwszej znanej nam ofierze. Muszę dotrzeć do posterunków policji na południe i zachód od Nashville. I przejrzeć meldunki o osobach zaginionych – ciągnęła. – Uciekinierach, ofiarach wypadków, niewyjaśnionych -zabójstw.

– Niezła zabawa.

– No nie wiem. – Westchnęła głęboko, wzięła swój kieliszek z winem. – Sprawdzę prawdopodobieństwa, opierając się na bieżącej trasie, i cofnę się w czasie od pierwszej znanej ofiary.

– Mogę to zrobić za ciebie, na pewno szybciej. Nie masz żadnych danych finansowych, którymi mógłbym się zająć, więc musi mi wystarczyć geografia i nawigacja.

– Zgoda, asie. I dziękuję. – Odkroiła niewielki kawałek wieprzowiny. – Ta para skądś musiała się wziąć. To jeszcze jeden trop. Dorastali pod opieką rodziców lub w rodzinach zastępczych, gdzie się uczyli, gdzie pracowali. I uwzględniając ich profil, jedno z nich lub oboje prawdopodobnie trafiło do policyjnych kartotek za jakieś przestępstwa.

– Wspólnie popełnione? – zastanowił się na głos Roarke. – Może stąd ta silna więź.

– Nie wydaje mi się, by od dawna działali razem. Chyba że znajdziemy zabójstwa sprzed wielu lat. Ale nie wydaje mi się, żeby od lat zabijali, zanim to wyszło na jaw. I nie są to dzieciaki – ciągnęła. – Ludzie zwracają uwagę na nastolatki. „Tak, widziałem kręcącą się

w pobliżu parę dzieciaków”. Dlaczego nie są w szkole? Co kombinują? Poza tym nastolatki, czy też młodzi ludzie tuż po dwudziestce, raczej nie są na tyle zorganizowani, by namierzyć ofiarę, przygotować sobie wcześniej jakieś miejsce, gdzie będzie można ją przetrzymać, usunąć wszystkie ślady. Przypuszczalnie sprawcy liczą sobie nie więcej niż trzydzieści kilka lat.

– A czemuż to?

– Jak długo można tłumić takie impulsy? One tkwiły gdzieś głęboko, trzeba było tylko sprzyjających okoliczności, żeby się ujawniły. W pewnych sytuacjach każdy jest zdolny do zabójstwa. Nie każdy jednak byłby zdolny do torturowania ofiar. Jeśli dodać do tego tamto wykrojone serce... Nie każdy czerpałby przyjemność z torturowania innego człowieka.

Eve odsunęła talerz.

– Zabiłbyś dla mnie?

– Naturalnie, że tak.

– Jezu, powiedziałeś to bez chwili zastanowienia.

– Bo nie muszę się nad tym zastanawiać. Pomyśl, kim jesteśmy, Eve. Oboje jesteśmy zdolni do zabicia człowieka i kiedyś już to zrobiliśmy. Ale są... Pewne ograniczenia. Czy zabiłbym, by cię chronić, ratować ci życie, by nie dopuścić, żeby ktoś cię skrzywdził? Bez wahania. Czy zabiłbym, gdybyś mi powiedziała: wyświadczy mi przysługę, chciałabym, żeby ten człowiek nie żył? Nie muszę się nad tym zastanawiać, bo nigdy tego nie powiedziałaś, nigdy tego nie chciałaś, nigdy o to nie prosiłaś.

– A gdybym to zrobiła?

Roarke dopił wino.

– Sądzę, że odbylibyśmy długą rozmowę.

– No dobrze. – To jej wystarczyło. – A czy zgodziłbyś się torturować kogoś dla mnie?

Uniósł brew.

– Wkraczamy na osobliwy teren. No dobrze, pójdę tam za tobą. Gdybym wierzył, że torturami mógłbym cię uratować lub nie dopuścić do tego, żebyś ucierpiała, to owszem, zrobiłbym to. Czy robiąc to, odkryłbym – lub czy ty byś odkryła – seksualną przyjemność? Nie.

Celowe zadawanie bólu to coś obrzydliwego. Oboje nas dręczono fizycznie i psychicznie, więc doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, jakie to obrzydliwe.

– Masz rację. Niekiedy osoby, które doświadczyły przemocy, stają się zwyrodnialcami. Więc muszę sprawdzić również ten trop. Ktoś cię skrzywdził – rodzice, osoba, posiadająca władzę nad tobą, małżonek, partner. Teraz to ty jesteś panem sytuacji. Możesz sprawiać ból i budzić lęk. – Wstała, podeszła do tablicy. – Ale im nie chodzi o odpłatę, nie bezpośrednio. Tylko o przyjemność. Kto by przypuszczał, że zadawanie bólu, budzenie lęku, może być takie przyjemne, takie podniecające? Z chwilą, kiedy to do nich dotarło, nie mogą się powstrzymać.

– Uzależnili się.

– No właśnie. Ale nie zaczęło się od tego. – Dotknęła zdjęcia pierwszej ofiary. – Nie posmakowali tego po raz pierwszy. Już wiedzieli, co będą czuli. Za pierwszym razem to była niespodzianka, a nawet objawienie. Wiem, jacy są. Już dość dobrze wiem, jacy są. Ale kim są i czemu tacy się stali? Tego jeszcze nie wiem.

Roarke też wstał i podszedł do niej. Położył dłonie na ramionach Eve, musnął ustami czubek jej głowy.

– I martwi cię to, bo wiesz, że będzie kolejna ofiara.

– Nowy Jork jest największą metropolią, w jakiej się znaleźli. To wiemy. Kiedy patrzę na mapę, na trasę ich podróży, tylko się w tym utwierdzam. Mają tu większe możliwości niż gdziekolwiek. To musi wywoływać podniecenie. I działać motywująco.

– Czyli teraz szybko poszukają następnej ofiary.

– Jeśli już tego nie zrobili, zrobią to najdalej jutro. Zdziwiłabym się, gdyby tak się nie stało. Dwa dni, żeby się zabawić z ofiarą, zanim ją zabiją. Między dwoma ostatnimi ofiarami, ofiarą z New Jersey i Kuperem, upłynął zaledwie tydzień. A uzależnieni zawsze chcą więcej i częściej. Nie minie dużo czasu, a zapragną znaleźć kolejną ofiarę.

– Ponieważ kluczem do zagadki jest to, kim są i kiedy zaczęli zabijać, sprawdzę za ciebie prawdopodobieństwa.

– Dziękuję. Ty przygotowałaś posiłek, ja sprzątnę ze stołu.

– Tak będzie sprawiedliwie. – Na chwilę ujął twarz Eve, dotknął płytkiego dołeczka w jej podbródku. – Uwzględniając wszystko, w tym

to, kim jesteśmy, dobrze jest być w domu.

Przeszedł do swojego gabinetu, znajdującego się obok, a Eve zaniósła naczynia do kuchni i włożyła je do zmywarki. Pomyślała, że ona i Roarke tworzą zgrany zespół, dobrze im się razem pracuje – policjantce i (byłemu) przestępcy. Nieprawdopodobnie bogatemu biznesmenowi, dorastającemu w zaułkach Dublina, i kobiecie, która z trudem wiązała koniec z końcem, żyjąc z policyjnej pensji, a dorastała w państwowych placówkach opiekuńczych, gdy już skończył się koszmar pierwszych ośmiu lat jej życia.

Niewiele osób – łącznie z nią – przypuszczałoby, że tak świetnie się rozumieją i dopasują. Że staną się dla siebie wszystkim.

Eve nie uważała, że zabójcy, których szuka, mogą sprawiać wrażenie źle dobranych. Ludzie zauważają takie rzeczy. Przypuszczała, że razem wyglądają jak trzeba. Wyglądają tak, jak w opinii otoczenia powinna wyglądać szczęśliwa para.

I z całą pewnością świetnie ze sobą współpracują.

Znów pomyślała o Roarke'u i o tym, z jaką łatwością zgodziła się, żeby jej pomógł w oficjalnym śledztwie.

Zaufanie, uzmysłowiła sobie. Nie tylko pociąg, nie tylko uczucie czy też wspólny cel. By stworzyć dobry zespół, potrzebne jest zaufanie.

Z tą myślą usiadła za biurkiem, żeby przejrzeć notatki.

Rozdział 7

Eve przeczytała sporządzone przez Baxtera podsumowanie przesłuchań, które przeprowadzili i wyrywkowo posłuchała nagrań. Nic jej nie zaintrygowało, nie wychwyciła nic nadzwyczajnego – zresztą nie spodziewała się niczego takiego. Ale miała okazję ocenić, jak Trueheart radzi sobie z przesłuchiwaniami świadków, jaki ma styl pracy.

I doszła do wniosku, że on i bardziej wygadany Baxter idealnie się uzupełniają.

Zapisała sobie, żeby polecić Trueheartowi przesłuchiwanie świadków z innymi detektywami, by nie czuł się tak pewnie.

Skończyła kolejny raport dla Whitneya i Miry, podsumowując go swoimi wnioskami: że fakty i dowody świadczą, iż Kuper był przypadkową ofiarą, ostatnią znaną policji ofiarą dwóch niezidentyfikowanych przestępców, mordujących już od jakiegoś czasu, ale wybierających ofiary na chybił trafił.

Poinformowała Morrisa, że ustaliła tożsamość Earnest Tiny. Morris z kolei powiadomił ją, że była u niego Mina McKensie i pytała, kiedy będzie mogła się zgłosić po ciało syna. Eve poleciła, żeby oddano zwłoki matce lub jej przedstawicielowi możliwie najszybciej.

Uznała, że nie ma sensu, po prostu nie ma sensu przedłużać jej cierpień. Zwłoki Kupera powiedziały im wszystko, co mogły.

Skontaktowała się z funkcjonariuszami, kierującymi dwoma innymi śledztwami, dotyczącymi podobnych zabójstw i przeprowadziła z detektywami długie rozmowy, które nie wniosły nic nowego. Obiecali sobie nawzajem, że będą się dzielili wszelkimi informacjami.

Kiedy wrócił Roarke, właśnie sprawdzała nowe prawdopodobieństwa, związane z ofiarą z New Jersey.

– Wytyczyłem kilka tras, trzy z nich uważam za najbardziej prawdopodobne – powiedział jej. – W przypadku tych trzech prawdopodobieństwa są zbyt zbliżone, żeby w tej chwili móc którąś z nich skreślić. Ale nawet i te mogą mieć kilka wariantów.

– Pokażesz mi je na mapie?

Spełnił jej prośbę.

– Ta zaczyna się w południowo-wschodnim Teksasie, biegnie przez Luizjanę i Arkansas, zahacza o Missisipi i prowadzi do pierwszej znanej policji ofiary w Tennessee. Jak widzisz na mapie, zaznaczyłem również inne najbardziej prawdopodobne przystanki w Tennessee, a potem w Kentucky przy granicy z Missouri, co tłumaczy dłuższą przerwę przed Wirginią Zachodnią i drugim zabójstwem w tym stanie. Drugi punkt w zachodniej części Marylandu wypełnia przerwę przed Ohio. Masz dwie ofiary w Pensylwanii. Wydaje się mało prawdopodobne, i komputer się z tym zgadza, by nie urządzili polowania na tym rzadziej zamieszkanym terenie, dlatego wyznaczyłem tam jeszcze jeden punkt. Potem skok do New Jersey i Nowego Jorku.

– Kilka razy zboczyli z trasy, ale właściwie kierują się bezpośrednio na północny wschód.

– Druga trasa biegnie z zachodu. Zacząłem od Kalifornii, potem Nevada, Arizona, Nowy Meksyk. Następnie Teksas, Oklahoma, znów Arkansas, a dalej tak jak pierwsza trasa.

– Kalifornia. Kawał drogi, wymaga dużo czasu. – Wiele potencjalnych ofiar, pomyślała Eve.

– Zgadzam się. Czyli początkowo kierowali się na południowy wschód, a później skręcili na północ. Przy ostatniej trasie założyłem, że mieli coś do załatwienia w Tennessee albo tam zmienili kierunek, wyruszywszy z Florydy. Potem przez Alabamę i Georgię, być może również Missisipi, aż dotarli do Tennessee, gdzie znaleziono ich pierwszą ofiarę, znaną policji. Dalsza trasa jak dwie poprzednie.

– Ile wynoszą prawdopodobieństwa?

– Od siedemdziesięciu i dwóch dziesiątych do siedemdziesięciu trzech i czterech dziesiątych. Przy braku większej liczby niezbitych faktów trudno liczyć na większe prawdopodobieństwo.

– Przyjrzyjmy się tej trzeciej. – Eve przeanalizowała trasę, próbując ją sobie wyobrazić. – Startują z południa, gdzie jest ciepło i słonecznie, zgadza się? Wyruszyli jesienią – najprawdopodobniej – ale nadchodzi zima. Wprawdzie ludzie rezygnują z ciepła i słońca dla zimnej i brzydkiej pogody, ale jeśli kogoś ogarnął szal zabijania tam, gdzie ciepło, czemu nie zaczeka do wiosny, by udać się tak daleko na

północ?

– Ich celem jest Nowy Jork – przypomniał jej Roarke.

– Tak, pamiętam, chcę spróbować, jak smakuje zbrodnia w wielkim mieście. W takim razie dlaczego nie postarali się tu dotrzeć przed świętami? Żeby zobaczyć miasto pięknie udekorowane. Przecież tłumy ściągają wtedy do Nowego Jorku, żeby to obejrzeć. Dlaczego zdecydowali się opuścić dość ciepłe tereny dla przenikliwie zimnych? Uwzględniając naturę ludzką, tę trasę dałabym na końcu. Przyjrzyjmy się tamtej drugiej, biegnącej z Kalifornii.

Przeszła się tam i z powrotem wzdłuż tablicy i znów spojrzała na ekran.

– Jeśli chodzi o południowy odcinek, mam te same uwagi. Ale może coś się wydarzyło i musieli pryskać. Albo po prostu postanowili wyruszyć w drogę. To dłuższa trasa od tej, zaczynającej się na południowym wschodzie, więc może wystartowali latem. Najprawdopodobniej latem. Wyruszyli, nie myśląc o zimie. Co oznaczałoby, że jeszcze nie znaleziono bardzo wielu ofiar albo jest wiele nierozwiązanych spraw zabójstw.

– Możesz uznać za początek jakikolwiek punkt na tej trasie – powiedział jej Roarke. – W Arizonie, Nowym Meksyku albo Oklahomie. Każdy jest bardziej prawdopodobny od punktów na północ od nich.

– Taak, dlatego podobają mi się i nie. – Przyglądała się uważnie, analizując marszrutę. Wsunęła kciuki do kieszeni spodni i stuknęła palcami w materiał. – Mogli wyruszyć z któregoś punktu daleko na zachodzie i na mapie wydaje się to logiczne. Jeśli uwzględnić czas... Wydaje się, że bardziej prawdopodobne, iż zaczęli stąd... Co to takiego?

– Nowy Meksyk.

– Dlaczego ci ludzie od map czy też od wymyślania nazw stanów zdecydowali się na tyle „Nowych” takich czy innych?

– A mówi to mieszkanka Nowego Jorku.

– I podtrzymuję swoje pytanie. Skoro byli tak przywiązani do Meksyku, Hampshire czy Jorku, czemu tam nie zostali? Zresztą mniejsza z tym. No więc chyba zaczęli gdzieś tutaj albo w tej części Teksasu lub Oklahomy. To bardziej do mnie przemawia. Wyruszyli z południowego wschodu Teksasu, potem była Luizjana, Missisipi,

Arkansas. Drugą trasę uważam za najbardziej prawdopodobną.

Roarke był takiego samego zdania.

– Dlaczego? Oto jest pytanie.

– Bo pasuje do tego kierunku z południa na północ. Stamtąd, gdzie ciepło, do miejsc, gdzie jest zimno. Nie wiem, dlaczego, ale mam takie wewnętrzne przekonanie.

– Ja też – powiedział jej. – Ale może dlatego, że przyzwyczałem się do twojego rozumowania.

– Albo dlatego, że wydaje się ono słuszne. Zajmiemy się zaginionymi osobami i nierozwiązanymi sprawami zabójstw także na dwóch pozostałych trasach, lecz ja skupię uwagę na tej.

Sięgnęła po kawę, zorientowała się jednak, że kubek nie stoi na jej biurku. Nim zdążyła zmarszczyć czoło, Roarke podał jej tyle, ile zostało.

– Bardzo dobrze – powiedziała mu. – Mamy czym się zająć, póki nie otrzymamy zawiadomienia o kolejnym trupie.

Potargał jej włosy.

– Podoba mi się takie pozytywne myślenie.

– To dobrze, bo jestem pewna, że będzie kolejny trup. Nieładnie jest łudzić się nadzieją, że kolejne zabójstwo dostarczy nam więcej informacji.

Znów przyjrzała się mapie i pokręciła głową.

– Czyli najlepsze, co możemy teraz robić, to cofnąć się w czasie.

Opiszę to wszystko i roześlę e-maile. Peabody może się zająć zbieraniem informacji o pierwszej trasie.

– Może zrobię to samo z najmniej prawdopodobną? W najgorszym razie będziesz mogła ją wykreślić.

Spojrzała na niego. Zachowywał się władczo, nawet kiedy był swobodnie ubrany. Z pewnością miał dużo własnych spraw do załatwienia.

– To mnóstwo nudnej, policyjnej pracy na jeden wieczór.

– Wystarczająco nudnej, bym jednocześnie mógł zająć się swoimi, mniej nudnymi sprawami.

– Jestem twoją dłużniczką.

– Ustalimy plan spłat.

– No pewnie. Jakbym nie wiedziała, w jakiej to będzie walucie.

Roześmiał się i przyciągnął Eve do siebie, żeby ją pocałować.

– Dzięki czemu jestem najbogatszym człowiekiem pod słońcem.

– I bez tego jesteś wystarczająco bogaty.

– Nie bez ciebie. – Tym razem pocałował ją z czułością w czoło. –

Już nigdy bez ciebie.

Naprawdę tak uważał, pomyślała Eve, wracając do swojego biurka.

I doskonale go rozumiała. Kiedyś wystarczała jej policyjna odznaka.

Była dla niej wszystkim.

Ale teraz już nie.

Zrzuciwszy pierwszą trasę na barki Peabody, a drugą – na Roarke'a, Eve zajęła się środkową. Połączyła się z IRCCA i zawęziła poszukiwania do poszczególnych regionów, wyodrębniwszy trzy kategorie: osób zaginionych, nierozwiązanych spraw zabójstw i przypadków, łączących dwie poprzednie kategorie.

Wymagało to czasu – jak zwykle – więc czekając na pierwsze wyniki, podeszła do tablicy i na chybił trafił wybrała jedną z ofiar.

Usiadła, przejrzała akta śledztwa, zadając sobie pytanie, co zrobiłaby inaczej, jeśli w ogóle, czy są jakieś luki, które potrafiłaby zlikwidować, jaki wzorzec postępowania by stworzyła.

Wydawało się oczywiste, że mają do czynienia z eskalacją zachowań – tortury są coraz bardziej wymyślne i trwają coraz dłużej, a odstępy między przestępstwami coraz krótsze.

Typowe dla seryjnych zabójców, pomyślała.

Stwierdziła, że czas stosowania tortur się wydłużał – od osiemnastu godzin w przypadku pierwszej znanej policji ofiary do czterdziestu dziewięciu. Odstęp między pierwszą a drugą znaną ofiarą wynosił dziesięć dni, między ofiarą z New Jersey a Kuperem – cztery dni.

Jeśli prawidłowo ich rozszyfrowała, teraz przestali podróżować i osiedli w mieście. Koniec z małymi miasteczkami, koniec z bocznymi drogami. Przyszła pora na wielką metropolię.

Eve poprawiła się w fotelu i wyjrzała przez okno, za którym panował mrok.

Już mają kolejną ofiarę albo nastąpi to niebawem. Nim nadejdzie świt, o ile zamierzają się trzymać dotychczasowego wzorca postępowania. Dawało jej to dwa dni na wykrycie przestępców

i uratowanie komuś życia.

Kiedy zaczęły spływać informacje, Eve zrobiła wielkie oczy. Zbyt wiele zaginionych, którzy się nie odnaleźli, doszła do wniosku, i zbyt wiele nierozwiązanych spraw.

Skupiła się na wynikach trzeciego poszukiwania, bo tu liczby były niższe.

– Być może mam parę punktów zaczepienia – powiedział Roarke, wchodząc do pokoju. I uniósł brwi, kiedy ujrzał jej zaciętą minę. – Śmiem twierdzić, że wpadłaś na ich trop.

– Południowo-wschodnia część Missouri. Wąski klin, wciskający się między Arkansas a Tennessee.

– Mała dziura Cutter's Bend.

Uniosła wzrok.

– Też ją znalazłeś.

– Zupełnie przypadkowo. Dziewiętnastolatek, który pewnego pogodnego, wrześniowego wieczoru zaginął w drodze powrotnej z boiska piłki nożnej do domu.

– Jego zwłoki znaleziono prawie tydzień później, porzucone na porośniętym lasem terenie przy granicy z Tennessee. Do tego czasu doszło do częściowego rozkładu ciała, dorwały się też do niego zwierzęta. Złamany nadgarstek, złamane palce, rany cięte i klute, brak śladów molestowania seksualnego, ale na tym, co pozostało z przegubów rąk i kostek u nóg, zauważono otarcia, świadczące, że był skrępowany. Silne uderzenie tępym narzędziem w tył głowy, trochę śladów po oparzeniach.

– Zniknął dziesięć dni przed pierwszą dotychczas znaną policji ofiarą. Brak wyciętego serca na ciele, ale to zrozumiałe, jeśli uwzględnić stan rozkładu zwłok i zwierzęta. A jeśli podążyc od tego chłopaka...

– Noaha Pastona...

– Tak, jeśli podążyc od Pastona do pierwszej potwierdzonej ofiary, mamy po drodze Avę Enderson.

Roarke przysiadł na krawędzi biurka.

– Nie natrafiłem na nią.

– Nikt na nią nie natrafił. Zaginęła mniej więcej wtedy, kiedy dwójka dzieciaków natknęła się na szczątki Pastona. Podróżowała

samotnie z Memphis do Nashville, ostatni raz widziano ją koło siódmej wieczorem, gdy jadła kolację w jakimś barze z piętnaście kilometrów od głównej drogi. Według słów kelnerki, która ją obsługiwała, dość sympatyczna kobieta. Powiedziała, że jedzie do Nashville na spotkanie z kilkoma koleżankami, ale ponieważ dotrą tam dopiero następnego dnia, rozważała, czy nie zatrzymać się gdzieś na noc, żeby rano być wypoczęta. Poza tym miała kłopoty z samochodem.

Mówiąc to, Eve wyświetliła na monitorze zdjęcie kobiety.

– Kelnerka poleciła jej parę miejsc. Tej Enderson zależało na czymś cichym i sielskim gdzieś na uboczu. Więc kelnerka powiedziała jej o jakimś zajeździe. Tamta poszukała go w swoim palmtopie, spodobał jej się jego wygląd, więc zarezerwowała tam pokój.

– I domyślałam się, że nigdy tam nie dotarła.

– Dobrze się domyślasz. Jej samochód znaleziono trzy kilometry od tego miejsca... O, tu. – Zaznaczyła na ekranie. – Sundown Inn. Ktoś się włamał do wozu, maska była podniesiona, rzeczy Avy Enderson znajdowały się w bagażniku. Wymontowano komputer samochodowy. Fachowo. Do tej pory nie natrafiono na ślad tej kobiety.

– Pokaż mi trasę – poprosił Roarke i skinął głową, spoglądając uważnie na ekran. – Tak, rozumiem. Bardzo logiczna trasa od chłopaka do tej kobiety, a potem do pierwszej znanej ofiary.

Tak, Eve wpadła na trop i musiała nim podążyć.

– Mam jeszcze jednego zaginionego, w Kentucky, który mi pasuje, i jednego w Wirginii Zachodniej. Intuicja mi mówi, że to robota naszej pary. Ten mężczyzna wybrał się na pieszą wędrówkę z namiotem, co mnie zaskoczyło. Czemu ktoś miałby celowo robić coś takiego? Siedzieć przy ognisku, spać w namiocie? Ale wszędzie zdarzają się dziwacy. Jego żona wszczęła alarm, kiedy do niej nie zadzwonił, jak każdego poranka, i nie odbierał telefonów. Tak długo się piekliła, aż gliniarze udali się do jego obozowiska. Nie zastali tam faceta. Uznali, że udał się na pieszą wycieczkę, bo nie znaleźli nic podejrzanego.

Odchyliła się w fotelu i spojrzała na ekran.

– Po sześciu dniach znaleziono jego zwłoki w wąwozie. Też w znacznym stopniu rozłożone, poszarpane przez zwierzęta. Policja uznała to za nieszczęśliwy wypadek. Ale żona zmarłego nie dała za

wygraną, poszła do dziennikarzy, wynajęła prawników, zatrudniła prywatnego detektywa. Więc nie zamknięto tej sprawy.

Eve znów usiadła, podzieliła ekran, na jednej części wyświetliła zdjęcie, na drugiej – trasę.

– Jacob Fastbinder. Zdaje się, że żona, podobnie jak on, jest miłośniczką pieszych wycieczek. Odkąd skończył dwanaście lat, co najmniej dwa razy w roku gdzieś wędrował. Znał te strony, nie był głupi, nie ryzykował, zawsze dobrze się przygotowywał. Kiedy znaleziono jego zwłoki, nie było przy nich plecaka. Miejskowa policja twierdzi, że Fastbinder mógł zgubić plecak albo zwierzęta go odciągnęły, ale to bzdura. Nie miał też zegarka na rękę, specjalnego modelu dla piechurów. Lekarz sądowy nie potrafił ustalić, czy ktoś mu zadał część ran, czy też odniósł je w wyniku upadku.

– Zamierzasz porozmawiać z żoną tego mężczyzny.

– Z całą pewnością. Z nekrologu wiem, że kazała go pochować. Przypuszczam, że zgodzi się na ekshumację zwłok, by zbadał je antropolog sądowy.

– Chcesz to zlecić DeWinter. – Roarke skinął głową. – Dobry pomysł.

– Mam jeszcze parę przypadków, którym chciałabym się bliżej przyjrzeć. – Eve potarła zmęczone oczy. – Ale wiem, że sprawcy, których szukamy, mają na swoim koncie więcej zabójstw. Nie potrafię powiedzieć, czy chłopak z Missouri był ich pierwszą ofiarą. Nie wydaje mi się, ale z całą pewnością zginął z ich rąk.

– A teraz ty się nim zajmiesz.

Wzruszyła ramionami i spojrzała w stronę autokucharza.

– Potrzebujesz snu. Nie możesz o tej porze skontaktować się z żoną miłośnika pieszych wędrówek ani dopaść gliniarzy, którzy zajmowali się tymi sprawami. Nie o takiej godzinie.

Pociągnął Eve za rękę, zmuszając ją, by wstała.

– O ile Peabody na nic nie natrafi, możesz zacząć od Missouri i cofnąć się, jeśli podejrzewasz, że tamten dziewiętnastolatek nie był ich pierwszą ofiarą. Daj odpocząć swojemu umysłowi i intuicji.

Nie zaoponowała tylko dlatego, bo chciała, żeby wszystko ułożyło się w jej głowie, żeby podświadomość miała okazję nad tym

popracować. Noah Paston – umieści go rano na swojej tablicy – nie był ich pierwszą ofiarą.

– Paston – powiedziała, kiedy Roarke wyciągał ją z pokoju. – Miejscowi policjanci sumiennie go szukali. A kiedy jego zwłoki znaleziono w sąsiednim stanie, poinformowali federalnych. Wszyscy w okolicy znali i lubili tego chłopaka. Jakiś czas wcześniej rozstał się ze swoją dziewczyną, pobił się z chłopakiem, dla którego go rzuciła, ale była to zwykła bójka. Tamten chłopak ma niepodważalne alibi, a poza tym nie pasuje na zabójcę.

W sypialni Eve zdjęła buty.

– W szkole dobrze sobie radził, zrezygnował z wyjazdu do college'u i postanowił robić kursy przez Internet, żeby móc zostać w domu i pomóc prowadzić rodzinny interes, centrum ogrodnicze. I grał w piłkę, razem ze swoim ojcem był trenerem Małej Ligi. Ze wszystkich raportów wynika, że go powszechnie lubiano.

– Dlaczego uważasz, że nie był pierwszą ofiarą?

– Nie pasuje mi na pierwszą ofiarę. Znów znalazł się w złym miejscu o złej porze. Na ogół wracał z boiska do domu samochodem. Miał pikapa. Ale pożyczył go przyjacielowi na godzinę przed końcem treningu. I został dłużej, żeby poćwiczyć indywidualnie z jakimś dzieciakiem, którego następnie odprowadził do domu. Zwykle tak nie robił, więc jeśli ktoś czekałby na niego, nie pojawiłby się wtedy, kiedy się go spodziewano. Poszedł na skróty, bo był bez samochodu, a przynajmniej powiedział dzieciakowi, że tak zrobi. Skierował się ku bocznej drodze, biegnącej przez pole, za którym był jego dom. Zapadał zmrok. Robiło się ciemno.

– A ci dwoje akurat przejeżdżali tamtędy i go zobaczyli.

– Bardzo możliwe. Spytała, czy go nie podrzucić albo jak gdzieś dojechać. A może tamta kobieta jakoś go zwabiła. Był wysportowany, młody, szybki, miał przy sobie kij baseballowy, ale udało im się go obezwładnić. Nie stanowił łatwego celu, o nie, pewnie myśleli, że mają przed sobą młodego, głupiego wyrostka na bocznej drodze i w zapadających ciemnościach. To chłopak, więc nie napadli go dla pieniędzy. Nie miał przy sobie znaczącej kwoty. Tylko telefon komórkowy, którego nigdy nie znaleziono, dobry kij baseballowy

i rękawicę, ale nic, co miało większą wartość. I nie zgwałcili go ani nie molestowali seksualnie.

– Zupełny przypadek.

– Tak to widzę. – Chciała się oswoić z tą myślą. – A nie wyglądałoby to tak, gdyby był ich pierwszą ofiarą. Za pierwszym razem znaleźli sobie jakiś powód, coś, co sprawiło, że utracili kontrolę nad sobą. Nie znalazłam jeszcze ich pierwszej ofiary.

– Dlaczego porzucili ofiarę tak daleko, poza granicami stanu, tak że do sprawy włączyło się FBI?

Włożyła koszulę nocną.

– Jechali dokądś... Upatrzyli sobie jakieś miejsce na nocleg. Zabrali chłopaka, prawdopodobnie go obezwładnili. Zakładam, że nie wiedzieli, iż przekraczają granicę stanu, nie zastanawiali się nad tym. Zwyczajnie chcieli go wywieźć gdzieś dalej, dzięki temu zyskali więcej czasu na zabawę z nim.

Wciąż to rozważając, Eve wyciągnęła się w pościeli, machinalnie gładząc po głowie Galahada, który wskoczył na łóżko obok niej.

– Zabrali go do jakiegoś domu na uboczu gdzieś w pobliżu, jak wtedy, kiedy zmierzali w stronę Nashville. Stary budynek, chata, domek wędkarza, cokolwiek. Potem wszystko posprząтали, wywieźli zwłoki i porzucili je w sporej odległości od miejsca, gdzie zabili swoją ofiarę. Kto by ich szukał?

– Ty.

– Teraz tak. Wiedząc to, co teraz wiemy.

– Wtedy też – odparł i położył się obok niej. – Rozważałabyś trasę ich podróży tak, jak robisz to teraz. Wiedziałybyś, że musieli mieć jakieś miejsce, gdzie mogli go przetrzymać, i poszukałybyś go.

– Teraz niewiele mu to pomoże. Jest jeszcze jedna ofiara w Arkansas. Małe prawdopodobieństwo, ale i tak chcę się temu jeszcze raz przyjrzeć. I druga w Zachodniej Wirginii, jak sądzę...

– Jutro. – Roarke otoczył ją ramieniem, przytulił. – Poczekaj z tym do jutra.

– Bo chcesz, żebym ci się odwdzięczyła za pomoc.

– Zastanawiałem się, czy nie zostawić tego długu niespłaconego, żeby narosły odsetki, i to spore, ale jeśli życzysz sobie teraz go spłacić,

nie będę oponował.

– Zawsze jesteś na to gotów.

Patrząc mu w oczy, przesunęła ręką po jego klatce piersiowej, tułowi, brzuchu i stwierdziła, że jest twardy i rozpalony.

– Widzisz? – Objęła go palcami. – Jak wy, faceci, możecie z czymś takim żyć na co dzień?

– Taki już los mężczyzny, że musi dźwigać ten krzyż.

– Zaledwie kilka centymetrów długości, a rządzi umysłem i jaźnią, może przesłonić zdrowy rozsądek.

– Kilka centymetrów? – obruszył się, czym ją rozśmieszył.

– Wiedziałam, że tak tego nie zostawisz.

– Jeśli właściwie go wykorzystać, można dzięki niemu zawładnąć kobiecym umysłem, jaźnią i pozbawić ją zdrowego rozsądku.

– Domyślam się, że zaraz mi pokażesz, jak właściwie należy go wykorzystać.

– Z największą przyjemnością.

Położył się na niej, ale najpierw pocałował ją długo i namiętnie.

Poddała się jego pieszczotom bez oporów, chociaż kiedyś uważała, że nie wolno odsunąć na bok spraw zawodowych. Nie wyobrażała sobie, że można brać i dawać, nie przejmując się tym, co się dzieje na świecie.

Tylko ich dwoje – tylko dwoje, bo kot z irytacją zeskoczył ciężko na podłogę – w dużym łóżku pod oknem w suficie, przez które było widać niebo. Jak byli tylko we dwoje na wyspie przez te długie, słoneczne dni i ciepłe, upojne noce.

Potrafił ją zabrać bardzo daleko, całując ją i pieszcząc. Przesuwał teraz dłońmi po jej ciele, po jej krągłościach, jakby ją modelował ze szkła.

Kiedyś w to nie wierzyła, ale teraz wiedziała, że miłość nie musi być szalona i namiętna, by sprawiła, że się zapomina o całym świecie.

Wtuliła się w niego, odprężona i chętna, aż serce zaczęło mu bić mocniej, kiedy wzdychała z zadowolenia, a krew szybciej krążyła w żyłach, kiedy Eve przesuwiała palcami po jego skórze. Byli tak ze sobą zespoleni – sercem, duszą i umysłem – że tworzyli jedność.

– Kocham cię – wymamrotał po angielsku, a potem po irlandzku, kiedy jej puls przyspieszył.

Przyłgnęła do niego całym ciałem.

– Jesteś dla mnie miłością. Jesteś moją miłością. – Ujęła jego twarz w obie ręce i odsunęła na tyle, by mógł spojrzeć w jej oczy. – Jesteś mój – powiedziała, całując go delikatnie w usta.

Mogła zanurzyć się w tej studni miłości, studni bez dna. Mogła się unosić na jej powierzchni, kiedy wstrząsały nią dreszcze. I wznieść się na sam szczyt, gdy te dreszcze roznieciły w niej iskrę.

Pozwoliła, by wniknął w nią, twardy i gorący, pociągnęła go za sobą, więc razem wznosili się i opadali.

Ze splecionymi dłońmi i sercami, bijącymi jednym rytmem. Kiedy znieruchomieli, wypełniła ich miłość.

Eve zwinęła się w kłębek obok niego, by napawać się jego ciepłem, wdychać jego zapach. Dotknęła ustami jego szyi.

– Spłaciłam dług w pełni, kolego.

– Zapiszę to w księdze razem z uwagą, że pomogłaś mi dźwigać moje brzemie przez kolejny dzień.

Parsknęła śmiechem, ale już zaczęła ją ogarniać senność.

– A jak tam umysł, jaźń i cała reszta?

– Dziękuję, dobrze. A twoje?

– Dobrze. Wszystko jak należy.

Gładził ją po plecach, kiedy zapadała w sen; poczuł, jak materac się ugina, kiedy kot uznał, że droga wolna i znów wskoczył na łóżko.

Pomyślał: jak mi dobrze. A nawet bardzo dobrze.

*

Czego nie mogła powiedzieć Jayla Campbell. Była maksymalnie wkurzona, kiedy wlokła się wzdłuż Carmine, zgarbiwszy się, żeby bronić się przed zimnem. Gdyby Mattio nie okazał się takim gnojkiem, nie wyszłaby z przyjęcia, nie znalazłaby się teraz taki kawał drogi od domu. Na dodatek nigdzie nie było ani śladu taksówki.

Położył rękę – obie dłonie – na tłustym tyłku tej blondyny i ocierali się o siebie. Tym razem nie da się nabrać na jego „tylko się wygłupiałem” i „kotku, byłem pijany”.

Koniec z nimi.

W ogóle nie powinna była dziś wychodzić z domu. Jutro wcześniej

zaczyna pracę, nie zna tej części miasta. I nie знаła nikogo na tym głupim przyjęciu.

Powinna posłuchać swojej współlokatorki i zostać w domu. Ale była trochę zła na Kari za to, że powiedziała jej, że Mattio ją zdradza. Byłam na nią zła, przyznała teraz sama przed sobą, bo wiedziała, że to prawda.

Dlaczego, do diabła, Mattio musi być taki przystojny i taki świetny w łóżku?

Koniec z nimi, powtórzyła, powstrzymując łzy i wysyłając wiadomość do swojej współlokatorki.

„Wracam do domu – skończyłam tę farsę. Zaczekaj na mnie, jeśli jeszcze się nie położyłaś. Wstań, jeśli już leżysz. Chcę się napić wina i popłakać”.

Powstrzymywała łzy, których powodem w równym stopniu była złość, jak i rozstanie z tym gnojkiem Mattio.

– Ej, proszę pani! Hej, przepraszam!

Usłyszała kobiecy nosowy głos, ale się nie zatrzymała.

– Proszę pani! Najmocniej przepraszam, ale naprawdę zabłądziłam. Czy może mi pani powiedzieć, jak dojść do Broome? Czy tędy tam dojdę? Czy dojdę do Broome?

Podbiegła do niej właścicielka nosowego głosu. Dygotała z zimna, zagryzła usta.

– Wiem, że zabłądziłam, i jestem bardzo zdenerwowana. Gdyby mi pani mogła powiedzieć, w którą stronę mam iść? Jest tak zimno, a nigdzie nie widać taksówki.

– No właśnie. – Jayla westchnęła. – Powiedziała pani: Broome?

– Tak, z „e” na końcu. Nie jestem z Nowego Jorku.

– Naprawdę?

Kobieta się uśmiechnęła, a potem spuściła wzrok.

– Och, rzuci pani na to okiem?

Jayla odruchowo spojrzała w dół, nachylając się nieco.

Poczuła uderzenie, jakby młotkiem. Może to był młotek. Poczuła ból, świat zawirował jej przed oczami. Chciała krzyknąć, ale tylko jęknęła.

Coś, a raczej ktoś ją popchnął. Upadła ciężko, na tyle ciężko, że

straciła przytomność.

– Mam ją, skarbie! – Usłyszała nosowy głos, dobiegający jakby z tunelu wypełnionego wodą. – Chodźmy, mam ją. Mówiłam ci, żebyś pozwolił mi je wybierać, Darrylu. Mam nosa.

Ktoś się roześmiał. Jayla jęknęła i próbowała się odwrócić, ale poczuła kolejne uderzenie młotkiem i ogarnęły ją ciemności.

Rozdział 8

Eve obudził znajomy zapach świeżo zaparzonej kawy. Roarke miał już na sobie jeden ze swoich garniturów władcy świata interesów, siedział i robił coś na palmtopie, a na ekranie przesuwały się informacje finansowe, których Eve nigdy nie mogła zrozumieć. Kocur rozparł się na oparciu kanapy jak jakiś koci potentat.

Naprawdę chyba nie mogło być lepiej.

Przez chwilę leżała bez ruchu, chłonąc to wszystko, ale Roarke i tak zauważył, że się obudziła, bo spojrzał na nią.

– Dzień dobry.

– Czuję, że zapowiada się dobry dzień – doszła do wniosku.

Wstała, bo nie istniało nic bardziej pociągającego niż zapach kawy. Ponieważ przyniósł cały dzbanek, podeszła, żeby nalać jej sobie do wielkiego kubasa, i pociągnęła pierwszy łyk.

– Z iloma krajami i stacjami pozaziemskimi rozmawiałeś dziś rano? – spytała.

– Tylko z Włochami i Olympusem. Niewiele się dzieje.

– W twoim świecie – poprawiła go, bo była dopiero szósta rano. – Wezmę prysznic – oświadczyła i zabrała ze sobą kawę do łazienki.

Poza kawą, prawdziwą kawą, gorąca woda tryskająca z dysz i deszczownicy była według Eve czymś idealnym na dobry początek dnia. Zdarzały się ranki, gdy w ogóle o tym nie myślała, tak się do tego przyzwyczaiła. Ale kiedy indziej z całą ostrością przypominała sobie zimno, głód, ciemności i ból.

Przez ułamek sekundy zobaczyła tamten pokój w Dallas – migający czerwony neon nad nocnym klubem, przenikliwe zimno, bo zepsuł się termostat, przejmujący głód, skręcający kiszki, i lęk, że ojciec wróci pijany, ale nie na tyle, by znów nie sprawić jej bólu.

Przez pierwszych osiem lat życia głód, strach i ból stale jej towarzyszyły.

Dlaczego pomyślała o tym teraz, w taki wspaniały poranek, kiedy spływała na nią gorąca woda, a świeży, lekko ziołowy zapach żelu pod

prysznic unosił się razem z parą?

Miałam sen, uświadomiła sobie Eve. Nie, nie jeden z tamtych koszmarów z przeszłości, nie przyśniła jej się owa okropna noc, kiedy zabiła Richarda Troya po tym, jak kolejny raz ją zgwałcił. Ale gdzieś przewijał się w jej śnie.

W pierwszym odruchu chciała odpędzić od siebie ten obraz – nie mogła twierdzić, że uwolniła się od lat traumy, ale się nauczyła, jak nie wracać do tamtych przeżyć i normalnie żyć. Lecz nieradzenie sobie z przeszłością – z koszmarami – dawało im zbyt wielką władzę nad życiem Eve i wpływało na jej podświadomość, kiedy spała.

Więc pozwoliła, by tamte myśli do niej wróciły, kiedy przeszła spod prysznicza do suszarki. A gdy owiewało ją ciepłe powietrze, usłyszała muzykę.

Wiolonczela. Grał na wiolonczeli. Requiem, powiedział Dorian Kuper. Był w smokingu, z pomocą smyczka i swych zręcznych palców wydobywał z instrumentu smutne dźwięki.

Requiem za wszystkich.

Widziała twarze zmarłych, siedzących w milczeniu na widowni opery, kapiącej od złota, połyskującej od żyrandoli. Każdego zmarłego oświetlało lodowato niebieskie światło.

„Spójrz na mnie. Ujmij się za mną.”

Tylu ich jest, pomyślała. Ofiary znane policji i ci, których Eve uważała za ich ofiary.

I puste krzesła – dla tych, których jeszcze nie znaleziono albo, co gorsza, dla tych, którzy dopiero czekali na swoją śmierć, niczego nieświadomi.

Za dużo pustych krzeseł, pomyślała, wychodząc z suszarki i wzięła szlafrok z wieszaka.

Richard Troy wszedł na scenę, uśmiechając się demonicznie. W dłoni trzymał pałeczkę dyrygenta.

„Wprowadźmy więcej życia! Pora na wesołą melodię. Zabijanie stymuluje, sprawia, że idziemy sprężystym krokiem. Powinnaś o tym wiedzieć, moja mała.”

– Niech cię wszyscy diabli – mruknęła i usłyszała, jak powtarza te słowa przez sen.

Uśmiechnęła się nieco złośliwie. Już nie miał do niej dostępu, już się nie trzęsła na jego widok.

Lecz ani ten sen, ani wspomnienie ojca nie powiedziały jej niczego, czego by już nie wiedziała. Było wiele ofiar, a będzie ich więcej.

Gdy wróciła do sypialni, zauważyła, że Roarke postawił na stole dwa przykryte naczynia.

Z pewnością owsianka, kolejna rzecz, na którą przystała.

Podeszła do stołu i usiadła obok męża. Roarke ujął ją pod brodę i odchylił głowę Eve, by ją pocałować.

Kolejna cudowna rzecz na początek dnia. Nawet jeśli potem następowała owsianka.

Kiedy uniósł pokrywki, zobaczyła, że się nie pomyliła. Ale oprócz owsianki był boczek, miseczka dorodnych jagód i jeszcze jedna miseczka z czymś chrupiącym, karmelowym. Jeśli dodać do owsianki owoce i to coś słodkiego, chrupiącego, to nawet dawało się ją przełknąć bez większego trudu.

– Dlaczego owsianka, taka zdrowa, musi być taka ohydna w smaku?

– Jest dużo osób, które wcale nie uważają, że owsianka smakuje ohydnie.

– Założę się, że większość ma przeciwne zdanie – mruknęła i dodała do niej owoce i chrupki.

– Idealny sposób rozpoczęcia dnia, kiedy pada śnieg.

– Śnieg? – Uniosła wzrok, spojrzała w stronę okna na szaro-biały świat.

Nie prószło tak jak wczoraj. Z nieba leciały grube, białe płatki.

– Kurde.

– Stąd ślicznie wygląda, kiedy na stole stoi śniadanie, a w kominku płonie ogień.

– Byłoby świetnie, gdybyśmy mogli tak tu siedzieć, aż przestanie padać.

– Czy nie ma czegoś, czym mogłabyś się zająć rano w domu?

Prawdopodobnie mogłaby popracować w domu. Jej domowy komputer i inne urządzenia elektroniczne, z których mogła tutaj

korzystać, były o niebo lepsze od jej sprzętu w pracy. Ale...

– Potrzebna mi Peabody... – zaczęła.

– Mogę się postarać, żeby ją tu przywieziono.

Pomyślała, że mógł i zrobićby to. Wciąż jednak miała wątpliwości.

– Dopiero co wróciłam z urlopu. Jestem potrzebna swoim ludziom.

Jutro Trueheart zdaje egzamin na detektywa. Baxter okropnie to przeżywa.

– To, że tak przeżywa egzamin swojego młodego pomocnika, dobrze o nim świadczy. I nie wmawiaj mi, że sama się nie denerwowałaś, kiedy Peabody zdawała egzamin.

– Uczyłam ją. Gdyby nie zdała, skopałabym jej tyłek.

– Jak według ciebie poradzi sobie nasz młody Trueheart?

– Zda. Jeśli nie, będzie to świadczyło jedynie, że jeszcze nie jest gotów. Że zawiodły go nerwy. A gliniarz nie może sobie pozwolić na to, żeby zjadły go nerwy, dlatego to by znaczyło, że jeszcze nie jest gotów. O ile Baxter i Trueheart nie dostaną jakiejś pilnej sprawy, chciałabym ich wykorzystać przy tym dochodzeniu. Przyda mi się każda pomoc, a dzięki temu obaj będą mieli zajęcie i przestaną myśleć o egzaminie.

– Dobra z ciebie szefowa, pani porucznik.

– Moi podwładni zasługują na dobrego szefa, więc muszę być dobra. Jeśli Trueheart zda, poproszę o kolejnego mundurowego.

– Masz już kogoś konkretnego na oku?

– Jest paru kandydatów. – Kiedy wzięła na widelec plasterek boczku, zobaczyła, że kot zaczyna się ześlizgiwać z kanapy niby wąż. – Jakie masz plany na dziś?

– Kilka spotkań, kilka analiz – na szczęście większość z nich mogę zrobić, nie ruszając się z domu, telefonicznie albo wykorzystując salę holograficzną. Wyjdę później. Zamierzam wstąpić do schroniska dla młodzieży, prace przy nim bardzo szybko się posuwają. I ponieważ też byłem na urlopie, chciałbym spędzić trochę czasu w biurze. –

Z apetytem zjadł owsiankę. – Też staram się być dobrym szefem.

– Całych rzesz podwładnych.

Kot czołgał się ze wzrokiem utkwionym w boczek. Roarke uniósł brew. Galahad przewrócił się na wznak i ziewnął szeroko.

– Dlaczego uważa, że uda mu się spróbować boczku? –

zastanowiła się na głos Eve. – Przecież nigdy mu się nie udaje.

– Nie dostaje się nagrody, jeśli się po nią nie sięga.

Przyznała mu rację i sięgnęła po nagrodę w postaci kawy. Akurat wtedy zadzwonił jej komunikator.

– Do diabła. – Wstała, podeszła do komody, żeby odebrać. – Dallas.

– Dyspozytor do porucznik Eve Dallas. Należy się spotkać z kobietą, mieszkającą na Bond numer sześćset dwadzieścia trzy mieszkania dziewięćset dwa. Kari Whittiker zgłosiła zaginięcie osoby. Na pani życzenie informujemy o wszystkich zgłoszeniach zaginięcia osób.

– Kto zaginął?

– Jayla Campbell, lat dwadzieścia cztery, kobieta rasy mieszanej. Ostatni raz widziana w mieszkaniu numer sześćset piętnaście przy Carmine siedemset pięćdziesiąt cztery koło godziny dwudziestej czwartej trzydzieści.

– Przyjęłam. Zajmę się sprawą. Dallas się rozłącza.

Zmarszczyła czoło i spojrzała na komunikator, nim go odłożyła.

– Prawdopodobnie to nic takiego. Prawdopodobnie spotkała kogoś, ale kazałam się informować o wszelkich zaginięciach lub potencjalnych zaginięciach osób w wieku powyżej szesnastu lat. Wiemy, że nigdy nie napadali na dzieciaki.

– Niewielka pociecha. Chcesz, żebym pojechał z tobą?

– Nie ma sensu. Pojadę sama, a przedtem wstąpię do komendy, żeby porozmawiać z Peabody. Kobieta nie kontaktuje się od niespełna ośmiu godzin, więc prawdopodobnie to nic takiego.

– Ale trzeba sprawdzić.

– Ale trzeba sprawdzić. – Skierowała się do garderoby. – Jeśli się okaże, że to ich sprawka, będziemy mieli znacznie więcej czasu niż w przypadku ich wcześniejszych ofiar. To dobry początek.

Wyszła z garderoby z granatowym swetrem pod szyję, brązowymi spodniami i brązową marynarką. I znów zmarszczyła czoło, kiedy Roarke uniósł brwi tak samo, jak przedtem na widok Galahada, skradającego się do boczku.

– Co? Co ci się znów w tym nie podoba?

– Zostaw sweter i spodnie. – Wstał, wziął od niej marynarkę i poszedł do garderoby.

– Dlaczego według ciebie nie potrafię się odpowiednio ubrać? – spytała Eve. – Uważam, że dobrze wybrałam, ale ty wolisz, żebym myślała, że nie opanowałam tej sztuki.

– Nie wybrałaś zupełnie źle. Ale tak będzie lepiej.

Wzięła stanik, mrużąc coś pod nosem na temat lepszych wyborów, włożyła bieliznę i wkładała spodnie, kiedy wyszedł z marynarką – też brązową.

Ale w delikatne, cieniutkie granatowe prążki. Botki również były granatowe, z szerszym brązowym paskiem po bokach.

Wiedziała, że nigdy wcześniej nie widziała ich na oczy.

– Wodoodporne, ocieplane – powiedział Roarke. – Twoje nogi będą ci za nie wdzięczne.

– Ile mam par butów?

– Skąd mam wiedzieć?

– Kupujesz je, więc powinieneś wiedzieć. – Wciągnęła sweter przez głowę, poprawiła włosy.

Pocałował ją.

– Jedna z moich małych przyjemności. Odmówiłabyś mi jej?

Wzięła buty i usiadła. Włożyła je i zrobiło jej się ciepło w stopy.

– Wiesz, ile miałam par butów, zanim cię poznałam? – Wstała i sięgnęła po broń.

Roarke tylko się uśmiechnął, co świadczyło, że niewątpliwie wiedział.

– Dwie, chociaż jedna para właściwie się nie liczy, bo była rezerwowa. A jakoś udawało mi się chwytac złoczyńców.

– Racja. Ale teraz chwytasz ich, chodząc w wygodniejszych i modniejszych butach.

Wzięła od niego marynarkę, włożyła ją i zaczęła wkładać do kieszeni to, czego mogła potrzebować.

– Wiesz, że wyszłam za ciebie dla seksu i wygody, nie dla butów.

– Czy w takim razie nie cieszysz się z dodatkowej premii?

Tym razem to ona go pocałowała.

– Tak. Wezmę z gabinetu kilka rzeczy i lecę. Do zobaczenia

wieczorem.

– Sądzę, że będę w domu do jedenastej, gdybyś mnie potrzebowała. A na razie dbaj o moją policjantkę.

– To prawie na samej górze mojej listy priorytetów – powiedziała i wyszła.

– Wcale nie. Wcale nie na górze twojej listy priorytetów. – Roarke obejrzał się i zobaczył, że kot zdołał wykorzystać te kilka minut, gdy nie zwracali na niego uwagi, i porwał kawałek boczku, który został na talerzu Eve. – I właśnie dlatego nie przestajesz próbować, prawda? Od czasu do czasu udaje ci się zdobyć nagrodę – zwrócił się do zwierzaka.

Galahad oblizwał wąsy i beknął.

Gdy Eve zeszła na dół, jej płaszcz wisiał na balustradzie, a na nim leżał starannie złożony szalik od Peabody, a także czapka z płatkami śniegu od pana Miry i nowa para rękawiczek.

Pomyślała, czy nie wcisnąć czapki do kieszeni, ale przypomniała sobie padający śnieg i zmieniła zdanie. Postanowiła potraktować czapkę jak talizman na szczęście. Oczywiście dopóki nie uda się jej zgubić, jak gubiła wszystkie czapki i rękawiczki, jakie kiedykolwiek miała. Owinęła szyję szalikiem, a ponieważ uznała, że zwisające końce aż się prosiły, by w każdej bójce przeciwnik ją nimi udusił, wsunęła je pod płaszcz.

Wkładając rękawiczki, wyszła na sypiący śnieg. Jej samochód już stał z włączonym silnikiem i ogrzewaniem – przypuszczała, że ustawionym na cały regulator.

Normalka, uznała. Takie rzeczy stawały się czymś zwyczajnym. Ale to wcale nie oznaczało, że traktowała je jak coś oczywistego.

Wyobraziła sobie, że Summerset zachichotał upiornie, szykując dla niej czapkę ozdobioną płatkami śniegu, i prychnął, kiedy wyjął rękawiczki, których los był przesądzony. Ale przygotował je dla niej.

– Więc dziękuję – mruknęła i odjechała swoim nierzucającym się w oczy wozem.

Zostawiła Peabody wiadomość w poczcie głosowej, informując, że udaje się na rozmowę w sprawie potencjalnie zaginionej osoby i zamierza dotrzeć do komendy o zwykłej porze.

„Sprawdź potencjalne ofiary, których dane ci przesłałam – dodała.

– Zorientujmy się, co to byli za ludzie, niech lokalna policja się nimi zajmie. Jeśli się okaże, że te potencjalne ofiary, które wytypowałam, zginęły z rąk szukanych przez nas zabójców, zajmiesz się tym”.

Pomyślała, że mogłaby zaangażować Baxtera i Truehearta do sprawdzenia tamtych dwóch przypadków, których dokładnie nie przeanalizowała, ale uznała, że to może poczekać.

Przebijając się do SoHo, klnąc na każdym skrzyżowaniu. Bo na każdym skrzyżowaniu byli idioci, bojący się śniegu, doszła do wniosku. Włączając przechodniów, którzy tak się spieszyli, żeby uciec przed śniegiem, że nie patrząc na światła, wbiegali na przejścia przez jezdnię.

Maksibusy wlokły się, aż Eve miała ochotę unicestwić je wszystkie. Pocieszała się, że z uwagi na pogodę wyłączono migoczące tablice reklamowe.

Dotarcie do Bond zajęło jej dwa razy tyle, ile powinno, i była tak zaskoczona, widząc wolne miejsce do zaparkowania wozu tuż przed budynkiem, że prawie pozwoliła kierowcy sedana sprzątnąć je sobie sprzed nosa.

Włączyła syrenę, spłoszyła kierowcę sedana i płynnie zaparkowała.

Kierowca sedana, najwyraźniej wściekły i pełen podejrzeń, nie odjechał. Eve wysiadła z wozu, myśląc sobie: chcesz mnie wziąć na przeczekanie, kolego?

Rozpięła płaszcz, pokazując broń, a potem machnęła tamtemu odznaką. Utkwiła w nim wzrok.

Mężczyzna odjechał.

Kolejny miły fakt tego poranka, uznała, i zaczęła brnąć przez śnieg do wejścia do ładnie odnowionego budynku z cegły, z zasypianymi śniegiem schodami i powyginaną, żelazną poręczą.

Solidny budynek, uznała, starannie odrestaurowany, przyzwoite zabezpieczenia z kamerami i czytnikami dłoni.

Już miała się posłużyć kluczem uniwersalnym, ale zrezygnowała i zadzwoniła do mieszkania numer dziewięćset dwa.

Na tyle szybko usłyszała odpowiedź, że domyśliła się, iż kobieta, która była w domu, czekała w pobliżu drzwi.

– Słucham.

– Porucznik Dallas z nowojorskiej policji. Pani Whittiker?

– Tak. Tak. Już panią wpuszczam. Zapraszam na górę. Czekam na panią.

Eve pchnęła drzwi, kiedy tylko usłyszała brzęczyk i kliknięcie odblokowywanych zamków. Hol, chociaż mały, był równie zadbane jak budynek z zewnątrz. Parkiet ze sztucznego drewna był czysty, drzwi obu wind czarne, błyszczące.

Wjechała jedną z wind na dziewiąte piętro, zadowolona, że kabina sunęła gładko i niemal bezgłośnie. Gdy tylko wysiadła z windy, otworzyły się drzwi w końcu korytarza.

Kobieta miała krótkie, modne dredy i twarz jak wyrzeźbioną w hebanie. W dużych, brązowych oczach malowało się zmęczenie i niepokój, kiedy zacisnęła obie dłonie.

– Pani z policji?

Eve pokazała jej odznakę.

– Porucznik Dallas. Kari Whittiker?

– Tak, proszę do środka. Kiedy zadzwoniłam na policję, powiedziano mi, że zbyt mało czasu upłynęło od zniknięcia Jayli, by uznać ją za zaginioną. Nawet kiedy wszystko wyjaśniłam, kazali mi wstrzymać się jeszcze dzień, spróbować dodzwonić się do niej lub do jej przyjaciółek. A potem, całkiem niedawno, zadzwonili do mnie i powiedzieli, że jednak przyjedzie ktoś z policji. Czy znalazła ją pani? Dlatego pani tu przyszła?

– Nie, przyszłam porozmawiać z panią.

– Jest pani porucznikiem. – W jej zmęczonych, niewyspanych oczach pojawiła się iskierka niepokoju. – Porucznicy zwykle nie przychodzą na rozmowy. Mój ojciec służy w piechocie morskiej, podobnie jak brat. Znam się co nieco na stopniach w policji.

– Przyjechałam na rozmowę, bo sprawdzam wszystkie zgłoszenia, dotyczące zaginięć, w związku z inną sprawą, którą prowadzę. Może usiądziemy i powtórzy mi pani to, co pani powiedziała, kiedy zadzwoniła pani na policję?

– Co to za inna sprawa?

Inteligentna i bystra, pomyślała Eve, co może się okazać pomocne. Ale w tej chwili potrzebne jej były przede wszystkim wiadomości.

– Pani Whittiker, zadawanie mi pytań nie pomoże w odnalezieniu

pani przyjaciółki. Natomiast odpowiadanie na moje pytania owszem.

– Ma pani rację. Przepraszam. Przez całą noc nie zmrużyłam oka.

Wskazała fotel w pomieszczeniu dziennym, świadczący o tym, że jego właścicielka lubi kobiecy styl, ale bez nadmiaru ozdóbek. Ciepłe kolory, mnóstwo poduszek, miękki dywan, kwiaty i świece.

– Kiedy po raz ostatni widziała się pani z panią Campbell? – spytała Eve.

– Wyszła koło dziewiątej wieczorem z Mattio, Mattio Diazem. Wybierali się na przyjęcie, nie jestem pewna, gdzie. Chyba gdzieś w West Village.

– Razem panie mieszkają?

– Tak. Mieszkamy razem od blisko czterech lat. Najpierw w akademiku, a potem wspólnie wynajęliśmy to mieszkanie.

– Przypuszczam, że pani Campbell nie pierwszy raz nie wróciła do domu na noc i że ma pani powody, by tym razem się niepokoić.

– Tak, zgadza się.

Kari znów złączyła obie dłonie. Miała na sobie ciemnoszare, skórzane spodnie i gruby, czerwony sweter, sięgający do połowy ud. W ocenie Eve bardzo się starała, żeby zachować spokój i opanowanie.

– Wczoraj koło wpół do pierwszej w nocy wysłała mi wiadomość głosową. Informowała, że jest w drodze do domu. Bo miałam rację i Mattio okazał się draniem. Prosiła, żebym na nią zaczekała, jeśli jeszcze się nie położyłam do łóżka. Jeszcze się nie położyłam. Znaczący się, położyłam, ale oglądałam film. Więc wstałam, wyjęłam butelkę wina i nasz zapas czekoladowych babeczek. Ale Jayla nie wróciła do domu. Czekałam do pierwszej, próbowałam się do niej dodzwonić i nie mogłam się połączyć.

– Nie mogła się pani połączyć?

– Tak. Jakby wyczerpała się bateria albo telefon się zepsuł lub coś w tym rodzaju. Nawet nie mogłam zostawić wiadomości na poczcie głosowej. Próbowałam wielokrotnie, ale na próżno.

– A ten Mattio?

– Och, zadzwoniłam do tego drania. – Na jej twarzy pojawiło się obrzydzenie. – Zwlekałam prawie do drugiej nad ranem, bo nie miałam ochoty z nim rozmawiać, jednak w końcu zatelefonowałam do niego.

Wciąż był na przyjęciu, pijany – wielka niespodzianka. Powiedział, że Jayla wyszła, nie wiedział, o której godzinie. Według mnie niezbyt się przejął. Wstawił swoją zwykłą gadkę, że źle go zrozumiała i niepotrzebnie jest zazdrosna.

Łzy napłynęły jej do oczu, ale nie zgasiły w nich ognia.

– Zdradza ją i oszukuje. Tak się ucieszyłam, kiedy wysłuchałam wiadomości od Jayli, bo pomyślałam, że tym razem definitywnie z nim zerwała. Mogę pani odtworzyć tę wiadomość.

– Tak, proszę to zrobić.

Kari wyjęła telefon z kieszeni.

– W kółko tego słuchałam, jakbym za kolejnym razem mogła zrozumieć, co przeoczyłam, ale...

Włączyła odtwarzanie.

Gdy Eve słuchała nagrania, ogarnęły ją złe przeczucia.

Był to głos kobiety rozzłoszczonej, która szła do domu, ponieważ chciała, żeby przyjaciółka wysłuchała jej i okazała współczucie. Nie takiej, która mogłaby wrócić na przyjęcie albo spędzić noc z jakimś innym facetem.

– Jak wróciłyby do domu?

– Zatrzymałaby taksówkę, gdyby ją znalazła. Nie lubi metra, nie lubi przebywać pod ziemią. Więc jeśli by nie udało jej się złapać taksówki, ruszyłaby pieszo.

– To długi spacer w zimną noc.

– Była wściekła, to przez jakiś czas by ją nakręcało. Pani porucznik, wiem, co pani sobie myśli. Że Jayla jest dorosłą kobietą. Pokłóciła się z przyjacielem na przyjęciu, postanowiła wrócić do domu, a potem zmieniła zdanie. Może wstąpiła do jakiegoś baru albo wynajęła licencjonowanego faceta, albo spotkała jakiegoś znajomego i z nim poszła. Ale nie zrobiłaby tego. Poprosiła, żebym na nią poczekała. Nigdy by nie dopuściła, żebym tak się niepokoiła. Zadzwoniłaby do mnie. Jesteśmy przyjaciółkami. Najlepszymi przyjaciółkami. Jesteśmy jak siostry. Znam ją, nie zrobiłaby czegoś takiego. Musiało ją spotkać coś złego.

– Gdzie pracuje?

– W agencji modeli Frosted. Właśnie tam poznała tego drania

Mattio Diaza. On jest modelem. Jayla umawia ich z agencjami reklamowymi, projektantami. Agencja mieści się w budynku Flatiron tu, w Nowym Jorku. Mają swoje oddziały w Europie i Azji. Jayla czasami podróżuje służbowo.

– Czy pokłóciła się z kimś w pracy? Może ktoś ją niepokoił?

Kari wzięła w palce jeden ze swoich dredów i zaczęła się nim bawić.

– Pracuje z modelkami i modelami, którzy są bardzo drażliwi i łatwo się irytują. Ale potrafi sobie z nimi radzić. Jasne, że się wkurzają, jeśli zostaną odrzuceni albo klient, do którego ich wysłała, zrezygnuje z ich usług. Ale nikt konkretny nie przychodzi mi do głowy.

– A jacyś faceci, którzy chcieli zająć miejsce Mattio u jej boku?

– Mnóstwo. Tylko traciła z nim czas. Weźmy chociażby chłopaka, który mieszka po drugiej stronie korytarza.

– Po drugiej stronie korytarza?

– Tak. – Opuściła rękę, westchnęła lekko. – Luke Tripp. Kawaler, jest fajny, wyraźnie się nią interesuje. Ale jej w głowie był tylko Mattio. Starła się, żeby im wyszło.

– Czy ten sąsiad kiedykolwiek bywał nachalny?

– O Boże, nie. Bardzo żałuję, że nie był trochę bardziej natarczywy. Wtedy może by go zauważyła.

– A ten Mattio? Czy kiedykolwiek bywał bezczelny, znęcał się nad nią fizycznie?

– Fizycznie nie. A czy się znęcał? – W jej oczach znów zapłonął ogień. – Uważam, że można to uznać za znęcanie się, kiedy ktoś nałogowo kogoś zdradza i jeszcze tak wszystko przedstawia, że osoba zdradzana czuje się winna. Ale to moje prywatne zdanie. To dupek, lecz nigdy nie podniósł na nią ręki. Ani na nikogo innego. Bałby się, że ktoś mógłby się wkurzyć i zdefasonować tę jego śliczną buzię.

Eve zadała więcej pytań i uzyskała wyraźny obraz młodej kobiety – szczęśliwej, odnoszącej sukcesy w pracy, mającej grono przyjaciół, która osiem miesięcy temu związała się z niewłaściwym facetem.

– Czy mogę obejrzeć jej pokój?

– Och, naturalnie. Może pani obejrzeć całe mieszkanie. Czy może pani rozesłać... Jak to się nazywa... List gończy? Może uległa

wypadkowi? Dzwoniłam do szpitali i klinik, do punktów pogotowia ratunkowego. Do wszystkich miejsc, jakie tylko przyszły mi do głowy, ale...

– Proszę mi dać aktualne zdjęcie Jayli – poleciła Eve, żeby dać Kari jakieś zajęcie. – Postaramy się ją odnaleźć.

– Będziecie jej szukać? – Złapała Eve za rękę. – Obiecujecie pani?

– Już jej szukam, wypytyując panią o nią, oglądając jej mieszkanie, jej rzeczy. Jeszcze raz obdzwonimy szpitale. – I skontaktujemy się z kostnicą, dodała w myślach Eve.

– Dziękuję. Bardzo pani dziękuję. Jej pokój jest tam. Mam dużo jej zdjęć. Zaraz pani jedno przyniosę.

– Chciałabym, żeby dała mi pani swój aparat telefoniczny.

– Mój aparat telefoniczny? Po co?

– Chcę, żeby ktoś z wydziału przestępstw komputerowych spróbował zawęzić teren poszukiwań. Ustalić miejsce, z którego wysłała do pani wiadomość głosową.

– Możecie to zrobić? – Kari wyjęła telefon z kieszeni. – Proszę bardzo.

Eve skorzystała ze swojego aparatu, żeby skontaktować się z McNabem.

– Serwus, Dallas. – Na wyświetlaczu pojawiła się jego urodziwa twarz. Srebrne kolczyki w uchu chłopaka niemal ją oślepiły. – Mamy śnieg!

– Muszę ustalić miejsce, z którego wysłano wiadomość głosową. Czy możesz to zrobić, nie mając w ręku telefonu?

– Jestem czarodziejem. Przełącz mnie na ten aparat albo podłącz go do swojego i daj mi trochę czasu. Peabody! – zawołał. – Muszę coś zrobić dla twojej pani porucznik. Jeszcze się nie ubieraj. Zamierzaliśmy ciepło się ubrać i wyjść na dwór – wyjaśnił.

– Przełączę cię na aparat, na który wysłano wiadomość głosową.

– Posłuż się tym kodem – powiedział i zobaczyła na wyświetlaczu, jak idzie przez mieszkanie do drugiej sypialni, którą wykorzystywali oboje jako gabinet.

Eve wstukała podany kod i usłyszała sygnał.

– No dobrze, z jakiego modelu korzystasz?

– Skąd mam wiedzieć, do diabła?
– Nie szkodzi, zaczekaj, niech... – Zobaczyła jego komputer i jakieś cyfry, przesuwane się na monitorze. – No dobrze, mam. Naciśnij Funkcje/Kontrola/Interface.

Zrobiła, co kazał i poczuła, jak komórka lekko wibruje w jej dłoni.

– Pokazuje się spis wiadomości głosowych. O którą ci chodzi?

– O tę. – Zobaczyła imię Jayli na ekranie komputera McNaba. –

Ostatnia wiadomość głosowa od Jayli Campbell.

– Napić się wina i popłakać. Ładne. Jeszcze kilka chwil.

Wiedziałaś, że wyłączyła komórkę?

– Naprawdę?

– Tak, aparat jest wyłączony. Ta wiadomość głosowa została wysłana w pobliżu Carmine i Szóstej Alei. W promieniu dwóch kwartałów.

Na wyświetlaczu pojawiła się twarz Peabody.

– Co się stało? Natrafiłaś na coś ciekawego?

– Mam coś. Jestem teraz na Bond, sprawdzam zgłoszenie o ewentualnym zaginięciu kobiety. Jedź na Carmine, porozmawiaj z ludźmi, którzy wczoraj urządzili imprezę. – Podała jej adres. – Chodzi o Jaylę Campbell. Dowiedz się wszystkiego, czego zdołasz. I żeby zaoszczędzić mi czasu, zadzwoń do mundurowego Carmichaela, niech sprawdzi, czy w nocy jakiś szpital przyjął Jaylę Campbell. Oddzwonię do ciebie.

– Szuka jej pani – powiedziała Kari, stanąwszy za Eve. – Naprawdę przypuszcza pani, że spotkało ją coś bardzo złego.

– Szukam jej bez względu na to, co ją spotkało.

Eve dużo się dowiedziała o Jayli Campbell. Że lubi muzykę rozrywkową, ale nie nazbyt awangardową ani sentymentalną. Kocha buty, osobno trzyma w szafie ubrania do pracy, stroje wyjściowe i rzeczy na co dzień.

Jeśli chodzi o seks, miała konserwatywne zasady, zdecydowała się na wszczepiany raz do roku implant, zapobiegający zajściu w ciążę, za trzy miesiące powinna wszczepić kolejny.

Lubiła swoją pracę, miała nadzieję, że awansuje i zostanie współpracowniczką, starała się zdrowo odżywiać i regularnie ćwiczyć.

Miała młodszą siostrę, która jeszcze studiowała, a rodzice jesienią szykowali się do obchodów dwudziestej szóstej rocznicy ślubu.

Sądząc z dziennika, który prowadziła na swoim komputerze w sypialni, wierzyła, że uczyni z Mattio gwiazdę i dobrego człowieka.

Nie kochała go, doszła do wniosku Eve. Tak jej się tylko wydawało, ale nie był to związek na dłużej. I wystarczająco często wspominała Luke'a Trippa – miłego sąsiada – można wywnioskować, że jednak trochę się nim interesowała.

Lubiła urozmaicone życie towarzyskie, choć spora jego część miała związek z jej pracą zawodową, rozsądnie wydawała pieniądze, od czasu do czasu pozwalała sobie na szaleństwo – między innymi na fryzjera i kosmetyczkę, traktując to priorytetowo.

Nim Eve opuściła mieszkanie, potrafiła sobie wyobrazić kobietę o wysokiej etyce zawodowej, lubiącą rozmawiać z ludźmi – zarówno przyjaciółmi, jak i obcymi. Kobietę godną zaufania. Nie taką, która pozwoliłaby, żeby najbliższa przyjaciółka i współlokatorka denerwowała się z jej powodu.

Eve zapukała do drzwi po drugiej stronie korytarza.

Mężczyzna, który jej otworzył, był mocno zbudowany, miał urodziwą twarz. Ciemne włosy sterczały mu na wszystkie strony, jakby uczesał je grabiami. Jego niebieskie oczy zrobiły się okrągłe, kiedy Eve pokazała odznakę.

– Luke Tripp?

– Tak. Jest pani z policji. Czy znaleźliście ją?

– Nie.

– O Jezu. – Przesunął palcami po włosach i jeszcze bardziej je potargał. – Kari powiedziała mi o tym jakąś godzinę temu. Obdzwońłem wszystkich, którzy przyszli mi do głowy, ale nikt jej nie widział.

– Kiedy ostatni raz widział ją pan albo z nią rozmawiał?

– Wczoraj o tej samej godzinie wróciliśmy z pracy, razem wjechaliśmy na górę. Rozmawialiśmy parę minut, jak to zwykle bywa. Później, chyba koło dziewiątej, nie mogłem sobie znaleźć miejsca, postanowiłem więc iść na siłownię. Jest tuż za rogiem. Zjechałem windą razem z Jaylą i z Mattio.

Wypowiedział to imię z pogardą.

– Niezbyt go pan lubi.
– W ogóle go nie lubię – poprawił ją. – To dupek, okropnie ją traktuje. Jayla zasługuje na kogoś lepszego.
– Na przykład na pana?
Roześmiał się krótko, a potem westchnął.
– Bardzo bym tego chciał.
– Co pan robił po siłowni?
– Po siłowni? Och, chce pani ustalić, gdzie byłem, kiedy zaginęła.
– Przycisnęła palce do powiek. – Dobrze, ale niezbyt to pani pomoże. Spotkałem w siłowni paru kumpli, poszliśmy się napić. Wróciłem do domu koło północy. Chce pani wejść do środka, rozejrzeć się?
– Nie, tylko odhaczam kolejne punkty na swojej liście.
– Kari powiedziała, że Jayla wkurzyła się na Mattio – wielka mi nowina. Ale musi mi pani uwierzyć, że nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego Kari, nigdy by nie zniknęła bez słowa. Są jak siostry.
No właśnie, pomyślała Eve, kiedy opuszczała budynek. Kobieta, którą sobie wyobraziła, była bardzo odpowiedzialna i nie zrobiłaby czegoś takiego przyjaciółce.
Wyjęła telefon, żeby ustalić z Peabody następny krok.

Rozdział 9

Umówiły się w budynku, w którym mieszkał Mattio Diaz, w zachodniej części Greenwich Village. Nie miała tyle szczęścia, jeśli chodzi o zaparkowanie auta, i musiała się zdecydować na horrendalnie drogi podziemny parking, odległy o trzy przecznice.

Spacer zaśnieżoną ulicą przekonał ją, że Roarke miał rację – jak zwykle – w kwestii jej butów.

Śnieg spowolnił ruch zarówno pieszy, jak i samochodowy – mniejszy niż zwykle w tej modnej okolicy. Właściciele kilku sklepów postanowili ich nie otwierać, przynajmniej przed południem.

Zauważyła operatora ślizgacza. Był ubrany jak na Syberię, miał nawet gogle. Dwie osoby o trudnej do ustalenia płci pochylały się nad parującym rożnem z torebką kasztanów, których zapach unosił się w powietrzu. Wypatrzyła też grupkę uczniów, biegających z niespożytą energią. Wywnioskowała, że z powodu śnieżycy zamknięto szkoły.

Zobaczyła Peabody w różowym płaszczu, śmiesznie radosnym w tej gęstej zasłonie śniegu, a razem z nią McNaba. Ubrany był na wiśniowo, miał czapkę z nausznikami w tak ostrych kolorach, że domyśliła się, że wyszła spod zgrabnych palców Peabody.

Oni też stali pochyleni nad torebką kasztanów.

– Cześć, Dallas! – Głos Peabody też był radosny, jak jej płaszcz. – Słyszałaś?

– O czym?

– Spadnie piętnaście do dwudziestu centymetrów śniegu!

– Cóż, hura!

– Nic nie jadłem – odezwał się McNab i wyciągnął kasztany, żeby poczęstować nimi Eve. – Rozmawiałem z Feeneyem, obiecał, że też przyjdzie.

Pokręciła głową, dziękując za kasztany, które zniknęły w jednej z pół miliona kieszeni informatyka.

– Dobrze. Zamierzam porozmawiać z draniem o tym, co zaszło wczoraj wieczorem. Chcę, żebyś spróbował ustalić, skąd dokładnie Jayla

Campbell wysłała wiadomość głosową do Kari Whittiker. Peabody wie, skąd porwano Kupera i gdzie porzucono jego zwłoki. Trzeba sprawdzić, jak to się ma do miejsca, z którego Campbell dzwoniła wczoraj -wieczorem.

– Ustalę to raz-dwa.

– Chodźmy z tej przekłętej śnieżycy.

– Jest tak ładnie. – Peabody wystawiła twarz na padający śnieg, a kilka płatków przylepiło się do jej rzęs.

– Ale będzie nam trudniej dotrzeć do tych, którzy mogli widzieć Campbell, a także do tych, których podejrzewam o jej porwanie. Co ci powiedzieli uczestnicy wczorajszej imprezy?

– Niewiele. Zorganizowała ją para. Doskonale miejsce na imprezę. Nikt nawet się nie zorientował, że Campbell wyszła. Zresztą nie znali jej wcześniej. Ale jeden gość został na noc i udało mi się porozmawiać z nim dziś rano.

– Zabawiali się we trójkę – wtrącił McNab, kiedy Eve posłużyła się swoim kluczem uniwersalnym, żeby wejść do budynku. – Z całą pewnością.

– Potwierdzam – powiedziała Peabody. – Ten facet zamienił z Campbell kilka słów. Chce zostać modelem, ma odpowiednie warunki. Dała mu swoją wizytówkę. Widział, jak posprzeczała się z Diazem, kiedy obłapiał w tańcu jakąś blondynkę. Twierdzi, że Campbell była naprawdę wkurzona, czemu wcale się nie dziwił, bo Diaz zupełnie się nie krępował jej obecnością. Po tym, jak Campbell złapała płaszcz i wyszła, powiedział coś blondynce, która nazywa się Misty Lane.

– Akurat. – Eve strzepnęła śnieg z płaszcza.

– To jej pseudonim artystyczny. Jest modelką, aktorką i barmanką. Blondynka skwitowała zachowanie Campbell śmiechem i powiedziała, że tacy faceci, jak Mattio, są po to, żeby się z nimi zabawiać, a nie wiązać na całe życie. Świadek przypuszcza, że było wtedy po północy, ale nie potrafił określić, która dokładnie mogła być godzina.

– To nam wystarczy.

Magazyn, przerobiony na lofty, chlubił się windą towarową, uważaną przez część użytkowników za odlotową. Eve uznała ją za śmiertelną pułapkę i zdecydowała się skorzystać ze schodów.

– Nadine rozważa kupno czegoś w tym stylu – powiedziała Peabody.

– W tym stylu?

– Rozważa to jako jedną z ewentualności. Duży, modny loft. Poza tym w grę wchodzi kamienica z piaskowca podobna do tej, w której mieszkają Charles i Louise. A trzecia możliwość to wielopoziomowy apartament na ostatnim piętrze jakiegoś eleganckiego wieżowca.

– Wielopoziomowy apartament – stwierdziła Eve.

– Och, już podjęła decyzję? Kiedy ostatni raz z nią rozmawiałam, powiedziała, że Roarke przedstawił jej kilka różnych nieruchomości, ale to na razie wszystko.

– Zdecyduje się na apartament.

– Być może, ale bez względu na to, co wybierze, przede wszystkim zależy jej na jak najlepszych zabezpieczeniach. Ta przygoda z Roebuck napędziła jej porządnego stracha.

– I bardzo dobrze. Mówiłam jej, żeby nikomu nie otwierała drzwi. Następnym razem mnie posłucha. – Eve zatrzymała się na trzecim piętrze. Nadine Frust doznała chwilowego zaćmienia umysłu, ale nie przestała być jej przyjaciółką. – Dobrze sobie radzi?

– Tak. Wyjechała na zaległy urlop, tym razem sama. Tylko na kilka dni. Już wróciła. Przypuszczam, że głównie dlatego, że chce się jak najszybciej przeprowadzić.

I ponieważ czołowa reporterka, prowadząca program telewizyjny, poświęcony przestępstwom, nie potrafiłaby długo siedzieć bezczynnie – dodała w myślach Eve.

Doskonale знаła to uczucie.

Zadzwoiła do drzwi mieszkania Diaza i usłyszała metaliczny głos, wygenerowany komputerowo.

Pan Diaz włączył opcję „Nie przeszkadzać”. Rozległy się jakieś niewyraźne odgłosy, coś jakby gwizd, jakby komputer cierpiał na astmę.

Proszę zostawić swoje nazwisko.

– Tanie urządzenie – zauważył McNab. – Z najniższej półki.

Tanie czy nie, w tej chwili stało jej na drodze. Eve wyjęła swoją odznakę.

– Zeskanuj to – poleciła. – Jesteśmy z policji. Przekaż to panu

Diazowi.

Funkcja „skanowanie” jest chwilowo wyłączona. Proszę zostawić swoje nazwisko.

Eve nacisnęła guzik dzwonka i przytrzymała go.

Proszę nie przeszkadzać. – Z głośnika rozległ się ekwiwalent śmiertelnego rżenia. – Nie mogę zapisać nazwiska.

Eve zignorowała te dźwięki i nie przestała naciskać guzika dzwonka.

Potrwało to trochę dłużej niż „kilka chwil” McNaba, ale w końcu rozległ się ludzki głos.

– Czego, do jasnej cholery!

– Policja nowojorska. Proszę otworzyć, panie Diaz.

– Jezu, dopiero świta.

Rozległy się chrzęsty i stukoty, po czym drzwi się uchyliły.

Tak, rzeczywiście niezłe z niego ciacho, pomyślała Eve, nawet kiedy jest zaspany i wyraźnie na kacu. Nieziemsko zielone oczy, gęste, czarne rzęsy, pociągła twarz, kilkundniowy zarost i czarna czupryna z rudymi pasemkami sprawiały, że przypominał seksownego faceta z reklam.

– Proszę nas wpuścić, panie Diaz, albo przeprowadzimy tę rozmowę w komendzie.

– W jakiej komendzie?

Najwidoczniej bogowie wykorzystali cały limit łask na stworzenie jego twarzy i nie zostało już nic na umysł.

– Jesteśmy z policji, czyli w komendzie policji.

– O co chodzi, do jasnej cholery!

– Wyjaśnimy to podczas rozmowy.

– Jezu! – jęknął i otworzył drzwi.

Nie ubrał się – i widać było, że limit wystarczył na ukształtowanie całej sylwetki, która dorównywała twarzy.

Stojąca obok Eve Peabody głośno przełknęła ślinę.

– Spałem – powiedział i przeciągnął się jak król dżungli. – Co się stało?

Eve schyliła się i podniosła z podłogi spodnie ze sztucznej skóry.

– Czy to pańskie spodnie?

– Tak. I co z tego?

– Proszę je włożyć.

– Dobrze, jeśli pani na tym zależy. – Uśmiechnął się z wyższością.

– Ale nagość to zwyczajna rzecz. Czy ktoś ma kawę?

– Niestety, właśnie się skończyła.

Na podłodze wałały się rozmaite części garderoby – koszula, dwie pary majtek – jego i jej, domyśliła się Eve – i bardzo kusa czarna sukienka. A obok czarne buty do kolan i wysokie, błyszczące szpilki.

– Domyślam się, że nie spał pan sam – powiedziała Eve.

Kiedy wciągał spodnie, na jego ustach znów pojawił się ten pełen wyższości uśmieszek.

– Zwykle nie śpiam sam. – Ziewnął i udało mu się przy tym wyglądać bardzo pociągająco. – Muszę wziąć coś na ożywienie.

Powiedziawszy to, wycofał się do przejścia, obramowanego luksferami. Eve usłyszała, jak szukał czegoś w kuchni.

– Dupek – mruknął McNab, a Peabody tylko chrząknęła i znów głośno przełknęła ślinę.

Wrócił z wielką szklanką, wypełnioną zielonym jak szpinak płynem.

– Przepraszam, ostatni. – Pociągnął trzy długie łyki. – Och, daje niezłego kopa. A więc o co chodzi?

– O Jaylę Campbell.

– O Jay-jay? – Wzruszył ramionami, a potem posuwistym krokiem podszedł do jednego z dwóch foteli w dużym pomieszczeniu dziennym. Usiadł i znów się napił. – Co znowu? Nie słyszałem, żeby policja się interesowała, jak ktoś z kimś zatańczy. Wkurzyła się, trudno. To nie powód, żeby wzywać policję.

– Zaginęła.

– Jak to, zaginęła?

Eve przeszła przez pokój, oparła dłonie na poręczach fotela i nachyliła się ku mężczyźnie.

– Proszę uważnie posłuchać.

– Jasne. Ma pani cudowne oczy. Czy ktoś to pani powiedział? Z takimi oczami i taką figurą mogłaby pani zostać modelką. Mam znajomości w tych kręgach.

– Zamknij się i słuchaj. Jayla Campbell wyszła z imprezy, na której była wczoraj razem z tobą, i od tamtej pory wszelki słuch o niej zaginął.

– Prawdopodobnie siedzi gdzieś i się dąsa. Jest humorzasta.

– Mamy powody, by przypuszczać inaczej. Był pan jedną z ostatnich osób, które ją widziały. Kiedy ostatni raz ją pan widział albo z nią rozmawiał?

– Nie wiem. Na przyjęciu, gdzie jej odbiło z powodu Misty. Tylko tańczyliśmy.

Spojrzał w stronę kolejnego przejścia, przesłoniętego zwiewną, czarną tkaniną.

– I razem z Misty dotńczył się pan tutaj?

Znów uśmiechnął się z wyższością, jakby nie potrafił nad tym zapanować.

– To nie przestępstwo.

– O której godzinie?

– Jezu, nie wiem dokładnie. Bawiliśmy się chyba do drugiej, a potem przyszedliśmy tutaj. Nie udało nam się złapać taksówki.

I uprawialiśmy seks. – Uśmiechnął się szeroko, pokazując idealnie białe zęby. – Jayla powiedziała, że z nami koniec, czyli dała mi wolną rękę.

Z pewnością zaszyła się gdzieś i się dąsa – powtórzył. – Nie chciała wrócić do domu, bo ta jej wredna współlokatorka znów by wypominała, że związała się ze mną. Opacznie mnie zrozumiała, kiedy powiedziałem, że być może byłoby nam dobrze we trójkę.

– Naprawdę pojebaniec z ciebie.

– Ejże!

Eve się cofnęła.

– Uwzględniając to, mogłabym uzyskać nakaz i wyrzucić całe mieszkanie do góry nogami. A wtedy znalazłabym wszystkie nielegalne substancje, których nie zdążyliście jeszcze zażyć.

– Nie biorę narkotyków! Nie może mi pani tego udowodnić.

– Owszem, mogę, ale nie jest pan tego wart. Słuchaj, kutasie, zaginęła kobieta, z którą byłeś związany przez kilka miesięcy. Ta kobieta pomogła ci zrobić karierę modela, wylansowała tę twoją buźkę, z której jesteś taki dumny. Może spotkało ją coś złego, może nawet nie żyje.

Przynajmniej udawaj, że się tym przejąłeś.

– To nie moja wina, że ma muchy w nosie. Jak to, „może nawet nie żyje”?

Po raz pierwszy okazał zaniepokojenie. Eve tylko się odwróciła, dała znak Peabody i McNabowi.

– Jak to, „może nawet nie żyje”? – powtórzył Diaz, kiedy wychodzili.

– Niech się trochę podenerwuje – powiedziała do tamtych dwojga na korytarzu.

– Jest naprawdę bardzo przystojny – mruknęła Delia – i rzeczywiście prawdziwy z niego kutas.

– Przystojny kutas nie ma nic wspólnego z zaginięciem Campbell poza tym, że ją tak wkurzył, że w środku nocy znalazła się sama na ulicy. Gdybym mogła, wsadziłabym go za to na dwa tygodnie za kratki.

– Nie przeżyłby dwóch tygodni za kratkami – mruknął McNab.

– Właśnie o to chodzi.

– Gapiłaś się na niego. – Spojrzał spode łba na Peabody, gdy szli po schodach. – Kiedy był nagi.

– No cóż, był nagi i świetnie zbudowany. Gdyby to była dziewczyna, też byś się na nią gapił.

Eve wzniosła wzrok ku niebu i przyspieszyła kroku. Jednak nawet biegnąc po schodach, słyszała ich rozmowę.

– Założę się, że kupił sobie to ciało.

– Jeśli tak, to zrobił doskonały interes. Ale wolę twój kościsty tyłek.

Nie musiała patrzeć – dzięki Bogu – by wiedzieć, że Peabody uszczypnęła ten kościsty tyłek, by podkreślić swoje słowa.

– Absolutny fiut. – Widocznie McNabowi wciąż nie dawało to spokoju. – I wyraźnie cię podrywał, Dallas. Roarke rozgniółłby go jak pluskwę.

– Gdyby wart był tego, żeby go rozgnieść jak pluskwę, sama bym to zrobiła. – Eve zatrzymała się u podnóża schodów, zmuszając tamtych dwoje, by także przystanęli. – Fiut – spodobało jej się to słowo – palant i debil. Ale najważniejsze to, że nie wie i jest mu najzupełniej obojętne, gdzie się znajduje Jayla Campbell. My też tego nie wiemy, nam jednak zależy na ustaleniu miejsca jej pobytu. Nie zaprzątajmy sobie głowy tym

dupkiem. Musimy przejść trzy kwartały do miejsca, gdzie zaparkowałam. Biorąc pod uwagę pogodę, chyba wezwę kilku policjantów-droidów z patrolu pieszego, przekażę im zdjęcie Jayli i każę przepytac ludzi na ulicach między domem, gdzie odbywała się impreza, a mieszkaniem zaginionej, uwzględniając najbardziej prawdopodobną trasę i to, skąd przesłała wiadomość głosową do swojej współlokatorki.

– Mogę się tym zająć.

– W takim razie zajmij się – powiedziała do Peabody. – A ty przeanalizuj lokalizacje porzucenia pierwszych zwłok i ostatniego znanego miejsca, w którym przebywała Campbell – zwróciła się do McNaba.

Zadzwoń jej komórka; Eve wyciągnęła ją, zobaczyła, że to Baxter, i wyszła na zaśnieżony świat.

– Dallas.

– Cześć. Jest tu zastępca szeryfa, niejaki William T. Banner z jakiegoś Silby's Pond w stanie Arkansas. Chce porozmawiać o naszych seryjnych zabójcach. Sprawdziłem go, wszystko się zgadza, od pięciu lat pracuje w biurze szeryfa. Posadziłem go w poczekalni, bo upiera się, że najpierw chce porozmawiać z tobą.

– Silby's Pond? – Eve próbowała przypomnieć sobie, czy zna tę miejscowość, ale było ich za wiele na ewentualnych trasach ich podróży.

– Już jadę do komendy, jestem w Greenwich Village. Mamy kolejną zaginioną osobę. Zapisz dane, nadaj sprawie bieg.

– Mów.

– Jayla Campbell... – zaczęła i wszystko mu przekazała.

*

Zmagała się z irytującym ruchem ulicznym, czując zapach pieczonych kasztanów McNaba i Peabody oraz gorącej czekolady, którą się poczęstowali z autokucharza w samochodzie.

Śnieg i domowe zapachy są dobre podczas świąt, pomyślała Eve, ale święta już się skończyły. Dlaczego nie można mieć już tego wszystkiego za sobą?

Nim zaparkowała na swoim miejscu w garażu pod komendą, czuła się tak, jakby przeszła przez Koło Podbiegunowe.

– Co oni tu w ogóle robią? – spytała z pretensją w głosie. – A szczególnie ci, którzy nie umieją jeździć? Nowojorska rejestracja ECC osiem siedem trzy. Wystaw mandat.

– Mandat? – powtórzyła Peabody, kiedy wysiedli.

– Właśnie to powiedziałam. Nie widziałaś tej idiotki? Wlokła się z prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę.

– Hm. No cóż, opłaca się zachować szczególną ostrożność, kiedy...

– Kiedy się maluje usta, patrząc na swoje odbicie w lusterku, a nie na drogę... Do tego gadała przez telefon. Mogła włączyć automatycznego pilota, jeśli już koniecznie musiała podziwiać siebie zamiast obserwować ulicę, ale nie, wołała wlec się, jadąc zygzakiem, i nakładać makijaż.

– Och... No cóż. Naprawdę chcesz jej wystawić mandat? Zawsze czułam się okropnie, kiedy pracowałam w drogówce i musiałam wystawiać mandaty.

– Niepotrzebnie. Jak ktoś jest głupi, zasługuje na karę.

McNab pocieszająco poklepał Peabody po pupie, gdy Delia wypisywała mandat podczas jazdy windą na górę.

– Nie śledzą swoich ofiar – powiedziała Eve, zmieniając temat. – Mają na to za mało czasu. Wybierają na chybił trafił. Obojętne im, na kogo trafią – bogatego, biednego, młodego, starego, kobietę, mężczyznę. Jeśli nie zmienią schematu postępowania, mamy dwa dni na odszukanie ich, nim zabiją Jaylę Campbell.

– Pogoda teraz im sprzyja – zauważył McNab. – Zimno, wiatr, zamieć, deszcz ze śniegiem. Ludzie łapią taksówki albo korzystają ze środków komunikacji publicznej. Ale zabójcy nie oddalają się zbytnio od domu. Wystarczy, jak natrafią na samotną osobę w stosunkowo odludnym miejscu.

– Do tej pory dwa razy udało im się dopaść kogoś w Nowym Jorku.

Kiedy winda zaczęła się zatrzymywać na każdym piętrze, Eve wysiadła.

– Są duże szanse, że ukradli tę ciemną terenówkę czy furgonetkę, którą jeżdżą. Peabody, sprawdź skradzione samochody, pasujące do

opisu, w New Jersey i Pensylwanii. Wiem, że to popularne wozy i duży obszar – dodała, nim jej partnerka zdążyła to zauważyć. – Ale zaczniemy od tego, a być może uda nam się zawęzić poszukiwania, nim znów postanowią zmienić środek transportu. Mogli zabrać samochód jednej z ofiar.

Eve lawirowała między ludźmi na ruchomych schodach.

– McNab, daj mi te wyliczenia. To z pewnością jest gdzieś w centrum. Muszą gdzieś mieszkać, zabierać gdzieś swoje ofiary. W budynku z pewnością są kiepskie zabezpieczenia – nie mogą dopuścić, żeby kamery zarejestrowały, jak taszcza porwaną osobę. Na nic nie natrafiliśmy, sprawdzając opuszczone budynki, więc albo jeszcze zwyczajnie nie mieliśmy szczęścia, albo znaleźli sobie jakieś inne lokum.

Kiedy skręciła do wydziału zabójstw, siedzący za swoim biurkiem Baxter wstał.

– Rozesłano informacje o Campbell, szefowo. Dziennikarze już opracowują komunikaty – oznajmił.

– Świetnie. – Eve zobaczyła, jak patrzył na jej czapkę, ozdobioną płatkami śniegu. Ściągnęła ją i schowała do kieszeni. – Co to za sprawa z tym gliną z Arkansas?

– Cóż, jest dobrze wychowany, ale upiera się, że musi z tobą porozmawiać.

Zdjęła szalik i rękawiczki.

– Wciąż siedzi w poczekalni?

– Był tam, kiedy ostatni raz tam zaglądałem.

Skinęła głową, wcisnęła rękawiczki do jednej kieszeni, a szalik do drugiej i wyszła, nie zdjawszy płaszcza.

Oddałaby życie za filiżankę kawy. Chciała usiąść w ciszy i spokoju, napisać raport, uaktualnić notatki, przeanalizować wszystko, co ustaliła, zastanowić się.

Zegar w jej głowie tykał bez przerwy, wiedziała, że zostało jej niespełna czterdzieści osiem godzin.

Zatrzymała się przed drzwiami do poczekalni, gdzie stały automaty z napojami, malutkie stoliki i twarde krzesła. Szybko go wypatrzyła. Długie nogi wyciągnął przed siebie. Długimi, wąskimi dłońmi

wystukiwał coś na palmtopie, a obok stał kubek jakiegoś napoju.

Gęste, wijące się włosy koloru pszenicy, długa, pociągła twarz. Albo ostatnio się nie golił, albo celowo nosił kilkuniedniowy zarost.

Był w dżinsach, butach za kostki, które pokonały wiele kilometrów, flanelowej koszuli, kojarzącej się Eve z ubraniem drwala, chociaż wcale nie była do końca pewna, kim są drwale.

Czarny skafander wisiał na oparciu krzesła, a pod stolikiem leżała torba turystyczna.

Mężczyzna uniósł wzrok, kiedy Eve ruszyła w jego stronę. Zauważyła, że miał niebieskie oczy. Nie takiego koloru, jak Roarke, ale niewiele osób mogło pochwalić się oczami jego koloru. Te były niebieskoszare, zmęczone, ale czujne.

– Zastępca szeryfa Banner?

– Tak, proszę pani. Will Banner. – Wstał. A raczej się wyprostował, uznała Eve. Miał ze sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i był chudy jak szczapa.

– Porucznik Dallas.

Uścisnął jej wyciągniętą dłoń. Miał szorstką, twardą rękę.

– Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną spotkać, pani porucznik.

– Przyjechaliście tu z daleka, zastępco Banner.

– To prawda. Pierwszy raz wybrałem się tak daleko.

– Gdzie leży Silby's Pond?

– W Ozarks, proszę pani, nie...

– Porucznik. Pani porucznik, jeśli wolicie. Albo zwyczajnie Dallas.

– Przepraszam. Wszystko robicie tutaj inaczej. Jestem z północnej części Arkansas, pani porucznik, niedaleko granicy z Missouri.

Najładniejsze miejsce pod słońcem.

Lekko przeciągał samogłoski i mówił trochę przez nos.

– Co was tu sprowadza?

– Poluję na tę samą dwójkę, co pani. Tych samych, którzy zabili Dorianą Kupera. To ich ostatnia ofiara. Wczoraj wieczorem szukała pani za pośrednictwem IRCCA osób zaginionych i zabójstw, popełnionych w moim rewirze.

– Skąd o tym wiecie?

– Dostaję informację za każdym razem, jak pojawi się nowa ofiara

i kiedy prowadzone jest oficjalne poszukiwanie dalszych ofiar. – Chociaż przestąpił z nogi na nogę, ani na chwilę nie spuścił wzroku z Eve. – Porucznik Dallas, rozumiem, że współpracuje pani z federalnymi, że przekazali pani sporządzone przez siebie profile i zdobyte informacje, i co tam jeszcze, ale oni nie wiedzą wszystkiego.

– A wy wiecie?

– Gdybym wiedział, pani ofiara prawdopodobnie nadal grałaby na wiolonczeli. Ale wydaje mi się... Jestem przekonany, że wiem więcej. Gdyby mogła mi pani poświęcić piętnaście minut... Rozumiem, że jest pani bardzo zajęta, prowadzi pani śledztwo, ale proszę jedynie o piętnaście minut. Przyjechałem tu z bardzo daleka.

– Przejdźmy do mojego gabinetu.

Niemal zobaczyła ulgę w całej jego postawie, nim się schylił po swoją torbę.

– Dziękuję.

– Zwykle nie wyrzucamy kolegów-policjantów za drzwi.

– Człowiek słyszy różne rzeczy o Nowym Jorku.

– Nie wątpię. Kiedy tu przyjechaliście?

– To cała opowieść.

Z łatwością potrafiła sobie to wyobrazić, lubiła słuchać historii, opowiadanych z południowym akcentem.

– Dopiero po południu dotarła do mnie informacja o ostatnim zabójstwie. Rozmawiałem z agentem specjalnym Zweckiem, jak w przypadku poprzedniej zbrodni i wcześniejszych. Sprawcy od miesięcy zmierzają w stronę Nowego Jorku, pani porucznik. Odnoszę wrażenie, sądząc po poszukiwaniach, jakie zaczęła pani ostatniego wieczoru, że pani też się ku temu skłania.

– To jeden z tropów.

– To właściwy trop, a ponieważ zobaczyłem, ku czemu być może pani się skłania, i – mam nadzieję, że mnie pani zrozumie – po tym, jak zebrałem trochę informacji o pani, uznałem, że być może zgodzi się pani na rozmowę ze mną twarzą w twarz.

Przystanął na progu sali ogólnej wydziału, rozejrzał się wokoło.

– Z całą pewnością macie tu dużo pracy. Tam, skąd przyjechałem, jest nas tylko pięciu: szef, ja i jeszcze dwóch zastępców oraz dyspozytor.

- Ilu mieszkańców liczy sobie Silby's Pond?
- W przybliżeniu trzy tysiące dwieście.
- To mniej niż pracuje w tej części komendy.

Wskazała mu drogę do swojego gabinetu. Kiedy wszedł do środka, znów przystanął i uważnie przyjrzał się tablicy, kiedy Eve zdejmowała płaszcz.

– Zdaje sobie pani sprawę, że jest ich więcej? Może o połowę więcej.

– Nie uaktualniałam tablicy, odkąd wczoraj wieczorem wyszłam z komendy. A dziś rano przyszedłam później, bo mamy kolejną zaginioną.

– Jayla Campbell. Kiedy pani przyszła, właśnie czytałem biuletyn – powiedział, gdy Eve zmrużyła oczy. – Pora pasuje. Widzę, że pani też to wie. Dopadli ją. I wczoraj wieczorem zaczęli torturować. Podnieceni, że mają kolejną ofiarę. Już zaczęli zadawać jej ból.

– W Silby's Pond nie ma oficjalnie potwierdzonej ofiary. Gdyby była, zapamiętałabym nazwę miejscowości.

– Nie, proszę pani. Pani porucznik. Przepraszam. – Przez chwilę pocierał oczy. – Właśnie mówiłem, jak doszedłem do wniosku, że zgodzi się pani ze mną porozmawiać, więc pojechałem do Branson, bo stamtąd najłatwiej o wahadłowiec do Nowego Jorku. Udało mi się złapać ostatni, który wylatywał tego dnia, pomyślałem, że dopisuje mi szczęście. Póki nie wylądowaliśmy w Cleveland z powodu złych warunków atmosferycznych. Więc wynająłem samochód, żeby tu dojechać na własną rękę.

– Jechaliście do nas z Cleveland w taką pogodę?

– Jedynym sposobem, żeby dopaść zabójców, jest ich dogonić.

Dotąd mi się to nie udało.

– Siadajcie. Napijcie się kawy?

– Chętnie. Może być czarna.

Zaprogramowała dwie czarne kawy.

– Kogo według was zamordowali w Silby's Pond?

– Melvina Little'a. Można powiedzieć, że był nieodłącznym elementem naszych stron. Służył w wojsku podczas wojen miejskich i nigdy nie potrafił się z tym uporać, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. Wrócił do domu, do swoich rodziców, młodszego brata

i ukochanej. Tata mi mówił, że Mały Mel, jak na niego wołali, bo był niskiego wzrostu, próbował wszystkiego, co tylko mu wpadło w ręce, żeby uciec przed koszmarami, głosami, wspomnieniami. Wiem, że to nie ma znaczenia, ale chciałbym, żeby lepiej go pani poznała.

– Daję wam piętnaście minut.

Banner skinął głową i wypił łyk kawy. Zrobił wielkie oczy.

– Najświętszy Jezu, co to takiego? Nowojorska kawa?

– Niezupełnie. To prawdziwa kawa. Mam znajomości.

– Prawdziwa kawa! – Powiedział to z nabożną czcią.

Eve, pamiętając swoją reakcję, kiedy pierwszy raz spróbowała kawy Roarke'a, uśmiechnęła się do niego.

– Potrzebujecie minutki?

– To może wymagać dni. – Odpowiedział jej uśmiechem i uznała, że jest czarującym mężczyzną. – Nie wyobraża sobie pani, co będzie, jak opowiem o tym chłopakom w domu. – Westchnął. – Mały Mel nie potrafił się przystosować. Próbowali wszystkiego, ale był jednym z tych, którzy przegrali. Przypuszczam, że znalazłoby się wielu takich, jak on. Nie lubił siedzieć w zamkniętych pomieszczeniach, więc zaczął sypiać w lasach, porastających wzgórza. Mamy tam ludzi podobnych do waszych bezdomnych, śpiących na chodnikach.

– Rozumiem.

– Niektórzy z nich robią sobie domy z tego, co uda im się znaleźć. On do takich należał. Krewni przynosili mu jedzenie i inne rzeczy, ale po pewnym czasie stało się oczywiste, że nie wróci do normalnego życia. Na ogół chodził pijany lub na haju. Nigdy nikogo nie skrzywdził poza samym sobą.

Niemal widziała Melvina Little'a – Banner doskonale go przedstawił. Ale zorientowała się, że nie mówi jej wszystkiego.

– Kim był dla was?

– Moja babka była jego dziewczyną. Kochała go, pokochała chłopaka, jakim był, ale nie mogła dotrzeć do mężczyzny, który wrócił z wojny. Poślubiła mojego dziadka, lecz nadal od czasu do czasu spotykała się z Małym Melem, zanosila mu jedzenie i czyste ubrania. Weszło mi w zwyczaj sprawdzanie, jak sobie radzi, zaglądałem do niego co tydzień lub dwa.

– Czyli opiekowaliście się nim.

– Robiliśmy, co mogliśmy. Przyznaję, że zdarzało mu się wejść do jakiejś chaty czy domku, jeśli nie były zamknięte na klucz, i zabrać coś, co mu wpadło w oczy. W ciągu ostatnich dwóch lat częściej niż dawniej. Nie wchodził, jeśli ktoś był w środku, nigdy też się nie włamał. Jak drzwi były zamknięte, rezygnował. Ale kiedy były otwarte, wchodził do środka, rozglądał się, zabierał coś, by powiększyć swoją kolekcję, jak ją nazywał. Widelec albo gałkę od drzwi, zepsuty zegar.

– Uważaliście go za nieszkodliwego.

– Był nieszkodliwy. – Banner urwał na chwilę, żeby znów napić się kawy. – Pewnego razu zaginął chłopiec. Rodzina wyjechała pod namiot, dzieciak się oddalił. Akurat zbieraliśmy grupę poszukiwawczą, kiedy do obozowiska przyszedł Mały Mel, niosąc chłopca na barana. Malec opowiedział, jak gonił królika i zabłądził. Zaczął płakać, coś sobie zrobił w nogę. Nie wiadomo skąd pojawił się Mały Mel, dał mu cukierka, przewiązał nogę chusteczką, nawiasem mówiąc niezbyt czystą, i powiedział, że go zanieś na barana do mamy. I zrobił to. Nigdy nikogo nie skrzywdził.

– Co się z nim stało?

– Kiedy poszedłem sprawdzić, jak żyje, od razu się zorientowałem, że coś jest nie tak. Nie chodzi o to, że go nie zastałem. Wszystkie jego rzeczy były pomieszane. – Banner urwał na chwilę i pokręcił głową. – Był dumny ze swojej kolekcji, utrzymywał w niej ład. Ale tamtego dnia wszystko było przewracane.

Znów spojrzał Eve prosto w oczy.

– Wie pani, jak to jest, kiedy człowiek ma przeczucie.

– Wiem.

– No więc wtedy miałem przeczucie. Zacząłem go szukać wszędzie tam, gdzie zwykle chodził. Gdzie lubił łowić ryby, gdzie dokonywał ablucji, jak to nazywał. Znalazłem go dopiero następnego dnia. Bo następnego ranka znów się wybrałem na poszukiwania. Zabrałem z sobą syna jego kuzyna, mojego przyjaciela, żeby móc sprawdzić większy teren. Znalazłem go w żlebie, całego połamanego. Można by pomyśleć, że się poślizgnął i nieszczęśliwie spadł. Ale przysięgam, że chodził po górach jak kozica. Nie żył od trzech dni.

– Ślady tortur, obezwładnienia?

– Połamane kości, rany cięte, siniaki, kilka śladów oparzeń. Ale...

Uznano to za nieszczęśliwy wypadek. Oparzenia mogły pochodzić od palenia tego, co palił, albo od ogniska. Połamane kości, rany cięte i stłuczenia od upadku. Dostaliśmy informację o włamaniu do domku. Zamek był roztrzaskany, zniknęło kilka rzeczy – nie takich, jakie zwykle zabierał Mały Mel i jak już powiedziałem, on nigdy nigdzie się nie włamał. Znalaziono ślady krwi, okazało się, że to jego krew, więc wszystko wskazywało na to, że dokonał włamania i skaleczył się czymś. Krwi było niewiele. Nie znaleźliśmy jednak tego, czego brakowało w jego kolekcji, ani w domku, ani tam, gdzie musiał się wspiąć, jeśli spadł do żlebu. Nie można wykluczyć – ciągnął Banner – że się włamał, skaleczył, może szedł nieostrożnie i spadł. Można w tym znaleźć jakąś logikę, jeśli się go nie znało. Ale tydzień później w Missouri zaginął chłopak.

– Noah Paston.

– Tak, proszę pani... Pani porucznik – poprawił się. – Musi mi pani dać trochę czasu, żebym odzwyczaił się od tego, co mi wpajano przez całe życie. Nie ulega wątpliwości, że został porwany. To nie był nieszczęśliwy wypadek. I były ślady, świadczące o tym, że go związano, poraniono, przypalano, a na koniec zabito. Młody, wysportowany chłopak i biedny, zagubiony Mały Mel na pierwszy rzut oka nie mają ze sobą wiele wspólnego, lecz obaj byli sami, na odludziu, u obu stwierdzono rany cięte, ślady oparzeń, połamane kości. Nie umiałem tego tak zostawić. Mogę pani pokazać sporządzoną przez siebie listę, nazwiska i miejscowości, które spisywałem od sierpnia zeszłego roku.

Arkansas, pomyślała. Pasowało do jej trasy.

– Chętnie się z nią zapoznam, porównam ze swoją listą. To nie jest aktualna sytuacja – powtórzyła, kiedy spojrział na tablicę. – Nie tylko brak tu Jayli Campbell, lecz również prawdopodobnych ofiar, których listę sporządziłam wczoraj wieczorem. Czy Ava Enderson widnieje na waszym wykazie?

– Naturalnie, że tak.

Kiedy wymieniała kolejne nazwiska, zamknął oczy jak człowiek, który znalazł dom. W milczeniu kiwał głową, aż doszła do Jacoba

Fastbindera.

– Ten przyprawia mnie o ból serca. Jennifer... Pani Fastbinder robiła, co mogła, ale zabójstwo jej męża nie pasuje do profilu psychologicznego sprawców, sporządzonego przez FBI. I jak w przypadku Małego Mela, równie łatwo można go uznać za ofiarę nieszczęśliwego wypadku.

– Znacie ją?

– Nigdy jej nie spotkałem osobiście, ale przeprowadziliśmy wiele rozmów i kilkakrotnie do siebie pisaliśmy.

– Zamierzałam skontaktować się z nią dzisiaj, poprosić o zgodę na ekshumację zwłok męża i przewiezienie ich tutaj w celu zbadania przez policyjnego antropologa.

– Jeśli pozwoli mi pani z nią porozmawiać, myślę, że uda mi się ją do tego przekonać. Nie wiem jednak, czy uda się pani obejrzeć zwłoki Małego Mela.

– A zachowały się jego szczątki?

– Pochowano go na rodzinnym cmentarzu, jak tego chciała jego mama.

– Dysponując szczątkami kilku ofiar, DeWinter miałaby materiał porównawczy – myślała na głos Eve i od razu podjęła decyzję. – Muszę porozmawiać z komendantem, ale sprowadzimy zwłoki ich obu, jeśli uda się wam załatwić zgodę krewnych.

– Rozmowa z mamą Małego Mela zajmie więcej czasu niż z Jennifer Fastbinder, ale potrafię być przekonujący. I mam nadzieję, że uda mi się namówić panią, by poczęstowała mnie pani jeszcze jedną kawą.

Eve wskazała palcem autokucharza.

– Umiecie to obsługiwać?

– Wszędzie są takie same.

– W takim razie poczęstujcie się. Możecie pójść z kawą do poczekalni... Traficie tam?

– Mam dobrą orientację w terenie.

– Zaczynacie więc przekonywać, kogo trzeba. Ja też potrzebuję trochę czasu, żeby przekonać kogo trzeba tutaj, a potem zwołam odprawę w sali konferencyjnej. Kiedy powinniście wrócić do Arkansas?

– Jestem panem swojego czasu. Wziąłem urlop.

To nieco komplikowało sprawy.

– Czy wasz szef wie, że tu jesteście, czym się zajmujecie?

– Tak. – Banner zaprogramował autokucharza. – Nie widzi tego tak, jak ja, ale dał mi wolną rękę. No i miałem zaległy urlop.

– Dobrze. Postarajcie się uzyskać zgodę krewnych na ekshumację, a ja postaram się ściągnąć tutaj techników.

Usiadła do komputera i kiedy Banner wyszedł, szybko i dokładnie go sprawdziła, a potem skontaktowała się z sekretarką Whitneya i poprosiła o spotkanie z szefem.

Rozdział 10

Whitney siedział za swoim biurkiem, przez okno za jego plecami widać było miasto, któremu służył. Jego wielkie dłonie spoczywały na poręczach fotela, oczy, ciemne i przenikliwe, utkwiał w Eve, która składała mu raport.

Był doskonałym przełożonym. Kiedy mówiła, jego szeroka, ciemna twarz pozostawała nieprzenikniona.

– I ten zastępca szeryfa przyjechał tu z Ozarks na własny koszt, w ramach urlopu, ponieważ zauważył prowadzone przez was poszukiwania?

– Tak jest, panie komendancie.

– A zrobił tak, gdyż jest przekonany, że weteran wojenny, cierpiący na zespół stresu pourazowego, człowiek, który od lat ćpał i zachowywał się w sposób odbiegający od normy, jest jedną z ofiar seryjnych morderców, obecnie poszukiwanych przez wasz wydział, inne jednostki policji i FBI, chociaż lekarz sądowy na miejscu orzekł, co następnie potwierdziło FBI, że poniósł śmierć w wyniku nieszczęśliwego wypadku.

Na zdrowy rozum i logikę nie wydawało się to prawdopodobne, ale...

– Miejscowy lekarz sądowy prowadzi również zwykłą praktykę lekarską w miasteczku. Sprawdziłam tę kobietę, w ciągu siedemnastu lat pracy zawodowej tylko kilka razy miała do czynienia z ofiarami morderstw. FBI sporządziło profile poszukiwanych zabójców i odrzuca wszelkie ofiary, które nie pasują do tych profili. Jak do tej pory federalni nie są zbyt skłonni do zmiany sposobu myślenia. Ofiarę, o której opowiedział zastępca szeryfa Banner, znaleziono na trasie, jaką wytyczyłam, nie wiedząc jeszcze o śmierci Melvina Little'a. Na tej trasie było jeszcze kilka innych ofiar i oboje z zastępcą szeryfa Bannerem umieściliśmy je na naszych listach. Panie komendancie, nasi zabójcy nie zaczęli od Tennessee. Ofiara z Nashville jedynie jest pierwszą, u której zauważono wycięte na ciele serce. Odstępy między poszczególnymi

zabójstwami nie dadzą się logicznie wytłumaczyć, jeśli nie uwzględnić nazwisk osób, które wciągnęliśmy na listę ja i Banner zupełnie niezależnie od siebie.

– Rozmawiała pani z agentem specjalnym Zweekiem?

– Nie, panie komendancie, i na razie nie mam takiego zamiaru. – Urwała tylko na chwilę, kiedy Whitney uniósł brwi. – Oni nie są zainteresowani tym tropem śledztwa ani tymi ofiarami, co już wyraźnie dali do zrozumienia Bannerowi. Jeśli znajdziemy dowody, że to ofiary tych samych seryjnych zabójców, naturalnie podzielę się moimi danymi i informacjami z FBI. Zdaję sobie sprawę, że moja teoria opiera się na spekulacjach, panie komendancie, ale przesłanki tych spekulacji są logiczne. Wszystko pasuje. I uważałabym za zbytnią nonszalancję odrzucenie faktu, że zarówno Banner, jak i ja wytypowaliśmy niezależnie od siebie tak wiele nazwisk, które się pokrywają.

Whitney postukał palcem w kant biurka.

– Czyż nie jest zbytnią nonszalancją ekshumować zwłoki dwojga zmarłych i przetransportować je tutaj, żeby nasi ludzie zbadali je w celu zakwestionowania oficjalnie stwierdzonej przyczyny śmierci?

– Jeśli się okaże, że w przypadku któregoś z tych zmarłych osób mieliśmy rację, są jeszcze trzecie zwłoki. Noah Paston, lat dziewiętnaście, porwany, torturowany i zamordowany we wrześniu. Na jego ciele też nie zauważono wyrytego serca.

– To by zwiększyło liczbę ich ofiar do dwudziestu czterech – zauważył komendant.

– Zwłok Pastona nie poddano kremacji, tylko je pochowano. Jeśli ustalimy, że Little albo Fastbinder – a według mnie obaj – padli ofiarą naszych niezidentyfikowanych sprawców, wtedy moim zdaniem, rodzice Pastona zgodzą się na ekshumację i zbadanie zwłok syna.

– A Jayla Campbell?

– Jest następną ofiarą, ale nie ostatnią. Wierzę, że dzięki współpracy z Bannerem i połączeniu naszych prowadzonych odrębnie śledztw natrafimy na coś, co nam pomoże odnaleźć tę kobietę, nim będzie za późno.

Minęło już prawie dziesięć godzin z czterdziestu ośmiu, pomyślała Eve.

– Nie znamy ich nazwisk, nie wiemy, jak wyglądają. Są jak duchy, panie komendancie. To skłania mnie do przypuszczenia, że wyglądają zwyczajnie, przeciętnie, wiedzą, jak się wtopić w otoczenie i zachowywać tak, by nie zwracać na siebie uwagi. Poleciłam mundurowym i droidom, żeby przepytali mieszkańców na obszarze między miejscem, gdzie ostatni raz widziano Campbell, a jej mieszkaniem. Wykorzystujemy ustalenia McNaba, skąd wysłała wiadomość głosową do swojej współlokatorki. Wiemy, że dotarła do tego miejsca, ale nie wiemy, czy przeszła dużo dalej. Była sama, jak Kuper, Little, Fastbinder. Gdzieś popełniono błąd – ciągnęła Eve. – Ale jeszcze nikt go nie znalazł. Błędy mogły się zdarzać i w przeszłości, jako że nikt zbyt uważnie ich nie szukał. Odkryjemy ten błąd i być może jeszcze zdążymy uratować Campbell.

Whitney postukał palcami w poręczę fotela, a potem się nachylił.

– Chcę porozmawiać z przełożonym Bannerem.

– Z szefem policji Luciusem Mondale’em. Sprawdziłam ich obu.

Gliniarze z małego miasteczka, panie komendancie, ale z tego, co ustaliłam, rzetelni. Przesłałam panu dane o nich i zamiary na Mondale’a.

– Porozmawiam z nim i poinformuję, co zadecydowałem.

A na razie współpracujcie z Bannerem. Informacje zawsze są przydatne.

– Tak jest, panie komendancie.

– Jechali tutaj – powiedział, kiedy się cofnęła.

– Tak, panie komendancie, jedną z tras, którą wytyczyłam.

Wszystkie prowadzą do Nowego Jorku, dokąd przypuszczalnie zmierzali.

Wstał, podszedł do przeszklonej ściany i spojrzął na miasto, założywszy ręce do tyłu.

– To jeden z ich błędów. Postarajcie się jak najdłużej trzymać dziennikarzy z dala od tego dochodzenia.

– Rozumiem.

– Odmaszerować.

– Tak jest, panie komendancie.

Liczy się czas, pomyślała Eve, wracając do siebie. Jeden zegar odmierza godziny życia Campbell, a teraz również drugi zaczął odmierzać czas. Jak szybko uda jej się dostarczyć zwłoki ofiar do

DeWinter. I Morrisa, dodała. Chciała, żeby zajęli się tym obydwój.

Wtedy niczego nie przeoczą.

Czy Melvin Little był pierwszą ofiarą? Zebrała o nim trochę więcej informacji. Ważył zaledwie pięćdziesiąt pięć kilogramów i liczył ponad siedemdziesiąt lat. Ale wcale nie był łatwą ofiarą. Weteran wojenny, znał te góry i lasy, mieszkał w nich od dziesiątek lat.

Nie przestając się nad tym zastanawiać, skrzyła do sali swego wydziału.

– Peabody, zarezerwuj salę konferencyjną. Zabierz tam wszystko, co do tej pory ustaliliśmy podczas tego dochodzenia. Gdzie Baxter?

– Przydzielono im jakąś sprawę.

Eve rozejrzała się dookoła.

– Detektyw Carmichael, Santiago, zajmujecie się czymś pilnym?

– Finalizujemy śledztwo, pani porucznik – odrzekł Santiago.

– Skończcie jak najszybciej, a potem pomóżcie Peabody. Czy mundurowy Carmichael wciąż jest w terenie?

– Jeszcze nie wrócił. Mogę do niego zadzwonić, spytać, co i jak – zaproponowała Delia.

– Zrób to.

Eve skierowała się do poczekalni, po drodze wyjmując telefon.

– Potrzebna mi doktor Mira – powiedziała, zanim sekretarka zdołała się odezwać. – I to pilnie. Porwano kolejną osobę, mam nowe informacje o sprawcach, których profile sporządziła.

– Przekażę pani prośbę, pani porucznik.

– Proszę to zrobić teraz.

Rozłączyła się, zostawiła zwięzłą wiadomość głosową Garnet DeWinter i właśnie przekazywała wiadomości Morrisowi, kiedy dotarła do poczekalni.

– Machina ruszyła – powiedziała i uniosła dłoń, by dać znak Bannerowi, żeby nie wstawał. – Sprawa ekshumacji jest bardzo pilna. Muszę cię poprosić, żebyś mi oczyścił pole o tyle, o ile to możliwe. Skontaktuję się z tobą. – Zwróciła się do zastępcy szeryfa: – Co wam się udało załatwić?

– Pani Fastbinder nie tylko wyraziła zgodę, ale już skontaktowała się z sędzią, który załatwia formalności, a według mnie robi to głównie

dlatego, że poczuł prawdziwą ulgę, iż będzie miał tę sprawę z głowy. Właśnie skończyłem rozmawiać ze swoim szefem. Namówiłem matkę Małego Mela na wyrażenie zgody, szeryf dopilnuje formalności. Według mnie głównie z tych samych powodów, co sędzia.

– Nieważne dlaczego, ważne, że to załatwią. Mój komendant zadzwoni do waszego szefa. – Zmierzyła go wzrokiem. – Jeśli Whitney uzna, że jesteście szaleńcem, Banner, nie zajedziemy razem zbyt daleko.

– Może mam obsesję na tym punkcie, jest też dziewczyna, która uznała, że zwariowałem, kiedy wstąpiłem do policji, ale wybronię się.

Znów uważnie mu się przyjrzała. Nie uważała, że ma przed sobą szaleńca ani maniaka.

– Kto mieszka w tym domku, gdzie znaleziono krew Little'a i skąd zostały zabrane jakieś rzeczy, których nie odzyskano?

– To dom do wynajęcia. Mnóstwo ich w okolicy. Ten został zamknięty na kilka tygodni, gdyż nie dopełniono jakichś wymogów, związanych z dezynfekcją.

– Czyli stał pusty.

– Zgadza się.

– Jakie miał zabezpieczenia?

– Zamek w drzwiach.

– Łatwy cel dla kogoś, kto chciał ukraść jakieś rzeczy, łatwe do upłynnienia. Podejrzani włamali się, zaczęli zabierać to, co im się spodobało. Pojawił się Little. Doszło do sprzeczki, zabili go lub obezwładnili. Jak daleko od domku go znaleziono?

– Nie licząc głębokości żlebu? Niespełna kilometr boczną drogą, pół kilometra od szlaku, którym według FBI szedł, kiedy spadł.

Niektórzy nawet twierdzą, że Mel rzucił się w przepaść, ale to głównie prawda. – Wziął głęboki oddech, przesunął ręką po włosach. – Przepraszam za mój niewyparzony język.

– W dniu, w którym zwrot „gówna prawda” zostanie uznany przez gliny za brzydkie słowa, oddam swoją odznakę. Czyli nigdy. Czy wasi ludzie szukali krwi w domku? Albo dowodów na to, że ktoś ją wytarł?

– Wiemy, jak prowadzić śledztwa. Było tam tylko trochę krwi. Moim zdaniem sprawcy przeoczyli ją, kiedy usuwali ślady. Posłużyli się plastikową płachtą, jak w przypadku innych ofiar. Dlatego nie zostawiają

śladów krwi.

Eve uważała tak samo.

– Czyli on też nie był ich pierwszą ofiarą, tylko kolejną. Cofnijmy się od tego Małego Mela, a dotrzemy do ich pierwszej ofiary. A kiedy ją znajdziemy, znajdziemy również sprawców.

Uniosła brwi, kiedy Banner położył rękę na jej dłoni. I szybko ją cofnął.

– Przepraszam... Przypuszczam, że to zabronione. Ale... Długo czekałem, żeby ktoś to powiedział.

– Od wypowiedzenia tych słów i udowodnienia ich prawdziwości do znalezienia sprawców daleka droga.

– Staralem się ich odszukać, jak mogłem. Będę z panią szczery. Do tej pory prowadziłem tylko dwa śledztwa w sprawie morderstw, a obie sprawy od samego początku były dość oczywiste. Pierwsza dotyczyła braci Delroy, Zacha i Lenny'ego. Obaj niezbyt bystry, miłośnicy alkoholu i narkotyków domowej roboty. Obaj byli pod ich wpływem, pokłócili się podczas gry w karty, Zach wziął pogrzebacz, wiszący przy kominku, i rozwalił nim głowę Lenny'emu. Próbował nam wmówić, że ktoś się włamał do domu, ale jak już powiedziałem, nie jest zbyt bystry.

Usiadł trochę inaczej na twardym krześle, żeby mu było wygodniej.

– Druga sprawa dotyczyła pewnej kobiety z Pittsburgha, która razem z mężem przyjechała na urlop. Niezbyt wiele użyła, bo mąż miał zwyczaj ją tłuc. Podbił jej oko i rozciął wargę, nim udało jej się uciec do auta i w nim zamknąć. A kiedy wybiegł za nią, przejechała go.

– Trudno jej się dziwić.

– No właśnie. Od razu oświadczyła, że chciała być pewna, iż jej mąż nie żyje, dlatego cofnęła się i jeszcze raz go przejechała. Ogółem zrobiła to trzy razy. Tak czy owak, jak już powiedziałem, sprawa była oczywista. W Silby's Pond nie mamy zbyt często do czynienia z zabójstwami, przynajmniej z premedytacją.

– Ale przyjechał pan aż tutaj.

– Codziennie zajmowałem się tą sprawą od dnia śmierci Małego Mela. Czasami tylko godzinę, lecz codziennie. Mam teraz nadzieję, że

skoro dotarłem do kogoś takiego, jak pani, gliniarza, który na co dzień zajmuje się zabójstwami, nastąpi przełom w śledztwie.

– W takim razie bierzmy się do roboty. Przejdźmy do sali konferencyjnej.

Eve podniosła się i zaczęła, aż Banner weźmie swoją kurtkę i torbę.

– Niesamowite miejsce ta wasza komenda policji – zauważył, kiedy ruszyli. – Dużo się tu dzieje.

– Jeśli chcecie, mogę poprosić kogoś, żeby was oprowadził.

– Z chęcią skorzystam z takiej propozycji.

Rozległ się głośny okrzyk wojenny. Eve odwróciła się gwałtownie i zobaczyła dwóch mundurowych, którzy nagle rzucili się w pościg za jakimś mężczyzną. Uciekający parł przed siebie jak byk, z opuszczoną głową i wyszczerzonymi zębami, a oczy płonęły mu jak latarnie po tym, co wypalił, połknął albo sobie wstrzyknął. Przewrócił jakąś urzędniczkę, która rąbnęła jak długa, upuszczając trzymane w rękach dokumenty.

– Przepraszam – powiedziała Eve i skierowała się ku mężczyźnie, który biegł korytarzem jak opętany. Długie, rude włosy miał splecione w cienkie warkoczyki, dłonie zacisnął w pięści.

Jej prawy sierpowy tylko nieznacznie powstrzymał uciekiniera, ale na tyle przykuł jego uwagę, że mężczyzna zaczął wymachiwać pięściami w jej stronę. Obejrzała się przez ramię, żeby się zorientować w sytuacji, zrobiła obrót i kopnęła go prosto w krocze.

Jęknął i złapał się za podbrzusze. Eve całym ciężarem ciała stanęła na jego stopie, uderzyła go kolanem w jądra, a potem spróbowała mu wymierzyć jeszcze jeden prawy sierpowy.

Aż się zatoczył do tyłu, lecz nie przestał groźnie szczyrzyć zębów, chociaż z warg leciała mu krew. Eve przygotowała się na kolejną rundę, ale nadbiegli mundurowi.

Cofnęła się, lecz widząc, z jakim trudem próbują obezwładnić szaleńca, rozważyła, czy znów nie włączyć się do akcji. W powietrzu śmigły pięści i łokcie, okrzyki wojenne rozbrzmiewały echem. Potem z boku doskoczył trzeci mundurowy.

– Na rany Chrystusa – powiedziała, kiedy w końcu udało im się powalić i skuć mężczyznę, który nie przestawał się śmiać jak głupi. –

Na rany Chrystusa.

– To Szalony Fergus, pani porucznik – udało się wydyszeć jednemu z funkcjonariuszy, któremu też z wargi leciała krew. – Myśleliśmy, że panujemy nad sytuacją, ale nigdy nie wiadomo, co mu strzeli do głowy.

– Niech ktoś się zajmie kobietą, którą przewrócił, i zabierzcie go stąd. Jeśli nie umiecie zapanować nad aresztowanym, to trzymajcie go z daleka od mojego wydziału. Wstyd mi za was.

Odwróciwszy się, zobaczyła, że Banner pomaga wstać urzędniczce.

– Przepraszam za ten incydent – powiedziała, gdy do niej podszedł.

– Szybko pani działa. Gdyby mnie udzielono tak w krocze, jak tego tam, leżałbym jak długi i łapałbym powietrze jak ryba, wyrzucona na brzeg.

– Obawiam się, że Szalony Fergus ulepiony jest z twardszej gliny. Co to znaczy? – zastanowiła się na głos, poruszając obolałym ramieniem. – Co ma do tego „głina”? Mniejsza o to.

– Nieźle oberwał.

– Nie on pierwszy. – Znów poruszyła ramieniem.

Kiedy dotarli do sali konferencyjnej, zaprosiła Bannera do środka.

– Detektywi Peabody, Santiago, Carmichael, zastępca szeryfa

Banner.

Po dokonaniu prezentacji przyjrzała się prawie gotowej tablicy.

– Znacie sprawę? – zwróciła się do Carmichael i Santiago.

– Peabody wszystko nam powiedziała. – Santiago postukał palcem w zdjęcie Jayli Campbell. – Mamy niespełna dwa dni, żeby ją znaleźć.

– W takim razie nie traćmy czasu. Zastępco szeryfa, przekazcie detektyw Peabody, co wiecie. Uwzględnijcie to. A ja poinformuję pozostałych o tym, o czym rozmawialiśmy, nim tablica będzie gotowa. Melvin Little... – zaczęła.

Była mile zaskoczona, kiedy weszła Mira. Oznaczało to przerwę, żeby dokonać prezentacji, i szybkie powtórzenie tego, co już powiedziała.

– Taki nierówny, stromy szlak. – Detektyw Carmichael obejrzała przyniesione przez Bannera zdjęcie, które wyświetlili na ekranie. – Mógł

się poślizgnąć. Nie mówię, że tak było – dodała. – Mówię, że jeśli sprawdzić prawdopodobieństwo, wyjdzie całkiem wysokie.

– Tak, proszę pani, rzeczywiście wysokie. Ale każdy, kto znał Małego Mela, wiedział, że to wykluczone, by się poślizgnął. Nie ma znaczenia, jaki był pokrecony, nigdy nie przytrafił mu się najmniejszy wypadek na szlaku.

– Domek, mała ilość krwi. – Mira pokręciła głową. – Jeśli, jak orzeczono, skaleczył się, kiedy grzebał w cudzych rzeczach, powinno być więcej krwi, a nie tylko kilka kropli.

– Zgadza się – powiedziała Eve. – Czy wasi zamiatacze korzystali z lamp?

– Zamiatacze?

– Wasi technicy kryminalistyki.

– Och tak, naturalnie. Żadnych śladów, że wytarto krew. A mogę zapewnić, że Mel nie zadałby sobie trudu, by ją wytrzeć.

– I nie odnaleziono żadnego ze skradzionych przedmiotów? – spytał Santiago.

– Nie zabrano niczego, co miało większą wartość. Ani nic takiego, co zwróciłoby czyjąś uwagę, gdyby próbowano to sprzedać w lombardzie albo na pchlim targu.

Mira skrzyżowała ręce, przyglądając się zdjęciu ofiary.

– Wasz lekarz sądowy uznał, że Little sam się poparzył.

– Tak, proszę pani. Albo niechcący, albo kiedy był na haju.

– Absolutnie się z tym nie zgadzam i uważam, że nasz lekarz sądowy też się z tym nie zgodzi.

– Cieszę się, słysząc te słowa.

– Morris i DeWinter zbadają jego szczątki oraz szczątki drugiej ofiary, znalezionej w Wirginii Zachodniej – powiedziała Eve.

– Wasi ludzie spartaczyli robotę. – Santiago spojrzał na Bannera. – Federalni też. Nie chciałbym nikogo urazić.

– Nie czuję się urażony.

– Przypuszczamy – zaczęła Eve – że działali razem i potraktowali Little'a jak inne ofiary. Włamali się do domku, wówczas niezamieszkanego, Little wszedł do środka albo znalazł się w pobliżu. Zabawili się z nim po swojemu, wykorzystując plastikową płachtę, żeby

nie zostawić śladów krwi. Potem zawieźli go na szlak, zrzucili do jaru i udali się w swoją drogę. Brak serca, wyrzniętego na ciele? Wtedy jeszcze nie znakowali w ten sposób swoich ofiar. Bo był jedną z pierwszych. Nie pierwszą, ale jedną z pierwszych. Więc cofniemy się od tego miejsca.

– I to dość sporo się cofniemy. – Detektyw Carmichael zmarszczyła czoło. – Kluczem będzie znalezienie odpowiedzi na pytanie, jak to się zaczęło. Co ich skłoniło do zabijania? Jeśli się kochają, a wszystko na to wskazuje, może ktoś – osoba, mająca nad nimi władzę, rodzic, małżonek – próbował ich rozdzielić. Albo ktoś zaatakował jedno z nich i tak to się zaczęło. Pierwsze zabójstwo, kimkolwiek była ofiara i gdziekolwiek to się stało, obojętnie, z jakiego powodu, zapoczątkowało to wszystko.

Spojrzała na doktor Mirę, oczekując jej potwierdzenia.

– Moim zdaniem tak. To wszystko zapoczątkowało, stało się tą iskrą.

– Mam kilka teorii – powiedział im Banner. – Głównie posuwałem się naprzód, poczynając od Małego Mela, i napotykałem na mur nie do przebiccia w postaci FBI, ale trochę się też cofnąłem. Mam trzy ofiary, które... No cóż, na razie trzy potencjalne ofiary.

– Przyjrzyjmy się im.

Spojrzał na komputer, z którego korzystała Peabody.

– Jest trochę nowszy od tego, na którym pracuję.

– Wprowadzę dane. Nazwa dokumentu?

– Och, zapisałem je jako PPM – Potencjalne przed Melem.

– Już się robi. Mam kuzynkę, która mieszka w Ozarks – powiedziała Peabody, stukając w klawiaturę. – Niedaleko Pigeon Run.

– Znam Pigeon Run. Ładnie tam.

– To prawda. Ostatni raz tam byłam, jak miałam z szesnaście lat, ale wszystko pamiętam. Razem ze swoim mężem i synami prowadzą spółdzielnię rolniczą.

– Lydia Bench i Garth Foxx?

Peabody spojrzała na niego zaskoczona.

– Tak. Zna ich pan?

– Trochę. Moja siostra lepiej. Przynajmniej raz w miesiącu zawozi

do nich zbiory i przywozi różne rzeczy. Mały ten świat, nie ma co.

– Może na razie zostawmy świat z boku i skupmy się na zabójstwie – zaproponowała Eve. – Peabody, wyświetl informacje.

– Jedna chwila.

– To pierwsza. – Banner skinął głową w stronę ekranu, kiedy ukazało się na nim zdjęcie i nazwisko. – Vickie Lynn Simon.

Licencjonowana prostytutka, pracowała głównie w Tulsa. Jej ciało znaleziono na wiejskiej drodze jakieś piętnaście kilometrów od miasta. Pobito ją i zakłuto nożem. Nazywają to przesadą w zastosowanych środkach.

– To śledztwo zostało zamknięte wczoraj – poinformowała go Eve. – Prawdopodobnie akurat wtedy, kiedy tu jechaliście. Powiązано z nią drugą ofiarę i znaleziono zabójcę. Sprawa nie budzi wątpliwości, druga ofiara zginęła w zeszłym tygodniu. To nie jest dzieło naszych zabójców.

– W takim razie mam tylko dwie ewentualne ofiary. Marc Rossini był właścicielem restauracji w Little Rock. Zakatowany, zaszlachtowany, poparzony. We własnej restauracji po jej zamknięciu. Lokal splądrowano.

– Też się temu przyglądałam – przypomniała sobie Eve. – Możemy go zostawić jako ewentualną ofiarę, bliżej się temu przyjrzeć, ale niezbyt mi to pasuje. Rossini uprawiał hazard, był zadłużony na paręset tysięcy. Wygląda mi to na próbę wyegzekwowania długu.

– W takim razie ostatni na mojej liście. Robert Jansen. Zatruty na śmierć – stwierdzono też ranny obronne. Głowa roztrzaskana prawdopodobnie łyżką do opon. Złamana noga, liczne ciosy zadane w plecy, w twarz. Rany obronne na dłoniach, ramionach. Jego ciało znaleziono w wysokich zaroślach niedaleko szosy numer dwanaście, na południe od Bentonville. Przypuszczalnie nie żył od tygodnia, kiedy jakiemuś dzieciakowi zachciało się siusiu, mama zatrzymała się, zaprowadziła go w zarośla. Najprawdopodobniej mały tak się przestraszył, że zapamięta to do końca życia. Zwierzęta już zdążyły się dobrać do zwłok.

– Tego też wytypowałam – powiedziała Eve, patrząc uważnie. – Dopiero co zaczęłam mu się przyglądać. Pasuje do ich trasy. Był w podróży służbowej, prawda? Jechał z Fort Smith do Bentonville

wynajętym samochodem, którego nigdy nie odnaleziono.

– Zgadza się, proszę pani. – Banner usłyszał zduszony śmiech Santiago. – Znaczy się, pani porucznik. FBI z miejsca go skreśliło. Brak śladów tortur. Może miał kłopoty z samochodem albo zatrzymał się na siusiu, albo żeby komuś pomóc. No i ów ktoś rzucił się na niego. Jansen próbował się bronić, a wtedy oberwał łyżką do opon w tył głowy i w twarz za swoją uprzejmość.

– Zabrali jego auto, potrzebny im był jego wóz. – Eve tak to widziała. – Gdzie ich samochód?

– Nie znaleziono go. Sprawdziłem, żadna firma holownicza nie odholowała auta. Żaden posterunek policji nie miał meldunku o porzuconym samochodzie w tej okolicy.

– Może byli pieszo, ale niezbyt mi to pasuje. Może każde z nich usiadło za kierownicą samochodu, a później jeden sprzedali. Okazja. – Eve zaczęła chodzić tam i z powrotem. – Zatrzymali go. Mężczyzna, który często jeździ służbowo... Po co się zatrzymał na jakiejś bocznej drodze?

– Dla kobiety – podpowiedział Santiago.

– Tak, najprawdopodobniej. Ma pani kłopoty? No cóż, tak. Bardzo dziękuję, że się pan zatrzymał. Jest ciemno i strasznie tutaj. Wtedy wkracza wspólnik, uderza ofiarę z całych sił łyżką. Może nie pierwszy raz wykręcili taki numer. Może zależało im tylko na jego samochodzie, a facet zrobił coś nie tak. Może zaczął podrywać kobietę i wtedy jej towarzysz go rąbnął. Może w bójce z jej towarzyszem tamten zaczął zdobywać przewagę, a wtedy kobieta złapała łyżkę do opon i go zdzieliła. Oho, trup albo człowiek poważnie ranny. Co teraz zrobimy?

– Zaciągniemy go w krzaki – dokończyła Peabody – i zwiejemy stąd.

– A potem: zobacz, co razem zrobiliśmy. Czy to nie było ekscytujące? Podniecające?

Och, pasuje, pomyślała Eve, wyobrażając sobie tę scenę. Wszystko świetnie pasuje.

– Są wymazani jego krwią. Jak się kogoś zdzieli w głowę, to nieuniknione. Zapach krwi, plamy z krwi, wszystko ciepłe, czerwone, mokre. To ich nakręciło.

– Zrobili to razem. – Mira skinęła głową. – To scementowało ich związek, przeniosło go na nowy poziom. Ofiara stała się wrogiem, przed którym nawzajem się bronili. A seks to nagroda. A potem stał się celem. I chcą coraz więcej. Dłużej zabawiają się z ofiarą, eksperymentują. Jeśli to była ich pierwsza ofiara albo jedna z pierwszych, to zabili ją szybko i brutalnie, niekoniecznie z premedytacją.

– Jansen był ich szczęśliwym zrzędzeniem losu – powiedziała Eve. – Więc pomyśleli: a co, gdybyśmy coś takiego zaplanowali, co, gdybyśmy to zrobili jeszcze raz, skoro już wiemy, jakie później ogarnia nas uczucie? Pasuje mi to.

– Tak po prostu. – Banner rozejrzał się wkoło z pewnym zdumieniem.

– Nie, nie tak po prostu. Santiago, Carmichael, udacie się do... Gdzie to jest, do diabła?

– Najbliżej będzie Monroe w stanie Arkansas, niedaleko od granicy z Oklahomą.

– Pojedziecie tam.

– Iii-ha – zakrzyknął Santiago.

– Pokopcie wszędzie. W którymś momencie musiał gdzieś być drugi samochód. Odszukajcie go. Peabody, sprawdź dokładnie ofiarę, przeprowadź rozmowy z ludźmi, którzy go znali, postaraj się jak najlepiej go poznać... I wyciągnij wszystkie istotne raporty i akta. Mógł być ich pierwszą ofiarą. To nawet pasuje. Nie chcieli tego zrobić, ale okazało się to takie cudowne uczucie. Mel Little... Spójrzcie na ich trasę... Mógł być następną, już trochę zaplanowaną. Jeszcze nie w szczegółach, ale zaplanowaną. Może między nimi dwoma znajdziemy jeszcze jedną ofiarę, lecz nie więcej niż jedną. Oklahoma?

Dała znak Peabody, żeby wyświetliła mapę.

– Jeśli to była ich pierwsza ofiara, przypuszczalnie przyjechali z Oklahomy. Może stamtąd pochodzą – to prawdopodobne, logiczne. Sprawdzimy w IRCCA przypadki kradzieży aut, cofając się od tego miejsca. Może zaczęli od kradzieży samochodów, które następnie rozbierali na części i sprzedawali. Działali na bocznych drogach, w małych miejscowościach na tym terenie. Żeby móc to robić, musieli znać te okolice. Czyli zaczniemy od Oklahomy. Spakujcie

najpotrzebniejsze rzeczy – powiedziała do Santiago i Carmichael. – Załatwię wam wahadłowiec, a po wylądowaniu samochód.

– Jazda samochodem. – Carmichael uniosła w górę rękę, zaciśniętą w pięść. – Ja prowadzę pierwsza.

– Kurde.

Nie zwracając na nich uwagi, Eve wyjęła telefon i odeszła kilka kroków na bok. Zegar tyka dla Jayli Campbell, powiedziała sobie w myślach. Trzeba wykorzystać wszystkie możliwe środki, żeby zyskać na czasie.

Postanowiła zadzwonić do Caro, niezwykle skutecznej sekretarki Roarke'a, lecz na wyświetlaczu pojawiła się jego twarz.

– Pani porucznik.

– Cześć. Potrzebna mi przysługa.

– Czy dopiero co nie otrzymałem zapłaty za jedną?

– Zaczynamy od nowa. Potrzebny mi wahadłowiec i to pilnie.

– Dokąd się udajemy?

– Nie my, Santiago i Carmichael lecą do Arkansas. Mamy trop.

Muszą tam być możliwie jak najszybciej. I ma na nich czekać samochód – w miarę możliwości najzwyklejszy pod słońcem.

– Mogę to załatwić. Poproszę Caro, żeby ci przekazała potrzebne informacje.

– Dziękuję. Może uda mi się pokryć z budżetu standardowe koszty.

– Wolę inne metody zapłaty. Znalazłaś ich pierwszą ofiarę, jak miałaś nadzieję?

– Wszystko na to wskazuje.

– W takim razie już szykuję transport. Caro przekaże ci dokumenty i numery. A ja później zgłoszę się po zapłatę.

– Cha, cha. – Rozłączyła się. – Wahadłowiec już załatwiany – oznajmiła. – Ja się zajmę pozwoleniami. Carmichael, Santiago, spakujcie się i bądźcie gotowi do drogi. Peabody, zajmij się Bannerem. Mira, chętnie porozmawiałabym z tobą, nim udasz się do swoich obowiązków.

Powiedziawszy to, Eve wymaszerowała z sali.

Banner odetchnął głęboko.

– Czy tutaj zawsze wszystko dzieje się tak szybko? Czy ona zawsze tak prędko działa?

Peabody zastanowiła się chwilę.
– Na ogół tak – odrzekła z uśmiechem.

Rozdział 11

Mira wsunęła głowę przez drzwi do gabinetu Eve.

– Mam dziesięć minut do kolejnej sesji.

– Świetnie. – Eve obróciła się w fotelu. – Mamy dwa dni – teraz już trochę mniej – bo przyznasz, że postępują według pewnego schematu.

– Mało prawdopodobne, by go zmienili. Mogą zajść jakieś nieprzewidziane okoliczności, które by ich skłoniły do skrócenia czasu torturowania ofiar, ale znęcanie się sprawia im przyjemność i umacnia więź między nimi. Zabicie ofiary to konieczność, ostateczny cel i końcowa ekstaza, a przedłużanie tego całego procesu pogłębia ową ekstazę.

– Muszą mieć jakieś lokum.

– Tak. Gdzie nikt im nie przeszkodzi.

– Skłaniam się ku prywatnemu domowi albo budynkowi z kiepskim systemem zabezpieczeń. Ale sprawdzanie pustych mieszkań i opuszczonych budynków do tej pory nie przyniosło wyników. To z pewnością nie noclegownia, gdyż zbyt wiele ludzi tam się kręci. Ani nie hotel. A nie wyglądają na takich, których stać na wynajęcie eleganckiej, wielkiej kamienicy z piaskowca. Bo wtedy musieliby pozwolić, by sprawdzono, kim są, wpłacić kaucję. Może mieszkanie w suterenie w jakimś budynku niskiej czy średniej klasy. Albo... Sprzątnęli kogoś, kto był lokatorem mieszkania, które im odpowiadało.

– Sądysz, że mają na swoim koncie jeszcze jedną ofiarę?

– Nie widzę, kiedy mogliby ją dorwać, ale muszą mieć jakieś lokum. Więc albo je sobie załatwili, jadąc tutaj, albo znaleźli coś, co im odpowiadało, już po dotarciu na miejsce. Ewentualnie zgarnęli kogoś po drodze, może w New Jersey czy też po przyjeździe tutaj. Jeśli mam rację, to dobrze ukryli zwłoki bądź zachowali ofiarę przy życiu, żebyśmy do nich nie dotarli, podążając tym tropem. Mam pytanie: czy są wystarczająco bystrzy, żeby coś takiego zrobić? Wystarczająco inteligentni, by wszystko zaplanować, znaleźć odpowiednie lokum

i porwać właściciela, by zainstalować się w jego mieszkaniu?

– Uważam, że tak. Zabijają już od miesięcy. Jeśli, jak sądzisz, Nowy Jork był ich celem, zaplanowałiby sobie całą akcję. Są coraz lepsi w tym, co robią. A traktują to jak hobby. To nie misja – powiedziała Mira, kiedy Eve uniosła brwi, usłyszawszy słowo „hobby”. – To nie dzieło ich życia. To dla nich zabawa, coś, co umacnia więź między nimi.

– Ludziom z czasem nudzi się ich hobby i rezygnują z niego.

– To prawda i owszem, kiedyś mogą z niego zrezygnować. W tej chwili jest to jednak zbyt ekscytujące. No i wszystko idzie jak po maśle. Uważamy, że poszukiwani przez nas zabójcy to para, która się kocha i uprawia seks. Ale między parami zdarzają się... Sprzeczki, różnice zdań. Mogą się odkochać. Jeśli tak się stanie...

– Mogą się zwrócić przeciwko sobie – dokończyła za nią Eve. – Albo rozstać. Miejmy nadzieję, że pozostaną razem. Rozstanie albo zwrócenie przeciwko sobie? To oznaczałoby zmianę schematu postępowania, inny modus operandi.

– Póki istnieje między nimi więź, póki się kochają, nie tylko współpracują ze sobą, ale również nawzajem się chronią. Jak ich dopadniesz, a oni nadal będą się czuli ze sobą związani, możliwe – a nawet wielce prawdopodobne – że będą woleli razem zginąć, niż pozwolić, by ich ujęto... I rozdzielono.

– Tak, już rozważałam ewentualność samobójstwa w razie wpadki. Lecz teraz najważniejsze to ich ująć. Wtedy postaramy się nie dopuścić, by odebrali sobie życie.

Wstała i zaczęła krążyć po gabinecie.

– Jakie wrażenie zrobił na tobie Banner?

– Oddany tej sprawie, trochę wybałusza oczy, ale jest solidny. Podejrzewam, że wielokrotnie go zbywano – chociażby FBI czy inne jednostki policji – kiedy zajmował się tym śledztwem. Nie zrezygnował, chociaż łatwiej byłoby odpuścić sobie.

Eve kiwała głową, chodząc tam i z powrotem.

– Nie wydaje mi się, by działał na własną rękę. Gdyby tak było, odsunąłabym go od śledztwa. No dobrze, dziękuję za twój czas i uwagi.

Znów usiadła w fotelu, spojrzała na swoją tablicę.

– Cierpi i boi się. „Dlaczego mnie to spotkało?” W kółko zadaje

sobie to pytanie. Chce znów zobaczyć swoją rodzinę i przyjaciół. Pragnie, żeby to się skończyło, zwyczajnie skończyło. Jeśli uda nam się coś znaleźć w Arkansas, jeśli uda nam się ich zlokalizować – bo to musi być gdzieś w centrum miasta – i jeśli jest na tyle twarda, żeby wytrwać – mamy szansę, by ją uratować.

– Gdybym mogła ci jeszcze w jakiś sposób pomóc, wystarczy, jak dasz mi znać.

Eve odwróciła się w fotelu.

– Kiedy dotrą tu szczątki dwóch ofiar, o których ekshumacje wystąpiliśmy, pomoże mi, jak będziesz współdziałała z DeWinter i Morrisem albo czytała ich raporty. Przyda mi się spojrzenie psychologa. Nie chcę niczego przeoczyć.

– Załatwione.

Kiedy została sama, zleciła kolejne wyszukiwanie osób, których zaginięcie zgłoszono od sierpnia ubiegłego roku, mieszkających bądź prowadzących interesy w Nowym Jorku.

Zadzwoiła jej komórka. Eve zobaczyła na wyświetlaczu numer doktor DeWinter i odebrała.

– Dallas.

– Mogłaś mnie spytać.

– O co?

– Czy mam czas zbadać szczątki dwóch ekshumowanych ofiar.

Może w pełni nie rozumiesz tego, co tu robimy, albo nie wiesz, że akurat zajmuję się kośćmi dwóch osób, które niedawno odnaleziono w ruinach budynku.

– Ile liczą sobie lat?

– Mniej więcej sto dwadzieścia.

– W takim razie mogą zaczekać. Jayla Campbell – rzuciła ostro do telefonu i odwróciła się tak, żeby na wyświetlaczu pojawiła się jej tablica i zdjęcie Campbell. – Jeśli dopisze jej szczęście, ma mniej więcej trzydzieści sześć godzin, nim dwoje zakochanych szaleńców, którzy obecnie ją torturują, skończy z nią, rozcinając jej brzuch, żeby się wykrwawiła na śmierć, a oni w tym czasie prawdopodobnie będą uprawiali seks.

Z ładnej twarzy doktor DeWinter zniknęło oburzenie. Westchnęła

i przesunęła dłoń po gładko uczesanych włosach.

– Mogłabyś powiedzieć coś więcej na ten temat?

– Mam niewiele czasu, bo uważam Campbell za ostatnią z przynajmniej dwudziestu jeden potwierdzonych ofiar. Do tego dochodzą cztery prawdopodobne, wliczając szczątki dwóch, które do nas jadą.

– Gdybyś mogła mi powiedzieć coś więcej na ten temat, może udałoby mi się wykorzystać swoje znajomości, by szczątki ofiar dotarły tu szybciej.

– Jakim cudem?

DeWinter spojrzała na nią zimno swoimi przenikliwymi, zielonymi oczami.

– Mam znajomości i wiem, jak je wykorzystywać. Co właśnie zamierzam zrobić. Ale potrzebny mi pełen raport o tym śledztwie, profil sprawców, informacje o poprzednich ofiarach.

– Wysłałam ci wszystko jakieś piętnaście minut temu.

– Och. – Tym razem DeWinter westchnęła. – Naprawdę musimy się nauczyć, jak lepiej się porozumiewać.

– Słusznie. Zajmę się tym.

– Ja też.

Eve powstrzymała się od rzucenia pełnej zniecierpliwienia riposty głównie dlatego, że tamta miała rację.

– Świetnie. Zapoznaj się z tym, co ci przekazałam. W razie jakichś pytań dzwoń do mnie. Morris będzie pracował razem z tobą, Mira też postara się znaleźć czas. Muszę wiedzieć o tych dwóch wszystko, co da się ustalić. Federalni nie uważają ich za ofiary naszych zabójców. Ja tak. Muszę udowodnić, że mam rację.

– Jeśli udowodnię, że masz rację, postawisz mi drinka.

– Jasne, co tylko zechcesz. Mam mało czasu.

– Ja teraz też. Oddzwonię.

Eve przycisnęła dłonie do powiek. I pomyślała: kawa.

Zamierzała wstać, kiedy usłyszała stukot różowych botków Peabody, zmierzającej do jej gabinetu.

– Mam informacje o Jansenie, przypuszczalnie naszej pierwszej ofierze. – Spojrzała na tablicę, na której Eve już umieściła jego zdjęcie.

– Mieszkał w Columbus w stanie Ohio, był ekspertem od efektywności. Firmy wynajmowały go, żeby im radził, jak zwiększyć wydajność. Gdzie obniżyć koszty, gdzie zainwestować. Czterdzieści trzy lata, rozwiedziony, bezdzietny. Przez tydzień nikt nie zgłosił jego zaginięcia, bo na ogół pracował niezależnie i właśnie skończył zlecenie w Fort Smith. Był w drodze do Bentonville, gdzie miał kilka dni wolnych. W Fort Smith wynajął grafitowego sedana Priority, model z dwa tysiące sześćdziesiątego roku, wykończenie Shining Silver. Ma na swoim koncie sporo stłuczek, ale poza tym nienotowany. Dużo zarabiał, cieszył się dobrą opinią, spędzał mniej więcej trzydzieści sześć tygodni w roku w podróżach służbowych i najwyraźniej to lubił. Według mnie miał więcej kolegów i klientów niż przyjaciół. Na studiach trochę boksował. Dbał o sprawność fizyczną.

– Bronił się bardziej, niż się spodziewali. Zobaczyli samotnego faceta w ładnym samochodzie. Spodobał im się wóz, nie przypuszczali, że napotkają na większe przeszkody, próbując go odebrać właścicielowi. Ale ponieważ się bronił, zginął. Więcej kolegów i klientów niż przyjaciół – powtórzyła Eve. – Mniej prawdopodobne, żeby się zatrzymał na widok pary czy innego mężczyzny. Czyli według mnie musiała to być kobieta. Założę się, że jest niebrzydka. Wsiadł z samochodu. Gdyby była autostopowiczką, nie byłoby potrzeby, żeby wysiąść.

– Awaria jej wozu. Albo udała, że coś jej się stało, więc wysiadł, żeby pomóc.

– Raczej awaria samochodu. Musieli jakoś dotrzeć do miejsca, w którym byli, a nie widzę, żeby można tam było skądkolwiek dojść na piechotę. Czy wiadomo, co miał na sobie, przy sobie?

– Bagaż – a należy przypuszczać, że potrafił się spakować. Dwa eleganckie garnitury, kilka koszul, krawatów, bielizna, przybory toaletowe, strój do ćwiczeń. Dwie pary butów wyjściowych, dwie pary sportowego obuwia. Tablet, palmtop, dwa telefony, trochę gotówki – w dniu wyjazdu z Fort Smith wyjął z bankomatu osiemset dolarów. Jego bezpośredni przełożony powiedział, że wszyscy noszą przy sobie pewną kwotę pieniędzy na napiwki. Widocznie dobre napiwki gwarantują znacznie lepszą obsługę. Firmowa karta kredytowa i dwie prywatne.

Z żadnym nie korzystał po wyjeździe z Fort Smith. Dobry zegarek na rękę. Mam producenta i model, już zleciłam poszukiwania. Tak samo, jak jego sprzętu elektronicznego.

– Zdobądź jego wymiary.

– Słucham?

– Rozmiar ubrań, butów. Jeśli ich nie sprzedali w ciągu kilku dni gdzieś na przypuszczalnej trasie podróży, to z nich korzystali. A jak z nich korzystali, to poznamy wzrost i budowę jednego z nich, a także numer butów.

– Aha. Kto by o tym pomyślał?

– Ja o tym pomyślałam. Zdobądź rozmiary, popytaj kolegów czy klientów, może ktoś z nich będzie potrafił opisać, jakie ubrania spakował. Jeśli nie, spróbuj popytać w hotelach, w których się zatrzymał. Z pewnością gdzieś korzystał z pralni.

– Już się robi. Aha, Dallas...

– Co znowu? Muszę dokończyć raport dla Whitneya.

– Poprosiłam rzecznika, żeby oprowadził Bannera po komendzie...

I powiedział mu o knajpcie i tak dalej.

– Bardzo dobrze. Idź już.

– Dallas, on nie ma gdzie się zatrzymać w Nowym Jorku.

– W Nowym Jorku są miliony miejsc, gdzie można się zatrzymać.

Mina Peabody powinna jej dać do myślenia, ale Eve nie zwróciła na to uwagi.

– Tak, zapytał, czy mogłabym mu polecić jakiś hotel, może w pobliżu komendy. Od trzydziestu godzin jest w podróży, do tego pokrywa koszty z własnej kieszeni. Odnoszę wrażenie, że policjanci w Silby's Pond zarabiają jeszcze mniej od detektywów w Nowym Jorku.

– Chryste, Peabody. – Eve zrozumiała, o co chodzi jej partnerce, i poczuła wyrzuty sumienia. – Widzę, ku czemu zmierzasz, i uprzedzam cię, że będziesz musiała zawrócić z tej drogi.

– Wysłuchaj mnie najpierw, dobrze? – Peabody zamachała rękami w powietrzu, jakby chciała odpędzić jakąś natrętną muchę. – Jeśli zaprosisz go do siebie, będziesz go miała pod ręką, gdyby pojawiło się coś nowego w sprawie. I pomyślałam też, że razem z McNabem moglibyśmy się do ciebie przeprowadzić z tego samego powodu –

dodała szybko. – I moglibyśmy mu znaleźć zajęcie, żebyś ty nie musiała, jeśli zajdzie taka potrzeba. Carmichael i Santiago już są w drodze na zachód. Może dziś wieczorem czegoś się dowiemy.

– Do diabła. – Eve powstrzymała się wysiłkiem woli, żeby nie położyć głowy na biurku i nie uderzyć nią kilka razy w blat, bo, jak przedtem DeWinter, Peabody miała rację.

– Załatw wszystko z Summersetem. – Eve postanowiła, że oszczędzi sobie tej tortury. – Nie chcę słuchać jego utyskiwań, że prowadzi przytułek dla gliniarzy.

– Zajmę się tym. Aha, będziemy musieli wpaść do domu, wziąć kilka rzeczy. Możemy zabrać ze sobą Bannera, ale...

– Och, na... Ja go zabiorę. Kiedy będę gotowa. Jeśli chce, może się trochę przespać w kanciapie. A teraz wynoś się, nim każesz mi przenocować w domu połowę wydziału.

Eve na chwilę ukryła twarz w dłoniach. Najpierw kawa, postanowiła. Potem skontaktuje się z Roarkiem – wyśle do niego SMS – żeby go poinformować, że sprowadzi do domu gliny, wśród nich jednego, o którym nic nie wiedziała. Poinformuje Whitneya, co nowego w sprawie, przeanalizuje wyniki zleconych poszukiwań, a potem...

Zadzwoił jej telefon. Zgrzytając zębami odebrała. Znowu DeWinter.

– Co, do cholery?

– Ja też cię witam. Szczątki obu ofiar zostaną ekshumowane w ciągu godziny. I powinny tu dotrzeć do osiemnastej.

Złość jej przeszła jak ręką odjął.

– Szybko. Może jestem ci winna drinka również za to.

– Nie odmówię. Już ustaliłam z Morrisem, że przystąpimy do pracy dziś wieczorem. Doktor Mira będzie się z nami konsultowała holograficznie, jeśli zajdzie taka potrzeba, a rano przyjdzie do mnie do domu.

– Świetnie. Może w takim razie postawię ci całą butelkę?

– Drinki i rozmowa, pani porucznik – powiedziała DeWinter. – Najwyższa pora. Będę cię informowała na bieżąco.

– Ja też. I dziękuję. Cholera, mam drugą rozmowę. Na razie.

Rozłączyła się, odebrała drugi telefon.

– Panie komendancie, właśnie miałam panu wysłać raport o stanie sprawy.

– Zanim to zrobisz, Dallas, wiedz, że szef Bannerera wydał o nim pozytywną opinię. Ale ponieważ oficjalnie nie stanowi to części dochodzenia, prowadzonego przez FBI, chcę, żeby wszyscy byli maksymalnie kryci. Proszę o szczegółowy raport, pani porucznik, z kopią do Tibble’a.

Eve skinęła głową. Wszyscy mieli być całkowicie kryci, łącznie z jej własnym szefem.

– Tak jest, panie komendancie. Powiem tylko, że może mamy przełom w sprawie. – Streściła pokrótce to, co szczegółowo opisała w swojej notatce o Jansenie.

– Żeby przyspieszyć bieg spraw, zwróciłam się do Roarke’a o zapewnienie środków transportu. Detektywi już są w drodze do Arkansas.

– Uwzględnijcie w swoim raporcie prośbę o zrefundowanie kosztów.

– Nie przyjmie pieniędzy, panie komendancie.

– Napiszcie o tym. Roarke może nieodpłatnie zapewnić nam te środki transportu, ale musimy wszystko załatwić oficjalnie. Chcę dostać wszelkie niezbędne dokumenty.

– Tak jest, panie komendancie.

Rozłączyła się i pomyślała, że jeśli przyjdzie jej osobiście zająć się niezbędnymi dokumentami, by wyręczyć Roarke’a, nie będzie zbyt szczęśliwa z tego powodu.

Znów pomyślała: kawa, potem SMS do Roarke’a. Tym razem niemal udało jej się dojść do autokucharza, nim usłyszała czyjeś kroki na korytarzu.

– Przepraszam, pani porucznik.

Miała ochotę warknąć na Baxtera, ale był blady i miał podkrążone oczy.

– Czego?

– Chciałem zameldować, że wróciliśmy, jesteśmy do dyspozycji.

– Świetnie, jest mnóstwo roboty. Siadaj. – Zaprogramowała dwie kawy. – Jaką dostaliście sprawę?

– Już ją zakończyliśmy. Chryste. – Wziął kubek z kawą i utkwiał w nim wzrok. – Można by pomyśleć, że człowiek już się z tym oswoił. Że już wszystko widział, nic go nie zaskoczy. Ale to nieprawda. Rozwiedziony facet miał się dziś zgłosić po dzieciaki, czternastoletnią córkę i ośmioletniego syna. Od jakiegoś czasu był bez pracy, kilka razy arogancko się zachował wobec swojej byłej. Nic specjalnego, głównie krzyczał, awanturował się. Dziś otworzyła mu drzwi, a dzieci poszły po swoje rzeczy. Wtedy on zdzielił ją prosto w twarz młotkiem. Potem zaatakował dzieciaki. Widać, jak próbowały uciec, dziewczynka własnym ciałem próbowała osłaniać brata.

Baxter znów utkwiał wzrok w kawie, wzdrygnął się, pociągnął łyk.

– Zrobił z niej miazgę, Dallas. Jakby to była po prostu rzecz, a nie jego własne dziecko. Mówią, że chłopczyk może przeżyje. Ma połamane nogi i jedną rękę, ale większość ciosów przyjęła na siebie jego siostra. Kiedy ten drań uznał, że oboje załatwił, wrócił do żony i ją dobił.

Wolno wypił kawę.

– Sąsiedzi coś usłyszeli, wezwali policję, przybiegli. A facet opuścił mieszkanie i wszedł prosto pod jadące samochody. Kobieta, która go potrąciła, próbowała zahamować, miała w samochodzie małe dziecko. Nic im się nie stało, tylko są w szoku. Faceta odrzuciło prosto pod koła innego nadjeżdżającego samochodu, którego kierowca nie zdołał się zatrzymać.

– Nie żyje?

– Żałuję, że zginął – powiedział ze złością Baxter. – Żałuję, że nie możemy go wsadzić za kratki, by do końca jego nędznego życia pokazywać mu w kółko zdjęcia jego dzieciaków. Jego własnych dzieciaków, Dallas. Mózg jego córki rozbryźnięty na ścianie, na podłodze. I za co?

– Nigdy nie poznamy odpowiedzi, Baxter, i nigdy nie będziemy mogli powiedzieć, że widzieliśmy najgorsze. Zawsze zdarzy się coś gorszego. A jeśli na to zobojętniejemy, jeśli przestaniemy cokolwiek czuć, będzie to oznaczało, że pora odejść z policji. Gdzie Trueheart?

– Kazałem mu iść do domu, odpocząć. Ale wiem, że został jeszcze trochę w szpitalu. Są tam dziadkowie chłopca, mały ma też innych krewnych, przynajmniej to dobre. Trueheart podchodzi jutro do

egzaminu, więc mu poradziłem, żeby spróbował o tym nie myśleć, przynajmniej na razie, skupić się na egzaminie. Może uda nam się powstrzymać kolejnego szaleńca, nim pozabija własne dzieci. Trueheart dostanie odznakę i być może następnym razem dotrzemy na miejsce, zanim mózg rozbryźnie na ścianie.

– Ty też powinieneś iść do domu.

– Nie mogę. – Uniósł wzrok i spojrzał na nią. – Daj mi coś do roboty, dobrze, szefowo? Cokolwiek.

– Zleciłam kolejne wyszukiwanie zaginionych – powiedziała i wszystko mu wytłumaczyła. – Ogranicz się do osób, mieszkających lub prowadzących interesy w centrum miasta. Porównaj listę z zaginionymi w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

– Rozumiem. Dzięki.

Wstał, spojrzał na jej tablicę.

– Wiesz, że niektórych z nich nigdy nie zapomnisz. Ale dalej pracujemy, chociaż wiemy, że będzie takich więcej. Bo trzeba wierzyć, że nasza robota ma sens.

– Można w to wierzyć, bo tak właśnie jest. A tych dwoje? Zostało im już niewiele czasu. Znajdziemy ich.

– Jestem za.

Kiedy wyszedł, Eve zadzwoniła, by przysłano jej nazwisko rodziny, zdjęcia żony i dzieciaków, których nie mógł zapomnieć Baxter. Teraz ona też tego nie zapomni, bo ich robota musi mieć sens.

*

Mimo tylu przeszkód udało jej się sporządzić dokładny raport i wysłać go do Whitneya. Potem, po krótkim zastanowieniu się, postanowiła zabrać resztę pracy do domu, gdzie ktoś nie będzie jej co chwila przeszkadzał. I uświadomiła sobie, że już koniec zmiany.

Zapisała wyniki poszukiwań osób zaginionych, wzięła to, co jeszcze miało jej być potrzebne, włożyła płaszcz.

I przypomniała sobie, że ma zabrać ze sobą Bannerę.

Zobaczyła, że w sali ogólnej wydziału jest jeszcze wielu gliniarzy.

– Zbierajcie się do domu – poleciła, a potem podeszła do Truehearta.

– Jak dzieciak?

– Już skończyli go operować. Lekarz powiedział, że będzie musiał przejść jeszcze przynajmniej dwie operacje, dlatego utrzymują go w sztucznej śpiączce. Ale uważają, że przeżyje, najgorsze ma już za sobą. A jego rodzina...

Urwał, wziął głęboki oddech.

– Znaczy się, dziadkowie i inni krewni są przy nim. Lekarz powiedział, że jest młody i zdrowy, co zwiększa szanse.

– Dobrze. Nie myśl o tym dziś wieczorem. Idź do domu, poczytaj trochę do egzaminu. Nawet o tym nie myśl – dodała, przewidując, co rozważy Trueheart. – Nie można odłożyć egzaminu ani innych życiowych planów z powodu tego, czego nie możesz zmienić. Chłopiec jest w dobrych rękach, a ty zrobiłeś to, co do ciebie należało.

– To samo powiedział Baxter.

– W takim razie posłuchaj go. – Spojrzała na tamtego. – Prześlij mi to, co masz, i idź na piwo z Trueheartem, a potem odwieź go do domu. Postaraj się, żeby jutro nie przyniósł nam wstydu.

– Zrobię to. Dallas, chciałbym nad tym popracować. Mogę się tym zająć jutro, kiedy młody będzie zdawał -egzamin.

– Dobrze, włączę cię do ekipy śledczej. Peabody, bierz, co ci potrzebne, tylko raz-dwa. Mamy dużo roboty. Gdzie Banner?

Wychylił się zza ścianki działowej.

– Przeglądałem swoje notatki. Detektyw Peabody powiedziała, że mogę skorzystać z tego miejsca.

– Weźcie, co macie. Wynosimy się stąd.

Wymaszerowała, nie czekając na niego.

– Doceniam to, że zgodziła się pani mnie przenocować, pani porucznik – powiedział, kiedy ją dogonił. – Nie chcę pani sprawiać kłopotu.

– Mamy mnóstwo miejsca, a wy zapłacicie z góry, bo po drodze wstąpimy gdzieś. Wybrałam na chybił trafił jedną zaginioną osobę, sprawdzimy jej miejsce zamieszkania. Tamci muszą gdzieś mieszkać. Może nam się poszczęści.

– Nigdy nic nie wiadomo. Pani Denning oprowadziła mnie po komendzie – dodał, kiedy wcisnęli się do windy. – Robota tutaj nigdy

nie ustaje. Widziałem też wasz wydział przestępstw elektronicznych i muszę powiedzieć, że nigdy wcześniej nie zetknąłem się z czymś takim.

– Powtarzam to zawsze, jak stamtąd wracam.

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Niewątpliwie to barwne miejsce. Jak się nazywa ich szef?

– Feeney.

– Kapitan Feeney przypomina mi mojego wuja Billa. Inteligentny i miło się z nim gada. Z całą pewnością wysoko panią ceni, pani porucznik.

– To on mnie wyszkolił. Najlepszy policjant, jakiego znam.

A znam kilku dobrych.

– Powiedział, że jeśli jest pani na tropie tej dwójki, to już nie spocznie pani, póki ich nie dopadnie.

– Czy to pytanie, czy stwierdzenie, Banner?

– Może jedno i drugie.

Z ulgą wysiadła, kiedy winda zatrzymała się na poziomie podziemnego garażu.

– Dorian Kuper nie jest ich pierwszą ofiarą, ale w tej sprawie był pierwszą ofiarą, której śmiercią się zajęłam. Grał na wiolonczeli, ma matkę, która nigdy się nie otrząśnie po jego tragicznej śmierci. Okazało się, że znał go mój przyjaciel.

– Widziałem jego zdjęcie na tablicy.

– No właśnie. Ja też będę je widziała codziennie, póki nie zakończę tego śledztwa. To mój wóz.

Dostrzegła zdumienie na jego twarzy, chociaż natychmiast je ukrył. Wstukała kod, żeby otworzyć drzwi. Znów nie potrafił ukryć zdumienia, kiedy wsiadł, a fotel dostosował się do jego sylwetki.

– Wygodnie.

– Zawozi mnie tam, gdzie potrzebuję być. – Uruchomiła silnik i skierowała się do wyjazdu. Zatrzymała się na chwilę, oceniając ruch samochodowy, warunki na drodze.

– Przeklęta zima – mruknęła i tak szybko włączyła się do ruchu, że Banner dyskretnie poprawił pasy bezpieczeństwa.

– I nieźle przyspiesza.

– Dlaczego mężczyźni mówią o samochodach, jak o kobietach?
– Przypuszczam, że z miłości. Przepraszam, że tak się gapię – dodał, wykręcając szyję, żeby lepiej się przyjrzeć balonowi reklamowemu, informującemu o zimowej wyprzedaży, który sunął wolno na tle szarego nieba. – Niewiele widziałem po drodze do komendy. Denerwowałem się – wyjaśnił i cicho chrząknął, kiedy Eve wcisnęła się między taksówkę a wolno sunący mini. – Nie wiedziałem, czego się spodziewać, kiedy dotrę na miejsce.

Skręciła, nim zapaliło się zielone światło dla pieszych, a ci szeroką ławą weszli na jezdnię.

– Z całą pewnością nie spodziewałem się, że będę jechał przez miasto z policjantką z wydziału zabójstw do jakiegoś mieszkania, by sprawdzić, czy to może dobry trop.

– Nie wiem, czy w tej chwili można to nazwać tropem. Zaginiony to Wayne Potter, lat sześćdziesiąt trzy, dwukrotnie rozwiedziony, trójka dzieci i druga trójka pozamałżeńskich. Miał firmę przeprowadzkową. Ostatni raz widziano go osiemnastego sierpnia.

Znów skręciła i wzniosła wóz pionowo w górę, by przemknąć nad wolno jadącym pikapem.

– Wynajął samochód kempingowy – ciągnęła – miał jakoby wyjechać na dwutygodniowy urlop. I jego, i samochód kempingowy widziano ostatni raz w pobliżu Louisville w stanie Kentucky. I on, i samochód kempingowy zniknęli.

– Na pierwszy rzut oka pasuje.

– Tak. Albo Potter, którego najwyraźniej nienawidziły były żony, ze wzajemnością, a który prawie nie utrzymywał kontaktów z pozostałymi członkami rodziny, łącznie z bratem, bo był mu winien około siedmiu tysięcy dolarów, postanowił ruszyć przed siebie i w tej chwili obozuje gdzieś w Nowym Jorku, grając wszystkim na nosie.

Rozważyła, jaki ma wybór, pomyślała: „chrzanię to” i zaparkowała w drugiej linii.

– Mieszkanie w suterenie w tym budynku. – Włączyła światło „na służbie”, kiedy rozległy się klaksony.

Nie zwracając na nie uwagi, Eve wysiadła, okrążyła wóz.

– Jesteście uzbrojeni, Banner?

– Mam broń służbową. Musiałem ją zdeponować, nim wpuszczono mnie do komendy, ale detektyw Peabody postarała się, żeby mi ją oddano.

– Przygotujcie się – poradziła, zbliżając się do budynku. – Tylko nie działajcie pochopnie.

– Odkąd wstąpiłem do policji, musiałem tylko cztery razy wyciągnąć broń i ani razu z niej nie strzelałem.

Eve trudno było to sobie wyobrazić, ale skinęła głową.

– Dobrze, żeby zawsze tak pozostało.

Rozpięła płaszcz, położyła jedną dłoń na broni, drugą wyjęła odznakę.

Zauważyła, że przy drzwiach wejściowych są minimalne zabezpieczenia, w oknach kraty.

– Naciśnijcie dzwonek.

Nie czekali długo. Eve potrzebowała tylko chwili, żeby cofnąć rękę i zasłonić broń płaszczem.

Spojrzała na okrągłą, piegowatą buzię chłopca, którego wiek oceniła na dziesięć lat.

– Ty nie jesteś Sarri – oświadczył oskarżycielskim tonem.

– Nie. Rodzice w domu?

– Mamo!

Pojawiło się drugie dziecko – dziewczynka, uznała Eve – bo miało na sobie różową sukienkę i jasnoniebieskie rajstopki. Spoglądała na Eve równie podejrzliwie, co jej brat.

– Nie może pani wejść, bo pani nie znamy. – Jeszcze głośniejsze od brata zawołała matkę.

– Już idę, już idę. Na litość boską, dajcie mi... Nathanie Michaelu Fitzsimmons, co ci mówiłam o otwieraniu drzwi?

– Myślałem, że to Sarri.

– Ale to nie ona. – Kobieta, wyraźnie udręczona, z niestarannie upiętymi ciemnymi włosami, we włochatych kapciach na nogach, zagoniła oboje dzieci w głąb mieszkania.

– Policja nowojorska. – Eve znów uniosła odznakę. – Przepraszam, że panią niepokoję.

– Co się stało? Czy Sarri...

– Wszystko w porządku – szybko powiedziała Eve. – Zajmujemy się sprawą zaginionego. Czy znała pani niejakiego Wayne’a Pottera?

– Nie, przykro mi... Och, chwileczkę. Przepraszam, proszę wejść. Na dworze jest zimno, wyiębi się mieszkanie.

Zamknęła za nimi drzwi.

– Zdaje mi się, że mieszkał tu przed nami. Jedna z sąsiadek wspomniała jego nazwisko. Wprowadziliśmy się tutaj w październiku zeszłego roku. Pani Harbor z góry powiedziała mi, że pewnego dnia wyjechał i już nigdy się nie pokazał. Zostawił wszystko, nawet rodzinę. Przez jakiś czas się denerwowałam, kiedy się o tym dowiedziałam, bałam się, czy nie wróci i nie będzie chciał się dostać do środka. Ale się nie pojawił.

Znów zabrzmiał dzwonek, a dzieci zawołały: „Sarri!”.

– Dziękujemy za poświęcony nam czas.

Eve się cofnęła i pozwoliła kobiecie otworzyć drzwi.

Dzieci rzuciły się na Sarri, opatuloną płaszczem, w czapce, szaliku, botkach, rękawiczkach we wszystkich kolorach tęczy.

– To moja siostra – wyjaśniła ze śmiechem kobieta. – Najlepsza ciocia pod słońcem. Przykro mi, że nie mogłam pomóc.

Eve wróciła do samochodu. Z dala słyszała klaksony i przekleństwa kierowców.

– Wstąpimy jeszcze gdzieś – powiedziała. – To po drodze.

Miała więcej szczęścia, jeśli chodzi o zaparkowanie na drugim poziomie przed wąską kamienicą, wszakże na tym jej szczęście się skończyło.

Jakaś kolejna kobieta zgłosiła zaginięcie swojego ukochanego i współlokatora. Pewnego wieczoru wyszedł po gumę do żucia i już nie wrócił do domu. Pod frontowym oknem urządziła mały ołtarzyk – ze zdjęciami, kwiatami, świeczkami, pustą butelką po winie (chyba ostatnim, które razem wypili), jedną czerwoną skarpetką i parą czarnych rękawiczek.

Eve nie zajęło dużo czasu stwierdzenie, że to nie kosmici porwali jej ukochanego, w co kobieta niezbitnie wierzyła, ale trochę więcej trwało, by zdołała się z nią pożegnać.

– Na razie wystarczy. Jezu. – Pokręciła głową, włączając się do

ruchu. – Kosmici. Niech Bóg nas ma w swojej opiece.

– Mam kuzyna, który utrzymuje, że kosmici porwali go cztery razy.

– Nie sądzę, by Curtisowi Hemmingowi naukowcy z planety Grum założyli sondę doodbytniczą. Wyszedł po gumę do żucia i już nie wrócił, bo chciał się uwolnić od wariatki, która uznała go za swoją bratnią duszę. Seks to jedno, ale obsesja to zupełnie co innego. Tak czy owak, nasi podejrzani nie korzystają z żadnego z tych mieszkań i mało prawdopodobne, by kiedykolwiek ich drogi i drogi Pottera czy Hemminga się przecięły.

– Wprowadzimy dodatkowe kryteria, zobaczymy, czy uda nam się wyeliminować tych, którzy z własnej woli postanowili zniknąć.

Przeciskała się wśród innych pojazdów, ominęła maksibus, przejechała obok sznura taksówek.

– Niewątpliwie jest pani wytrawnym kierowcą, pani porucznik. Niewątpliwie.

Eve spojrzała na niego.

– Nieczęsto słyszę takie słowa – odparła, nie przestając się zmagać z korkami ulicznymi w drodze do domu.

Rozdział 12

Kiedy przejechała przez bramę, Banner cicho gwizdnął przez zęby i mruknął:

– A niech mnie!

Spojrzała na niego, zobaczyła, że się nachylił, wzrok miał utkwiony przed siebie.

Musiała przyznać, że przyzwyczała się do ogromu i okazałości swojego domu, ale doskonale rozumiała niesamowite wrażenie, jakie robiła budowla z jasnymi oknami na tle ciemnego nieba. Jego sylwetka zarazem przytłaczała, jak i zdumiewała, szczególnie, kiedy śnieg – biały i niebieski w blasku światła – pokrywał ziemię.

– Widziałem go na filmie – powiedział Banner – ale z całą pewnością, jak się to ogląda na żywo, osobiście, zwała człowieka z nóg. Jest zupełnie jak zamek pośrodku miasta.

– Mój mąż jest Irlandczykiem – powiedziała Eve, jakby to wszystko tłumaczyło.

– Nigdy nie widziałem większego domu.

– Ja też nie. – Lekko zakłopotana, zaparkowała na podjeździe. – Summerset... Czyli Roarke'a... Człowiek od wszystkiego – powiedziała – już przygotował dla was pokój. Możecie się rozgościć, potem zabierze was do mojego gabinetu.

– Dobrze. Jeszcze raz chcę za wszystko podziękować.

– Mamy dużo miejsca.

– Widzę. – Wysiadł, wziął swoją torbę. – Nigdy nie widziałem większego domu – powtórzył, przekrzykując wiatr. – A to najzimniejsze miejsce, w jakim kiedykolwiek byłem. Naprawdę niesamowite doświadczenie.

Zaprowadziła go do środka. W holu, jak się tego spodziewała, stał Summerset. Kot przycupnął obok niego. Obaj uważnie przyjrzeni się gościowi.

– Zastępca szeryfa Banner.

– Detektyw Peabody mnie poinformowała. Witamy w Nowym

Jorku, zastępco szeryfa.

– Dziękuję. I dziękuję za przygotowanie pokoju. Will Banner – przedstawił się i wyciągnął rękę.

Summerset skinął głową, uściskał mu dłoń, a kot podejrzliwie obwąchał buty przybyłego.

– A ty jesteś... Niech pomyślę... Lancelot?

– Galahad – poprawiła go Eve, kiedy ukucnął, by pogłaskać kota.

– Galahad... Wiedziałem, że chodzi o jednego z tych rycerzy. Jak powiedziałem, oglądałem film. Szczęśliwy kot o oczach każdym innego koloru. Szczęśliwy kot.

Galahad widocznie przyznał mu rację, bo wygiął grzbiet, a potem otarł się o nogę gościa.

– Zastępca szeryfa Banner będzie mieszkał w Pokoju Parkowym. – Widząc minę Eve, Summerset uśmiechnął się z wyższością. – Zaprowadzę pana. – Wskazał windę. – Czy pomóc z bagażem?

– Nie, dziękuję. Winda w domu. Też pierwszy raz spotykam się z czymś takim.

– Będę w swoim gabinecie – powiedziała Eve, trochę poirytowana, że kot podreptał za przybyszem.

Ten, niespieszony, znów wybałuszył oczy i uśmiechnął się szeroko do Eve, nim drzwi windy zamknęły się za nim, Summersetem i kotem.

Pomyślała, że dziwnie się czuje. Nie usłyszała najmniejszej złośliwej uwagi ze strony Summerseta – ten jeden pełen wyższości uśmiech się nie liczył – a kot zostawił ją, nawet nie obejrzawszy się za siebie.

Stwierdziła, że nie tylko przyzwyczaiła się do ich zwykłego, wieczornego rytuału, ale go polubiła. Więc lekko naburmuszona zdjęła płaszcz i rozmyślnie powiesiła go na słupku balustrady, a potem wbiegła po schodach na piętro.

Najpierw skierowała się do sypialni. Bannerowi zajmie trochę czasu wypakowanie rzeczy, rozeznanie się, więc zdjęła marynarkę i zastanowiła się, czy odłożyć broń, ale po namyśle ją zostawiła.

Rozważała, czy zdjąć buty i włożyć tenisówki, kiedy zadzwonił jej telefon.

Santiago.

– Dallas. Co macie?

– Carmichael doznała szoku kulturowego, ale dochodzi do siebie. Spotkaliśmy się z miejscową policją, rozmawialiśmy z kobietą i dzieciakiem, którzy znaleźli zwłoki. Jesteśmy umówieni z koronerką. Na razie niewiele możemy dodać, ale na tym odcinku drogi, pani porucznik, gdzie znaleziono zwłoki, z całą pewnością nie ma dużego ruchu. Spędziliśmy tam dobre pół godziny i w tym czasie nie przejechał tamtędy ani jeden samochód. Doskonałe miejsce, żeby kogoś zabić.

– Ktoś miał szczęście, znał to miejsce albo wiedział, ile aut przejeżdża bocznymi drogami na takim zadupiu.

– Nie ma innej możliwości. Oboje z Carmichael zgadzamy się, że musieli mieć samochód. To w samym centrum pustkowia. Z raportu koronerki wynika, że posłużono się łyżką do opon, i to sporych rozmiarów. Jaki autostopowicz ma przy sobie wielką łyżkę do opon?

– Może samochód się rozkraczył, a ofiara zmieniała oponę, kiedy na nią napadli. Ale wtedy musieliby odebrać tę łyżkę. Bardziej prawdopodobne, że mieli swój samochód.

– Staramy się dowiedzieć, co robiła ofiara przed śmiercią, i ponownie sprawdzamy ustalenia lokalnej policji z zeszłego lata, gdzie mieści się agencja wynajmu samochodów. Nikt nie zabezpieczył odcisków opon ani nie sprawdził, czy na drodze były ślady krwi.

– Kurde.

– Też to powiedzieliśmy. Jutro w świetle dziennym ponownie obejrzymy to miejsce, ale minęły miesiące od tamtego wydarzenia.

*

Kiedy Eve rozmawiała z Santiago, do domu wrócił Roarke. Był lekko poirytowany, bo ostatnie spotkanie się przedłużyło, a pogoda w Halifaksie spowodowała opóźnienia w realizacji przedsięwzięcia.

Zadając sobie pytanie, gdzie też może być Summerset, zdjął płaszcz, rzucił go na płaszcz Eve, i skierował się na górę. Najpierw poszedł do swojego gabinetu, by zostawić tam teczkę. Miał trochę pracy, ale zajmie się nią później. W tej chwili chciał zobaczyć swoją żonę, napić się wina. Na bieżąco sprawdzał doniesienia mediów, a ponieważ prowadzone przez Eve śledztwo nie przyniosło nic nowego,

przypuszczał, że wieczorem poświęcą temu cały czas i energię.

Ale najpierw się przebierze i napije wina z Eve. Dzięki temu przestanie myśleć o swoich sprawach.

Usłyszał jakiś ruch w jej gabinecie i wszedł tam.

Ujrzał wysokiego, szczupłego mężczyznę ze zmierzwionymi włosami koloru pszenicy. Na nogach miał znoszone buty ze zdartymi obcasami. Stał, bujając się na piętach, palce wsunął do kieszeni spłowiałych dżinsów. A za pasem miał paralizator.

Roarke wsunął dłoń do kieszeni i sięgnął po miniparalizator, który zawsze nosił przy sobie.

– Czym mogę służyć? – spytał zimnym tonem.

Mężczyzna odwrócił się i odruchowo dotknął ręką broni. Spokojne niebieskie oczy spotkały się z lodowatymi, stalowoniebieskimi i Roarke rozpoznał w nieznanym policjanta. Ale nie wyjął ręki z kieszeni.

– Zastępca szeryfa Banner. Will Banner. Czekam na panią porucznik.

Podobnie jak ja, pomyślał Roarke.

– W jakiej sprawie?

– W tej. – Banner lewą ręką wskazał tablicę. – Pan Roarke?

– Tak.

– Przepraszam, że... Summerset mnie tu wpuścił. Dziś rano przyjechałem do Nowego Jorku z Arkansas. I bardzo dziękuję za gościnę.

Banner wyciągnął rękę i podszedł do Roarke'a.

Ten uściśnął mu dłoń, lecz pozostał czujny.

– Bierze pan udział w dochodzeniu, prowadzonym przez panią porucznik?

– Na to wygląda. Wiem, że czasami występuje pan w roli konsultanta, ale nie wiem, jak dużo wie pan o tej sprawie. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wolałbym, żeby porucznik Dallas wszystko panu wyjaśniła.

– Ja też.

Roarke zauważył, że kocur zeskoczył z fotela, otarł się o nogi Bannera, a potem podszedł do Roarke'a i zrobił to samo. Następnie wrócił na swoje miejsce.

– Miłe kocisko. Mam w domu psa. Kiedy wyjeżdżam, zostawiam go u rodziców. Ale patrząc na tego tu, pomyślałem, że powinienem sobie sprawić również kota. Dotrzymuje towarzystwa. Ach... Umieszczono mnie w Pokoju Parkowym. Bardzo ładny, widać z niego Central Park.

– Czy pierwszy raz jest pan w Nowym Jorku?

– Tak. Trochę mi się kręci w głowie. Detektyw Peabody i McNab też tu przyjadą.

– Naprawdę? – powiedział Roarke, wyraźnie zadowolony. – Jeśli zechce pan tu poczekać, pójdę poszukać pani porucznik.

– Nigdzie się stąd nie ruszę. – Banner odwrócił się w stronę tablicy. – Będę tutaj.

Roarke przeszedł do sypialni. Chciał się uwolnić od przeklętego garnituru i chciał się dowiedzieć, dlaczego zastał w swoim domu policjanta z Arkansas, który na dokładkę ma przenocować w jednym z pokoi gościnnych.

Eve wciąż rozmawiała przez telefon, kiedy wszedł do sypialni. Uniosła palec w górę, żeby poczekał.

Równie dobrze mogła dolać oliwy do ognia.

– Przekażę wam to, co ustalimy, jak tylko coś ustalimy. Oczekuję tego samego od was. Melduj o wszystkim, Santiago. Zegar tyka.

– Tak jest, pani porucznik.

Zakończyła rozmowę, pokręciła głową.

– Spędziłam dziś więcej czasu, rozmawiając przez telefon, niż... – Zauważyła jego lodowate spojrzenie. – O co chodzi?

– Właśnie natknąłem się na zastępcę szeryfa, podobno z Arkansas, najwyraźniej związanego z twoim śledztwem i najwyraźniej będącego gościem w naszym domu.

– Tak, mówiłam ci o Bannerze. Jest już w gabinecie?

– Owszem, ale ty ani słówkiem mi o nim nie wspomniałaś, do jasnej cholery.

– Ależ tak. Wysłałam ci wiadomość przed... – Kawa, przypomniała sobie, i SMS do Roarke'a... Ktoś jej przeszkodził. – Zamierzałam – poprawiła się. – Ale ktoś mi przeszkodził. – Zmarszczyła czoło i spojrzała na telefon, który wciąż trzymała w dłoni, schowała go do kieszeni. – Co rusz ktoś mi dziś przeszkadzał. Zamierzałam wysłać ci

SMS, nawet zaczęłam go pisać.

– Mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziałem na oczy – nawiasem mówiąc uzbrojony – swobodnie kręci się po domu.

– To gliniarz.

– A co za różnica?

– No cóż, z całą pewnością nie wyniesie sreber ani nic w tym rodzaju. Sprawdziłam go. Komendant rozmawiał z jego szefem.

– Jeszcze raz zapytam: a co za różnica?

Eve, zbита z tropu, uniosła ręce w górę.

– Zasadnicza.

Zdjął krawat.

– Gówno prawda, Eve. Uważam, że mam prawo, by się ze mną konsultowano, albo przynajmniej by mnie in-formowano, nim zaprosisz do domu zupełnie obcego człowieka.

– Zamierzałam to zrobić! Ty zapraszasz tutaj kogo chcesz.

Utkwił w niej gniewny wzrok, zdejmując garnitur.

– A czy kiedyś pozwoliłem, żeby kręcił się tu obcy mężczyzna z paralizatorem za pasem, nie uprzedziwszy cię o tym?

– No dobrze, chcesz się wściekać, wściekaj się. Coś mi przeszkodziło i zapomniałam. Byłam zajęta śledztwem w sprawie zabójstwa.

– Nie pozwolę, żebyś wykorzystywała śledztwo w sprawie zabójstwa jako wymówkę na wszystko, bo zajmowanie się śledztwem to sprawa oczywista. I w pełni to akceptuję.

Już chciała mu coś odwarunknąć, jednak wyobraziła sobie, jak to wyglądało z jego strony. Wcale nie miała ochoty sobie wyobrazać, jak to wyglądało w jego oczach, lecz aż nazbyt wyraźnie to ujrzała. Ogarnięta wyrzutami sumienia zrobiła kilka kroków ku niemu.

– Ojciec rozbił młotkiem na miazgę dwójkę dzieci i ich matkę.

– Och, Jezu Chryste, w jakim świecie ty żyjesz. – Roarke przesunął dłońmi po twarzy.

– Sprawę przydzielono Baxterowi i Trueheartowi. Baxter przyszedł do mojego gabinetu, akurat, kiedy miałam wysłać ci SMS o Bannerze. Był wstrząśnięty, a nie można go uznać za mazgaja. Jestem jego przełożoną, Roarke. Musiałam wszystko odłożyć na bok i go wysłuchać.

– I naturalnie to zrobiłaś.

– Potem wydarzyło się coś innego i zapomniałam. Więc przepraszam. Masz prawo się wściekać.

– I jestem wściekły. – Zdjął koszulę, włożył sweter. Trochę ochłonał. – Lubisz swój regulamin małżeński, więc dodaj do niego jeden punkt. Jeśli masz ochotę zaprosić do domu kogoś, kogo nie znam, nie wolno ci zapomnieć o poinformowaniu mnie o tym. Bo następnym razem mogę najpierw posłużyć się bronią, a dopiero potem zadawać pytania. Stanowczo się tego domagam.

– Pokpiłam sprawę, wiem o tym. Ty też wiesz. Więc nie rozumiem, dlaczego wciąż się wściekasz, skoro wiesz, że pokpiłam sprawę.

– To do ciebie niepodobne, więc jeśli coś takiego robisz, to bardzo irytujące – powiedział, wciąż zdenerwowany. Eve milczała. – Dwojkę dzieci?

– Chłopiec może przeżyje. Starsza siostra osłaniała go własnym ciałem, jak tylko mogła.

– A Baxter?

– Otrząśnie się. Taką już mamy robotę.

– To prawda. Taką już macie robotę. – Na dobre i na złe, jak często i jemu się to teraz zdarzało. – A ten Banner?

– Jak powiedziałam, jest pewny. Przyjechał tu na własny koszt. Wsiadł do wahadłowca, kiedy się dowiedział o moich poszukiwaniach. Z powodu złej pogody utknął w Cleveland, więc resztę trasy pokonał wynajętym samochodem. Od ostatniego lata zajmuje się tą sprawą, głównie w czasie wolnym od pracy, bo FBI i lokalna policja nie potwierdzają, że nasi sprawcy zabili również kogoś, kogo uważa za ich ofiarę. Ja mu wierzę. Wszystko, co wspólnie uda się ustalić, może nam pomóc znaleźć Jaylę Campbell, zanim będzie za późno.

– W takim razie bierzmy się do pracy.

– Przepraszam. Naprawdę – powtórzyła, chociaż organicznie nie znosiła przepraszać. – Tym bardziej, że zapomniałam ci powiedzieć, że Peabody i McNab też do nas jadą.

– Banner już mi o tym powiedział.

– Kurde.

Roarke podszedł bliżej, i położył dłonie na jej ramionach. Z ulgą

(choć wciąż czując wyrzuty sumienia) zauważyła, że już nie jest taki wściekły.

– To nasz dom i możesz tu zapraszać każdego, kogo tylko zechcesz. Ale...

– Nie nieznajomych z paralizatorami.

– Chyba że wcześniej mnie uprzedzisz.

– Jasne.

– W takim razie w porządku. Uważam, że wystarczająco długo kazaliśmy czekać na nas w twoim gabinecie naszemu gościowi-gliniarzowi.

– Myślałam, że więcej czasu zajmie mu rozpakowywanie się. Od wczoraj jest w podróży.

– W takim razie chętnie coś zje i napije się piwa.

– Dzięki. – Ujęła twarz Roarke'a w dłonie, pocałowała go w usta. A potem jeszcze raz, bo uznała, że gdyby znalazła się na jego miejscu, prawdopodobnie bardziej by się wkurzyła niż on. – Naprawdę.

– Nie ma za co. – Też ją pocałował. – Naprawdę.

Wyszli razem.

– Może byś mi powiedziała, co nowego – zaproponował – bo najwyraźniej o wielu rzeczach nie wiem.

– Dużo nowego.

Pokrótkie przedstawiła mu sytuację, kiedy szli do jej gabinetu. Ich gość siedział w fotelu, kot wygodnie ułożył mu się na kolanach.

Banner wyglądał, jakby drzemał. Kiedy weszli, wstał.

– Przepraszam. Chyba zmorzył mnie sen.

– Pani porucznik powiedziała mi, że od wczoraj jest pan w drodze. Chyba chętnie napije się pan piwa.

Jego niepewna mina zniknęła, na twarzy pojawił się uśmiech.

– Z pewnością nie odmówię.

– Eve?

– Tak, nie ma jak piwo. Przyniosę. I coś do jedzenia. Może być pizza?

Znów się uśmiechnął.

– Pizza? Zawsze.

– Gliniarze. Wszędzie tacy sami. Pan z Arkansas, prawda? – spytał

Roarke, kiedy Eve poszła do kuchni.

– Z Silby's Pond. Kawał drogi stąd.

– W Ozarks, prawda? Piękne okolice.

– Był pan tam?

– Niedaleko. Jak to się stało, że został pan policjantem?

– Trochę okrężną drogą. Zawsze sądziłem, że będę pracował w rodzinnym gospodarstwie, ale latem, kiedy miałem czas, trochę pomagałem w biurze szeryfa. Farma należy do naszej rodziny od pięciu pokoleń, więc to do czegoś zobowiązuje. Lecz pewnego wieczoru kilka lat temu tata kazał mi usiąść i powiedział, że widzi, że praca na roli nie jest moim marzeniem, a trzeba robić w życiu to, co nas interesuje. A ja zawsze chciałem zostać policjantem.

– Odnoszę wrażenie, że pański ojciec to mądry człowiek. Dziękuję, kochanie – powiedział, kiedy Eve przyniosła piwo.

– Tak. I jest dobrym farmerem. Podobnie jak moja siostra i jej mąż, więc gospodarstwo zostało w dobrych rękach. Pomagam, kiedy mam czas, ale po pracy. Dobre piwo. My też warzymy swoje według rodzinnej receptury. Po powrocie do domu przyślę go tu trochę.

– Ciężkie kroki i podskoki – odezwała się Eve. Banner spojrzał na nią zaintrygowany. – Peabody i McNab.

– Zajmę się pizzą – powiedział Roarke, kiedy weszli.

– Czy dobrze usłyszałem? Będzie pizza? – McNab wpadł do pokoju, ale okazał się na tyle domyślny, żeby puścić rękę Peabody, gdy dostrzegł zmrużone oczy Eve.

– I piwo. Ty wolisz wino, Peabody?

– Jeśli to nie kłopot.

– Jeden kieliszek wina – oświadczyła Eve. – Potem kawa i praca.

Dzwonił Santiago.

Kiedy Roarke szykował jedzenie, przedstawiła im sytuację.

– Te prowincjonalne palanty nie sprawdzają, czy na miejscu przestępstwa nie ma śladów krwi? – McNab spojrzał na Bannera. – Przepraszam.

– Trudno poczuć się urażonym. To nie moje prowincjonalne palanty, ale mieszkam niedaleko.

Idąc za przykładem pozostałych, poczęstował się pizzą. Ugryzł.

I oniemiał.

– To jest pizza. Czy kawa będzie równie dobra? – spytał.

– To Nowy Jork. Morris i DeWinter powinni już otrzymać szczątki pierwszej ofiary. Przyspieszyła procedury, mieli przystąpić do pracy dziś wieczorem.

– Szybka robota.

– Liczy się każda minuta. Kiedy potwierdzą, że ta dwójka to też ofiary naszych sprawców, możemy ściągnąć posiłki. Ale najważniejsze jest to, czego uda się dowiedzieć detektywom Santiago i Carmichael. Jeśli ustalimy, kim była pierwsza ofiara, będziemy bliżsi ustalenia tożsamości sprawców. Pierwszą ofiarę zabili najbliżej domu, najbliżej miejsca, które znali, i gdzie sami byli znani. Kluczem do sprawy jest pierwsza ofiara.

Spojrzała na tablicę.

– Ale Jayla Campbell może tego nie doczekać. – Kiedy wstała, Banner też zaczął się podnosić. – Siedźcie i jedzcie. Chcę uaktualnić tablicę. To mi pomaga zebrać myśli.

Wzięła się do pracy.

– Może opowiecie pozostałym o naszych dwóch przystankach po drodze do domu? – poprosiła Bannerę.

– Pani porucznik szuka zaginionych osób, które mieszkają w Nowym Jorku albo prowadzą tu interesy, przypuszczając, że nasi sprawcy zabili kogoś, o kim jeszcze nie wiemy, i korzystają z jego mieszkania, by tam torturować swoje następne ofiary.

– Musi to być miejsce, gdzie nikt im nie przeszkodzi – Roarke myślał na głos. – Dźwiękoszczelne. Bo nawet jeśli kneblują porwanych, nie odbywa się to w całkowitej ciszy. I gdzie są słabe zabezpieczenia, inaczej kamera zarejestrowałaby ich, jak wnoszą ofiary.

– Wstąpiliśmy do dwóch mieszkań, ale je wykreśliliśmy.

Mieszkają tam zwykli obywatele.

– Są inne mieszkania do sprawdzenia – powiedziała Eve. – Jutro zaangażujemy do tego mundurowych. Tamci mają jakieś lokum, w którym czują się bezpiecznie. Takie, do którego mogli zabrać Kupera. Takie, w którym w tej chwili znęcają się nad Campbell.

– W centrum – dodał Roarke.

– Prawdopodobieństwo tego jest wysokie. Peabody, pokaż na ekranie tę część miasta.

*

Kiedy jedli, kiedy pracowali, Jayla Campbell starała się walczyć z bólem. Poddanie się mu było swego rodzaju ucieczką, ale zawsze przywracali jej świadomość, by zadać większy ból.

Przestała próbować to zrozumieć. Po prostu tak było i tyle.

Już nie potrafiła określić, jak długo to trwa. Godziny, dni, tygodnie? Był tylko ból i strach oraz pewność, że czeka ją tego więcej.

Uprawiali seks na podłodze, przy ścianie, czasami, dzięki Bogu, tam, gdzie ich nie widziała. Ale słyszała, jak sapią, jęczą albo się śmieją.

Podobało im się, kiedy próbowała krzyczeć, płakała i błagała o litość. Więc starała się tego nie robić, lecz chwilami nie mogła się powstrzymać. Po prostu nie mogła.

Wyglądali tak zwyczajnie. Potwory nie powinny wyglądać tak zwyczajnie, tak bardzo przypominać normalnych ludzi. Kobieta była ładna, chociaż miała trochę zdzirowatą urodę, natomiast mężczyzna był przystojny, trochę tyczkowaty i... Głupi, pomyślała teraz.

Godził się na wszystko, co zaproponowała kobieta.

„Tnij tutaj”, mówiła, a on to robił.

Teraz jedli, a zapach chińszczyzny na wynos przyprawiał Jaylę o mdłości. Nic nie jadła od przyjęcia. Czasami dawali jej się napić kilka kropli wody, lecz ani razu nie dali jej nic do jedzenia. Czasami woda była lekko posolona, a wtedy pękali ze śmiechu, kiedy się krztusiła.

Potwory nie powinny wyglądać jak zwyczajni ludzie.

Zabrali jej ubranie, jednak przestała się tym przejmować. Żadne z nich nie wykorzystywało jej seksualnie – ale teraz było jej to obojętne. Seks rezerwowali dla siebie nawzajem.

Spożywali posiłek nago, czasami smarowali się nawzajem sosem, po czym go zlizywali.

To też przyprawiało ją o mdłości. Przynajmniej mogła zamknąć oczy albo odwrócić głowę. Kiedy byli zajęci sobą, prawie przestawała dla nich istnieć.

Bardzo by chciała przestać dla nich istnieć.

Rozmawiali z ożywieniem, namiętnie.

Mężczyzna powiedział, że są kochankami, urodzonymi pod nieszczęśliwą gwiazdą. Kobieta – Ella-Loo – bardzo lubiła, kiedy cytował Szekspira albo mówił, że są taką parą kochanków, jak Bonnie i Clyde.

Jayla nie wiedziała, kim byli Bonnie i Clyde, ale kobieta wiedziała, śmiała się i przybierała pozy, na widok których jej partner – Darryl – jęczał albo oblizywał usta.

Słuchała ich, gdy była przytomna, każdego słowa. Jeśli przeżyje – chociaż w to nie wierzyła – ale jeśli przeżyje, wszystko powie policji. I każda komórka jej z maltretowanego ciała miała nadzieję, że policja rozprawi się z nimi w najbardziej krwawy, najbardziej brutalny, najokropniejszy sposób, jaki tylko istnieje.

Miała ochotę zabić tych dwoje własnymi rękami.

Chciała do mamy. Chciała do Kari. Czasami, kiedy odpływała, chciała do Luke’a z jego nieśmiałym uśmiechem.

Chciała gdziekolwiek i do kogokolwiek, byleby tylko nie być tutaj. Byleby nie leżeć przywiązana do stołu, nie widzieć oślepiającego światła, byleby nie mieć między zębami czegoś okrągłego i twardego, byleby nie czuć, jak jej własna krew sączy się z ran, nie cierpieć rozdzierającego bólu złamanych kości, ocierających się o siebie, jeśli poruszyła się choćby o centymetr, próbując znaleźć odrobinę ulgi.

Ale nie czuła ulgi.

– To coś nowego – mówiła kobieta. – Bo przecież nie chcemy się nudzić, prawda, misiaczku?

– Nudzisz się, Ella-Loo?

– Nie z tobą, misiaczku. Nigdy! Jesteś moim bohaterem. Ale tylko pomyśl, jakie by to było podniecające, gdybyśmy mieli dwoje jednocześnie. Gdybyśmy dłużej utrzymali ich przy życiu. Och, sama myśl o tym sprawia, że robię się wilgotna.

– Lubię, jak jesteś wilgotna.

Wsunął rękę między nogi kobiety. Jayla zamknęła oczy.

– Będę bardziej napalona, bardziej wilgotna, jak będzie ich dwoje. Tym razem ty możesz wybrać. O, tak! Chodź tu, misiaczku, i bierz się do roboty.

Skamlała, śmiała się, jęczała.

– Pieprz mnie z całych sił, najdroższy, z całych sił! A później przyprowadzimy jeszcze kogoś. Niech to będzie facet. Może każemy im się pieprzyć. Każemy mu ją zgwałcić i będziemy się temu przyglądali. Och, och, Darryl!

– Wszystko, czego chcesz. Wszystko. Kocham cię, Ella-Loo.

– Spraw, żebym krzyczała, Darrylu. Spraw, żebym krzyczała.

A potem sprowadzimy tu jakiegoś faceta.

I kiedy Darryl wchodził w nią coraz głębiej, aż pot zaczął mu kapać z czoła, uśmiechnęła się, odwracając głowę, żeby spojrzeć na Jaylę.

Nadal miała na ustach ten swój uśmiech potwora, gdy osiągnęła orgazm.

*

W gabinecie Roarke słuchał, jak gliniarze wysuwają kolejne teorie, prowadzą poszukiwania. Słuchał, jak Eve rozmawiała z Morrisem przez telefon, a potem konsultowała się z Mirą.

Wrócił myślami do pierwszej ofiary – przynajmniej do tej, którą uważali za pierwszą.

Biznesmen, zabity na poboczu drogi. Nie znaleziono tam żadnego samochodu. Ten człowiek, poturbowany, bo się bronił, miał roztrzaskaną czaszkę.

Zupełnie inaczej niż w przypadku pozostałych ofiar, pomyślał. Nie torturowali go. Ale wierzył w instynkt swojej żony.

Pierwsza ofiara, być może nieszczęśliwy wypadek albo śmierć zadana pod wpływem impulsu. Iskra, która być może zapoczątkowała to, co się stało później.

– Ktoś go odholował?

Eve, trochę poirytowana, że jej przeszkadzono, spojrzała na niego.

– Co?

– Są dwie możliwości, jeśli chodzi o pierwszą ofiarę, tego Jansena. Mieli drugi samochód i każde odjechało swoim albo jeden wóz gdzieś zostawili.

– Na miejscu przestępstwa nie znaleziono żadnego samochodu.

– I jak przypuszczam, nigdy nie słyszałaś o kradzieży samochodów. Oczywiście całkiem możliwe, że odjechali dwoma wozami, lecz potem musieli jednego się pozbyć, no i nie mogli być razem po dokonaniu zabójstwa, kiedy byli najbardziej podnieceni.

– Zaczekaj. – Podniosła rękę, żeby powstrzymać wszelkie uwagi, zmrużyła oczy. – Kiedy krew najszybciej krążyła im w żyłach – dodała. – Jeśli to ich pierwsza ofiara, jeśli od tego się wszystko zaczęło, to po dokonaniu zabójstwa ogarnęło ich podniecenie. Gdyby każde z nich odjechało innym autem, ochłonęliby. Czyli to mniej prawdopodobne. Ale na miejscu nie znaleziono żadnego samochodu.

– Najdroższa Eve – powiedział Roarke, a Banner spojrział na nią z ukosa – to bardzo odległe, wiejskie okolice, prawda?

– I co z tego?

– I założę się o piwo, że działa tam firma holownicza albo i dwie, a poza tym na rolniczych terenach jest dużo pojazdów, przystosowanych do holowania. I było tak: spójrz tam, stary, na tego sedana/ciężarówkę/furgonetkę na poboczu drogi. Wsiądź i rzuć okiem. Może zepsuty...

– I byłoby to powodem kradzieży drugiego samochodu. No dobrze.

– Może mieli jakiś problem ze swoim wozem. Albo już wcześniej go skradli i uznali, że pora rozejrzeć się za czymś innym. Tak czy owak jakiś przedsiębiorczy gość mógł go odholować, rozebrać na części albo przerobić i sprzedać. Z pewnością nawet tam można by znaleźć jakąś dziuplę albo kogoś, kto by zapłacił, żeby mieć drugi samochód.

Eve zmarszczyła czoło, a Roarke się uśmiechnął.

– Naturalnie mówiąc zupełnie teoretycznie, ktoś, kto kiedyś zarabiał na życie, kradnąc samochody, mógł jeździć takimi bocznymi drogami, szukając właśnie takich okazji.

– Wziął wóz na hol i zabrał gdzie indziej.

– A przy niewielkim nakładzie pracy zarobił okrągłą sumkę – dokończył Roarke. – Niech twoi ludzie tam zainteresują się firmami holowniczymi, farmerami, mechanikami i tym podobnymi.

Spojrział na Bannerę.

– Czy coś takiego zdarza się w Arkansas, Will?

– To całkiem możliwe. W sąsiednim hrabstwie był facet, który

miął dziuplę. Zbierali samochody głównie z szosy międzystanowej, ale jeździli również bocznymi drogami. Nigdy o tym nie pomyślałem. Ludzie się znają, słyszą różne rzeczy.

Eve już wyjęła telefon.

– Carmichael.

– Właśnie miałam dzwonić, pani porucznik. Wybraliśmy się na grilla i muszę powtórzyć za Santiago: Iii-ha. Koroner...

– Zaczekaj z tym. Chcę, żebyście teraz podążyli nowym tropem. Firmy holownicze, mechanicy, warsztaty samochodowe, może małe farmy i nie wiem, co tam jeszcze. Wszyscy, którzy mają możliwość odholowania pojazdu. Mamy taką teorię... – zaczęła.

Kiedy skończyła i się rozłączyła, spojrzała na Roarke'a.

– To dobry trop. Miejscowi powinni nim podążyć. Jest z ciebie pożytek.

– Staram się, jak mogę.

– Może tak właśnie było. To bardzo logiczne. Może wcześniej ukradli ten samochód, który porzucili... A nawet jeśli nie był kradziony, dzięki niemu moglibyśmy trafić tam, gdzie byli wcześniej. Może poznamy nazwiska.

Spojrzała na tablicę, na zdjęcie Jayli.

– Kawa – powiedziała.

– Jestem za – odrzekł Banner. – Porucznik Dallas, może znam kogoś, kto zna tam kogoś. Jestem trochę zły na siebie, że nie pomyślałem o tym wcześniej.

– Czy kiedyś kradliście samochody, Banner?

– Nie, ale nie mogę twierdzić, że nie znam nikogo, kto tego nie robił. Może uda mi się pomóc waszym ludziom, którzy tam są.

– W takim razie zróbcie to. Peabody?

– Tak jest, pani porucznik.

– Dużo kawy. I to natychmiast.

*

Kiedy tamci podążali nowym tropem, Ella-Loo, w mi-nispódniczce, zabranej licencjonowanej prostytutce, którą zabili i której imię zapomniała, zmagła się z dużym fotelem.

Było jej strasznie zimno w tej spódniczce, kabaretkach i krótkiej kurtce ze sztucznej skóry, zabranej innej ofierze, ale w środku było jej gorąco.

Pojawił się jakiś zaaferowany gość w kurtce z kapturem i telefonem w ręku.

– Tak, tak, już idę. Jezu, pogoda dziś jak na biegunie południowym. Już prawie jestem na miejscu. Odpalajcie!

– Hej, przystojniaczku! – zawołała, odrzucając włosy do tyłu. Zobaczyła, jak mężczyzna odwraca się i obrzuca ją spojrzeniem.

– Zadzwoń później – powiedział do słuchawki i wsunął komórkę do kieszeni. – Co się stało, mała?

– Czy możesz mi pomóc? Nie mogę wsadzić tego fotela do furgonetki, a muszę to zrobić, zanim wróci mój absolutnie były chłopak.

– Jasne, nie ma sprawy. Rozstaliście się w gniewie?

– Tak. Uderzył mnie!

– Och, w takim razie... – Pochylił się, żeby podnieść fotel. – Lepiej ci będzie bez niego. Gdybyś chwyciła z tamtej strony, to wtedy...

Darryl wyskoczył z samochodu i uderzył go pałką – pomysł Elli-Loo – w tył głowy.

Mężczyzna wydał taki dźwięk, jak balon, z którego uchodzi powietrze, i zwałił się na ziemię.

– Szybko, misiaczku, szybko, zanim ktoś nadejdzie!

Wsadzili porwanego i stary, niezawodny fotel na tył furgonetki. Następnie Ella-Loo wgramoliła się do środka i z lubością walnęła jęczącego mężczyznę jeszcze raz, a potem skrępowała mu ręce taśmą klejącą.

– Jedźmy! Mamy go. Już się nie mogę doczekać. Już jestem wilgotna. I naprawdę napalona.

– Wstrzymaj się trochę! – zawołał Darryl i uruchomił silnik, żeby pojechać do odległego o dwie przecznice domu.

Rozdział 13

Jayla wiedziała, że jak się zacznie szamotać, tylko bardziej będzie ją wszystko bolało, ale kiedy usłyszała, że wyszli, wpadła w szal. Krzyczała, chociaż była zakneblowana, aż zaczęło ją palić gardło, wyginała się, napinała mięśnie ramion na tyle, na ile zostało jej sił.

Ale okazało się to daremne.

Świeże rany na przegubach rąk i kostkach u nóg się otworzyły, gruba taśma, którą były zaklejone, nasiąknęła krwią. Kiedy się tak szarpała, popękał NuSkin, który jej nałożyli na niektóre rany, więc znów zaczęły się jątrzyć. Czowała smak własnych łez i hysterii, wreszcie znieruchomiła wyczerpana.

Zapamiętaj, nakazała sobie. Zapamiętaj wszystko, na wypadek, gdyby udało ci się to przeżyć.

Przymocowali ją pasami do czegoś w rodzaju stołu, związali i zakleili taśmą, w talii ścisnęli sznurem. Czasami dusili ją, zaciskając drugi sznur na szyi, aż mdlała.

Plastikowa płachta, pomyślała, rozłożona na podłodze pod stołem. Słyszała, jak skrzypiała i szeleściła pod ich nogami, kiedy się nad nią znęcali.

Okno. Widziała zakratowane okno i dużą, brązową kanapę, na której czasami uprawiali seks. I ekran telewizora – czasami oglądali filmy pornograficzne i teleturnieje.

Jakieś mieszkanie. Może na parterze, pomyślała, bo słysząc było ruch uliczny, kiedy otwierali drzwi, żeby wyjść albo wejść.

Biały sufit – szarobiały, bądź dokładna, Jayla – szarobiały sufit z okrągłymi, wpuszczanymi reflektorkami.

Nigdy nie gasili światła.

Przynosili gotowe jedzenie – nigdy nie zamawiali niczego z dostawą do domu, przynajmniej nie wtedy, kiedy była przytomna. Dużo piwa i taniego wina. I raz, przynajmniej raz, poczuła zoner.

Potrafiła opisać ich ze szczegółami.

Musiała się tylko stąd wyrwać, a opisałaby ich z najdrobniejszymi

szczegółami, łącznie z identycznymi tatuażami.

Małe serca z literami D i E, wytatuowane niebieskim i czerwonym tuszem na piersi w miejscu, gdzie znajdowały się serca.

Będą jej szukali, pocieszała się. Ma przyjaciół, którzy się zorientują, że zaginęła i zaczną jej szukać.

Tylko jak mają ją znaleźć?

Dlaczego nie zadzwoniła po taksówkę? Dlaczego nie pomyślała i nie zadzwoniła po taksówkę, kiedy wyszła z tej głupiej imprezy? Dlaczego w ogóle tam poszła? Czemu nie została w domu, żeby oglądać z Kari filmy?

Znów zaczęła płakać, zaczęła się szarpać. I zapadła w gorączkowy sen.

Obudził ją hałas. Przez chwilę jej się wydawało, że jest w akademiku razem z Kari, próbuje spać, a w sąsiednim pokoju koledzy imprezują. Spróbowała się przewrócić na bok i przeszywający ból sprawił, że oprzytomniała.

Włączyli muzykę country – beznadziejną muzykę country, jakaś kobieta zawodziła, jak to upoluje swojego faceta. Śpiewali razem z nią na całe gardło, rozstawiając coś w rodzaju składanego stołu.

Kobieta zaczęła tańczyć wokół niego, otarła się pośladkami o krocze mężczyzny, chichotała i dalej tańczyła.

Jayla zobaczyła plastikową płachtę na podłodze.

I jakiegoś człowieka, leżącego na niej twarzą do dołu.

W pierwszej chwili się ucieszyła. Nie będzie sama. Mają kogoś nowego, może zapomną o niej, chociażby na krótko.

Zaraz jednak ogarnął ją wstyd. Przypomniała sobie, co jej zrobili. Wciąż była człowiekiem. Nadal odczuwała wstyd. I współczucie.

Razem odwrócili tego kogoś i zaczęli go rozbierać. Zobaczyła, że to mężczyzna. Nie, chłopak. Młodszy od niej. I jeszcze bardziej zrobiło jej się go żal. Miał pewnie ze dwadzieścia lat, był blady, wręcz przezroczysty jak szyba.

Poruszył się i jęknął. Darryl wziął pałkę – złamali Jayli przynajmniej jedno żebro tą skórzaną, wzmocnioną pałką – i pacnął nią chłopaka w głowę. Tak, jakby uderzył muchę – machinalnie, z lekkim zniecierpliwieniem.

– Jeszcze nie chcemy, żeby się ocknął – powiedział. – Najpierw muszę go przywiązać jak należy.

– Nigdy nie widziałam tak białej skóry. Jest jak śnieg na dworze. – Ella-Loo zarżała, ściągając chłopakowi spodnie.

Opróżniła mu kieszenie, a w tym czasie Darryl skończył go przywiązywać. Otworzyła portfel.

– Ma dwadzieścia lat. Kurde, ani zegarka, ani nic. Nazywa się Reed Aaron Mulligan.

Jayla w kółko powtarzała w myślach, jak się nazywa chłopak. Zapamięta Reeda Aarona Mulligana, chudego dwudziestolatka o przezroczystej białej cerze, trochę piegowatego, z jasnorudawymi włosami i żalostną bródką na delikatnej, chłopięcej twarzy.

– Klucz, kilka kredytów, ładny scyzoryk. Jeden z tych... Jak one się nazywają?

Darryl spojrział na nóż.

– Wielofunkcyjny. Daj, niech zobaczę. – Wziął od niej scyzoryk, przyjrzał mu się uważnie. – Niczego sobie – powiedział i wsunął go do kieszeni.

– Prawie nowe buty i kurtka.

Prezenty na Gwiazdkę, pomyślała Jayla. Od rodziców. Wkrótce zaczną go szukać.

– Za małe dla ciebie – powiedziała Ella-Loo do Darryla. Wstała i przymierzyła kurtkę. – Ciepła.

– Niewystarczająco ładna dla ciebie, kotku.

– Założę się, że coś nam za nią dadzą. I za buty. – Rzuciła je razem ze spodniami na kanapę, a potem przyjrzała się uważnie Reedowi Aaronowi Mulliganowi, ujawszy się pod boki.

– Ma małego ptaszka, ale jak mu damy trochę erotyki, stanie na wysokości zadania.

Potem odwróciła się w stronę Jayli i powiedziała z tym swoim przerażającym uśmiechem.

– Zerżnie cię, aż wióry będą leciały.

Jayla chciała zacisnąć powieki i znów odpłynąć, ale zmusiła się, żeby spojrzeć w bezlitosne oczy kobiety. Tak długo się w nie wpatrywała, aż Ella-Loo wzięła pałkę i uderzyła ją raz i drugi w krocze.

Jayla poczuła ból, który rozszedł się po całym ciele.

– Masz przedsmak tego, co cię czeka. – Tamta przechyliła głowę, jakby się nad czymś zastanawiała, a potem uderzyła swoją ofiarę w obie piersi.

Kiedy Jayla wygięła się w łuk, a potem opadła, Ella-Loo przyglądała się, jak na ciele kobiety powstają sine pręgi.

– Nigdy nie uprawiałam seksu, patrząc, jak inni się pieprzą. Na samą myśl ogarnia mnie podniecenie.

– Mnie też.

Ella-Loo zobaczyła błysk w oczach Darryla.

– Jeszcze nie, misiaczku. Jeszcze nie. Niech nasz nowy przyjaciel się przekona, gdzie trafił, jak sam powiedziałeś. Musimy go najpierw trochę zmiękczyć.

Jayla aż się skuliła w sobie. Po jakimś czasie, nie wiedziała, ile go upłynęło, usłyszała okropny, niemal niehumaniczny krzyk, taki sam, jaki wcześniej wydobywał się z jej własnych ust.

Tamci dwoje zaczęli zmiękczać Reeda Aarona Mulligana.

*

Eve jeszcze raz przeczytała wstępny raport Garnet DeWinter.

Za wcześnie, żeby mieć pewność – to najbardziej ją irytowało – ale tamta uważała, a Morris się z nią zgadzał, że niektóre z obrażeń na ciele Melvina Little'a powstały przed upadkiem z wysokości. Niektóre nawet dwadzieścia cztery do trzydziestu sześciu godzin wcześniej.

Eve przedarła się przez naukowy żargon, prawdopodobieństwa, ewentualności, i wyciągnęła z niego esencję.

Narzędzie o ostrym ostrzu zadrasnęło kość. Najstarsza rana, z tyłu czaszki, została zadana tępym przedmiotem. Pęknięcie kości biodrowej było spowodowane silnym uderzeniem z góry na dół.

Może łyżką do opon, pomyślała Eve, chodząc tam i z powrotem i czytając.

Zmiażdżone liczne kości prawej dłoni.

Badania będą kontynuowane jutro od siódmej zero zero.

Przeczytała dopisek Morrisa.

Garnet nie jest jeszcze gotowa na sformułowanie ostatecznych

wniosków i rozumiem ją. Ale to na pewno jedna z ofiar twoich zabójców. Sekcję zwłok przeprowadzono bardzo niestarannie. Melvin Little odniósł liczne rany klute, był bity przynajmniej dwadzieścia cztery godziny przed tym, nim poniósł śmierć. Byłoby wyjątkowym zbiegiem okoliczności, gdyby się okazało, że walczył albo został napadnięty przez kogoś innego niż poszukiwani przez ciebie sprawcy.

– Nie wierzę w zbiegi okoliczności – mruknęła Eve.

– Zgadza się. – Roarke delikatnie wsunął się pomiędzy nią a kolejny pusty dzbanek po kawie. – Ty i wy wszyscy zrobiliście wszystko, co można było dziś zrobić.

– Santiago i Carmichael...

– Z całą pewnością skontaktują się z tobą, jak tylko coś znajdą. Ale ponieważ tam jest już po północy, prawdopodobnie będą kontynuowali poszukiwania rano.

– A tutaj która godzina?

– Jeśli tam jest po północy, tu musi być po pierwszej. Godzina różnicy.

– To doprowadza mnie do szału.

– Mnie też. – Banner przesunął dłońmi po włosach, ale nie opuścił rąk, jakby tylko w ten sposób mógł utrzymać prosto głowę. Oczy miał nieprzytomne jak lunatyk. – Człowiek przekroczy granicę stanu i tu zyskuje godzinę, tam traci godzinę. To takie dezorientujące.

– Widzisz? – zwróciła się do Roarke'a, solidaryzując się z zastępcą szeryfa.

– Widzę, że nasz gość, który przyjechał ze stanu, gdzie obowiązuje czas centralny, potrzebuje snu, podobnie jak my wszyscy.

Rozważała, czy nie podać wszystkim akceptowanego przez wydział środka energetycznego, ale uświadomiła sobie, że to bez sensu. Nienawidziła tego, jak się czuła po środkach energetycznych. Wszyscy będą lepiej pracować po kilku godzinach snu.

– No dobrze, koniec na dziś. Spotykamy się tu jutro o szóstej zero zero.

– Tak jest. Przepraszam – dodał Banner – ale mam już zupełnie zlasowany mózg. Nie wiem, jak trafić do swojego pokoju.

– Gdzie cię umieszczono? – Peabody potarła oczy, wstając.

– Ach...

– W Pokoju Parkowym – powiedział Roarke.

– Wiemy gdzie to jest, prawda?

McNab skinął głową, wstał i objął Peabody ramieniem, kiedy się na nim wsparła.

– Tak, to zaraz obok naszego pokoju. Zaprowadzimy cię.

– Dziękuję. – Banner spojrział na tablicę, odszukał na niej zdjęcie Melvina Little’a. – Ma teraz nie tylko mnie. Nie zapomnę tego.

Kiedy wyszedł razem z Peabody i McNabem, Eve spojrzała na dzbanek.

– Absolutnie wykluczone.

– Nie musisz mi mówić...

– Muszę i spodziewam się, że ty zrobiłabyś to samo, gdyby chodziło o mnie. W twojej krwi jest teraz z siedemdziesiąt pięć procent kofeiny. Cała aż od niej dygoczesz.

– Jestem trochę nakręcona – przyznała.

– Gdyby została choćby jedna rzecz, którą mogłabyś zrobić dziś wieczorem, sam przyniosłbym kolejny dzbanek kawy i pomógłbym ci w pracy.

Może tak, pomyślała, a może po prostu dałby jej środek nasenny i już. Ale miał rację. Zrobiła wszystko, co mogła. Może jutro rano inaczej spojrzy na to, co ustaliła.

– Firmy holownicze przyjmują zgłoszenia przez okrągłą dobę, siedem dni w tygodniu – powiedziała, kiedy Roarke wyprowadzał ją z pokoju. – Taką mają pracę. Może Carmichael i Santiago znajdą coś dziś wieczorem.

– Jeśli tak będzie, skontaktują się z tobą.

– Kiedy DeWinter przedstawi oficjalny raport z analizy szczątków Little’a i drugiej ofiary, która do niej dotarła, FBI będzie musiało zrewidować swoje stanowisko.

– Czy to cię niepokoi?

– Irytuje na czysto... jak to się mówi? Instynktownym poziomem. Ale im więcej środków, tym lepiej. Ich ludzie zajmują się Jaylą, jednak skupili się głównie na północy. Traktują Nowy Jork jak etap pośredni, a nie ostateczny cel szukanych przez nas sprawców.

Kiedy weszli do sypialni, zauważyła, że Galahad ich ubiegł i leżał rozwalony na środku łóżka, śpiąc jak zabity.

– Im więcej środków, tym lepiej – powtórzyła, wsunęła ręce do kieszeni i zaczęła chodzić tam i z powrotem, żeby spalić część rozpierającej ją energii. – Gdyby nie Banner, nie wiedzielibyśmy tyle o Little’u, a bez DeWinter i Morrisa nie mielibyśmy potwierdzenia – bo z całą pewnością to się potwierdzi – że padł ofiarą naszych zabójców. A te firmy holownicze to dobry trop. Nie wpadłabym na to, gdyby nie twoje spojrzenie byłego przestępcy.

– Zawsze z radością pomagam. – Obrócił Eve i odpiął jej broń. Z ulgą się od niej uwolniła.

– Miejscowa policja nie chciała, by się okazało, że przestępstwo popełnił któryś z okolicznych mieszkańców. Woleli uważać, że Jansenowi rozbił głowę jakiś autostopowicz o zbrodniczych skłonnościach. To jasno wynika z ich akt.

– Hmm. – Roarke znów ją odwrócił i odpiął pasek od spodni.

– Jeśli chodzi o Little’a, wygodniej im było uznać, że po prostu miał pecha.

Zdjął jej sweter przez głowę.

– Tak samo z Fastbinderem w Wirginii Zachodniej. Facet źle stąpnął i spadł w przepaść. Z całą pewnością to tragedia, ale ludzie nie mieli pretensji do miejscowej policji, dlaczego nie znalazła dwójki zabójców.

Roarke skierował Eve w stronę łóżka, pomógł jej wejść na podwyższenie, i lekko ją pchnął, żeby usiadła.

– Co robisz?

– Pamiętaj, że jestem tu, żeby ci pomagać. – Podniósł jedną jej nogę, by zdjąć but.

– Chcesz mnie rozebrać do naga.

– To nagroda za pomoc.

– Domagasz się kolejnej zapłaty?

– Zamierzałem założyć rachunek, ale w tych warunkach... – Zdjął jej drugi but.

– Jestem trochę podminowana. – Uniosła biodra, kiedy zdejmował jej spodnie. – Równie dobrze mogę wykorzystać kofeinę znajdującą się

w moim organizmie.

– I jeśli pomogę ci pozbyć się jej z organizmu, może na tyle długo się zamkniesz, byśmy oboje trochę się przespali.

Położył dłoń na płask na twarzy Eve i pchnął ją delikatnie.

Galahad wydał gardłowy pomruk, przeszedł w najdalszy róg łóżka, odwrócił się do nich plecami.

– Skąd wie, że nie zamierzamy od razu położyć się spać?

– Zwierzęcy instynkt – powiedział Roarke, ściągając sweter.

Nachylił się do niej.

– Ja też go mam. – Eve przyciągnęła go do siebie, pocałowała i lekko ugryzła. – Szybko. – Ugryzła go w szyję. – Szybko i ostro.

Już pulsowała w niej krew, już była gotowa. A jej podniecenie obudziło w nim pożądanie. Kiedy zmagala się z jego ubraniem, wsunął rękę między jej nogi.

Nic się teraz nie liczyło, nic poza pragnieniem. To było jak gorączka, jak płomień, i wciąż się wzmagalo. Owładnięta pożądaniem, wygięła się w łuk i zaczęła się ocierać o niego, aż oboje przeszli dreszcz.

Wciąż wygięta, objęła nogami jego biodra i wczepiła palce w pościel, jakby się bała, że odleci, jeśli się czegoś nie przytrzyma.

– Szybko – powtórzyła, oddychając z trudem. – Szybko i ostro.

Wniknął w nią tak głęboko, jak tylko zdołał, aż z jej gardła wydobył się okrzyk. I drugi, a w jej głosie było tyle satysfakcji, że Roarke czuł się, jakby cięto go ostrym nożem.

Pięścił dłońmi i ustami śliską skórę Eve, wnikając w nią – szybko, głęboko.

Chciała czuć w nim tę mroczną potrzebę, tę zwierzęcą żądzę, więc poruszał się w niej miarowo, aż usłyszał jej zduszony jęk, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Aż zupełnie osłabła.

Ale nie przestawał, brał i brał, aż wziął wszystko.

I doznał ulgi.

Słyszała walenie swojego własnego serca. I uderzenia jego serca, niczym pięścią. Poczwała, że zamierzał się odsunąć, i udało jej się objąć go omdlałymi ramionami.

– Nie. Zostań we mnie – wymamrotała. – Nie ruszaj się przez

chwilę.

I usnęła.

*

Obudziła się w ciemnościach, wyrwana z głębokiego i pozbawionego koszmarów snu, gdy jej komunikator zabrzączał natarczywie.

Zdezorientowana, wciąż spleciona z Roarkiem, spróbowała się podnieść.

– Zaczekaj. Światło na dziesięć procent.

Na polecenie Roarke'a ciemności zniknęły. Odsunął się od niej.

– Mój kom...

– Nadal jest w twoich spodniach. – Znalazł je i wyjął komunikator, kiedy wciąż starała się rozbudzić.

– Ach...

– Zablokuj wyświetlacz – poradził jej.

– Chryste. Tak. Zablokować wyświetlacz – poleciła. – Dallas.

– Dyspozytor do porucznik Eve Dallas...

Dowiedziała się o Reedzie Aaronie Mulliganie o czwartej osiemnastce.

Znów w centrum, pomyślała. O całe dwadzieścia cztery godziny wcześniej, niż wynikało z ich dotychczasowego sposobu działania. Chyba że...

– Chcesz, żebym obudził Peabody? – spytał Roarke.

– Tak. Nie. Nie, nie ma sensu. To z pewnością ich kolejna ofiara, ale tak mi mówi przeczucie, nie mam żadnych dowodów. Najpierw porozmawiam z matką tego Mulligana.

– W takim razie pojedę z tobą. Pojadę – powtórzył, nim zdołała się sprzeciwić.

W ciągu dziesięciu minut wzięła prysznic, ubrała się i wypila kawę, a Roarke'owi wszystko to zajęło ledwo minutę dłużej. Zdalnie wprowadził samochód z garażu.

Wyszli z domu na zimną, bezchmurną noc. Jedna z jego mocnych terenówek już na nich czekała z włączonym silnikiem i ogrzewaniem.

– Zaginiony mieszka ze swoją matką przy Leonard, w bok od

Broadwayu.

– Słyszałem dyspozytora. – Szybko, gładko przejechał przez bramę i znalazł się na pustej o tej porze ulicy. – Zmienili modus operandi, tak?

– Jeśli to oni go dorwali, to tak. Jayla Campbell powinna żyć jeszcze dzień. Może coś poszło nie tak i porzucili jej zwłoki gdzieś, gdzie ich jeszcze nie znaleźliśmy. Czy też w inny sposób ich się pozbyli. Albo...

– Nadal ją przetrzymują. Żywą.

– Wątpię, ale chciałabym, żeby tak było. I całkiem możliwe, że to fałszywy alarm. Ten chłopak ma zaledwie dwadzieścia jeden lat. – Spojrzała na swój palmtop i na informacje o zaginionym, których wyświetlenie zleciła.

– Parę zatargów z prawem przed osiągnięciem pełnoletności. Narkotyki, nic poważnego. Obecnie pracuje jako zastępca kierownika w sklepie muzycznym – instrumenty, lekcje. Dorabia, grając w zespole o nazwie Thrashers.

Pokopała głębiej.

– Gra na gitarze, śpiewa. Kilka umówionych koncertów w podrzędnych klubach. Muszę to sprawdzić, ale...

– Może się upił i poszedł do kumpla.

– Być może. Ale to ich teren działania. Jedynek, matka, kelnerka w barze, wychowuje go sama. – Eve odłożyła palmtop. – Porozmawiamy z nią.

Mulliganowie mieszkali w trzykondygnacyjnym budynku bez windy z porządnymi zabezpieczeniami i stosunkowo czystym holem.

Żadnych graffiti na klatce schodowej, prowadzącej na trzecie piętro, zauważyła Eve, co dobrze świadczyło o lokatorach. Usłyszała przez drzwi jednego z mieszkań na drugim piętrze cichy odgłos wiadomości telewizyjnych.

Kiepska izolacja akustyczna i ktoś, kto pracuje na pierwszą zmianę.

Podniosła pięść, żeby zastukać w drzwi, ale otworzyły się, nim zdążyła to zrobić.

– Słyszałam, jak państwo szli. Policja?

– Porucznik Dallas. – Eve pokazała odznakę. – I mój cywilny konsultant. Pani Mulligan?

– Tak, tak, proszę wejść. Dziękuję, że tak szybko jesteście.
Pierwszy funkcjonariusz, z którym rozmawiałam, prawie nie chciał mnie wysłuchać.

Miała na sobie krótką czarną spódnicę, ukazującą zgrabne nogi, a głęboko wycięty biały top opinał kształtny biust. Strój roboczy, pomyślała Eve, zmieniła tylko buty na domowe, narzuciła obszerny sweter na ramiona.

Bił od niej niepokój.

– Reed zawsze wracał na noc. Znaczy się, poinformowałby mnie, gdyby zamierzał przenocować poza domem. Taką mamy umowę. Ja też zawsze go uprzedzam.

– Może usiądziemy i wszystko mi pani opowie?

– Och, przepraszam. – Rozejrzała się wkoło, jakby nie mogła sobie znaleźć miejsca we własnym mieszkaniu. – Tak się niepokoję, że nie potrafię myśleć. Proszę usiąść. Mam kawę.

– Świetnie – powiedziała Eve głównie dlatego, żeby kobieta mogła się czymś zająć. Czymś, co by ją nieco uspokoiło. – Oboje pijemy czarną.

– Jedną chwileczkę.

Przeszła w głąb pokoju, gdzie mieścił się wąski aneks kuchenny.

Ognistorude włosy miała związane na czubku głowy, więc jej twarz – wąska, kanciasta – była odsłonięta. Z informacji wynikało, że kobieta ma czterdzieści lat, ale równie dobrze mogła się podawać za trzydziestopięciolatkę, nawet taka blada i z podkrążonymi oczami.

– Pracuję przez pięć wieczorów w tygodniu w „Speakeasy”. To bar dwie przecznice stąd. Porządny lokal, nie jakaś speluna. Przyzwoici klienci, z klasą. Jego właścicielem jest Roarke... Wie pani, kogo mam na myśli.

Eve spojrzała z ukosa na Roarke’a.

– Tak.

– Jestem zadowolona z pracy... Niewielu przychodzi tam gości, którzy obłapiają personel. No i mam blisko... Roarke jest właścicielem również tego domu, dlatego tak tu ładnie. Bezpiecznie, czysto. Reed to dobry chłopak. Odpowiedzialny. Ma porządną pracę. Chce zostać gwiazdą muzyki – to jego marzenie. Gra w zespole, zaczynają ich

angażować. Jest dobry. Wiem, że nie jestem obiektywna, ale naprawdę jest dobry.

Przyniosła kawę na tacy z wdziękiem i wprawą kelnerki o długim stażu pracy.

– Cztery wieczory pracuję od siódmej do północy, a jeden – jak dzisiaj – od piątej do drugiej. Reed powiedział, że może wyjść wieczorem, pograć trochę z zespołem. Pracują na dźwięku generowanym komputerowo. Zna się na komputerach. Więc kiedy wróciłam i go nie zastałam, nie zaniepokoiłam się. Ale kiedy spojrzałam na telefon stacjonarny i zobaczyłam, że miga dioda, czyli ktoś zostawił wiadomość, zdenerwowałam się.

Wzięła swoją kawę i zaraz ją odstawiła.

– Pierwsza wiadomość była od Benja – to najlepszy przyjaciel Reeda i członek zespołu. Był trochę zły. Spytał: „Gdzie jesteś, dlaczego nie odbierasz telefonów?”. Może pani sama odsłuchać.

– Chętnie.

Jackie szybko wstała, włączyła odtwarzanie wiadomości.

„Hej, stary, co się dzieje? Wciąż czekamy. Odbierz telefon. Powiedziałeś, że będziesz za kilka minut, a minęła już godzina. Zadzwoń do mnie”.

Wiadomość zostawiono na automatycznej sekretarce sześć po pierwszej.

Kolejna, znów od Benja, dwadzieścia minut później. Trzecia od jakiejś kobiety – niejakej Roxie Parkingston, wiodącej wokalistki – dwadzieścia dwie minuty po tamtej.

„Reed, denerwuję się. Przysięgam, że jeśli nie zadzwonisz w ciągu pół godziny, poinformuję twoją mamę. Nie zmuszaj mnie do tego”.

– Zadzwońska do mnie – potwierdziła Jackie. – Odsłuchiwałam wiadomość od niej, kiedy zadzwoniła. Powiedziała, że Reed rozmawiał z Benjem po drodze – szedł do mieszkania w suterenie, które Benj i jeszcze dwóch chłopaków wynajmują przy Morton, zaraz w bok od Siódmej. To tylko dziesięć minut na piechotę. Najwyżej. Coś się stało – upierała się. – Nie zrobiłby mi tego. Mamy umowę. Wystarczy jedynie, jak powiemy, że nie będzie nas w domu – nie musimy się tłumaczyć, nie ma żadnych pytań. Ale musimy informować się nawzajem. I zawsze to

robimy. Szedł się spotkać z Benjem i zespołem.

– Co miał na sobie?

Jackie westchnęła głęboko.

– Sprawdziłam, żeby mieć pewność. Kupiłam mu nową kurtkę i buty. Na urodziny, na Gwiazdkę. Brązowe buty Trailblazer – z prawdziwej skóry. Obchodził dwudzieste urodziny i naprawdę o takich butach marzył. I kurtkę marki Moose. Zgniłozieloną. Sądzę, że włożył czarne spodnie i czarny sweter. Tak się ubiera, kiedy gra.

– Ma dziewczynę?

– Spotyka się z Maddy. Zadzwoiłam do niej, obudziłam ją. Nie widziała się z nim od dwóch dni. Podoba mu się Roxie. Widzę to. Do diabła, ona też to widzi. Ale jeszcze nic nie zrobił w tym kierunku. Wiedziałabym o tym. Spotyka się z Maddy, ale to nic poważnego, nie widzieli się, odkąd przedwczoraj wieczorem poszli na pizzę.

Eve zadała jeszcze kilka pytań, zorientowała się, że Reed jest przyzwoitym pogodnym młodym człowiekiem, który zarabia na życie, dokłada się мамie do czynszu i marzy o sławie i fortunie, o tym, że porwie swoim śpiewem miliony.

Ponieważ jej najbliższej przyjaciółce udało się to osiągnąć, wiedziała, że coś takiego jest możliwe.

Otrzymała informacje, jak się skontaktować z członkami zespołu, dziewczyną-niedziewczyną, kilku kolegami z pracy.

– Będziecie go szukać, prawda?

– Tak, będziemy go szukać.

– Wiem, że jest pełnoletni, ale to jeszcze dziecko. I jest ładny. – Zacisnęła usta. – Wiem, że są ludzie, którzy polują na chłopców, nawet niepełnoletnich.

To prawda, pomyślała Eve, ale powiedziała jedynie:

– Będziemy go szukać.

Jak tylko wyszli, zwróciła się do Roarke'a.

– To twój budynek.

– Najwidoczniej.

– W takim razie uzyskanie zapisów z kamer nie powinno być trudne. Przede wszystkim z kamery, zainstalowanej w wejściu. Zobaczymy, o której godzinie chłopak opuścił mieszkanie.

– Już się skontaktowałem z agencją ochroniarską, obsługującą tę nieruchomość. Centralka jest w suterenie. Mam kody dostępu.

– Możesz zdobyć dla mnie kopie? Chcę rozesłać jego rysopis. Trafi do porannych wiadomości. Może ktoś go widział.

– Daj mi pięć minut – powiedział i skierował się do suterenu.

Wrócił po czterech, wręczył jej kopię nagrania.

– Skopiowałem zapis od dziewiętnastej zero zero do pierwszej zero zero. Na wszelki wypadek.

– To wystarczy.

Odtwarzała nagranie na swoim palmtopie w przyspieszonym tempie, póki nie zobaczyła Reeda.

– Równo północ. Ubrany tak, jak opisała matka. Kaptur na głowie. Jest zimno.

Przewinęła nagranie do momentu, kiedy zobaczyła jak Jackie Mulligan podeszła do drzwi frontowych i je otworzyła.

– W tym czasie wyszły trzy osoby, weszły dwie. Ani jednej pary. Nie ma powodu sądzić, że porwali chłopaka, a potem przyszli tutaj.

– Ale teraz masz pewność.

– Tak. Masz ochotę się przejść?

– Spacer w ciemnościach i na zimnie? Cudowna perspektywa.

– Ruszył na zachód – powiedziała, kiedy wyszli na ulicę. –

Na zachód do Siódmej, a potem skręcił na południe. Dziesięć minut pieszo, prawdopodobnie mniej, szedł szybko, bo było zimno. I gdzieś po drodze natknął się na nich. Pomiędzy północą a dziesięć po... Jeśli nigdzie nie zboczył. Mamy bardzo wąski przedział czasowy.

Kiedy szli, rozglądała się, wypatrując kamer, okien, w których paliło się światło, mrocznych zaułków, gdzie mogli się czaić dilerzy narkotyków, licencjonowane prostytutki i uliczni bandyci.

Ale przeczucie jej mówiło, że Reed nie padł ofiarą ulicznego rzezimieszka ani ćpuna, nie robił też żadnych interesów na ulicy. Wypatrywała miejsc, gdzie można było zaparkować samochód wystarczająco blisko krawężnika, żeby...

– Kurde. – Zatrzymała się na odcinku, zarezerwowanym dla pojazdów dostawczych. Spojrzała na zegarek.

– Sześć minut. Stłuczona latarnia. A na chodniku szkło.

– Stłukli żarówkę w jednej z latarni, zaparkowali na miejscu przeznaczonym dla samochodów dostawczych.

– Na pewno ta kobieta go zwabiła. „Hej, kochaniutki, czy mógłbyś mi pomóc?” – Mówiąc to, przyglądała się budynkom, oknom wystawowym. – Nie ma tu barów, a szkoda. Sklep detaliczny, kawiarnia, budynek mieszkalny, firma księgową. Nic, co byłoby otwarte o północy w tak przenikliwie zimną noc. Ale mogły przejeżdżać jakieś samochody. Czyli musieli się uwijać.

Spojrzała w górę.

– Tak, musieli się uwijać. A to błąd. W miejscach dla samochodów dostawczych są zainstalowane kamery. Kiepskie kamery, wiele z nich nie działa, jednak może nam się poszczęści.

Wyciągnęła komunikator.

– Może nam się poszczęści – powtórzyła.

Rozdział 14

Eve wiedziała, że trochę to potrwa, ale poprosiła, żeby zapisy z kamery w zatoce dla pojazdów dostawczych przesłano na jej komputer w komendzie, w domu, a nawet na palmtop.

A kiedy czekała, aż drogówka to zrobi, przyszli do mieszkania Benja Fribbeta, obudzili go i jego współlokatorów.

Widziała, jak ich początkowa złość przemienia się w niedowierzanie, a potem w szczerzy niepokój.

– Eee tam, nic mu się nie stało. – Benj, przystojny, muskularny chłopak mieszanej rasy podrapał się po piersi. Miał na sobie koszulkę z Mavis Freestone, uśmiechającą się zalotnie.

Eve trochę dziwnie się czuła, patrząc na twarz swojej przyjaciółki na torsie jakiegoś faceta.

– Nic mu nie jest. Na pewno nie ma go w domu?

– Nie przyszedłbym tutaj, gdyby był w domu. Kiedy ostatni raz go pan widział albo z nim rozmawiał?

– Widzieliśmy się wczoraj. Wstąpiłem do niego do sklepu na kilka minut, umówiliśmy się, że wieczorem popracujemy razem. Znaczący się, wczoraj wieczorem. Rozmawiałem z nim... Nie wiem, koło północy, może kilka minut po. Szedł tutaj. Powiedział, że jest już prawie na miejscu, i...

– Ma pan swój telefon?

– Tak, tak. Byłem na niego wkurzony. – Spojrzał na swoich współlokatorów – jeden, niski i krzepki, miał gęstą, fioletową czuprynę, drugi był chudy, żylasty, z głową krótko ostrzyżoną z jednej strony i tatuażami na rękach.

W pomieszczeniu dziennym stała zapadająca się kanapa, stół zastawiony opakowaniami po jedzeniu na wynos i butelkami piwa oraz mnóstwo sprzętu muzycznego.

Benj znalazł telefon wśród toreb i pudełek. Włączył go, odtworzył nagranie.

„Idziesz tu czy nie? Roxie już jest, wszyscy już jesteśmy”.

„Tak, tak, już idę. Jezu, dziś wieczorem zimno jak na biegunie południowym. Już prawie jestem na miejscu. Odpalajcie!”

W tym momencie Eve usłyszała inny głos, ledwo słyszalny.

– Proszę zatrzymać. I cofnąć. Proszę zwiększyć głośność.

– Dobrze, ale nie dam rady dużo pogłośnić. To kiepski telefon.

Eve wzięła od niego aparat, przytknęła do ucha.

– „Hej, przystojniaczku” – mruknęła.

Potem rozległ się głos Reeda.

„Oddzwonię”.

– No właśnie – powiedział Benj. – Może pani odsłuchać, jak parę razy próbowałem się do niego dodzwonić, zostawiłem mu wiadomość głosową na komórce i na telefonie domowym. Roxie tak samo.

Nie zwracając na niego uwagi, ponownie odtworzyła nagranie, odsłuchwała, zapisała godzinę. Skończył rozmawiać pięć minut i czterdzieści osiem sekund po tym, jak opuścił dom, w którym mieszkał.

– Potrzebny mi ten telefon.

– To jedyny, jaki mam... – zaczął protestować, a po chwili pokiwał głową. – Tak, proszę go wziąć. Jezu, jasne, proszę go wziąć. Naprawdę sądzi pani... Może poszedł do Maddy? Nie ma między nimi chemii, ale być może.

– Jego matka dzwoniła do niej, nie było go tam. Jeszcze ktoś?

– Jesteśmy jego kumplami. – Znów spojrzał na swoich przyjaciół.

– Jesteśmy jego kumplami, rozumie pani? Byliśmy wściekli. Byliśmy wszyscy na niego wściekli, że wystawił nas do wiatru. Co możemy zrobić? Możemy zaśpiewać dla niego.

Nie widziała w tym sensu, ale nie widziała też sensu w próbie powstrzymania ich przed tym.

– To jej głos. – Schowała telefon Benja do kieszeni. – „Hej, przystojniaczku”. Suka. To było dokładnie w zatoce dla samochodów dostawczych. Wiedziała. Mniej więcej w połowie drogi między jego mieszkaniem a tym, do którego zmierzał.

– Niewłaściwe miejsce, niewłaściwa pora – powiedział Roarke i pomasaował jej plecy.

– Do tej pory im się udawało, ale dobra passa się skończyła. Wydobędziemy coś z tej przeklętej kamery i mamy głos kobiety na tej

gównianej komórce. Wiemy z dokładnością co do minuty, kiedy go porwano, i, do jasnej cholery, są gdzieś blisko. Są gdzieś niedaleko stąd.

Postanowiła, że trzeba wypytać wszystkich na tym odcinku Siódmej. Kiedy wracali poleciła, żeby droidy i mundurowi przystąpili do pracy.

Odtworzy nagranie z kamery w zatoce dla samochodów dostawczych, każe McNabowi powiększyć wszystko, co tam znajdują, oraz zwiększyć głośność rozmowy w komórce.

Mieliby ogromne szczęście, gdyby udało im się zidentyfikować tę sukę po głosie, więc muszą spróbować.

Kiedy znaleźli się w samochodzie, Eve wyjęła swoją komórkę.

– Do kogo chcesz zadzwonić o tej porze?

– Do Carmichael. On i Santiago mogą już przystąpić do pracy.

– Eve, tam jest dopiero po piątej.

– Dlaczego?

– No cóż, ogromny słoń, który dźwiga na potężnym grzbiecie naszą planetę, porusza się ociężale na swojej dziennej trasie wokół słońca.

– Och, ugryź mnie.

Ale obraz, który odmalował, zawierał według niej tyle samo sensu, co ten naukowy. Postanowiła pozwolić swoim ludziom pospać jeszcze trzydzieści minut.

– Bez planu. Jak dwie pozostałe ofiary w Nowym Jorku. Nie mogli działać według planu, nie mogli obrać sobie kogoś konkretnego na cel. Więc co ich skłoniło, żeby ostatniej nocy wyruszyć na polowanie? Po pierwsze, zabili już Campbell. Przed czasem albo po prostu niespodziewanie wyzionęła ducha. I mieli z tego zbyt mało radochy.

– Jeśli tak było, szybko pozbyliby się zwłok, prawda? Zapewne znajdziesz je wkrótce po wschodzie słońca.

– Nie miałyby sensu pozostawienie ich w domu. Może pojechali, żeby pozbyć się ciała, i oto trafiła się kolejna ofiara? Wpadła im prosto w ręce. Ale dlaczego nie poczekałi, żeby pozbyć się zwłok? Minęła północ, dość wcześnie na pozbycie się trupa, mniejsze ryzyko byłoby godzinę, dwie później.

– Może to ryzyko też ich podnieca?

– Tak, być może. Powiedzieli sobie: „Podnieśmy nieco poprzeczkę”. To możliwe. Inny scenariusz: postanowili porwać następną ofiarę, nim wykończyli Campbell. Mają bezpieczną metę, są tam, gdzie chcą być. Dość miejsca na kolejną ofiarę. Więc czemu nie umieścić kolejnej na ławce rezerwowych?

– Albo...

– Duet. – Skinęła głową. – Dwoje naraz. Nie wiemy na pewno, czy wcześniej też tak nie robili. Przypuszczamy, że załatwiali jedną osobę naraz, i to najbardziej prawdopodobny scenariusz, ale nie możemy wykluczyć, że nie załatwiali dwóch jednocześnie.

– Mając dwoje, można wykorzystywać jedno, by wzbudzić przerażenie w drugim. Albo każde z nich może się zniecać nad swoją ofiarą, mogą działać w tandemie.

– Jest mnóstwo możliwości. Póki nie znajdziemy zwłok Jayli Campbell, założymy, że celowo porwali drugą ofiarę. Może pod wpływem impulsu. Zaparkowanie na miejscu dla samochodów dostawczych nie było mądrym posunięciem. Ale jeśli nie pochodzą z wielkiego miasta, może nie zdają sobie sprawy, że są tam zainstalowane kamery.

– Bardzo prawdopodobne, że wiele osób, które nie mają samochodów albo nie jeżdżą, nie zdaje sobie z tego sprawy. A nawet ci, którzy mają i nimi jeżdżą, nie myślą o tym. Zresztą trzeba się zatrzymać w zatoce dla wozów dostawczych, żeby uruchomiła się kamera. A te urządzenia notorycznie się psują.

Uśmiechnął się do Eve.

– Ja mieszkałem w dużym mieście i często potrzebne mi było dogodne miejsce do... zaparkowania. I powinienem dodać, moja pani porucznik, że zablokowanie którejs z tych kamer jest dziecinnie proste.

– Miejmy nadzieję, że żadne z nich nie bawiło się w te same zabawy, co ty w dzieciństwie.

Kiedy wracali do domu, na ulicach panował większy ruch: maksibusy dymiły, tocząc się i wioząc tych, którzy wracali z nocnej zmiany bądź udawali się do pracy. A powietrzne tramwaje przewoziły kolejnych pasażerów.

Przemknęło kilka taksówek, jednak większość tych, którzy pracują

na pierwszą i trzecią zmianę, nie mogła sobie pozwolić na taki luksus. Ale byli tacy, którzy musieli złapać wczesny wahadłowiec, a licencjonowane prostytutki wysokiej klasy właśnie o tej porze wracały do domu po nocy.

– Może czasami tutaj bywają – mruknęła Eve. – Jeśli ktoś przyjeżdża do Nowego Jorku, to robi to, co turyści, prawda? Odwiedza sklepy w centrum, idzie na ślizgawkę w Rockefeller Center albo do parku. Chce obejrzeć Empire State Building, bawić się z innymi na Times Square.

Odwróciła się w stronę Roarke'a.

– Przecież nie jedzie się taki szmat drogi, żeby tu się nie zabawić, prawda? Nie siedzi się cały czas w domu bez względu na to, jak im tam dobrze. Przecież wszędzie można miło spędzić czas.

– Masz rację. O czym to świadczy?

– Powiem więcej. To para. Zakochani. Według Miry kochają się na swój chory, pokrętny sposób. Więc może jakaś romantyczna kolacja? W jednym z modnych lokali. Trzeba się tam odpowiednio ubrać, a to oznacza konieczność zrobienia zakupów. A na to potrzebne pieniądze, chyba że posłużyliby się kartą ofiary, ale wtedy dopadlibyśmy ich raz-dwa. Pamiątki. Muszą także kupować pamiątki.

Rozważała to na wszystkie sposoby, kiedy Roarke wiozł ją do domu.

Po powrocie poszli prosto do jej gabinetu. Już z daleka Eve poczuła zapach boczku.

Mogłaby na nich warknąć, ale poczuła również aromat kawy.

Weszła akurat wtedy, kiedy Peabody podawała talerz ze szwedzkiego stołu – już ustawionego i pełnego potraw – Bannerowi.

– O, jesteście. Pomyśleliśmy sobie, że przygotujemy śniadanie, zanim... Już gdzieś wychodziliście?

Eve zdjęła płaszcz, rzuciła go w kąt.

– Mamy kolejną ofiarę.

– Kolejną? Campbell...

– Nie wiadomo, co z nią. Reed Aaron Mulligan, lat dwadzieścia jeden, porwany tuż po północy, kiedy szedł na północ Siódmą. Między Waverly i Charles.

– Mamy świadka? – spytał McNab.

– Jest zapis rozmowy telefonicznej i być może zdjęcie z kamery monitoringu. Roarke, pokaż to na ekranie, a ja w tym czasie sprawdzę, czy drogówka coś nam przysłała.

– Mulligan – powtórzył Roarke, korzystając z drugiego komputera, żeby wyświetlić dane. – Reed Aaron. Jego zaginięcie zgłosiła matka.

Kiedy Roarke przekazywał pozostałym, co ustalili, Eve w końcu udało się skontaktować z kimś z drogówki, kto był nieco bardziej rozgarnięty – przynajmniej jej zdaniem.

– Właśnie przesyłają zapisy. Wyświetlę je. Kurde – mruknęła chwilę później, kiedy pojawił się migoczący, niewyraźny obraz. – Dasz radę to oczyścić? – zwróciła się do McNaba.

– Jasne, przynajmniej trochę. Mogę?

Eve zmarszczyła czoło, kiedy do niej dotarło, że tamten chce usiąść za jej biurkiem, ale zrobiła mu miejsce.

– Na dodatek pod złym kątem – mruknęła. – To strata czasu. Nie uda nam się zobaczyć numeru rejestracyjnego, kąt jest zbyt duży. Ale przynajmniej poznamy markę i model. Gdzie są? Gdzie... Tam... Ktoś wysiada przy krawężniku. Kto wysiada przy krawężniku? McNab!

– Pracuję nad tym. Mogę to zrobić tutaj albo w komendzie, wtedy lepiej i szybciej to wyczyszczę.

– Zrób, co możesz, tutaj.

Roarke podszedł, nachylił się nad ramieniem McNaba. Zaczęli coś mamrotać w żargonie maniaków komputerowych.

– Nie widać drzwi od strony ulicy. Kamera jest gówniana, ale można rozpoznać, że to kobieta. Tak, to kobieta. Krótka spódnica, krótka kurtka.

– Nie widzę jej dobrze. – Banner wyteżał wzrok razem z Eve. – Może wzrost. Uwzględniając wysokość furgonetki... Bo to furgonetka... Może metr siedemdziesiąt? Włosy schowane, twarz zwrócona w drugą stronę, rękawiczki. Niewiele jej widać.

– Czy to róg tablicy rejestracyjnej? Chyba tak. – Peabody wskazała ręką. – I jakaś nalepka w tylnym oknie. Trójkątna.

– Lepiej, trochę lepiej – powiedziała Eve, kiedy obraz stał się odrobinę wyraźniejszy. – Tak, to kobieta. Ze sposobu, w jaki się porusza,

widać, że wyszła na podryw. I ma na sobie te burdelowe pończochy.

– Kabaretki – odpowiedziała Peabody.

– Rozgląda się, otwiera tylne drzwi. Możesz powiększyć obraz wnętrza furgonetki?

Obraz drgnął, przez chwilę bardzo mocno zamigotał, ale potem się uspokoił.

Kobieta wyciągnęła jakiś fotel. Wydawał się spory, ale nie widać było, żeby sprawiło jej to większy kłopot. Czyli musi być silna, oceniła Eve, no i ma wprawę.

Otwarta torba... Mała torba podróżna? Na podłodze. Zobaczyła jakiś cień, poruszający się w pewnej odległości.

– Cofnij! Tak, to mężczyzna. Wysiada od strony dla kierowcy. Jest w cieniu, ale... Kurde. Użył czegoś, żeby stłuc latarnię.

– Może posłużył się procą.

Eve spojrzała na Bannera i zmarszczyła czoło.

– Procą?

– Tak przypuszczam. Dzieciaki u nas też tak się zabawiają, kiedy się nudzą. Już go nie widać.

– Musiał się ukryć. Może obszedł furgonetkę od przodu albo schował się w wejściu po drugiej stronie ulicy. Ofiary otrzymują cios w tył głowy. Peabody, chcę mieć zapisy z kamer monitoringu w budynkach po drugiej stronie ulicy.

– Już się robi.

– Ogląda się za siebie... Trochę widać jej profil. Zobaczyła kogoś? Tak, tak, patrz, jak się odwraca i daje znak swojemu współnikowi. A oto i Mulligan. O, tak. Zdjęła czapkę, odrzuca włosy do tyłu, żeby Mulligan ją zobaczył. Długie blond włosy. Prawdopodobnie kobieta rasy białej.

– Jezu, Dallas, czy na podstawie tego można sporządzić jej rysopis? – spytał Banner.

– Sporządzimy jej rysopis – odpowiedziała, nie odrywając wzroku od ekranu. – A to Mulligan... Zgniłozielona kurtka, kaptur na głowie. Jest między nią a kamerą, ale sporządzimy rysopis tej suki. „Czy mógłby mi pan pomóc? – szepnęła, udając tamtą kobietę. – Jestem za słaba, żeby to załadować. Jak to ładnie z pana strony, że zatrzymał się pan, żeby mi pomóc”. On przykucnął, jak to się zwykle robi, żeby chwycić fotel,

zaczyna go podnosić.

Wszystko stało się bardzo szybko, widać było jedynie cienie, gwałtowne ruchy, migotanie i zamazany obraz, ale Eve zobaczyła najważniejsze. Ktoś szybko i z całej siły zamachnął się pałką – czymś w rodzaju pałki. Potem kobieta i mężczyzna wciągnęli Mulligana do furgonetki. Kobieta wdrapała się za nim, drzwi się zatrzasnęły i w chwilę później furgonetka odjechała.

– Nie zabawili tutaj nawet dziesięciu minut. Ale wkrótce szczęście ich opuści, taka passa nigdy nie trwa długo. Zabierz to do laboratorium – poleciła McNabowi. – Oczyszć najlepiej, jak się da i prześlij mi każdy fragment, przedstawiający sprawców. Nawet najmniejszy. Chcę znać treść nalepki w tylnym oknie, markę i model samochodu.

– Róg tablicy rejestracyjnej – dodała Peabody.

– Jeśli uda się coś z tym zrobić, zróbcie to.

– Pomogę ci – powiedział mu Roarke. – A ty nałóż sobie coś na talerz. Człowiek musi jeść – zwrócił się do Eve.

– Dobrze. Czy Feeney też by się przydał?

– Tak, i to bardzo. – Roarke wziął talerz dla siebie. – Moglibyśmy się podzielić pracą przy identyfikacji, czyszczeniu obrazu i jego powiększaniu.

– Dzwonię do niego. Peabody, obudź Carmichael. Chcę, żeby razem z Santiago podążyli swoim tropem. Powiedz, żeby się pospieszyli.

– A co ja mam robić? Czuję się jak piąte koło u wozu – powiedział Banner.

Eve wyświetliła mapę.

– Tu są zaznaczone miejsca, skąd porwano ofiary, i miejsca ich porzucenia. Według mnie porwali Mulligana pod wpływem impulsu, czyli muszą mieszkać gdzieś niedaleko od tego miejsca. Chcę mieć listę sklepów z pamiątkami w tej okolicy.

– Z pamiątkami?

– Planujecie powrót do domu bez jakiejś pamiątki?

Uśmiechnął się zmieszany.

– Peabody powiedziała, że może mi załatwić bluzę z napisem NYPSD, a może też bluzę z kapturem. Moja mama zbiera śnieżne kule. Proszę nie pytać mnie dlaczego, po prostu jej się podobają. Pomyślałem

sobie, że poszukam dla niej takiej kuli przed wyjazdem.

Eve skinęła głową.

– Wiemy, że nie są stąd, czyli będą chcieli mieć jakieś pamiątki.

Kiedy uzyskamy ich podobizny, zaczniemy pokazywać portrety pamięciowe w sklepach, które wyszukacie. Również bary, gdzie sprzedają jedzenie na wynos. Dostawy do domu byłyby ryzykowne, ale można kupić jedzenie wszelkiego rodzaju i zabrać je ze sobą do mieszkania. Założę się, że żadne z nich nie jest typem domatora. A jak powiedział Roarke, człowiek musi jeść.

– Już się biorę do pracy.

– Chcecie mieć więcej roboty?

– Zrobię wszystko, co pani każe.

– Lombardy, sklepy z używanymi rzeczami. Potrzebne im pieniądze na jedzenie i pamiątki, prawda? Najłatwiej pozbyć się sprzętu elektronicznego. Wiemy też, co Kuper i Campbell mieli na sobie, kiedy ich porwano. Teraz widziałam, jak był ubrany Mulligan. Jeśli podobały im się ubrania i były odpowiedniego rozmiaru, zatrzymywali je. Ale jeśli nie, to je sprzedawali. Nałóżcie sobie coś na talerz – zaproponowała. – Możecie pracować i jeść.

Wróciła do swojego biurka i skontaktowała się z Feeneyem.

Jego twarz jak u buldoga wydawała się bardziej obwisła niż zwykle, rude włosy z pasmami siwizny były bardziej nastroszone. Ale ponieważ nie zablokował wyświetlacza, Eve uznała, że już wstał z łóżka.

– Zaczekaj – powiedział i podniósł do ust jaskrawoczerwony kubek. Wiedziała, że to kawa. – Co tam?

– Jest przełom w sprawie poszukiwanych seryjnych zabójców.

Mam zapisy z kamery monitoringu z zatoki dla samochodów dostawczych.

– Instalują tam bardzo kiepskie kamery.

– Tak, i dlatego chcę cię zapytać, czy możesz poświęcić mi trochę czasu. Roarke i McNab już się tym zajmują w laboratorium u nas w domu. Mamy całkiem przyzwoity obraz samochodu, kilka ujęć zabójców. Może uda się uzyskać fragment tablicy rejestracyjnej. I jakąś nalepkę na tylnej szybie. Kamera zarejestrowała, jak porywają swoją ostatnią ofiarę.

– Tę dziewczynę?

– Ona już nie jest ostatnią ofiarą. Tej nocy porwali kolejną. Chłopaka, który właśnie skończył dwadzieścia lat. Nie wiemy, czy porzucili zwłoki Campbell, ale jeszcze wczesna pora.

– Nie musisz mi tego mówić. – Potarł obwisłą powiekę. – Mogę być u ciebie za pół godziny. Zaparz kawę.

– Masz to jak w banku. Dzięki. Peabody! – zawołała, jak tylko się rozłączyła. – Jak sytuacja?

– Carmichael i Santiago mają parę potencjalnych tropów. Zadzwonili w jedno miejsce, ale wczoraj wieczorem nikogo tam nie zastali. Dziś rano spróbują ponownie.

Peabody nałożyła sobie jajka.

– Holowanie, mechanika samochodowa i wypieki Bubba i syn.

Eve już miała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła i tylko pokręciła głową.

– Wymyśliłaś to.

– Przysięgam na Boga, że nie. – Peabody położyła jedną rękę na sercu, drugą podniosła. – Carmichael powiedziała, że żona Bubby piecze, a Bubba z synami zajmują się holowaniem i naprawą samochodów. Razem z Santiago wyczuwają, że syn coś wie, jednak na razie nie chce nic powiedzieć.

– Muszą porozmawiać z synem na osobności.

– Taki mają zamiar.

Eve chrząknęła i odwróciła się do komputera, żeby napisać raport o Mulliganie i przekazać najnowsze informacje wszystkim zainteresowanym. Sprawdziła prawdopodobieństwo, jakie szanse ma Campbell. Martwa czy żywa. Ale chciała to skonsultować z Mirą.

Coś się wydarzy, i to wkrótce. Czowała to, niemal słyszała, jak mur zaczyna pękać.

Ale czy zdążą na czas?

*

Płakał, kiedy ją gwałcił.

Nie, nie, to nie tak, pomyślała Jayla. Nie mogła tego nazwać gwałtem. Nie, skoro najpierw go pobili i pocięli nożem.

Ją też.

Nie, kiedy wmusili w niego środek podniecający i przytknęli mu ostrze do szyi, każąc by położył się na niej. Próbowwała mu coś powiedzieć wzrokiem. Próbowwała mu powiedzieć, żeby to zrobił, że to nie ma znaczenia, że ona nie ma o to do niego pretensji.

Jego łzy kapały jej na twarz. Dziwne, że w nich nie utonęła.

Przytknęli również jej nóż do szyi, kiedy się okazało, że zmuszenie go, by w nią wszedł, to za mało. Ella-Loo wyjęła jej knebel z ust i kazała krzyczeć, błagać.

– Błagaj go, błagaj, żeby przestał. Krzycz!

Więc zrobiła to, chociaż była zachrypnięta, krzyczała i błagała. Ale przez cały ten czas jej wzrok mówił płaczącemu chłopakowi, że to nie ma znaczenia. Że to nie jego wina.

Kiedyś uważała, że gwałt to najgorsze, co może spotkać kobietę. Najwyższa forma przemocy. Teraz była mądrzejsza. To, do czego zmusili Reeda (Zapamięta. Będzie o nim myślała jako o Reedzie), było niczym w porównaniu z tym, co zrobili jej wcześniej.

I co jeszcze mogą jej zrobić. Co zrobią.

Wszyscy mówią, że gwałt to przejaw siły i kontroli, że nie ma nic wspólnego z seksem. Może to i prawda, ale dla Darryla i Elli-Loo miało to też coś wspólnego z seksem.

Obłapiali się wolnymi rękami, kiedy chłopak robił to, do czego go zmusili. I mówili sobie nawzajem, jak będą się kochać.

I tak im się spieszyło, żeby się pieprzyć, że odciągnęli chłopaka, związali go na podłodze, gdzie upadł, i tam zostawili. I pobiegli do sypialni, bo Ella-Loo powiedziała, że chce to zrobić w łóżku.

Zapomnieli ją zakneblować, Jayli zajęło minutę uświadomienie sobie tego; zrozumienie, że dźwięki, które wypowiada, to słowa.

– Słyszysz mnie? Reed? Słyszysz mnie?

Wciąż płakał, leżąc na brzuchu, z rękami skrupowanymi taśmą na plecach i nogami związanymi od kolan do kostek.

– Jestem Jayla. Jayla Campbell.

– Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam...

– To się nie liczy. To nie twoja wina. Nie przejmuję się tym.

Może później już nigdy nie da się dotknąć żadnemu mężczyźnie.

Może ją zabiją i to wszystko i tak nie będzie ważne.

Ale teraz, w tej chwili, żyła. I nie była sama.

– Jestem Jayla. Możesz ze mną porozmawiać?

– Przepraszam. – W końcu odwrócił się tak, że mógł na nią spojrzeć swoimi spuchniętymi, podbitymi oczami. – Zmusili mnie...

– Wiem. Mogli mnie zabić, mogli zabić nas oboje, gdybyś tego nie zrobił. Nie przejmuję się tym. Jeśli znów cię zmuszą, pamiętaj, że nic sobie z tego nie robię. Wiesz, jaki dziś dzień? Nie wiem, jaki jest dzień. Nie wiem, od jak dawna mnie tu trzymają.

– Chyba... Chyba czwartek. Albo środa. Nie mogę zebrać myśli. Zbiera mi się na wymioty. Dlaczego to robią?

– Nie wiem. Są chorzy. Czy możesz się poruszyć? Widzisz nóż albo coś ostrego?

– Nie wiem. Wszystko mnie boli. Chyba mi połamali kości. Moja ręka... – Jednak spróbował się obrócić. – Kim oni są?

– Darryl i Ella-Loo. – Każde wypowiedziane słowo sprawiało jej ból, lecz chciała mówić. – Musisz zapamiętać ich imiona. Tak się do siebie zwracają. Musimy spróbować uciec stąd. Będą się nad tobą jeszcze gorzej znęcać niż do tej pory. Lubią to.

– Gdzie jesteśmy?

– Nie wiem, ale sądzę, że w jakimś mieszkaniu. Blisko ulicy, bo kiedy otwierają drzwi, słychać ruch uliczny. Gdybyś mógł się dostać do drzwi albo do okna, może udałoby ci się je otworzyć. Albo znajdź coś ostrego. Przywiązali mnie do tego stołu czy deski.

Spróbował. Słyszała syki bólu, gdy Reed zdusił szloch i świszczące oddechy, kiedy powoli przesuwał się w jej stronę.

Wreszcie udało mu się uklęknąć i znów zobaczyła jego twarz, szarą z wysiłku. Oczy miał półprzytomne z bólu i od resztek środka, który w niego wmusili.

Skóra błyszczała mu się od potu. Tam, gdzie zadali mu rany, widać było krew. Dygotał jak człowiek uwięziony w bryle lodu.

– Jest nóż... Widzę nóż na tamtym stole. Gdyby udało mi się do niego dotrzeć, może zdołałbym go strącić na podłogę.

– Spróbuj. Spróbuj, Reed.

Przesunął się na klęczkach. Zobaczyła jego rękę, białą jak płótno

i spuchniętą, zobaczyła krew i rany na jego plecach.

Gdzieś w głębi serca poczuła litość, ale przede wszystkim przejmującą i nieposkromioną nadzieję. Gdyby Reedowi udało się dotrzeć do noża...

Zachwiał się i niemal przewrócił.

– Kręci mi się w głowie. Muszę...

– Oczekaj chwilę. Złap oddech.

Lecz było za późno. Przewrócił się na bok, próbował się podnieść. Ale stracił równowagę i upadł do tyłu, prosto na złamaną rękę.

Krzyknął piskliwie, nim zemdlał.

Rozdział 15

Kiedy pojawił się Feeney, Eve wskazała szwedzki bufet i to, co na nim zostało.

– Jest jeszcze trochę jedzenia.

– Poczęstuję się. – Spojrzał na tablicę, biorąc talerz. – Od kiedy trzymają tego?

– Od ośmiu godzin.

Skinął głową, nałożył sobie boczek, odkrył jajka na ogrzewanym półmisku i też się nimi poczęstował.

– Może próbują zabawę z dwójką.

– Mam taką nadzieję, bo to by oznaczało, że Campbell wciąż żyje. Właśnie wysłałam raport, zamierzam porozmawiać o tym z Mirą. Może to kolejny stopień eskalacji. Jedna ofiara dla każdego z nich. Carmichael i Santiago może znajdą jakiś ślad w Arkansas. Ale najbardziej teraz liczymy na zapis z kamery w zatoce dla samochodów dostawczych.

– Dallas. – Peabody uniosła rękę, w drugiej trzymała komunikator. – Może będziemy mieli jeszcze coś. Właśnie otwarto kawiarnię w pobliżu miejsca ostatniego porwania. Droid, posterunkowy, przesyła to, co zarejestrowała ich kamera. Obraz jest kiepskiej jakości, ale może jest na nim mężczyzna, zabójca.

– Mur pęka – zwróciła się Eve do Feeneya. – Parę dobrych kopnięć i się rozsypie.

– Prześlij to do laboratorium komputerowego Roarke'a. Pójdę do chłopaków. Zastępco szeryfa – dodał, kiwając głową do Bannera. – Zdaje się, że od samego początku mieliście nosa.

– Teraz z pewnością jesteśmy na dobrej drodze. – Zaczekał, aż Feeney wyszedł. – Mam adresy sklepów z pamiątkami, pani porucznik. Żaden z nich jeszcze nie jest otwarty. I kilku barów, sprzedających jedzenie na wynos. Oraz lombardów, ale wszystkie jeszcze zamknięte.

– Prześlijcie mi to, co macie, zaczniemy pytać. – Spojrzała na zegarek. – Jeśli Mira jeszcze nie wstała, to zaraz wstanie.

Eve skierowała się do swojego biurka, kiedy zadzwonił jej telefon.

– Santiago – rzuciła do słuchawki. – Daj mi coś.

– Odizolowaliśmy syna od reszty stada i zaczęliśmy go zmiękczać. Jest w tę sprawę jakoś zamieszany, pani porucznik, albo coś wie. Ale ojciec nam przeszkodził, zanim to z niego wydusiliśmy. Teraz atmosfera zrobiła się dość nerwowa.

– Włączcie miejscową policję. Wciągnijcie miejscową policję, zawieźcie ich na miejscowy posterunek.

– Jest pewien szkopuł. – Santiago spojrział swoimi ciemnymi oczami w bok, zmrużył oczy z irytacją, patrząc na coś... Na kogoś poza ekranem. – Szwagier Bubby jest prawnikiem i zaczął się wtrącać. Chodzi na ryby z miejscowymi glinami, a takie powiązania utrudniają nam działanie. Utknęliśmy w martwym punkcie, Dallas. Możemy dalej próbować, ale to zajmie trochę czasu.

– A czas jest najważniejszy. Na ile masz pewność, że ten Bubba... Głupio się czuję, wymawiając jego nazwisko.

– Syn wyraźnie poczuwa się do winy... Ma na imię Jimbo, bardzo mi przykro z tego powodu. A Bubba zaczyna się pocić. Matka – ma na imię Maizie i piecze niesamowite szarlotki – jest według nas czysta. Ale Bubba i Jimbo kłamią, Dallas. Coś wiedzą i kłamią. Gdyby komuś z nas udało się zamknąć Jimbo na dwadzieścia minut, pękłby jak akordeon.

– Czy to barwna metafora?

Rzucił jej szeroki uśmiech.

– Pracuję nad nimi.

– Poświęć się dla sprawy, Santiago.

Mina mu zrzęła.

– Och, do diabła, Dallas, Bubba ma łapy jak łopaty. To nie barwna metafora, tylko fakt.

– Nie bądź mazgajem. Sprowokuj go, żeby cię uderzył w obecności świadków. A Carmichael niech się zajmie tym Jimbo.

– Jimbo.

– Co za różnica. Niech prawnik i policja skupią uwagę na Bubbie, a ja wsadzę syna do aresztu. Holograficznie.

– Ja pozwolę sobie dać po gębie, a wy będziecie mieli frajdę.

– Postaraj się, żeby to dobrze wyglądało – poradziła mu Eve i się rozłączyła.

Zamiast Miry obudziła zastępcę prokuratora Cher Reo.

– Cholera, chciałam sobie pospać jeszcze dziesięć minut.

– Chcę, żebyś wykorzystała wpływy kogoś, kogo znasz, kto mógłby wpłynąć na kogoś w Monroe w stanie Arkansas. Potrzebny mi nakaz przeszukania firmy o nazwie Holowanie, Mechanika Samochodowa i Wypieki Bubba i Syn.

– Czy to mi się śni?

– Szybko, Reo. Muszę przeszukać ich siedzibę, księgi rachunkowe, rejestr wykonanych usług. Ma to związek z seryjnymi zabójcami. Ostatniej nocy porwali kolejną ofiarę.

Szelest świadczył, że Reo wstała z łóżka.

– Daj mi jeszcze raz dane i jakiś prawdopodobny powód.

– Bubba za chwilę dokona napaści na jednego z moich detektywów.

– Za chwilę?

– W każdej chwili. Jeśli musisz zaczekać, aż to nastąpi, możesz w tym czasie załatwić resztę. Ostatnia ofiara skończyła dwadzieścia jeden lat dzień po Bożym Narodzeniu.

– To nie moja wina. Do diabła. Daj mi kilka minut. Kiedyś sypiałam z facetem, który zna, kogo trzeba.

Eve uśmiechnęła się, kiedy Reo się rozłączyła.

– Brzmi mi to bardzo znajomo – zauważył Banner. – Przyznaję, że pochodzę z małej dziury, ale sprawy załatwia się tam bardzo podobnie jak tu.

– Gliniarze wszędzie są tacy sami. Peabody, zostawiam cię tutaj na posterunku. Banner, pojedziecie ze mną. Wasza obecność podczas przesłuchania może mi pomóc.

– Będziesz musiał być dobrym gliną – uprzedziła go Peabody.

– Starym, poczciwym gliną?

Eve skinęła głową.

– Tak jest.

Zjechali windą do pokoju holograficznego, po drodze Dallas obmyślała strategię.

– Ile tu jest pokoi? – spytał Banner.

– Nie mam pojęcia. Wciąż znajduję takie, których wcześniej nie

było, co jestem gotowa przysiąc.

– Jak długo tu pani mieszka?

– Trzy lata. Trzy lata – powtórzyła z niedowierzaniem. – Jezu, jak to możliwe?

– Czy mogę zadać pytanie?

– Przecież właśnie to zrobiliście.

– O co innego. Czy Roarke naprawdę był... Złodziejem?

Twarz Eve pozostała nieprzenikniona.

– Nigdy go nie przyłapałam na kradzieży czegokolwiek – odrzekła obojętnym tonem.

W oczach Bannerera pojawiła się wesołość.

– Z tego, co słyszałem, nikt inny też nie.

Wysiadł razem z nią z windy i znalazł się w pustym pokoju holograficznym.

– Myślałem, że jest inny.

– Inny niż kto? – spytała Eve, zastanawiając się, jak -zaprogramować to, o co jej chodziło.

– Niż jest. Nie przypuszczałem, że jest taki życzliwy.

– Życzliwy! – Obejrzała się za siebie rozbawiona.

– Wyobrażałem sobie, że będzie bardziej... Oficjalny. I napuszony.

Nie jak ktoś, z kim miło wypić piwo. Czy mogę zapytać, co zamierza pani tu zrobić?

– Musi gdzieś tu być – mruknęła Eve. – Z całą pewnością. Chcę jedną z moich sal przesłuchań. Zaciągniemy tego Jambo na przesłuchanie.

– Jimbo.

– Racja... Jak ktoś może się zgadzać na to, żeby mówili na niego Bubba albo Jimbo?

– Przypuszczam, że to zależy od położenia geograficznego.

– Ściągniemy go tutaj, kiedy aresztujemy jego ojca za napaść na funkcjonariusza policji, a jego prawnik będzie próbował utrzymać, że Santiago sprowokował jego klienta i te pe, i te de. Ściągniemy go tutaj i jeśli Santiago się nie myli, a z pewnością nie, zgnieciemy chłopaka jak jajko. Tutaj jest! Wiedziałałam, że to zaprogramował.

Ale i tak wstukanie instrukcji zajęło jej dwa razy dłużej, niż

zajęłoby Roarke'owi. Jednak jej się udało.

I znajome, szarobure ściany, porysowany stół, trzeszczące krzesła i długie lustro weneckie zwyczajnego pokoju przesłuchań w komendzie głównej policji pojawiły się jak żywe.

– Ho, ho. – Banner obrócił się, patrząc wokoło oczami okrągłymi ze zdumienia. – Nigdy nie robiłem czegoś takiego oficjalnie. Tylko w wesołych miasteczkach i tym podobnych miejscach. I raz w...

Mniejsza z tym.

Seksklubie, domyśliła się Eve.

– Macie mniejsze w Silby's Pond?

– Mają je w Little Rock.

– Muszę się zalogować, ale kiedy zaczniemy, chcę to załatwić raz-dwa, więc proszę, żebyście okazali pełne zrozumienie, lecz do pewnych granic. Ten numer ze starym pocziwcem może być dobry.

Położyła na stole akta, które przyniosła ze sobą.

– Będziecie mu współczuć, ja go zastraszę, a to, co jest w tych aktach, ostatecznie zakończy sprawę.

Wyciągnęła telefon.

– Carmichael.

– Pracujemy nad tym – mruknęła detektyw Carmichael, patrząc gdzieś w bok, a nie do kamery. – Santiago właśnie... Aj! – Syknęła przez zęby i Dallas usłyszała jakieś krzyki. – Zostanie mu ślad. Daj mi pięć minut, muszę pomóc swojemu partnerowi. Oddzwonię.

– Szybka robota.

Eve skinęła głową do Banneru.

– Im szybciej, tym lepiej. Bez względu na to, jak to rozegraliśmy, Banner, to cholernie poważna sprawa. Wszystko jest nagrywane. Trzech zdolnych komputerowców poci się w laboratorium, żeby dać nam coś, co będziemy mogli wykorzystać. I dadzą nam to. Tymczasem ci dwaj palanci wiedzą coś, co mogłoby nas zaprowadzić do zabójców, uratować życie niewinnym ludziom. Wiedzą to, odkąd znaleziono zwłoki Jansena, lecz nie pisnęli ani słówkiem, żeby chronić własne tyłki. Według mnie to nie w porządku.

– Według mnie również. Nie powinno tak być. W żadnym wypadku.

– W takim razie pozwólcie mi działać i włączcie się, kiedy uznacie, że wyjdzie to na dobre sprawie.

Spojrzała na zegarek i zadzwoniła do Miry.

– Przepraszam, że niepokoję tak wcześnie. Mam tylko parę minut. Wysłałam ci raport.

– Jeszcze go nie przeczytałam. Dopiero co...

– Przeczytaj go możliwie jak najszybciej – przerwała jej Eve. – Ostatniej nocy porwali kolejną ofiarę, dwudziestoletniego chłopaka. Koło północy. Komputer ocenił, iż jest duże prawdopodobieństwo, że nie zmienili sposobu postępowania i Campbell przypuszczalnie nie żyje. Chcę poznać twoje zdanie.

– Daj mi chwilkę. Może posunęli się za daleko albo Campbell zwyczajnie nie wytrzymała tortur. Możemy powiedzieć z absolutną pewnością, że wcześniej nic takiego się nie wydarzyło, czyli istnieje duże prawdopodobieństwo, że Campbell nie żyje.

– A jakie jest prawdopodobieństwo, że postanowili torturować dwie ofiary jednocześnie? Albo tej samej nocy porzucili gdzieś zwłoki i napadli kolejną osobę? Chociaż równie dobrze mogli porwać ofiarę pod wpływem impulsu.

– Byłaby to logiczna eskalacja przemocy. Z całą pewnością to możliwe, ale...

– Czy mogłabyś jak najszybciej przeczytać mój raport? Mam swoje przemyślenia, swoje teorie. W tej chwili podążamy dwoma tropami, które wyglądają obiecująco. Muszę czymś się zająć, ale jak tylko przeczytasz raport, chciałabym poznać twoją opinię.

– Już się biorę do pracy i poinformuję cię, jakie jest moje zdanie, nim pójdę do doktor DeWinter.

– Dzięki. Mam drugi telefon – rzuciła, gdyż jej komórka zasygnalizowała, że ma drugą rozmowę. – Na razie. Dallas.

– Nasz szeryf z wyraźnym niezadowoleniem aresztował Bubbę za napaść na funkcjonariusza policji. Prawnik jest tak wkurzony, że nawet nie zauważył – do tej pory – że wysłałam. Santiago jest pokaleczony i zrobił wielką aferę. Gdyby to było naprawdę, poradziłabym mu, żeby tak nie dramatyzował. Z łatwością mogę dopaść Jimbo.

– Zrób to. Posłużę się twoją komórką, żeby oboje was tu ściągnąć

na twój znak. Ciebie potem odeślę. Postaraj się zająć ich jak najdłużej. O ile syn nie będzie chciał obecności adwokata, damy sobie z nim radę.

– Zrozumiałam. Wyślę sygnał, jak tylko będę miała Jimbo.

Nie trwało to długo. Mając nadzieję, że niczego nie sknociła, Eve wykorzystwała sygnał, żeby wszystko skoordynować. Pojawiła się Carmichael, a obok niej duży facet w kombinezonie.

Miał posturę piłkarza, grającego w obronie, włosy koloru wyblakłej pszenicy i szeroką, kwadratową głowę.

Według Eve mógł ważyć ze sto dwadzieścia kilo i widać było, że jest mocno przerażony.

– Dziękuję, pani detektyw. Włączyć nagrywanie. Porucznik Eve Dallas i zastępca szeryfa William Banner przystępują do przesłuchania... Proszę podać swoje imię i nazwisko.

– Hm. Ach.

– James Beauregard Dorrان – wyręczyła go Carmichael.

– Proszę usiąść, panie Dorrان.

– Naprawdę muszę się zająć moją mamą. Mój tata ma kłopoty.

– Pani detektyw, proszę iść... Zająć się mamą pana Dorrانا.

– Tak jest, pani porucznik. Jimbo, lepiej powiedz porucznik Dallas wszystko, co wiesz. Twoja mama z pewnością nie chciałaby, żebyś i ty miał kłopoty.

Skinęła głową do Eve, a ta wyłączyła jej obraz.

– Panie Dorrان...

– Proszę nazywać mnie Jimbo, bo nikt nie mówi do mnie „panie Dorrان”.

– W porządku, Jimbo. Usiądź.

– Nic nie wiem o niczym. Ani o nikim. Tata powiedział...

– Nie rozmawiam z twoim tatą. – Jej wzrok stał się zimny, twardy, tak samo jak głos. – Tylko z tobą. Kieruję Wydziałem Zabójstw Policji Nowojorskiej. Wiesz, co to zabójstwo, Jimbo?

– Hm, tak jakby.

– To samo, co morderstwo.

Oczy zrobiły mu się jak spodki. I nawet na hologramie czuła bijące od niego poczucie winy.

– Nigdy nikogo nie zabiłem. Tata też nie. Wujek Buck powiedział,

że nie musimy nic mówić.

– Twój wujek Buck zostanie oskarżony o to, że chroni zabójców, a także o utrudnianie pracy policji i masę jeszcze innych gównianych zarzutów, jakie mogę wymieniść, jeśli nie powiesz mi prawdy.

– Nigdy nikogo nie zabiłem. I damy nie używają takich brzydkich słów.

– Czy wyglądam jak dama?

– Jest pani kobietą.

– Jestem gliną. Zajmuję się zabójstwami i takich dupków jak ty zjadam na śniadanie. Zastępca prokuratora już przestępuje z nogi na nogę, żeby wystąpić o twoją ekstradycję do Nowego Jorku i wsadzić cię za kratki.

– Nic nie zrobiłem!

– Jimbo. – Głos Bannera był jak zimna woda z wiejskiego strumienia w porównaniu z wielkowiejską wymową Eve. – Przypuszczam, że nie chciałeś zrobić nic złego. I nie zdajesz sobie sprawy z tego, że źle postąpiłeś.

– Nie krzywdzę ludzi. Może pan spytać wszystkich. Jest pan z Arkansas?

– Zgadza się. Z Silby's Pond.

– Nigdy tam nie byłem, ale słyszałem, że bardzo tam ładnie.

– Z całą pewnością.

– Może udałoby nam się załatwić, żebyś spędził trochę czasu za kratkami tam. – Eve uderzyła dłonią w akta, aż Jimbo, ważący pewnie ze sto dwadzieścia kilogramów, podskoczył na krześle. – Albowiem tego człowieka zabito właśnie tam.

Pokazała mu zdjęcia Melvina Little'a, skatowanego, z połamanymi kośćmi.

Jimbo zbladł jak ściana.

– Jasna cholera! Jasna cholera! Nie żyje?

– A jak sądzisz?

– Jasna cholera. Nie mam z tym nic wspólnego! Nigdy nikogo nie skrzywdziłem.

– Co to był za samochód? – spytał od niechcienia Banner. – Ten, który odholowaliście razem z tatą w sierpniu zeszłego roku z szosy

numer dwanaście?

– To był... Nie wiem, o czym pan mówi. – Ale Jimbo splótł swoje wielkie dłonie i gapił się na zdjęcie. – Czy go zamordowali?

– Pobili go – powiedziała Eve twardym głosem. – Przypalali mu skórę. Torturowali go, a potem, kiedy z nim skończyli, zepchnęli go w przepaść i zostawili, żeby ciało pożarły kruki. Ale najpierw załatwili tego.

Przesunęła po stole zdjęcia martwego Jansena.

– Roztrzaskali mu głowę, zaciągnęli go w krzaki, żeby tam gnił, póki ktoś go nie znajdzie.

– Słyszałem o tym. Słyszałem, bo znalazł go Petie West ze swoją mamą. Ale my nic nie zrobiliśmy.

Eve rzuciła na stół pozostałe zdjęcia.

– Zabili wszystkich tych ludzi. A przedtem ich torturowali. Czyjegoś syna, córkę, siostrę, czyjegoś ojca. Zabraliście samochód, który zostawili na poboczu drogi. Ile za niego dostaliście?

– Nie powiedziałem, że to zrobiliśmy, ale nawet gdybyśmy zrobili, nikomu z tego powodu nie stała się krzywda.

– Musimy odnaleźć ten pieprzony samochód, Jimbo. Nie wiemy, kim oni są.

– Nie wiecie, kim oni są – powtórzył wolno.

– Zrób, co należy, Jimbo – powiedział łagodnie Banner. – Jeśli tego nie zrobisz, skrzywdzisz kogoś. Skrzywdzisz tych, których w tej chwili przetrzymują.

– Przetrzymują jakichś ludzi?

Eve podsunęła mu zdjęcie Jayli Campbell i Mulligana.

– Mają tych dwoje. Torturują ich. Może już zabili kobietę. Im dłużej milczysz, tym są mniejsze szanse, że ci dwoje wyjdą z tego żywi.

– Muszę się zaopiekować mamą.

– Oni też mają matki, Jimbo – przypomniał mu Banner. – Jakby się czuła twoja mama, gdyby ktoś cię porwał i przetrzymywał, a ktoś inny, kto być może mógłby pomóc, nic by nie zrobił?

– Tata powiedział, że jeśli się wygadamy, wsadzą nas do więzienia.

– Jeśli nie powiesz, przysięgam na Boga, że obu was wsadzę za kratki – oświadczyła Eve. – Jeśli nam pomożesz, powiesz coś, co

umożliwi nam znalezienie morderców i uratowanie tych dwojga, nie pójdziecie do więzienia. I zrezygnujemy również z postawienia zarzutu przeciwko twojemu ojcu o napaść na funkcjonariusza policji.

– Może pani to zrobić?

– Zrobię to. Ale musisz wszystko powiedzieć. I to teraz. Żadnego kręcenia albo nasza umowa jest nieważna. Masz dziesięć sekund.

– Chcę pomyśleć...

– Dziewięć. Osiem. Siedem.

– No dobrze, zgoda. – Zamachał w powietrzu wielkimi dłońmi. – Ten wóz stał na poboczu drogi. W środku nie było dokumentów ani nic. Pełen bak i akumulator naładowany jak należy. Tylko silnik był do niczego. Ktoś próbował go naprawiać, jednak mu się nie udało. Więc odholowaliśmy wóz. Gdyby ktoś szukał tego samochodu, oddalibyśmy go. Ale nikt nie szukał. Dopiero później dowiedzieliśmy się o tym zabitym i wtedy tata powiedział, że musimy siedzieć cicho, bo inaczej pomyślą, że my go załatwiliśmy. A przecież nikomu nic nie zrobiliśmy.

– Co to był za wóz?

– Ćwierćtonowy pikap. Z dwa tysiące pięćdziesiątego drugiego roku, więc trochę przechodzony. American Bobcat z pięćdziesiątego drugiego roku, stalowoszary lakier, czarna tapicerka. Raz bity, ale porządnie wyremontowany.

– Tablice rejestracyjne?

– Tak, proszę pani. O ile sobie przypominam, tablice z Oklahomy. W środku nic. Żadnych dokumentów, jak powiedziałem, niczego nie było w kabinie ani w skrzyni i w schowku. Trochę śmieci i to wszystko.

– Gdzie teraz jest?

– Co gdzie teraz jest?

– Gdzie ten samochód?

– No więc jak usłyszeliśmy o tamtym trupie, rozebraliśmy wóz, części sprzedaliśmy, a resztę wywieźliśmy na złomowisko. Tata powiedział, że nie chcemy niczego z tego pikapa, i żeby nikomu o nim nie pisać ani słówkiem. Ani mru mru. Nie wiedzieliśmy nic o tych zamordowanych, póki nie pojawili się ci detektywi z Nowego Jorku. Tata powiedział, że nie powinniśmy im wierzyć, bo nowojorczycy zawsze szukają guza i kłamia.

Spojrzał na Bannera.

– Czy to prawda?

– Cóż, spędziłem tutaj dzień czy dwa i nie mogę powiedzieć, że to prawda. A ci ludzie, których szukamy, Jimbo, nie są z Nowego Jorku. Są z naszych stron.

– Nie rozumiem, jak to możliwe. Nigdy nie znałem nikogo, kto mógłby zrobić coś takiego. Słowo daję, proszę pani, nigdy nikogo nie skrzywdziłem. Nie mieliśmy o tym pojęcia. Rozmyślałem o tym i prawie nie zmrużyłem oka przez całą noc. Tata tylko się troszczy o mnie i moją mamę, to wszystko. Należy się troszczyć o swoich bliskich.

Zabici należą do niej, pomyślała Eve. I zatroszczy się o nich.

– Może znów będziemy musieli z tobą porozmawiać... – zaczęła Eve.

– Czy mogę najpierw porozmawiać z mamą? Powtarza mi, że trzeba mówić prawdę. Będzie trochę zła na tatę z powodu tego wszystkiego. Już się zezłościła, że uderzył tamtego detektywa. Ale cóż, on wyprowadził tatę z równowagi.

– Nie wątpię. – Eve wstała. – Ściągnę detektyw Carmichael. Odprowadzi cię do domu. Porozmawiam z szeryfem.

– I nie wsadzą taty do więzienia za uderzenie tego detektywa?

– Ani za to, ani za to wszystko, o czym właśnie rozmawialiśmy. – Zadzwoiła do Carmichael, żeby ją ściągnąć. – Mamy zeznania pana Dorrana. Prześlę ich kopię szeryfowi oraz tobie i detektywowi Santiago. Chcę, żeby Santiago zrezygnował z oskarżenia ojca Jimbo o napad. Wystąpię również z wnioskiem, żeby nie stawiać żadnych zarzutów pod adresem obu panów Dorranów z uwagi na to, że pan James Dorran udzielił nam pomocy w prowadzonej sprawie, a jego informacje pomogą nam, jak mamy nadzieję, zidentyfikować i ująć poszukiwanych zabójców.

– Tak jest, pani porucznik.

– Zrób co trzeba, Carmichael. Nakazy przeszukania warsztatu samochodowego i wszystkich znajdujących się w nim samochodów powinny już być w drodze do was. Zajmij się tym.

– Tak jest. Chodźmy, Jimbo.

Carmichael ujęła go pod ramię, uśmiechnęła się do Eve i zniknęła.

– Przesłać kopię raportu na moje komputery – poleciła Eve. –

I zakończyć program. Chodźmy, Banner.

– Możemy ustalić, do kogo należał ten pikap.

– I zrobimy to. Ci pieprzeni głupcy rozebrali go i oddali na złom.

Mogliśmy mieć odciski palców, DNA, może jeszcze coś – mówiła, kiedy jechali windą z powrotem do jej gabinetu. – Ale i tak ustalimy, do kogo należał. Nawet, jeśli go ukradli, jesteśmy krok bliżej. – Wzięła głęboki oddech.

Po drodze wstąpiła do laboratorium komputerowego, przekazała Feeneyowi dane, by mógł rozpocząć poszukiwania, a Banner znów wybałuszył oczy.

– Ograniczymy się do samochodów, zarejestrowanych w Oklahomie – powiedział jej dawny mentor i tak jak Roarke ręcznie wstukał informacje na klawiaturze. – Odszukać ćwierćtonowy pikap American Bobcat, rocznik dwa tysiące pięćdziesiąt dwa.

– Szary.

– Karoserię łatwo przemalować, więc na początku zrezygnujemy z koloru. – Chrząknął, kiedy komputer wypluł wyniki. – Ponad sześćset.

– Jeśli go ukradli, będą...

– Wiem, jak prowadzić poszukiwania, dziecino. – Nie przestawał stukać w klawiaturę. – Mam trzy skradzione w interesującym nas przedziale czasowym, dwa odzyskano, jeden rozbity. Zlecę drugie poszukiwanie, z uwzględnieniem koloru karoserii.

– Mam. – Roarke obrócił się na fotelu. – Na nalepce w tylnym oknie furgonetki, zaparkowanej na miejscu dla samochodów dostawczych, są litery OBX.

– Co to znaczy, do diabła? – spytała Eve.

– Kalkomania mieszkańca Outer Banks w Karolinie Północnej. Tablica rejestracyjna najprawdopodobniej z New Jersey. Największe prawdopodobieństwo, że interesująca nas furgonetka to RoadStar z pięćdziesiątego ósmego albo pięćdziesiątego dziewiątego roku, czarny lub granatowy. Daj nam minutkę.

McNab podrygiwał i wyginał się przy drugim komputerze.

– Na razie jeszcze nic nie dało poszukiwanie na podstawie rysów

twarży. Wciąż staram się powiększyć obraz.

– Pierwsze wyniki poszukiwań – powiedział Roarke. – Osiemdziesięciu sześciu mieszkańców Outer Banks ma furgonetki, pasujące do tej, która nas interesuje.

– Postaraj się lepiej.

– Dobrze.

– Szare pikapy – oznajmił Feeney. – Mamy pięć pasujących.

– Bardzo dobrze. Nazwiska, zdjęcia, adresy.

– Zaraz pojawią się na ekranie. Mapa na drugim ekranie. Możemy ustalić trasę, wybrać najbardziej prawdopodobną.

Eve utkwiała wzrok w ekranie, patrzyła, jak pojawiają się kolejne lokalizacje na wytyczonej przez nią trasie, zanim poszukiwani przez nich sprawcy dopadli Jansena.

– Sprawdzimy te pięć. Numer jeden: Shelley Lynn Waynes, jest bezpośrednio na trasie.

– Już pokazuję – powiedział Feeney.

– Trzydzieści jeden lat. Zameżna od sześciu lat, dwoje dzieci. Nauczycielka. Gdyby skradziono jej samochód, zgłosiłaby to. Może pożyczyla go przyjaciółce, krewnemu, ale...

– Małe prawdopodobieństwo – powiedział Feeney. – Zadzwoń do niej, zorientuję się, co i jak, ale jest czysta. Następny na trasie jest Bowie Nettleton. Siedemdziesiąt cztery lata, emerytowany wojskowy. Starszy sierżant, obecnie burmistrz Three Springs w stanie Oklahoma. Dwóch synów, obaj służą w armii. Wnuk i wnuczka też są w wojsku. A druga wnuczka studiuje nauki polityczne.

– Nie wydaje mi się, ale sprawdzimy.

– Barlow Lee Hanks – przeczytała Eve, mrużąc oczy, by przyjrzeć się kolejnemu zdjęciu. – Za stary na naszego podejrzanego, bo ma pięćdziesiąt osiem lat. Dzieci?

– Brak informacji w bazie danych.

– Ma własną firmę, mechanika, blacharstwo, jak ci idioci Dorranowie w Lonesome w Oklahomie. Bumbo powiedział, że samochód był naprawiany. Fachowo, przez mechanika.

– Bumbo? – zapytał Roarke.

– Jimbo. – Banner wzruszył ramionami. – Przypuszczam, że nie

robi to większej różnicy.

Eve nie traciła czasu. Wyjęła komórkę, wybrała numer Santiago.

– Jak twoja twarz? – spytała, przyglądając się uważnie podbitemu, spuchniętemu prawemu oku detektywa.

– Bywało gorzej.

– Niech cię opatrzą, a potem razem z Carmichael ruszajcie do Oklahomy. Do Lonesome, do niejakiego Barlowa Lee Hanksa.

Chciałabym wiedzieć, komu pożyczył swojego pikapa American Bobcat z pięćdziesiątego drugiego roku. Jedźcie tam jak najszybciej. Podam wam wszystkie szczegóły, kiedy już będziecie w drodze.

– Zaraz ruszamy jak cielaki bez matki.

– Dlaczego?

– No wiesz, jak w tej kowbojskiej balladzie. Nieważne. Na razie kończymy tutaj. Ten dupek wszystko zapisuje. Możemy dotrzeć do prawie wszystkich części pikapa, na ogół sprzedał je miejscowym.

– Zostaw to tamtejszej policji. Teraz najważniejsza jest Oklahoma. Jeszcze do ciebie zadzwonię.

Wsunęła telefon do kieszeni.

– Dzięki – powiedziała, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

– Informacje już są w twoim komputerze – poinformował ją Roarke. – I niebawem zawężymy poszukiwania furgonetki.

– Dobrze. Chodźmy.

Banner wyszedł za nią.

– Wszystko we własnym domu. Ma pani wszystkie te wymyślne zabawki w domu.

– Pracujemy tutaj.

– Zauważyłem. Nigdy nie widziałem tak szybko działających informatyków. Mam nadzieję, że dzięki temu zdobędziemy coś konkretnego.

– Feeney zadzwoni do tamtej czwórki, a my sprawdzimy Barlowa Lee Hanksa i zobaczymy, co z tego wyniknie.

Wróciła do swojego gabinetu i dała znak Peabody.

– Warsztat samochodowy Barlowa Lee Hanksa w Lonesome w stanie Oklahoma. Podstawowe informacje i stan finansów. Migiem.

Banner, zadzwońcie tam, może uda się wam porozmawiać z właścicielem. Jeśli jest na miejscu, to z całą pewnością nie ma go tutaj. To po pierwsze. I zorientujcie się, kto to taki. Nie przyznawajcie się, że jesteście gliną. Zadajcie mu jakieś pytanie, dotyczące samochodu.

– Pytanie dotyczące samochodu?

– Założę się o pięćset dolarów, że macie samochód.

– Nie przyjmę tego zakładu. – Banner wyciągnął swoją komórkę. – Wyjdę z pokoju, żeby do niego zadzwonić.

Eve skinęła głową i usiadła za biurkiem. Zaczęła czytać informacje o Barlowie Hanksie.

Raz żonaty, dowiedziała się. Bezdzienny. Od kilkunastu lat rozwiedziony. Ma brata, ale starszego, a poszukiwani sprawcy wyglądali na młodszych. Bratanek byłby mniej więcej w odpowiednim wieku, doszła do wniosku, więc sprawdzi również jego.

– Jeśli chodzi o finanse, wszystko wygląda w porządku, Dallas – powiedziała Peabody. – Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Nie ma pieniędzy jak lodu, ale osiąga przyzwoite dochody. Jakies osiem lat temu kupił działkę, na której postawił warsztat, regularnie spłaca należność. Czterech pracowników zatrudnionych na pełnych etatach, jeden na niepełny.

Eve skinęła głową, kontynuując poszukiwania.

– Parę drobnych zatargów z prawem. Prowadzenie samochodu po pijaku, bójka w barze, awantura na jakimś rodeo.

– To nie nasz podejrzany.

– Nie, ale może jest jakoś z nim powiązany. Mamy dwudziestoprocentowe prawdopodobieństwo, że to jego wóz odholowały te głupki Dorranowie.

Zaczęła sprawdzać bratanka. Drobny ranczer, czasami dosiada bronco. Co to, u diabła, bronco? Ustaliła, że to nieujarzmiony koń i wróciła do lektury danych. Odpowiedni wiek, uznała, ale mieszkał z kobietą, co z miejsca uczyniło go mniej prawdopodobnym kandydatem, bo jego partnerka okazała się czysta jak łza, miała stałą pracę.

– Mógł ją rzucić – dodała Eve. – Pojechać pikapem wuja ze swoją nową kochanką o zbrodniczych skłonnościach.

Wstała z za biurka, żeby pochodzić po pokoju i pomyśleć. Wuj nie zgłosił kradzieży pikapa – krew nie woda. Albo sprzedał go bratankowi pod stołem.

Lecz nie pasowało jej to, ponieważ nie było nic, co by świadczyło, że bratanek nagle ujawnił zbrodnicze skłonności.

Ale...

Wrócił Banner.

– Hanks z całą pewnością jest w Oklahomie. Właśnie przeprowadziłem z nim rozmowę o moim pikapie, powiedziałem mu, że to model Bobcat z pięćdziesiątego drugiego roku.

– Bardzo dobrze.

– Sprawia mi kłopoty, dwa razy oddałem go do warsztatu, ale naprawy wystarczyły na dwieście kilometrów jazdy. Powiedziałem mu, że słyszałem, że dobry z niego mechanik. Przyznał, że kiedyś sam miał taki wóz z pięćdziesiątego drugiego roku i go naprawiał.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Według niego nie jest to zupełnie gówno, ale kiedy ma sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów na liczniku, zaczyna się psuć.

Chętnie rzuci okiem na mój, jak do niego przyjadę.

– Dobrze. – Zwróciła się w stronę tablicy, skinęła głową. – Dobrze. Zobaczymy, co Carmichael i Santiago z niego wyciągną. Czuję, że to dobry trop. A na razie...

Zadzwoił jej telefon stacjonarny. Podeszła do biurka.

– Czego?

– Powiedz „dziękuję” – odezwał się Roarke.

– Za co?

– Za Elsie i Maddoxa Hornesby z Bloomingdale, właścicieli furgonetki Country Scout z pięćdziesiątego ósmego roku, koloru indygo, z nalepką OBX w lewym rogu tylnego okna.

– Dlaczego akurat oni, a nie ktoś inny z osiemdziesięciu trzech osób?

– Zmniejszyłem liczbę potencjalnych kandydatów do trzydziestu dziewięciu, a potem wytypowałem państwa Hornesby, którzy, jak ustaliłem, naruszając ich prawo do prywatności, spędzili osiem tygodni – styczeń i luty – podczas trzech ostatnich zim na Bahamach, gdzie mają

domek na plaży.

– Nie mogli zgłosić kradzieży samochodu, jeśli nie wiedzą, że został skradziony.

– Właśnie tak sobie pomyślałem. Rzut oka na ich... Finanse zdradził mi, że pojechali do centrum komunikacyjnego w Newark i zostawili furgonetkę na parkingu długoterminowym. Słyszałem, że kradzież samochodu z parkingu długoterminowego to bardzo dobry sposób zdobycia pojazdu.

– Nie wątpię.

Uśmiechnął się do niej tym swoim specjalnym uśmiechem.

– W swoim komputerze masz informacje, jak się z nimi skontaktować.

– Zasłużyłeś na podziękowanie. Zajmę się tym.

– Nie ma za co.

– Peabody! – zawołała Eve, kiedy się rozłączyła.

– Wszystko słyszałam. Już dzwonię do ochroniarzy w centrum komunikacyjnym w Newark.

Ponieważ zgodnie z obietnicą informacje były w jej komputerze, Eve skorzystała z telefonu stacjonarnego. Nawet nie próbowała sprawdzić, która teraz jest godzina na Bahamach, było jej to obojętne.

– Maddox Hornesby.

Eve przyjrzała się jego opalonej, wypoczętej twarzy, krótkim włosom, wypłowiałym od słońca.

– Panie Hornesby, tu porucznik Dallas z nowojorskiej policji.

– Rozumiem. Czym mogę służyć?

– Jest pan właścicielem furgonetki Country Scout z pięćdziesiątego ósmego roku.

– Zgadza się. – Beztroska mina zniknęła, mężczyzna zmarszczył brwi.

Usłyszała kobiecy głos:

– Mad! Obiecałeś, że żadnych spraw służbowych!

– To nie sprawa służbowa. Czy coś się stało, pani porucznik?

– Może mi pan powiedzieć, gdzie się znajduje pański samochód?

– Na parkingu długoterminowym, poziom A, miejsce czterdzieste piąte na lotnisku w Newark. O co chodzi?

Eve zwróciła się do Peabody, która skinęła głową.

– Gdzie się pan teraz znajduje?

– Na tarasie swojego domu na Bahamach z moją żoną, która właśnie podała mi koktajl mimoza i podejrzewa, że rozmawiam z naszym maklerem. Co się stało?

– Interesuje nas taka sama furgonetka, jakiej jest pan właścicielem. Czy ma pan nalepkę OBX...

– W lewym dolnym rogu tylnego okna. Co się właściwie stało?

– Jeszcze to ustalamy, panie Hornesby, porozumieliśmy się z ochroną parkingu na lotnisku. W razie konieczności skontaktują się z panem oni albo ja. – To było silniejsze od niej. – Czy może mi pan powiedzieć, która godzina jest teraz na Bahamach?

– Godzina? Ósma czterdzieści pięć.

– Rano?

– Naturalnie, że rano.

– Hmm – bąknęła Eve, zafascynowana i trochę zawiedziona, że nie ma różnicy czasu między Nowym Jorkiem a Bahamami.

– Czy ktoś ukradł naszą starą furgonetkę?

– Sprawdzamy to, panie Hornesby.

– Mad, nie mówiłam ci, że tak się stanie? Ile razy ci powtarzałam, że powinniśmy wynająć limuzynę na lotnisko?

– Dobrze już, Elsie, dobrze.

– Najmocniej pana przepraszam, ale chciałabym wiedzieć, kiedy zaparkował pan swój samochód.

– Czwartego stycznia o ósmej rano.

– Dziękuję. Bardzo mi pan pomógł. Ktoś skontaktuje się z panem i przekaże więcej informacji.

– Czy musimy wrócić do kraju?

– Nie ma potrzeby, żeby przerywali sobie państwo wakacje.

Dziękuję.

Rozłączyła się, gdy tamta kobieta znów zaczęła na niego krzyczeć.

– Mamy samochód, Peabody, wyślij okólnik. Jeśli zobaczą samochód, niech go nie zatrzymują. Niech skontaktują się ze mną i podążają za nim w pewnej odległości.

Wstała.

– Jak to możliwe, żeby na Bahamach była ta sama godzina, co u nas? Nie powinno tak być.

Nie próbując teraz odpowiedzieć na to pytanie, podeszła do autokucharza, żeby zaparzyć kawę.

Czuła, że nastąpił przełom w sprawie.

Rozdział 16

Peabody potwierdziła, że wysłała okólnik do wszystkich jednostek w sprawie skradzionej furgonetki. Na wszelki -wypadek Eve postanowiła jednak dokładniej sprawdzić bratanka.

– Banner, Hanks ma bratanka, Curtisa Monroe Hanksa, wiek dwadzieścia osiem lat, ranczer. Wysyłam teraz na twój palmtop namiary na niego. Znów zabaw się w starego poczciwca. Ustal, gdzie przebywa, zorientuj się, kto zacz. Nie pasuje mi, ale lepiej sprawdzić.

– Rozumiem. Czym jeździ?

– Czym jeździ?

– Załóżmy, że w Silby's Pond ktoś uciekł z miejsca wypadku i jego samochód pasuje do opisu wozu, którego szukamy.

– Ach, rozumiem. Jeździ... Pikapem Toro rocznik pięćdziesiąty szósty, zielona karoseria, tablica rejestracyjna stanu Oklahoma, numer pięćset siedemdziesiąt dwa EPA. Ma również motor, Hawker Midnight Rider z sześćdziesiątego roku, kolor szpizowy, tablica rejestracyjna z Oklahomy, BOOM. B jak Beta, O jak Omega...

– Mam. Wykorzystam motor.

Kiedy wyszedł, Eve wstała, żeby uaktualnić tablicę.

– Peabody, spisz szczegółowo wszystko, co ustaliliśmy, wyślij raport do Whitneya, Miry, Carmichael i Santiago. Zadzwoń do Baxtera i Truehearta. Jeśli nie mają nic do roboty, chcę, żeby zaczęli sprawdzać sklepy i restauracje, których listę sporządził Banner.

– Trueheart ma dziś egzamin. Zaczyna mniej więcej za godzinę.

– Racja. – Kurde. Kurde, cholera, niech to diabli. – Racja. No dobrze, włącz Baxtera. Niech razem z Bannerem odwiedzą sklepy i restauracje, pokażą najlepszą podobiznę zabójcy, jaką McNabowi uda się uzyskać z zapisu kamery monitoringu. Poinformuj Baxtera, że najdalej za godzinę będziemy w komendzie razem z Bannerem.

Przyglądała się uważnie tablicy, dodawała nowe informacje, inaczej je rozmieszczała.

Hanks – pikap pozostawiony przez zabójców na miejscu

zamordowania Jansena.

Czyli zabójcy byli w Oklahomie. I do diabła, w jakiś sposób muszą być związani z Hanksem. Dlaczego nie zgłosił kradzieży, jeśli zginął mu samochód? Bardziej prawdopodobne, że sprzedał go nielegalnie albo pożyczył.

Raczej sprzedał, bo kto na kilka miesięcy pożycza pikapa?

Ale ten cholerny wóz wciąż był zarejestrowany na jego nazwisko. Czy nie zmieniłby tego w przypadku sprzedaży auta?

Znów przyjrzała się zdjęciu bratanek. Nie pasował jej. Ale skoro jest bratanek, mogą być też kuzyni, wujkowie, ciotki i tak dalej. Dobrzy kumple albo ktoś, komu był winien większą przysługę.

Młodszy, myślała, chodząc tam i z powrotem wzdłuż tablicy. Nie rówieśnik. Ktoś na tyle młody, by mógł być jego synem czy córką.

Przyjaciółka? Może poznał młodszą od siebie kobietę, a ona w zamian za seks skłoniła go do podarowania jej samochodu. Albo może ma kochankę, która ma syna lub córkę...

– Bratanek Hanksa jest na ranczu – zakomunikował Banner. – Sprawia wrażenie sympatycznego gościa, do tego praworządne. Zdenerwował się, kiedy usłyszał o wypadku, zainteresował się, czy ktoś ucierpiał. Od razu okazał gotowość pomocy policji. Podałem mu dzień, kiedy porwano Jaylę Campbell, powiedział, że tamtego wieczoru grał z kumplami w pokera, zeszło im się do pierwszej w nocy. Podał kilkanaście nazwisk, żebym mógł to sprawdzić, powiedział, że mogę do niego przyjechać i obejrzeć jego motor.

– Wykreśl go. Nie uzyskamy tam nic więcej, póki moi ludzie nie wezmą Hanksa seniora na spytki. – Czyli ten trop na razie można zostawić, pora sprawdzić inne. – Zbieraj się, Peabody, jedziemy do centrum. Banner, będziesz pracował z detektywem Baxterem. Możecie zacząć odwiedzać sklepy i restauracje z waszej listy, pokazując najlepszą podobiznę zabójcy, jaką mamy. Powiecie, że był z kobietą, podacie przybliżony wiek, akcent, z jakim mówią. Może nam się poszczęści. Kiedy poznamy ich nazwiska, twarze, a na pewno nam się to uda, natychmiast wam je przekazemy.

– Jestem gotów w każdej chwili, pani porucznik.

– Spotkamy się na dole. Po drodze wstąpię do laboratorium

komputerowców.

Zastała trzech swoich ulubionych informatyków pochylonych nad ekranem, gdzie akurat szedł program identyfikacji na podstawie wyglądu. Drugi komputer wciąż poprawiał zapis z kamery w zatoce dla samochodów dostawczych.

Roarke spojrział na Eve.

– Zapis jest bardzo kiepski. Możemy pracować nad nim godzinami, ale niewiele to da. Nie można poprawić czegoś, czego nie zarejestrowała kamera.

– Dajcie mi to, co macie. McNab, prześlij portret do Bannera i Baxtera. Możemy równie dobrze przekazać to wszystkim. Hanks jest z tym jakoś powiązany, w taki czy inny sposób wyciągniemy z niego informacje.

– Chcesz poznać moje zdanie? – spytał ją Feeney.

– Pewnie.

– Twój podejrzany... – Wskazał ekran i niewyraźny cień, majaczący w mroku. – Nie ukończył jeszcze trzydziestu lat, a nawet jeśli tak, to dopiero co. Oceniamy, że ma koło metra osiemdziesięciu wzrostu, może metr osiemdziesiąt pięć, jest szczupłej budowy ciała. W kurtce wygląda na trochę grubszego, ale niewiele. Jest rasy białej. Z tego, co udało nam się ustalić, małe prawdopodobieństwo, że jest rasy mieszanej.

– Zawsze to coś dla Bannera i Baxtera. A kobieta?

– Wyraźniej ją widać, bo służyła jako przynęta – powiedział Roarke, bujając się na piętach i oglądając podobiznę kobiety. – Wzrost koło metra sześćdziesięciu pięciu centymetrów, waga między pięćdziesiąt pięć kilogramów a sześćdziesiąt. Ma zgrabne nogi i długie blond włosy, chociaż może to być peruka. Przypuszczamy, że ona też jest rasy białej, a wiek? Oceniając na podstawie figury, bo nie mamy wyraźnego obrazu jej twarzy i analizy głosu, najprawdopodobniej między dwadzieścia pięć a trzydzieści lat. Poddałem jej głos analizie pod względem akcentu – dodał. – Program ocenia, że kobieta pochodzi z północno-zachodniej Oklahomy.

– No dobrze, to więcej niż mieliśmy, a uzyskamy jeszcze więcej. – Przez chwilę wpatrywała się w obraz, jakby samą siłą woli mogła sprawić, by stał się wyraźniejszy. – Szczelina się powiększa. Feeney,

podrzucić cię do komendy?

– Jestem samochodem. Potrzebny ci młody?

– Zabiorę go ze sobą, jeśli dasz sobie radę bez niego.

– Bierz go. Zadzwoń, gdybyś potrzebowała jeszcze kogoś. –

Zasalutował Roarke'owi. – Miło się z tobą pracuje.

– Z tobą również. Pobawię się z tym jeszcze z pół godziny, a potem zostawię komputer włączony, gdybyś chciała mi zdalnie przekazać więcej danych.

– Dzięki. – Ciekawa była, iloma sprawami jeszcze będzie dziś żonglował, ale odsunęła tę myśl na bok, bo było to więcej, niż potrafiła sobie wyobrazić. – McNab, idziemy. Peabody i Banner już powinni na nas czekać w holu na dole.

– Już idę. Fajne zabawki – powiedział do Roarke'a i wyszedł razem z Feeneyem.

Eve wcisnęła rękę do kieszeni.

– Jak tylko zakończę tę sprawę, przez jakiś czas będę jedynym gliniarzem w tym domu.

Roarke podszedł do niej, położył dłonie na jej ramionach.

– Lubię twoich gliniarzy. – Pocałował ją lekko. – I chyba polubiłem Bannera, kiedy już trochę lepiej go poznałem. A mówiąc o gliniarzach, płaszcz dla Feeneya jest już gotów. Summerset ma go na dole. Znając was oboje, uznałem, że wolałabyś mu go dać bez świadków.

– Słusznie uznałeś. – Jej zdaniem wręczanie prezentów było bardzo krępujące. – Ale właściwie to ty powinieneś mu go wręczyć.

Doskonale ją rozumiejąc, Roarke ścisnął ją za ramię.

– To był twój pomysł, zresztą doskonały. A Feeney był twoim pierwszym przełożonym. Jakoś oboje przeżyjecie wręczenie i otrzymanie prezentu. Idź teraz i uważaj na siebie. Zdecydowanie chcę dziś w nocy iść do łóżka z policjantką.

– Założę się, że nigdy nie przypuszczałeś, iż kiedyś powiesz coś takiego. – Tym razem to Eve go pocałowała. – Dziękuję za pomoc. Jeśli chcesz, będę cię na bieżąco informowała.

– Chcę.

– Załatwione – powiedziała i wyszła.

Spoglądał za nią, bawiąc się szarym guzikiem, który zawsze nosił w kieszeni, po czym odwrócił się w stronę monitorów, żeby zrobić, co się da, w czasie, jakim dysponował.

W holu na dole zastała wszystkich swoich gliniarzy razem. Kiedy złapała swój płaszcz ze słupka balustrady, pojawił się Summerset – niczym duch – z kartonem, owiniętym w szary papier. Nim udało jej się umknąć, wcisnął jej pakunek w rękę.

– Zgodnie z życzeniem.

Nie teraz, chciała powiedzieć, ale karton już zwrócił uwagę Peabody.

– Co tam masz?

– Coś – mruknęła, nie wiedząc, jak się wykręcić od wręczenia prezentu kapitanowi. Postanowiła mieć to już za sobą, spojrzała zimno na Summerseta. – Samochody przed domem?

– Naturalnie.

Zmrużyła oczy i tak długo się w niego wpatrywała, aż zniknął niczym duch.

– Idźcie do samochodu – powiedziała wszystkim. – Feeney, zostań chwilę.

Banner pogłaskał Galahada i się podniósł. Peabody odwróciła głowę niemal o sto osiemdziesiąt stopni, żeby widzieć Eve i karton, kiedy kierowali się w stronę drzwi.

– To coś – mruknęła Eve i spróbowała wcisnąć Feeneyowi prezent – dla ciebie.

Natychmiast schował ręce do kieszeni, robiąc podejrzliwą minę.

– Dlaczego?

Często zadawała sobie to samo pytanie, kiedy dostawała prezent, więc teraz tylko wzruszyła ramionami.

– To taki... No wiesz – wymamrotała i wcisnęła mu paczkę.

Wyglądał na zaskoczonego i lekko zakłopotanego. Rozerwał opakowanie. Chcąc to już mieć za sobą, Eve wzięła od niego papier, zmiała go i rzuciła na najbliższy stolik. A potem udała, że jest bardzo zajęta wkładaniem płaszcza.

– A niech mnie.

Zdumienie i zadowolenie w jego głosie sprawiły, że poczuła lekkie

zakłopotanie i pełną satysfakcję. Odwróciła się, wyciągając szalik z kieszeni. Feeney postawił karton na podłodze, wyjął płaszcz.

– Kurde!

Uniósł go i uśmiechnął się od ucha do ucha. Sraczkowobrazowy – wybrała ten kolor, bo zwykle tak się ubierał – płaszcz z kuloodporną podszewką będzie mu sięgał niemal do kolan, uznała.

Zostawiła wybór fasonu Roarke’owi i teraz zobaczyła, że wybrał wygodny, prosty krój i guziki w kształcie kapitańskich belek.

– Sprezentowałeś mi cholerny magiczny płaszcz.

– Cóż, Roarke...

– Sukinsyn. – Wciąż się uśmiechając, walnął ją w ramię.

Natychmiast zdjął swój stary płaszcz, też sraczkowobrazowy, i rzucił go na podłogę.

– Do tego leży jak ulał. – Odwrócił go na lewą stronę, uważnie przyjrzał się podszewce. Pokiwał głową. – Prawdziwe чудо.

Ponieważ wolą rozmawiać o kuloodpornej podszewce, trochę się odprężyła.

– Lekka, cienka, a spełnia swoje zadanie. Mogę zaświadczyć, że chroni przed paralizatorem, nastawionym na pełną moc. I podobno przed ciosem noża, chociaż osobiście tego nie sprawdzałam.

– Sukinsyn – powiedział drugi raz i spojrzał jej prosto w oczy.

Uszy mu się lekko zaróżowiły. – Dziękuję.

– Nie ma za co.

Pochylił się, żeby podnieść z podłogi swój stary płaszcz i karton, znów na nią spojrzał.

– Naprawdę dziękuję.

– Naprawdę nie ma za co.

– Zaczekaj, aż zobaczy to moja żona. – Przesunął dłonią po skórze.

– Chodźmy złapać złoczyńców, dzieciно.

– Na tym polega nasza praca.

Wyszli. Kiedy wsiadali do swoich samochodów, usłyszała, jak znów mruknął pod nosem „sukinsyn”.

Gdy tylko znalazła się w aucie, Peabody spytała z tylnego siedzenia, gdzie usiadła razem z McNabem:

– Czy to magiczny płaszcz? Podarowałeś Feeneyowi magiczny

płaszcz? Och!

– Co to takiego ten magiczny płaszcz? – zainteresował się Banner.
– Na czym polega jego magia?

– Jest super. Widzisz? – Peabody rozpięła swój różowy płaszcz, żeby pokazać podszewkę.

Eve pozwoliła im rozmawiać o kuloodpornej tkaninie w drodze do komendy. Nawet było jej to na rękę.

McNab nachylił się i powiedział cicho prosto do ucha Dallas:

– To dla niego bardzo dużo znaczy, że dostał go od ciebie.

Lekko dotknął jej ramienia, a potem się odsunął. Albo świadom tego, że z przyjemnością powita zmianę tematu, albo kierując się łakomstwem, zapytał na cały głos:

– Kto ma ochotę na gorącą czekoladę?

I to zakończyło sprawę.

Eve wysadziła Bannera i McNaba przed komendą, zaczekała, aż Peabody usiądzie z przodu i ruszyła do laboratorium.

*

Po drodze odebrała telefon od Santiago.

– Jesteśmy w warsztacie, ale Hanksa wezwano gdzieś do naprawy. Powinien niedługo wrócić. Trochę podpytaliśmy jego głównego mechanika, lecz jest bardzo dyskretny. Możemy podpytać dwóch pozostałych, kobieta, którą zatrudnił do odbierania telefonów, zrobiła okrągłe oczy. Na pewno coś powie.

– Jeśli Hanks nie wróci za kilka minut, popytajcie tamtych. Ale na razie dajcie im spokój.

– Nikt nie zgłosił, że widział furgonetkę?

– Do tej pory nikt. Będę cię informowała. Daj mi nazwisko, Santiago. Jedno nazwisko.

– Pracuję nad tym. Przyjechał Hanks. Oddzwonię później.

– Mur już się rozsypuje – powiedziała Peabody. – Kawałek po kawałku.

– Jest dwoje ludzi, którzy nie mogą się doczekać, aż runie.

Zrobi, co w jej mocy, żeby przyspieszyć bieg spraw, pomyślała, idąc szybko przez labirynt pomieszczeń do miejsca, gdzie urzędowała

DeWinter.

Eve zastała trójkę lekarzy w fartuchach laboratoryjnych. Fartuch DeWinter był koloru brązowego, niemal identycznego z jej włosami. Zaczesała je do tyłu, odsłaniając przykuwającą uwagę twarz.

Tak jak Mira, DeWinter nosiła botki na cienkich szpilkach. Eve zauważyła, że były takiego samego koloru, jak obcisła sukienka, którą miała pod fartuchem – ciemnozielone.

DeWinter musi mieć setki sukienek i fartuchów, pomyślała.

Morris wybrał szary fartuch, który narzucił na garnitur tego samego koloru, a włosy zaplótł w pojedynczy warkocz i przewiązał czerwonym rzemykiem. Mira miała na sobie tradycyjny biały fartuch, a pod nim niebieski kostium, jak jej oczy.

Eve pomyślała, że tamci tworzą ciekawe trio, gdy tak stali nad szczątkami nieboszczyków.

– Dość czyste – zauważyła Eve.

– Szczątki były w stanie zaawansowanego rozkładu – zaczęła DeWinter. – Morris zbadał to, co zostało z miękkich tkanek.

– Naturalnie przeprowadziliśmy rekonstrukcję – powiedział, nie dając dojść do słowa koleżance po fachu. – I szereg testów, o których wolałabyś nie słuchać. Odrzuciliśmy poprzednie ustalenia. Ofiara nie zmarła w wyniku upadku. Są dowody, że była torturowana.

– Dokładna sekcja zwłok powinna była wykluczyć śmierć w wyniku nieszczęśliwego wypadku. – Głos DeWinter brzmiał ostro, w jej oczach pojawiła się pogarda. – Te obrażenia niewątpliwie są efektem posłużenia się narzędziami – miał zmiażdżone kilka palców u rąk – z dużą siłą. Najprawdopodobniej użyto młotka. Jeśli znajdziesz narzędzie, mogę ustalić, czy się nim posłużono. Ustalę, czy się nim posłużono – poprawiła się.

– Stwierdziliśmy również odwodnienie – wtrąciła Mira. – Szacujemy, że ofiara przynajmniej przez trzydzieści sześć godzin przed śmiercią nic nie piła. Gdyby rzeczywiście odniósł te obrażenia w wyniku upadku, śmierć nastąpiłaby natychmiast, a nie ponad dobę później.

– Dobrze, właśnie to chciałam usłyszeć. – Eve ponownie spojrzała na to, co pozostało z Małego Mela. Ale sprawiedliwości stanie się zadość, pomyślała. – A co z drugą ofiarą?

– Znajduje się w sąsiedniej sali. Dopiero co zacząłem badania. Razem z doktor Mirą przeprowadziliśmy już oględziny i przystąpiliśmy do wstępnych analiz. – Spojrzał na konsultantkę.

– Jeszcze za wcześnie, żeby podać ostateczne wyniki i wnioski, ale oboje przypuszczamy, że będą podobne do tych dotyczących Małego Mela.

Eve okrążyła stół ze szczątkami Melvina Little'a, weterana wojennego, zagubionej duszy, nieszkodliwego biedaka.

– Oto, jak chcę to rozegrać. Zaczekam, aż wyciągniecie ostateczne wnioski i wszystko bardzo szczegółowo opiszecie, a następnie poinformuję FBI. W tej chwili dokonujecie oględzin, prowadzicie badania, analizujecie materiał i jeśli choćby jednym słówkiem napomkniemy, ku czemu się skłaniacie, federalni mogą się włączyć, by przejąć śledztwo, a znając ich biurokrację, śmiem twierdzić, że nigdy go nie ukończą. Biurokracja może nam utrudnić działanie, więc pierwsi zastosujemy biurokratyczne procedury.

Uniosła wzrok i zobaczyła, że Morris lekko się uśmiecha, a DeWinter marszczy czoło.

– Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby przejęli sprawę, jeśli przyspieszyłoby to bieg sprawy, pomogło znaleźć dwie osoby, które teraz przechodzą przez to, przez co przeszedł ten człowiek. Ale tak się nie stanie. Czy ktoś się z tym nie zgadza?

Mira założyła ręce przed sobą w taki sposób, że zwróciła uwagę Eve.

– Biurokracja to najgorsze zło, więc muszę się zgodzić, że włączenie FBI do śledztwa spowolni tempo działania. Ale z chwilą, kiedy sporządzimy raport z wnioskami, który można przedstawić w sądzie, musisz powiadomić FBI.

– I zrobię to. Niezwłocznie. Bo nie chodzi tylko o to, żeby aresztować zabójców. Chcę zyskać pewność, że kiedy dopadniemy tych popaprańców, będziemy mieli wszystko, co niezbędne, żeby ich zamknąć do końca ich parszywego życia. Zgadza się?

– Chciałbym dokończyć to, co zaczęliśmy, nie musząc wypełniać niezliczonej liczby formularzy – powiedział Morris. – Zgadzam się.

DeWinter się zawahała. Spoglądała na szczątki Little'a, marszcząc

czoło. Eve przechyliła głowę.

– Ukradłaś psa.

– Cholera, wiecznie mi to będziesz wypominać. Zgoda, ale będziemy się ściśle stosowali do przepisów.

– Jak najbardziej. Informujcie mnie na bieżąco. I zapamiętajcie sobie jedno, federalni nie mają nikogo, kto wam dorównuje. Więc niech ci, których nie mogliśmy uratować, wam pomogą. A ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby uratować dwie obecne ofiary, które jeszcze można uratować. Wspólnie doprowadzimy do aresztowania tych chorych dupków.

– W tym czasie – zaczęła Mira – zapoznałam się z twoim raportem. Zgadzam się, to możliwe, iż postanowili spróbować czegoś nowego i przetrzymują dwie osoby jednocześnie, i zarówno Campbell, jak i Mulligan żyją. Tak podpowiada logika. Ale nie mogę cię zapewnić, że rzeczywiście tak jest. Skoro jednak do tej pory nie znaleziono zwłok Campbell, są duże szanse, że kobieta wciąż żyje. Nie wydaje mi się, żeby zmienili schemat postępowania i dobrze ukryli jej zwłoki.

– W takim razie zakładam, że oboje żyją.

Eve ruszyła do wyjścia, a Peabody wydłużyła krok, żeby nie zostać w tyle.

– Co zamierzasz powiedzieć Whitneyowi?

– Wszystko. Jeśli każe mi wciągnąć w sprawę federalnych, zrobię to. Ale przypuszczam, że pomyśli tak samo, jak ja. Tamci nie zrobią nic więcej niż Mira, Morris i DeWinter, jeśli chodzi o badanie ekshumowanych ofiar. Szczególnie, że już wcześniej uznali, iż poszukiwani przez nas zabójcy nie są sprawcami śmierci tych ludzi. Jeśli chodzi o inne ustalenia, przekażę ich agentowi wszystko, co mamy. Poinformuję go, co wiemy o obu samochodach. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, dla Campbell i Mulligana.

– Dobra. Całkowicie się z tobą zgadzam.

*

By zaoszczędzić na czasie, jadąc do komendy, skontaktowała się z Whitneyem. Szef słuchał jej w milczeniu, póki nie skończyła.

– Detektyw Peabody nie przekazała dziś rano FBI aktualnego

raportu, dotyczącego śledztwa?

– Nie, panie komendancie. Dałam jej listę osób, które ma poinformować. Chciałam, żeby pan pierwszy dowiedział się o postępach w śledztwie.

– Na jakim etapie są Santiago i Carmichael, jeśli chodzi o przesłuchanie Hanksa?

– Właśnie go przesłuchują, panie komendancie. Jeszcze nie poinformowali mnie, czego się dowiedzieli.

– Chcę wiedzieć, co ustalili. Bez względu na to, jakie będą te ustalenia, poinformuję FBI o dotychczasowych postępach w dochodzeniu. Co się tyczy badań laboratoryjnych ekshumowanych ofiar, sami wykreślili te osoby, uznawszy, że to śledztwo ich nie interesuje. Czyli tutaj mogą poczekać.

Zadowolona, Eve zaparkowała w garażu podziemnym komendy.

– Dziękuję, panie komendancie. Idę teraz do siebie. Jeśli w ciągu najbliższych dziesięciu minut nie będę miała telefonu z Oklahomy, skontaktuję się z Carmichael.

Wysiadła z samochodu i szybko przeszła do windy.

– Nie zwalniamy tempa. Niech dwoje mundurowych wspomóż Bannera. Niech im przekaże część sklepów i restauracji ze swojej listy. Postarajmy się sprawdzić jak najwięcej tych miejsc. Czasami człowiek ma szczęście.

W tym momencie zadzwonił jej telefon.

– Daj mi coś, Santiago – powiedziała, wsiadając do windy.

– Może być imię i nazwisko, szefowo? Darryl Roy James.

– Peabody!

– Już sprawdzam, pani porucznik.

– Co to za jeden?

– Syn partnerki Hanksa. Nie są zarejestrowani jako konkubenci, bo mu to nie odpowiada, ale są ze sobą od około dziesięciu lat. Darryl pracował u niego w warsztacie samochodowym. Dobry mechanik, ale leniwy duppek – takie jest zdanie Hanksa. Wyniósł się z domu, kiedy miał szesnaście lat, wylądował w Teksasie. Tam trafił do poprawczaka za kradzież samochodów. Po powrocie do domu zaczął pracować u Hanksa. W lipcu dwa tysiące pięćdziesiątego siódmego roku znów

zniknął, tym razem odjechał bobcatem z pięćdziesiątego drugiego, który skradł z warsztatu. Zabrał sześć tysięcy dolarów w gotówce, narzędzia, zabytkowy nóż myśliwski i jeszcze kilka przedmiotów. Jego matka ubłagała Hanksa, żeby tego nie zgłaszać, więc dla świętego spokoju nie poinformował policji. James odsiedział kolejny wyrok w zakładzie karnym w stanie Oklahoma – ciągnął Santiago. – Dostał cztery lata za próbę włamania. Był uzbrojony, miał przy sobie nóż myśliwski, kiedy próbował ukraść w sklepie jubilerskim pierścionek zaręczynowy z brylantem.

– Dla kobiety. Prawdziwa miłość.

– Być może. Wsadzili go w grudniu pięćdziesiątego siódmego, wyszedł na początku sierpnia ubiegłego roku. Przed czasem, za dobre sprawowanie.

– Wiedzą, gdzie teraz jest, co porabia?

Drzwi się otworzyły; trzej mundurowi chcieli wsiąść do windy. Eve rzuciła im groźne spojrzenie, położyła dłoń na paralizatorze. Cofnęli się szybko.

– Hanks mówi, że nie, i wierzę mu. Nie darzy go miłością, pani porucznik. Dla swojej pani pogodził się ze stratą pikapa i narzędzi, ale kiedy powiedzieliśmy słowo na M, wybuchł jak gejzer. Carmichael rozmawia teraz z matką Jamesa, nie wydaje się jednak, żeby cokolwiek wiedziała. Twierdzi, że nie rozmawiała z nim od połowy lata tuż przed jego wyjściem z więzienia i odnoszę wrażenie, że nie kłamie. Wspomniała jednak coś o jakiejś dziewczynie, nim wpadła w histerię. Nie zna jej nazwiska, wie tylko, że związał się z jakąś kobietą i że to wszystko jej wina.

Santiago przewrócił oczami i jednocześnie uśmiechnął znacząco.

– Carmichael stara się dowiedzieć czegoś więcej o tej przyjaciółce Jamesa.

– Ustalcie jej nazwisko, ustalcie wszystko, co się da, a potem wracajcie.

– Już się nie mogę tego doczekać. Juppi-i!

– Peabody? – powiedziała Eve pytającym tonem, kiedy się rozłączyła. Gdy drzwi znów się rozsunęły, obie wysiadły, a do windy weszli inni gliniarze.

– Darryl Roy James, lat dwadzieścia pięć, kawaler, jedno dziecko.
– Dziecko? – Eve gwałtownie odwróciła głowę w stronę Delii.
– Widnieje jako ojciec Darry Louise James, urodzonej w kwietniu zeszłego roku. Matką dziecka jest Ella-Loo Parsens, lat dwadzieścia sześć.

– To z pewnością ona. Z całą pewnością. – Podekscy-towana Eve zaczęła wbiegać po ruchomych scho-dach. – Do diabła, jak mogą robić to wszystko, ciągnąc ze sobą dzieciaka?

– Jezu, biedne małeństwo. Nie ma jeszcze nawet roku.

Eve znów wyciągnęła telefon, skontaktowała się z Carmichael.

– Spytaj matkę Jamesa, czy wie o dziecku. Czy wie, że jest babcią?

– A niech to. Założę się, że nie wie. Zaczekaj chwilkę.

Eve czekała, nie przestając iść w stronę wydziału zabójstw. Kiedy w słuchawce znów rozległ się głos Carmichael, w tle usłyszała zawodzenie matki Darryla.

– Nie wiedziała. Znów próbuję ją uspokoić, Dallas, ale nie miała pojęcia o dziecku. Nie wie, jak się nazywa ta dziewczyna. Darryl powiedział jej jedynie, że się zakochał, że spotkał swoją drugą połówkę. Nazwał ją swoją Julią – w poprawczaku czytał dzieła Szekspira. Nieszczęśliwi kochankowie, Romeo i tak dalej. Opowiedział jej o tym, kiedy go odwiedziła w więzieniu.

– Uspokój ją i spróbuj jeszcze czegoś się dowiedzieć. Macie zostać tam z Santiago, póki się z wami nie skontaktuję. Może jednak nie tak szybko wróćcie do Nowego Jorku.

– W takim razie kupię sobie kowbojki.

– Jeśli zdecydujesz się na różowe, pożalujesz tego, Carmichael. Zajmij się matką Jamesa. Może wiedzieć więcej, niż przypuszcza, że wie. Peabody!

Delia odczytała dane ze swojego palmtopa.

– Ella-Loo Parsens, urodzona w Elk City w Oklahomie. Parę razy wpadła za posiadanie narkotyków. Niezameżna, nie ma konkubenta. Często zmieniała miejsca pracy, w ostatnim miejscu była zatrudniona od stycznia pięćdziesiątego ósmego roku do sierpnia zeszłego roku. Najdłużej w swojej karierze zawodowej. W barze Ringo's w McAlester w Oklahomie. Tam, gdzie się mieści więzienie stanowe, Dallas.

– Chciała być blisko ukochanego, czekała na niego. Prawie cztery lata. To się nazywa miłość. Sprawdź inne miejsca zatrudnienia.

– Od marca do lipca dwa tysiące pięćdziesiątego siódmego roku pracowała w „Rope ‘N Ride” w Dry Creek w Oklahomie.

– Darryl skradł pikapa Hanksa i gotówkę oraz narzędzia i nóż w lipcu, a potem wyruszył w drogę i założył się, że wylądował w „Rope ‘N Ride” w Dry Creek.

Weszła do sali wydziału zabójstw i uniosła rękę, żeby powstrzymać jakiegokolwiek pytania. Znowu zadzwoniła do Santiago.

– Filia policji nowojorskiej na Zachodzie – przedstawił się oficjalnie.

– Cha, cha. Kończcie tam jak najszybciej i jedźcie do Dry Creek.

– O rany.

– Bar „Rope ‘N Ride”. Zdobądźcie wszelkie informacje, jakie uda się wam uzyskać, o Elli-Loo Parsens, która tam pracowała, i Darrylu Jamesie. Pokażcie ich zdjęcia, Santiago. A potem udajcie się do Elk City, do matki Parsens.

– Janelyn – podpowiedziała Delia, kiedy Eve odwróciła się w jej stronę.

– Janelyn. Peabody wyśle ci dane. Ostatni przystanek, na razie, to McAlester. Porozmawiaj z naczelnikiem więzienia i zajrzyjcie do baru „Ringo’s”, gdzie pracowała Parsens, kiedy James odsiadywał wyrok. Sprawdźcie, co kto wie. Zamierzam dopaść tę dwójkę, Santiago, a to, co razem z Carmichael ustalicie w Oklahomie, będzie gwoździem do trumny.

– Proszę zapalić za mnie świeczkę, pani porucznik.

– Co?

– Przegrałem zakład z Carmichael i teraz ona będzie prowadziła. Przy dozwolonej tu szybkości to naprawdę może się źle skończyć.

– Ale przynajmniej szybko dotrzecie na miejsce. Macie mnie natychmiast o wszystkim informować, Santiago. Sprawy nabierają tempa.

– Filia policji nowojorskiej na Zachodzie rozłącza się.

– Peabody, przekaz im potrzebne dane. Jeśli ktoś ma do mnie coś, co nie może czekać, niech mówi teraz – zwróciła się do obecnych. – Jeśli

nie, potrzebne mi dziesięć minut.

Odczekała pięć sekund, odwróciła się i poszła do gabinetu. Zamknęła drzwi. Rzuciła płaszcz, usiadła i sporządziła aktualny raport.

Umieściła na tablicy nowe informacje.

Znów usiadła, położyła nogi na biurku i zaczęła analizować to, czego się dowiedziała.

Przychodzi facet do baru, pomyślała, jak w tych dowcipach. Tyle że zabrakło zabawnej puenty.

Musiało zaiskrzyć między tą dwójką – parą ludzi bez celu w życiu, jak powiedziała Peabody. Gdyby nie to spotkanie, gdyby nie ta iskra, może nadal nie mieliby celu w życiu. Ale ta iskra zapaliła w nich coś groźnego.

Spodobało im się zabijanie, doszła do wniosku, bo morderstwa mocniej ich związały.

Przyjrzała się tablicy, gdzie w samym środku umieściła teraz zdjęcia Darryla i Elli-Loo.

Ona jest mózgiem, jeśli można tak to nazwać. On jest romantykiem. Wpadł za próbę kradzieży pierścionka zaręczynowego.

– Założę się, że uznałaś to za głupie, ale rozczulające, prawda, Ella-Loo? Zrobił to z własnej inicjatywy, żeby sprawić ci niespodziankę. A ty zatrudniłaś się za grosze w jakimś barze i czekałaś na niego. Trzy i pół roku. Można to uznać za miłość. To swego rodzaju miłość, pełne oddanie. Musiałaś zająć w ciążę podczas widzenia. Kolejna rzecz, która was związała? Założę się, że to też sobie zaplanowałaś.

Wstała i zaczęła chodzić tam i z powrotem.

Jak, u diabła, podróżują, porywają ludzi, torturują i zabijają, mając przy sobie dzieciaka? Podrzucili komuś małą? Nie mogli jej zostawić na progu czyjegoś domu – po co rodzić dziecko, jeśli zamierza się je pozostawić własnemu losowi lub oddać obcym ludziom?

Zastanawiała się nad tym, rozważała, czy Ella-Loo była jedną z przyszłych matek w rodzaju Stelli. Które rodzą dziecko, bo może się na coś przydać lub da się na nim zarobić. No i żeby związać faceta ze sobą.

Ale dała sobie spokój, bo w tej chwili nie umiała powiedzieć, jaki może to mieć związek ze śledztwem.

Ella-Loo czekała na swojego faceta. Kiedy wyszedł z więzienia,

podążyli na wschód. Tym samym pikapem, który James ukradł Hanksowi. Pikapem, który miał już swoje lata, a Darryl nie mógł go remontować podczas swojej odsiadki.

Kiedy wyszedł na wolność, starał się, jak mógł, utrzymać wóz na chodzie, ale samochód rozkraczył się na spokojnej drodze przy granicy z Arkansas.

I tam się wszystko naprawdę zaczęło, podsumowała. Wtedy iskra wywołała pożar.

– Znam was teraz – mruknęła. – Dowiemy się więcej, ale już was znam. I dopadnę was.

Już niebawem, uznała. Muszą się pospieszyć, w przeciwnym razie może okazać się za późno, by uratować Jaylę Campbell.

Rozdział 17

Znów straciła poczucie czasu. Obudził ją niewyobrażalny ból. Ale jego moc świadczyła, że nadal żyje.

Jayla Campbell, pomyślała, walcząc z bólem. Nazywam się Jayla Campbell i żyję.

Odwróciła głowę, bardzo wolno, bo nawet to powodowało nieznośne cierpienie. Nie znęcali się nad chłopakiem – nad Reedem Mulliganem. Kiedy zobaczyli go nieprzytomnego na podłodze, znów zaciągnęli go na prowizoryczny stół. Przyłożyli mu lód do złamanego nadgarstka, a nawet dali jakieś lekarstwo.

Słyszała, jak mówili, że musi mieć dość sił, by znów ją zgwałcić.

Rozmawiali o tym, chichocząc. Na razie nie będą tak bardzo się nad nim znęcali, może dadzą mu większą dawkę erotyki, żeby dłużej mógł to robić.

W Jaylę wmusili coś, co wywołało u niej mdłości i ją osłabiło, słyszała jednak, jak rozmawiali o niej tak, jakby była zwierzęciem.

Zdaniem Elli-Loo śmierdziała i trzeba ją umyć, jeśli mają utrzymać ją przy życiu jeszcze dzień czy dwa.

Próbowała walczyć, kiedy Darryl ją podniósł. Ból zalał ją gorącą falą, lecz i tak próbowała walczyć. Starła się nie płakać, kiedy usłyszała, jak się z niej śmieją.

Nie byli ludźmi. Leki, odwodnienie, szok – wszystko to sprawiło, że widziała w nich potwory, czerwonoookie diabły, mlaskające językami. Knebel nie pozwolił jej krzyczeć, kiedy wrzucili ją do wanny z tak gorącą wodą, że parzyła skórę.

Jedno z nich wepchnęło jej głowę pod wodę, a potem wyciągnęło ją za włosy. I znów, i znów. Połykała wodę, dławiła się, a w końcu zaczęła się modlić, żeby to się wreszcie skończyło.

Gdy się ocknęła, znów leżała na stole, naga, dygocząc z zimna i sparaliżowana bólem.

W mieszkaniu panowała cisza.

– Chyba usnęli.

Kiedy tym razem odwróciła głowę, Mulligan miał otwarte oczy.

– Próbowali cię ocucić, ale nie udało im się to, więc na chwilę wyszli. Nie wiem, na jak długo. Dali mi coś, po czym straciłem świadomość. Później usłyszałem, jak się śmieją i uprawiają seks. Potem się uciszyli. Chyba usnęli.

Spróbowała oblizać spierzchnięte usta, ale język też miała suchy jak wiór.

– Nie wiesz, od jak dawna są cicho?

– Nie wiem. Dali mi coś, nie mam pojęcia, co. Przepraszam. Przepraszam, że nie udało mi się dosięgnąć noża. Znow próbowałem się oswobodzić i go podnieść, ale nie dałem rady.

Prawie o tym zapomniała. Miała wrażenie, że od tamtej pory minęły tygodnie.

– Jak twoja ręka?

– Już tak nie boli. Jeśli jeszcze raz uda mi się uwolnić, może dam radę ściągnąć coś ostrego.

– Nie będą się nad tobą znęcać, przynajmniej nie tak bardzo, jak poprzednio. Chcą, żebyś miał dość sił, by znow mnie zgwałcić.

Zamknął oczy.

– Boże. O Boże. Nie chcę...

– To nie ma znaczenia. Powiedziałam ci, że to nie ma znaczenia. Ale słyszałam jeszcze coś. Umyli mnie, bo chcą mnie zachować przy życiu jeszcze przez parę dni, żebyś mógł mnie gwałcić. Chcę żyć, więc musisz robić to, co ci każą. Ale będę krzyczała i próbowała się opierać. Chcę, żeby myśleli, że mnie to przeraża. Lecz będziesz wiedział, że tak nie jest. Nie zabiją nas, póki będzie ich to rajcowało.

W jego ciemnych i zawziętych oczach zapłonął ogień.

– Mam ochotę ich zabić – powiedział.

– Może uda ci się to zrobić. – To podle życzenie obu-dziło w niej nadzieję. – Niech myślą, że jesteś słaby i się boisz.

– Jezu, jestem słaby i się boję.

– Nie tak bardzo, jak sądzą. I następnym razem uda ci się dosięgnąć noża.

– Następnym razem... – powtórzył. – Masz kogoś? Znaczy się, jesteś z kimś?

– Teraz nie. – Pomyślała o Mattio. Miała wrażenie, że spotykała się z nim w innym życiu. Pomyślała o Luke’u i poczuła się lepiej. Wyraźnie lepiej.

– Ale jest jeden facet, na którego powinnam była zwrócić uwagę. Żałuję, że tego nie zrobiłam. Chcę mieć szansę naprawienia tego.

Mieszka po drugiej stronie korytarza. A ty masz kogoś?

– Teraz nie – powiedział i spróbował się uśmiechnąć. – Ale jest jedna dziewczyna, za którą szaleję, tylko nie miałem odwagi, żeby zrobić pierwszy krok. Chcę mieć szansę naprawienia tego.

Oczy zaczęły ją piec od łez. Nadzieja sprawiała ból.

– Razem, we czwórkę, umówimy się kiedyś na randkę, dobrze? Zgoda?

– Zgoda. Szukają nas. Nasi przyjaciele, bliscy, policja.

Z pewnością nas szukają.

– Tak, szukają nas. Zrobimy wszystko, żeby utrzymać się przy życiu, póki nas nie znajdą. Randka we czworo – powiedziała i zamknęła oczy.

*

Po dziesięciu minutach Eve wróciła do sali ogólnej wydziału.

– Mogę was teraz wysłuchać.

– Dwie minuty, pani porucznik. – Jenkinsen wstał od biurka i do niej podszedł. Dzisiaj miał fioletowy krawat w białe króliki z długimi uszami i pomarańczowe marchewki.

– Skąd je bierzesz? – spytała Eve.

– Zdziwiłabyś się, jakie to łatwe. Dziś rano złapaliśmy jednego. – Krótko zreferował sprawę. Pobicie ze skutkiem śmiertelnym, informacja od konfidenta, któremu tylko częściowo wierzyli, i szemrany klub bilardowy w chińskiej dzielnicy.

– Donosiciel twierdzi, że gość, o którego nam chodzi, często odwiedza to miejsce, ale kiedy tam poszliśmy i o niego zapytaliśmy, wszyscy milczeli albo go kryli. Pomyśleliśmy sobie, że może konfident gra na dwa fronty. Postanowiliśmy iść tam po cywilnemu, trochę pograć, zorientować się, co i jak.

– Zróbcie tak, tylko nie wkładaj tego krawata, Jenkinsen. Wiesz,

gdzie znaleźć tego donosiciela?

– O tak, łatwo go namierzyć.

– Naślizcie na niego dwóch mundurowych, niech go zatrzymają pod jakimś pretekstem na kilka godzin. Lepiej, jak posiedzi w areszcie, kiedy pójdziecie pograć.

– Dobrze. Zrobimy tak. Santiago i Carmichael nadal w Oklahomie?

– Złapali kilka płotek. Za kilka godzin powinni wyruszyć z powrotem do domu.

– Przydadzą się tu. Dostaliśmy dwie nowe sprawy.

Spojrzała na tablicę, przesunęła dłonią po włosach. Tak dużo zabójstw. Zawsze jest ich za dużo.

– Może podziękuję Baxterowi za pomoc.

– Och, Dallas, kiedy młody zdaje egzamin, Baxter zachowuje się jak przysły tata. Lepiej niech robi to, co teraz. Poradzimy sobie bez niego. Uważam, że młody da sobie radę. A pani?

– Wkrótce się dowiemy. Idźcie pograć trochę. Peabody, chcę znów przeanalizować mapy. Jenkinson i Reineke zajmują się sprawą pobicia pałką ze skutkiem śmiertelnym. Rzuć okiem, jakie nowe sprawy się pojawiły, a potem przekaz jedną Baxterowi, kiedy wróci razem z Bannerem.

– Chcesz, żebym zostawiła nasze wspólne śledztwo?

– Pożongluj, Peabody. Wyrzuć nowe piłki w powietrze.

Rozesłaliśmy wiadomość o furgonetcie do wszystkich jednostek, detektywi zbierają informacje na zachodzie, a Baxter razem z naszym gliną-gościem odwiedzają sklepy i restauracje. Mamy nazwiska, mamy twarze. Postaram się zawęzić obszar poszukiwań. O ile nie zdecydujemy się chodzić od drzwi do drzwi w tym sektorze, co wcale niewykluczone, nie możemy zrobić nic dla Campbell i Mulligana, póki nie pojawi się kolejna szczelina.

Wskazała hasło nad wejściem do pokoju śniadaniowego.

**NIEWAŻNE, JAKIEJ JESTEŚ RASY, WYZNANIA,
PREFERENCJI SEKSUALNYCH CZY POGLĄDÓW
POLITYCZNYCH. CHRONIMY I SŁUŻYMY, PONIE-WAŻ
MOŻESZ ZGINĄĆ.**

– To dotyczy wszystkich i bez przerwy. Zrób, co możesz, przekaz

informacje Baxterowi i być może przed końcem dnia uda mu się ująć złoczyńcę.

Wróciła do swojego gabinetu, przetarła dłońmi twarz. Wyświetliła mapę na ekranie.

Zaczęła wyliczać prawdopodobieństwa.

Pół godziny później zawęziła obszar, który ich interesował. Przez chwilę rozważała, czy nie skupić się na poszukiwaniu furgonetki na tym terenie. Ale jeśli się pomyliła chociażby o jeden kwartał, może to kosztować ludzkie życie.

Więc zamiast tego postanowiła szukać na krytych parkingach. Może nie trzymają furgonetki na ulicy, przynajmniej wtedy, kiedy nie polują. Jeśli mundurowi sprawdzą parkingi, podziemne i naziemne garaże, może wypatrzą gdzieś furgonetkę.

I znajdą się krok bliżej Parsens i Jamesa.

Zadzwoił telefon. Zobaczyła, że to Santiago, i odebrała.

– Chcę usłyszeć coś dobrego.

– Co powiesz na podrzucenie małej dziewczynki?

– Parsens zostawiła dziecko pod opieką matki?

– Tak. Matka nie widziała jej ani nie miała od niej wiadomości od ponad roku. W czerwcu zeszłego roku córka niespodziewanie pojawiła się w domu razem z dzieckiem. Opowiedziała historyjkę, jak to spotkała faceta, myślała, że się pobiorą, ale kiedy się dowiedział, że jest w ciąży, podbił jej oko i ją zostawił. Co za tragiczna historia.

– Tak, jest niegłupia – mruknęła Eve.

– Twierdziła, że zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo pragnie założyć rodzinę, że mała Darra zasługuje na dobry start. Może wróci do szkoły, znajdzie sobie porządną pracę, jeśli tamci pozwolą jej zostać – znaczy się matka i ojczym.

– Wie, jak grać na uczuciach.

– Gra jak prawdziwy wirtuoz. Nie minęły dwa tygodnie, a zniknęła, a razem z nią gotówka i cenne przedmioty, ale dziecko nadal jest u dziadków. Od tamtej pory ani razu się z nimi nie skontaktowała i z całą pewnością jej nie kryją, Dallas. Bardzo się boją, że odbierzemy im dziecko. Zaledwie w zeszłym tygodniu rozmawiali z prawnikiem, próbując się dowiedzieć, czy uda im się oficjalnie adoptować dziecko,

żeby córka nie mogła go odebrać. To spokojni ludzie, starają się postępować najlepiej, jak potrafią. Jeszcze jedno. Ella-Loo przyjechała do nich pikapem model Bobcat.

– Czy ma tam jakieś przyjaciółki, kogoś, komu mogła się zwierzyć?

– Carmichael zbiera informacje na ten temat. Matka twierdzi, że Ella-Loo zraziła do siebie wszystkich, jeszcze zanim wyjechała pierwszy raz, ale popytamy tu i tam, nim udamy się dalej.

– Kto prowadzi?

Mina mu zrzęła.

– Ostrzegam cię, Dallas, nie zakładaj się z Carmichael. Równie dobrze możesz od razu się przesiąść na miejsce dla pasażera.

– Zapamiętam sobie. Żeby niczego nie przeoczyć, porozmawiajcie z miejscową policją, spróbujcie zdobyć dostęp do ich telefonów, na wypadek, gdyby córka postanowiła się z nimi skontaktować.

– Już sami to zaproponowali, ale zajrzemy na miejscowy posterunek policji, zorientujemy się, co i jak.

– Dobra robota. Pracujcie dalej. Zadzwońcie do mnie z kolejnego miejsca.

Ledwo się rozłączyła, kiedy zadzwonił Baxter.

– Mamy dwa trafienia, szefowo. Nic, nic, nic, a potem dwa pod rząd. Lombard i pizzeria, jedno i drugie na Hudson. Lombard pomiędzy West Houston i King, pizzeria między Charlton i Vandam.

Natychmiast skupiła całą swoją uwagę na mapie.

– Kurde.

– Właściciele lombardu, z którymi przeprowadziliśmy bardzo sympatyczną rozmowę, rozpoznali Jamesa. Odwiedził ich dwa razy w ubiegłym tygodniu. W pizzerii rozpoznali ich oboje. Dwa razy kupili pizzę na wynos. Teraz spróbujemy w pobliskim chińskim barze, a jedną przecnicę dalej jest sklep z pamiątkami.

– Dobrze. Wyślę kilku mundurowych, żeby popytali mieszkańców w innych miejscach w tym rejonie. Jeśli są w tej okolicy, możemy zawęzić teren poszukiwań. Bardzo dobrze, Baxter. Co zastawili w lombardzie?

– Dwa zegarki na rękę: jeden sportowy, drugi wyjściowy. Oba

bardzo przyzwoite, męskie. Tablet, wyczyszczony do czysta, syntetyzator, telewizor, zabytkowy wazon, srebrny medalik ze świętym Krzysztofem. Nic z tego nie znajdowało się na wykazach skradzionych przedmiotów.

– Przynieście tablet. W wydziale przestępstw elektronicznych sprawdzą, czy rzeczywiście dokładnie go wyczyszczono. Przyślij mi zdjęcia i opisy wszystkich przedmiotów. Sprawdzę, czy należały do ofiar. Czy James był w lombardzie i pizzerii tego samego dnia?

– Udało nam się ustalić, że za pierwszym razem tak, ale w odstępie sześciu godzin. Za drugim razem były to inne dni.

– Dobrze. Informuj mnie na bieżąco.

– Spokojna głowa. Aha, nie miałem żadnej wiadomości od Truehearta. Czy może...

– Za wcześnie. Skup się na pracy.

Rozłączyła się i powróciła do swojej mapy.

Ponownie przeanalizowała dane, wykorzystując informacje od Baxtera. Pomyślała, że jedzenie na wynos kupuje się blisko domu. Jeśli jest się samochodem, nie ma to takiego znaczenia, ale...

Zbyt długa przerwa między wizytą w lombardzie i pizzerii za pierwszym razem. Sześć godzin? Nie, prawdopodobnie pojechał do lombardu samochodem i wrócił do domu, a potem oboje przyszedli tu jeszcze raz, żeby kupić coś do jedzenia. I jeszcze dwa razy odwiedzili te same miejsca.

Bo są blisko ich kryjówki i łatwo dostępne.

Usunęła ze swojej mapy pięć kwartałów na północy i trzy na wschodzie, wyświetliła informacje, które przesłał jej Baxter, porównała je z listą zaginionych przedmiotów, należących do ofiar.

Tablet, zegarki na rękę, jednak nie takie, jakie zostawili w lombardzie.

– To z pewnością rzeczy, należące do kogoś z Nowego Jorku.

Wstała od biurka, zaczęła chodzić tam i z powrotem. Żadnej z tych rzeczy nie zgłoszono jako skradzionej, czyli ten, komu je zabrali, nie żyje.

Ale nie pozbyli się jego ciała. Nie podrzucili gdzieś ciała, bo kiedy policja znajdzie zwłoki, sprawdza miejsce zamieszkania denata.

A tam mieszkają teraz Parsens i James. To całkiem logiczne.
Eve znów spojrzała na mapę.

– Jesteśmy coraz bliżej, popaprańcy. Z każdą minutą jesteśmy coraz bliżej.

Podeszła do drzwi, zawołała Peabody i wróciła do mapy, jakby samą siłą woli mogła ustalić, gdzie są zabójcy.

– Tak jest!

– Zawężamy obszar poszukiwań. Baxter i Banner trafili do dwóch miejsc, w których widziano naszych sprawców. Zlecę radiowozom, żeby pojeździli po tych okolicach, wypatrując furgonetki. Dziecko jest u matki Parsens.

– Dzięki Bogu. Nie wiem dlaczego nie mogłam się pozbyć obrazu, jak wyrzuca je przez okno samochodu.

– Urodziła je celowo – powiedziała Eve. – Opowiedziała matce łzawą historyjkę, jak to zamierza się poprawić dla dobra córeczki, pomieszkała w domu kilka dni, zabrała to, co mogła wykorzystać albo sprzedać, i odeszła w siną dal, zostawiając małą babce. Może ten trop już nic nie wniesie, ale Carmichael i Santiago jeszcze trochę popytają, nim pojedą do baru i do zakładu karnego. Niezadługo wychodzę.

– Mam kilka tropów dla Baxtera w nowych sprawach.

– Zajmij się tym – powiedziała Eve. – Pokierujesz jednym z tych śledztw.

– Ale...

Jednym spojrzeniem ucięła wszelkie próby sprzeciwu.

– Brakuje nam ludzi, Peabody. Musisz pokierować jednym śledztwem. Prześlij mi notatki, pomogę ci. Jeśli pojawi się coś nowego w tym dochodzeniu, znów cię poproszę o pomoc, ale na razie tylko analizujemy przychodzące informacje. Wkrótce zadzwonię do agenta, zajmującego się tym śledztwem w FBI.

– Musisz to zrobić?

– Muszę. Jak już mnie tu nie będzie, kiedy wróci Banner, przywieź go do mojego domu. Jeśli nie zamkniemy tej sprawy, być może wieczorem znów nad nią popracujemy.

– Dobrze. – Peabody wzięła głęboki oddech. – Dobrze, wezmę jedną z nowych spraw, drugą przekażę Baxterowi, kiedy wróci. Skąd

mam wiedzieć, którą?

– Tego nie można wiedzieć, po prostu trzeba wziąć jedną i zrobić, co należy. Nie pierwszy raz będziesz kierowała śledztwem.

– Tak, ale zawsze byłaś tuż obok.

– Teraz też będę, informuj mnie, ale rób, co trzeba. Nie bez powodu nosisz odznakę.

Zadzwoił jej telefon. Eve spojrzała na wyświetlacz.

– To Mira. Odbiorę. Idź, zongluj piłeczkami.

– Ale mogę do ciebie dzwonić?

– W razie potrzeby. Do roboty. – Odebrała telefon. – Dallas.

– Właśnie przyszedłam do komendy. Chciałam cię poinformować, że uznaliśmy, iż obie ofiary torturowano i zamordowano. I według nas są to dwie kolejne ofiary naszych seryjnych zabójców.

– Elli-Loo Parsens i Darryla Roya Jamesa.

– Dopadłaś ich.

– Jeszcze nie, ale znamy ich nazwiska, twarze i mamy trochę informacji. Mogę wpaść do ciebie.

– Ja przyjdę do ciebie. Będę za pięć minut.

Pojawiła się dokładnie o czasie. Minęło równo pięć minut, kiedy Eve usłyszała na korytarzu stukot botków na szpilce. Gdy tylko Mira przekroczyła próg gabinetu, Eve wręczyła jej kubek ziołowej herbaty, którą konsultantka tak lubiła.

– Och, dziękuję! Chętnie się napiję.

– Nie siadaj w tym fotelu. Wiesz, jaki jest niewygodny.

– Uwzględniając fakt, że większość dnia spędziłam na nogach, chętnie usiądę nawet w niewygodnym fotelu. Dziękuję. – Usiadła, pociągnęła długi łyk herbaty. – Chociaż śledztw nie prowadzono całkiem niechlujnie, ustalenia dotyczące przyczyn śmierci obu ofiar są błędne. Źle zinterpretowano obrażenia. Biorąc pod uwagę małe doświadczenie funkcjonariuszy i kiepski sprzęt, jakim dysponowano, można zrozumieć, dlaczego sformułowano takie, a nie inne wnioski.

– W obu przypadkach Banner i żona drugiej ofiary nalegali na kontynuowanie śledztwa. Ale miejscowa policja i FBI ich zlekceważyły.

– Zgadzam się, jednak trzeba przyznać, że ofiary rzeczywiście wyglądały, jakby poniosły śmierć w wyniku nieszczęśliwych wypadków.

Jednak niewątpliwie zostały zamordowane. DeWinter właśnie pisze szczegółowe raporty.

– Nie wątpię.

– Wystąpiła również o ekshumację zwłok Noaha Pastona i dostarczenie ich do zbadania u nas.

– Chyba będę musiała jej postawić tego drinka.

Mira się uśmiechnęła.

– Ale jesteś zajęta tym, co się dzieje teraz, więc sobie odpuścisz.

Eve pokręciła głową.

– Mylisz się. Ofiary zawsze są ważne i jestem wdzięczna, że poświęciłaś swój czas, żeby wydać opinię. Poinformuję agenta Zwecka o twoich wnioskach i uprzedzę go, że niebawem dostanie raport DeWinter.

Odwróciła się w stronę tablicy, wskazała Parsens i Jamesa.

– Tych dwoje zapłaci za te dwie ofiary, którym poświęciłaś dziś swój czas i wiedzę. I za Noaha Pastona. Zapłacą za wszystkich. Mają dziecko.

– Słucham? – Zaskoczona Mira opuściła rękę, w której trzymała kubek z herbatą. – Zabójcy mają dziecko?

– Małą córeczkę. Parsens zaszła w ciążę, kiedy jej facet odsiadywał wyrok za próbę kradzieży pierścionka dla niej. Prawdziwa miłość.

– To zmienia postać rzeczy. – Mira przekręciła się w fotelu i spojrzała na tablicę. – Fakt, że mają dziecko, jeżdżą z nim po całym kraju, zabijając ludzi...

– Nie, podrzuciła je matce, nim wyruszyli na polowanie. Wszystko świadczy o tym, że zaszła w ciążę podczas widzenia w więzieniu i urodziła, kiedy James wciąż siedział za kratkami. Pojechała do domu, skłamała, że została wykorzystana, obiecała, że zacznie nowe życie, a potem zabrała, co mogło jej się przydać, i wyjechała, zostawiając dziecko. Od tamtej pory matka nie miała od niej żadnej wiadomości. Było to w czerwcu ubiegłego roku. James wyszedł na wolność jakieś sześć tygodni później.

– Czy wie, że jest ojcem dziecka?

– Podała go jako ojca w akcie urodzenia, stąd o tym wiemy. Dała dziewczynce na imię Darra, przypuszczam, że od Darryla.

– Rozumiem. – Mira, zastanawiając się nad tym, kiwała głową. – Urodziła dziecko – namacalny dowód ich miłości – ale nie zamierzała go zatrzymać, nie czuła tego, co powinna czuć matka, i nie chciała mieć przy sobie dziecka. To dla nich swego rodzaju podróż poślubna.

– Też przeszło mi to przez myśl. Znam ją teraz. Celowo zaszła w ciążę. Dziecko jeszcze mocniej go z nią związało, oboje są silniej ze sobą związani. To był tylko... Środek do celu, nic więcej. Gdyby uznała, że będzie to użyteczne, pojechałaby po dziecko, ale w ogóle o nim nie myśli.

Mira nic nie powiedziała, pokiwała tylko głową i napiła się herbaty.

Eve doskonale zrozumiała jej milczenie.

– Stella urodziła mnie, bo miała w tym swój cel – powiedziała obojętnym tonem, gdyż teraz nic to już dla niej nie znaczyło. – Musiała tolerować moją obecność, bo nie byłam jeszcze wystarczająco duża, żeby posłużyć do celu, który obmyślili dla mnie z Troyem. Obmyśliła sobie coś z Troyem, a potem z McQueenem, tak jak Ella-Loo z Jamesem. Tylko, że Troy i McQueen grali dominującą rolę. A według mnie tutaj Parsens gra pierwsze skrzypce. Może się z tym kryje, może pozwala sądzić partnerowi, że jest silnym mężczyzną, ale to ona rozdaje karty.

– Są różne czynniki, które mogą być istotne w tej grze osoby dominującej i uległej, jaką razem prowadzą.

Eve pokręciła głową.

– Znam ją. Urodziła dziecko i je porzuciła. Założę się, że regularnie odwiedza Jamesa w więzieniu. Czekala na niego trzy i pół roku. To nie błahostka.

– Uważają to za miłość. Dla nich to miłość. Taka, jaka zdarza się tylko raz w życiu.

– Tak, i Ella-Loo zrobi wszystko, co uzna za słuszne, żeby zatrzymać Jamesa przy sobie. Jest romantykiem, więc kiedy ich osaczymy, może się dla niej poświęcić. Nazywa ją swoją Julią. Czytał sztuki Szekspira.

– I nie rozumiem, że owa historia to była tragedia, a nie romans. Tak, mógłby umrzeć, próbując ją ratować, ale dysponując tą nową informacją,

nie sędę, by mogli popełnić samobójstwo. Ani że ona by się zdecydowała na taki krok. Nie szukają chwały ani dreszczyku emocji, związanych ze śmiercią. To miłość, pociąg seksualny, pogłębiany przez sadyzm. Żeby się kochać, muszą żyć.

– Uwzględniając to, co wiemy i czego się dowiadujemy, sądzisz, że Jayla Campbell wciąż żyje?

Mira utkwiała wzrok w zdjęciu Campbell na tablicy.

– Uważam, że prawdopodobieństwo tego jest teraz większe, niż sądziłam dziś rano. Jak długo tak będzie... Zwłoki ofiar, zamordowanych w miastach, porzucali niedbale, nie próbowali ich ukrywać. Nie widzę powodu, dlaczego mieliby zmienić swoje postępowanie tutaj, w Nowym Jorku, więc póki nie znajdziemy jej zwłok, znaczy to, że ta kobieta żyje.

– Przypuszczam, że będzie to trwało jeszcze przez dwadzieścia cztery godziny, góra trzydzieści sześć. Potem się znudzą, zapragną czegoś nowego.

– Zgadzam się z tobą.

Eve podeszła do malutkiego okna i wróciła do tablicy.

– Jeśli przekażę ich nazwiska i zdjęcia mediom, są duże szanse, że ktoś ich rozpozna. Ale jeśli ujrzą swoje twarze na ekranie, zabiją obie ofiary i uciekną. Nie ma w tym żadnej chwały – powtórzyła Eve.

– Znowu zgadzam się z tobą. Stoisz przed trudną decyzją.

Eve od jakiegoś czasu się z nią zmagala.

– Nie przekazę naszych informacji mediom, póki nie otrzymam takiego polecenia. Wstrzymuję się też z poinformowaniem FBI, bo oni mogą się zdecydować na ten krok. Czy poparłabyś mnie w razie potrzeby? Dla ciebie to też trudna decyzja.

– Według mnie zatarliby za sobą ślady i spróbowali uciec z Nowego Jorku, więc wcale nie jest to dla mnie taka trudna decyzja.

– Zawężamy obszar poszukiwań, może to nam pomoże. Banner i Baxter już znaleźli dwa miejsca, gdzie ich rozpoznano, odległe od siebie mniej niż jedną przecznicę. Zaciskamy pętlę.

– Spiszę to wszystko. – Mira dopiła herbatę, wstała. – Znam kilka wpływowych osób w FBI. Porozmawiam z którąś z nich.

– Jeśli to nie pomoże, to już nic. Powinni się wstrzymać

z opublikowaniem ich zdjęć i nazwisk przynajmniej przez dwadzieścia cztery godziny. A tyle mniej więcej czasu zostało Campbell. Prawdopodobnie wtedy też wykończą Mulligana albo niedługo po niej. Więc jeśli zyskam jeszcze dwadzieścia cztery do trzydziestu sześciu godzin, powinno mi to wystarczyć.

– Będę nalegała na trzydzieści sześć.

– Dziękuję. Wyglądasz na zmęczoną.

– Bo jestem zmęczona. Mam tu do załatwienia kilka spraw, a potem pojedę do domu i poproszę, żeby Dennis pomasował mi stopy.

– Naprawdę?

– Jest niezrównany w refleksologii. Ty też wyglądasz na zmęczoną.

– Nie wiem, czy Roarke zna się na refleksologii.

– Wyobrażam sobie, że ma swoje sposoby. Tak czy owak radzę, żebyś po powrocie do domu odpoczęła godzinkę. Znając cię, wiem, że będziesz pracowała przez pół nocy, więc najpierw odpocznij godzinkę. Będziesz miała świeży umysł.

– Może tak zrobię.

Mira skierowała się do drzwi, ale przystanęła.

– Czy dziecko... Ta Darra... Jest w dobrych rękach?

– Santiago mówi, że matka i ojczym Parsens sprawiają wrażenie porządnych ludzi. Chcą oficjalnie adoptować dziewczynkę. Jest jej u nich lepiej, niż byłoby z matką.

– Więc kiedy będziesz myślała o porzuceniu dziecka, bo będziesz, pamiętaj o tym. Chociaż zrobiła to z egoizmu i wyrachowania, wyświadczyła swojej córce wielką przysługę. Będzie kochana i otoczona opieką.

I będzie miała lepsze życie od wielu dzieci, dodała w myślach Eve, kiedy została sama. Przy odrobinie szczęścia może to wiele zmienić.

Na razie odsunęła od siebie to spostrzeżenie, usiadła i zadzwoniła do swojego komendanta, żeby włączył do gry FBI.

Rozdział 18

Po rozmowie z szefem nie kryła zadowolenia, że Whitney postanowił sam zadzwonić do agenta Zwecka i przedstawić mu sytuację. Kiedy szykowała to, co będzie jej potrzebne, żeby popracować w domu, na progu gabinetu pojawił się Baxter.

– Widzieli ich również w chińskim barze.

Eve odłożyła płaszcz.

– Mów.

– Wczoraj wieczorem kupili chińszczyznę na wynos. Oboje tam przychodzą, czasami razem, czasami osobno. Zamawiają jedzenie telefonicznie.

– Ustalimy, skąd dzwoniли.

– To nie takie proste. Co cztery-sześć godzin nagrywają nowe zamówienia na starych. Banner zaniósł telefon do naszych komputerowców, ale aparat jest stary, kiepski, nawet ja wiem, że odnalezienie tamtej rozmowy musi trochę potrwać, bo minął już prawie dzień i nałożyły się na nią kolejne telefony. To samo dotyczy zapisów z kamer monitoringu. Zaniósł ich kopie do wydziału przestępstw elektronicznych.

– Powiedz mu, żeby przesłał wszystkie kopie na mój domowy komputer.

– Już to zrobiłem. Nikt ich nie rozpoznał w sklepach z pamiątkami, które odwiedziliśmy do tej pory, za to rozpoznali ich w składzie budowlanym przy West Broadway. – Spojrzał znacząco na autokucharza i Eve powiedziała zrezygnowana:

– Obsłuż się. – Skinęła głową w stronę maszyny.

– Dziękuję.

Przyglądała się Baxterowi, kiedy programował kawę.

– Masz ochotę na coś słodkiego?

Rzucił jej obojętne spojrzenie. Obojętne spojrzenie -gliniarza.

– A masz coś słodkiego?

Wycelowwała w niego palec.

– Wiesz coś. Teraz wiesz, że ja wiem, że coś wiesz, i jak tylko będę miała czas, wyduszę to z ciebie.

– Dobrze się czujesz, szefowo? – Od niechcienia pociągnął łyk kawy. – Sprawiasz wrażenie, jakbyś była zestresowana.

– Ugryź mnie, Baxter. Skład budowlany!

– Ach tak, przy West Broadway, tuż obok Prince. Coś mnie tknęło, kiedy go mijaliśmy. Więc weszliśmy do środka i okazało się, że przecucie mnie nie myliło. James był tam dwa razy. Sprzedawca zapamiętał go z uwagi na akcent. James zapłacił gotówką, co też zapadło tamtemu w pamięć. Taśma klejąca, sznur, rolka folii plastikowej. Bardzo sympatyczny gość, dość gadatliwy. Powiedział, że razem z żoną dopiero co przyjechali do miasta. Podobno ona jest naprawdę zakochana w Nowym Jorku.

– Był pieszo czy samochodem?

– Sprzedawca nie zwrócił uwagi, ale przypuszcza, że samochodem, bo gość kupił wielką rolkę folii plastikowej. Powiedział, że ma do załatwienia jeszcze kilka spraw. Więc odwiedziliśmy kilka delikatesów, bez powodzenia, potem jednak znów nam się poszczęściło, kiedy zajrzeliśmy do sklepu całodobowego. Zebraliśmy sporo informacji. James był w składzie budowlanym cztery dni temu. Wszędzie powiedzieliśmy to samo: gdyby się pojawił, nic nie robić, nie działać na własną rękę, zadzwonić pod dziewięćset jedenaście.

– Spisz wszystko, uwzględniając dokładne adresy sklepów.

– Kobietę widziano w paru miejscach w SoHo.

– Naprawdę?

– Rzuciliśmy okiem na zapis kamer. Kupiła dwie pary seksownych majtek, ukradła sukienkę i biustonosze. Ekspedientka była wściekła, że nie przyłapali klientki na kradzieży.

– Cóż za nonszalancja. Nie mogą przestać kraść i wcześniej czy później wpadną, próbując zwędzić wystrzałową bieliznę albo jakąś błyskotkę. Nie mamy czasu, więc skupimy się na tym terenie. Chodzą, jeżdżą, jedzą, robią zakupy.

Eve wróciła do swojej mapy.

– Baxter, mamy dwadzieścia cztery godziny, nim wykończą Campbell. I tyle samo czasu, dopóki FBI nie ujawni ich nazwisk

i wizerunków, a to z całą pewnością oznacza wyrok śmierci na nią i Mulligana. A wtedy ta dwójka popaprańców czmychnie z miasta.

– Mogę jeszcze pochodzić z Bannerem. I z młodym. Właśnie wraca z egzaminu. Ale obeszliliśmy cały teren, Dallas. Teraz możemy tylko tam się kręcić w nadziei, że wypatrzymy ich na ulicy.

Rozważała to, ale...

– Poleciłam mundurowym, żeby się tym zajęli. Mamy inne ofiary, trzeba wyjaśnić okoliczności śmierci. Peabody pokieruje jednym śledztwem, drugie zostawiła tobie. Zajmijcie się tym razem z Trueheartem.

– To pomoże mu przestać myśleć o wyniku egzaminu. Uważa, że dobrze mu poszło, ale przyznał, że parę razy się zdenerwował. Powiedzieli, że wyniki będą za czterdzieści osiem godzin. – Spojrzał na nią z ukosa. – Może udałoby się to przyspieszyć.

– Baxter, mamy trupy i dwoje porwanych, którym chciałabym uratować życie. Skupmy się na pracy.

– Racja, racja. Trueheart zaczeka czterdzieści osiem godzin. To ja się pocę. Zajmę się nowym dochodzeniem.

Eve chciała już stąd wyjść i przestać rozmawiać z każdym, kto się napatoczy.

Złapała płaszcz i wybiegła, nim znów ktoś ją zatrzyma.

Sama przejedzie przez wytyczony przez siebie teren. Może trochę się przespaceruje.

Tych dwoje morduje, podążając z zachodu na wschód, i do tej pory wszystko im uszło na sucho nie dlatego, że są genialnymi zabójcami, tylko dlatego, że zmieniają miejsce pobytu, ponieważ trochę trwało, nim lokalna policja poinformowała FBI, a tamci powiązali ze sobą poszczególne zabójstwa.

Ale teraz... Uwili sobie gniazdko, pomyślała, wpychając się do windy, w której gliniarze stali ściśnięci jak sardynki. Zadomowili się, poznają okolice, poznają miasto.

Chodzą tu i tam.

I na razie wciąż czują się bezpieczni i poza podejrzeniem.

Nie ukrywają się, nie uciekają, nie ruszyli w drogę.

Jeszcze nie.

Przepchnęła się łokciami do wyjścia, kiedy winda zatrzymała się w podziemnym garażu. Idąc do samochodu, wyjęła telefon, który akurat zadzwonił.

– Siemasz z „Rope ‘N Ride” – powiedziała Carmichael. – Ii-ha.

– Będziecie musieli szybko się stamtąd ewakuować.

– Och, co za szkoda, Dallas. Właśnie ktoś mnie nazwał młodą damą. Nie jestem młoda, nie jestem damą. Miałam ochotę go uderzyć, a był naprawdę bardzo miutki. Ale odbiegam od tematu. Ella-Loo pracowała tu jako kelnerka, oferowała też usługi seksualne, odpłatnie, na boku. Bez licencji. Ale w takich lokalach nikt nie pyta o licencję. Bardzo miutki barman powiedział Santiago – bo nie śmiałby mówić o takich sprawach w obecności młodej damy – że specjalizowała się w robieniu loda.

– Bo wtedy zachowuje kontrolę.

– Z osobistego doświadczenia powiedziałabym, że tak. Potrafiła być nieprzyjemna i wciąż opowiadała o wyjeździe na wschód. Mówiła, że oszczędza pieniądze, odlicza dni, gdy będzie mogła wyruszyć do Nowego Jorku, strzepnąć kurz prerii z kowbojek i zacząć wieść wielkemiejskie życie.

– Dziewczyna, która miała cel w życiu. A James?

– Barman nie jest pewny, ale znalazłam inną kelnerkę, która – jak przypuszczam – też oferuje usługi seksualne. Zapamiętała go.

– Hej, ślicznotko!

Eve usłyszała zapity głos jakiegoś mężczyzny, zobaczyła, jak Carmichael odwraca głowę.

– Może zatańczymy?

– Może zacznij sam, a ja do ciebie dołączę, jak skończę rozmawiać?

– W porządku.

– Podczas jednej wizyty w tym lokalu kobieta może obsłużyć pół tuzina mężczyzn, jeśli będzie miała ochotę. Tak tylko mówię – dodała Carmichael.

– A ty ilu obsłużyłaś?

– Straciłam rachubę. – Carmichael zatrzepotała rękami. – Ale podejrzewam, że Ella-Loo więcej zarabiała na usługach seksualnych, niż

nalewając piwo. Jej koleżanka z pracy zapamiętała, że tamta z miejsca upatrzyła sobie Darryla Roya Jamesa, jakby był odpowiedzią na jej modlitwy. I nawet ostrzegła swoją koleżankę, żeby nie próbowała do niego startować. Mało tego – posunęła się do groźby bezprawnej. Zaciągnęła ją do toalety i oświadczyła, że obetnie jej cycki – cytuję – jeśli zbliży się do Jamesa. Później rzeczona koleżanka z pracy wyszła na dwór, żeby chwilę odpocząć. Prawdopodobnie wiązało się to z zażyciem zakazanej substancji. I zobaczyła, jak tych dwoje się pieprzy bez opamiętania.

– Czyli od razu przeszli do rzeczy.

– Nie zawracając sobie głowy robieniem loda. Żadne z nich już nie wróciło do baru. Ella-Loo nawet nie odebrała zapłaty za dwa wieczory, ale przypuszczają, że zrekompensowała to sobie, kradnąc z magazynu skrzynkę piwa. I według słów miłutkiego barmana tego wieczoru w kasie brakowało kilkuset dolarów. Zamierzamy się tu trochę pokręcić, porozmawiać z właścicielem mieszkania, które wynajmowała. Podobno zostawiła prawie wszystko i nie zapłaciła czynszu za dwa ostatnie tygodnie.

Eve, słuchając, włączyła się do ruchu.

– Seks i kradzież, ale było im za mało. Co to za hałasy, do diabła?

– Powiedziano nam, że później będzie tu występował zespół, a po południu organizują karaoke z muzyką country. Zabawa nigdy się nie kończy.

– Jest szesnasta trzydzieści. Dlaczego nie przestają?

– Tutaj jest piętnasta trzydzieści, pani porucznik.

– Jak może... Mniejsza z tym. Obejrzyj jej dawne mieszkanie, a potem jedźcie do więzienia. U nas też trochę się dzieje. Wyślę wam raport. Dobra robota.

*

Krążąc ulicami, Eve wypatrzyła pizzerię i chińską restaurację. Ponieważ zaparkowanie w drugiej linii zwróciłoby uwagę, zapłaciła majątek za miejsce postojowe, obeszła ten sam teren na piechotę, znalazła skład budowlany, sklep całodobowy, butik, lombard. Pokazała zdjęcia właścicielom innych sklepów, sprzedawcom w budkach

z jedzeniem.

Są tutaj, myślała, przyglądając się twarzom, samochodom, budynkom. Wystarczyłoby teraz, gdyby tylko jedno z nich opuściło swoje gniazdko. Żeby kupić coś do jedzenia, sześciopak piwa.

Ale nie dostrzegła żadnego z nich i wróciła do samochodu.

Jechała do domu, myśląc, że Campbell i Mulligan mogą być przetrzymywani w jednym z budynków, które mija, i świadomość tego nie dawała jej spokoju, kiedy zmagiała się z ruchem ulicznym i deszczem ze śniegiem.

Chciała być w swoim domowym zaciszu, pragnęła tego jak wody po suszy. Godzina spokoju. Żadnych rozmów, żadnych nowych informacji, żadnego oczekiwania od niej odpowiedzi.

Dowłokła się do domu.

– Tak wcześnie i sama? – Summerset rzucił jej chłodne spojrzenie. Stwierdziła, że nie ma siły, żeby mu się odciąć.

– Przyjadą później.

Kot podszedł, żeby się otrzeć o jej nogi, ale Eve poszła do schodów i zaczęła wchodzić na górę, nawet nie zdjęwszy płaszcza.

Summerset podszedł do interkomu.

– Wydaje mi się, że pani porucznik dotarła do ściany. Właśnie idzie na górę.

– Zaopiekuję się nią – odpowiedział Roarke.

Niewątpliwie, pomyślał Summerset, i zobaczył, że kot poszedł za Eve na górę.

Kiedy weszła do sypialni, Roarke przekonał się, że Summerset nic a nic nie przesadzał. Eve była wyczerpana – jeśli nie fizycznie, to psychicznie. Od rana pracowała na najwyższych obrotach, a jeszcze musiała jak najszybciej dotrzeć do linii mety.

Zależało od tego życie dwojga ludzi.

Czuł brzemień, które dźwigała.

– Nie wiedziałam, że też już jesteś w domu. – Rzuciła torbę z dokumentami na kanapę. – Przecież jeszcze wcześniej.

– W miarę. – Zmienił plany, żeby dokończyć niektóre sprawy przed kolacją. – Ilu gliniarzy w domu?

– Tylko ja. Przyjadą później, za godzinę albo dwie. Przepraszam.

– Tyle czasu nam wystarczy. Pomyślałem sobie, że miło byłoby popływać. Teraz nie będę musiał pływać sam.

– Naprawdę powinnam...

– Odsapnąć – dokończył. – Oboje będziemy lepiej pracowali, jak zrobimy sobie przerwę.

– Obawiam się, że Campbell i Mulligan nie mogą liczyć na chwilę wytchnienia. – Usłyszała złość w swoim głosie, uniosła rękę, żeby powstrzymać Roarke'a przed równie gniewną ripostą. – Tak, nie powinnam tego mówić, wiem. Przez cały dzień czuję, jak zbliża się przełom w sprawie, przez cały cholerny dzień, ale...

Odpuść godzinę, poradziła jej Mira. Czasami dobrze posłuchać czyjejs rady.

– Chętnie popływam. Popływam z tobą godzinę i nie będę rozmawiała o śledztwie.

– Świetnie.

– Daj mi chwilę.

Zdjęła płaszcz, odpięła broń i po chwili zastanowienia usiadła, żeby zrzucić buty. Potem wstała i wyciągnęła do niego rękę.

– Chodźmy.

Kiedy wsiedli do windy, Roarke odwrócił ją w swoją stronę i pocałował.

– Witaj w domu.

– Ty również. – Westchnęła i oparła głowę na jego ramieniu. Mogła to zrobić, nie obawiając się, że Roarke uzna jej zachowanie za słabość.

Małe, codzienne cuda.

– Mój umysł jest zmęczony.

– Wiem, i zaczyna cię boleć głowa. Widzę to.

– Czy dlatego masz takie niebieskie oczy? Prześwietlasz nimi ludzi jak promieniami rentgenowskimi?

– Tylko ciebie.

– Niepotrzebny mi bloker, chcę tylko trochę spokoju.

Rozmawiałam dziś z pół milionem osób, z większością z nich przynajmniej dwa razy. Ty prawdopodobnie rozmawiałeś z milionem.

– Więc nam obojgu przyda się godzina wytchnienia.

Wysiedli z windy i poszli przez tropikalny ogród w stronę ciemnoniebieskiej wody.

– Boże, to naprawdę wygląda bosko.

– Co robisz? – spytał, kiedy otworzyła szafkę.

– Biorę kostium.

– Po co?

– Słuchaj, powiedziałam „godzinka, dwie” i chyba tak będzie, ale co, jeśli tamci pojawią się wcześniej? I co jeśli któreś z nich pomyśli tak jak my: ej, miło byłoby popływać. Wolę nie ryzykować, że zobaczą mnie nago.

– Jeśli chcesz, żeby nikt nam nie przeszkodził... – Wziął od niej kostium, odłożył go na krzesło. – Wystarczy zablokować drzwi windy na tym poziomie, co już zrobiłem.

– Zablokować drzwi windy. – Machinalnie potarła ręką czoło. – Dlaczego o tym nie pomyślałam? Nie mogą tu wejść?

– Mogą, jeśli McNab postanowi obejść blokadę, co będzie dla niego niemałym wyzwaniem. Ale uważam, że możemy mu zaufać, uszanuje nasze prawo do prywatności.

Powiedziawszy to, zdjął jej sweter przez głowę.

Eve zastanowiła się chwilę, czy McNab zdecyduje się ominąć blokadę, a potem skinęła głową.

– Nie, nie zrobiłby tego. Jedno pytanie – dodała, zdejmując spodnie. – Przed godziną milczenia.

– Chyba dam radę odpowiedzieć na jedno pytanie.

– Jak to jest, że w Oklahomie jest godzina wcześniej niż u nas, a na Bahamach mają taki sam czas, jak tutaj? Przecież Oklahoma znajduje się w tym samym państwie, co my, prawda? W Ameryce. A Bahamy nie. Nie trzeba być profesorem geografii, żeby wiedzieć, że Bahamy nie leżą w Stanach Zjednoczonych, a Oklahoma tak. Więc dlaczego, na litość boską? I jakim cudem?

Chryste, ubóstwiał ją. Ubóstwiał każdy centymetr kwadratowy jej ciała, kiedy mówiła to, stojąc przed nim w samej bieliźnie, taka zdezorientowana i zła.

– Nauka jest pełna tajemnic.

– Bzdura. Kto, u diabła, o tym decyduje? – spytała, zdejmując

podkoszulkę. – Kto w ogóle stworzył bogów czasu?

– To więcej niż jedno pytanie.

– Są powiązane – odparła, ściągając majtki.

Ponieważ z przyjemnością przyglądał się temu striptizowi, zaczekał, aż Eve skończy i wskoczy do wody i dopiero wtedy sam się rozebrał.

Przepełnęła cztery długości basenu, a potem odwróciła się na wznak.

– Czasami robię to, kiedy cię nie ma. Unoszę się na wodzie i myślę, że jestem w tym wielkim basenie w tym wielkim domu, a ty pracujesz na górze albo wkrótce wrócisz tutaj... – Wyciągnęła rękę, poczuła, jak ich palce się splatają. – A jeszcze lepiej, jak jesteś tutaj. To naprawdę wymarzony układ dla mnie.

– Dla mnie również. Pomyślałbym: Spójrz tylko na nią, spójrz, należy do mnie. Jedyne, czego pragnąłem na długo, nim ją poznałem.

Eve odwróciła się, poruszyła nogami i podpłynęła do niego.

– Naprawdę cię kocham.

Wymamrotał coś pod nosem po irlandzku, aż się uśmiechnęła.

– Jesteś pewien, że tu nie wejda?

– Wszystko zablokowane.

Odchyliła głowę do tyłu.

– W takim razie przestańmy myśleć o dzisiejszym dniu.

Zapomnijmy o wszystkim, nim znów się tym zajmiemy.

Pocałowała go prosto w usta i razem się zanurzyli.

Opadali, jakby znajdowali się w stanie nieważkości, a kiedy dotknęli nogami dna, odbili się i znów poszybowali w górę.

Powietrze pachniało tropikalnymi roślinami, a jedynym odgłosem było delikatne pluskanie wody. Chłodna woda, ciepłe powietrze, a obok ukochany mężczyzna, który czule ją obejmował.

Znów opadli na dno, nie przestając się całować, ale tym razem Roarke zaczął przesuwać dłońmi po jej ciele, odnajdując sekretne miejsca, więc wynurzyła się bez tchu, z walącym sercem.

Obracali się, robili wolne przewroty na powierzchni wody i pod wodą, aż puls Eve przyspieszył, jakby ścigając się z przyjemnością. Roarke pieścił ją wolno, delikatnie, a potem szybko i namiętnie. Te

zmiany sprawiły, że opadła z sił, ale pragnęła go, drżąc z pożądania.

Wreszcie uległa swemu pragnieniu, oddała się bez reszty Roarke'owi, ujęła jego twarz w obie dłonie i znów się zanurzyła, pograżyła w bezdennej miłości. I poczuła siłę własnego oddania.

Woda stawała się coraz cieplejsza, kiedy płynęli w stronę laguny. Tutaj lekko się burzyła, łaskocząc Eve.

Kochał ją taką: zagubioną, całkiem jego, z wilgotnymi, lśniącymi włosami. Przyparłszy ją do ściany basenu, zanurkował, żeby spenetrować wszystko, co znajdowało się pod powierzchnią tej wzburzonej wody.

Całował jej piersi, czuł bicie serca, czuł, jak Eve przesuwając dłońmi po jego ciele. Potem zanurzył się głębiej, uniósł jej biodra, żeby ją odnaleźć, poczuć, jak przeżywa orgazm, do którego doprowadził ją pieścizotami.

Wilgotna i ciepła, wysoka i szczupła, wzburzona jak woda. Poruszyła zapraszająco biodrami, kiedy znów ją posiadł.

Przesuwał ustami w górę jej ciała, a dłońmi w dół, gdzie przed chwilą ją całował. I przyglądał się, jak znów osiągnęła szczyt, przytrzymując się rękami krawędzi basenu. Oczy Eve przypominały bursztyny, z jej ust wydobył się jęk.

Przeszedł ją dreszcz i stała się bezwładna.

– Boże. Boże. Już nie mogę.

– Jeszcze trochę. Jeszcze troszeczkę. Weź wszystko. Wszystko. No dalej. – Znów poczuł nieposkromioną żądzę. Znów pieścił ją dłońmi, ustami. Chciał usłyszeć jej krzyk.

Kiedy krzyknęła, a jej ciało wygięło się w łuk, napięte jak sprężyna, wniknął w nią głęboko.

– Moja. – Oszalała z miłości, wchodził w nią, całując jej ramiona, szyję. – Moja. Moja.

Znów krzyknęła, drżąc cała. Otoczyła go ramionami, oplótła nogami.

– Mój – powiedziała. – Mój.

I oddał jej wszystko. Wszystko.

Wyczerpani, unosili się na powierzchni bulgoczącej wody.

– Nie boli mnie już głowa. To dobrze. – Westchnęła i pogłaskała

go po mokrych włosach. – W tej chwili nie przejmuję się Bahamami.

– Czyli zrobiłem to, co do mnie należało.

– Czy to jak refleksologia?

– Co? Seks? Refleksologia? – Roześmiał się, kiedy ich spojrzenia się spotkały. – Skąd przyszła ci do głowy taka myśl?

– Mąż masuje Mirze stopy. Refleksologia pomaga jej się odprężyć. Zastanawiałam się, czy... Nie, dość. Dość, bo zaczynam myśleć o nich i o seksie, a naprawdę nie chcę tego.

– Dlaczego po tym, jak tak gruntownie... cię odprężyłem, skłaniasz mnie do myślenia o tym?

– Nieumyślnie. Przepraszam. – Cmoknęła go w policzek i wyszła z wody. – Muszę wracać na górę.

– Podaj mi rękę. – Wyciągnął do niej swoją. – Bo ty również gruntownie mnie odprężyłaś.

Chwycił jej wyciągniętą dłoń i kiedy stanął obok, Eve jeszcze raz przytuliła się do niego.

– Pada deszcz ze śniegiem.

– Zgadza się.

– A my właśnie uprawialiśmy seks w basenie. – Wyszła z wody. – Ty i Mira mieliście rację. Mam czystszy umysł, zaraz wrócę do pracy odświeżona.

– Czy zasugerowała seks?

– Nie sprecyzowała tego. – Wzięła ręcznik, rzuciła mu drugi. – Ale chciała, żebym odpoczęła godzinkę. Parsens – zabójczyni – ma dziecko z Jamesem, swoim partnerem. Opowiem ci wszystko. Kiedy odsiadywał krótki wyrok w zakładzie karnym w Oklahomie, urodziła jego córkę. Pojechała do swojej matki, opowiedziała jej bajeczkę, a potem zniknęła, zabierając pieniądze, a zostawiła dziecko. Po prostu pewnego wieczoru wyszła, nie oglądając się za siebie.

Nic nie mówiąc, Roarke odwrócił Eve w swoją stronę. Przytulił ją mocno.

– W moim przypadku było inaczej. Na szczęście ich dziecku nic nie będzie. Lepiej na tym wyszło.

– Ale to budzi wspomnienia. Rozdrapuje dawne rany.

– Trochę tak. Lecz pozwala mi lepiej poznać Ellę-Loo Parsens.

Pomaga mi myśleć tak, jak ona. To nasza broń. Potrzebna mi była ta przerwa.

– Mogę poczytać o refleksologii.

Teraz ona się roześmiała. Zaczęła się ubierać.

– Wolę seks.

– Założę się, że państwo Mira też uprawiają seks.

– Kurde, musiałeś to powiedzieć, prawda?

– Tak. A teraz mam ochotę na kieliszek wina. I zaraz coś zjemy, bo przypuszczam, że od śniadania niewiele jadłaś, o ile w ogóle cokolwiek. Twoi gliniarze mogą się zatroszczyć sami o siebie, kiedy tu dotrą.

Kiedy się ubrała, Roarke ujął jej dłoń.

– Powiedziałaś: deszcz ze śniegiem?

– Tak.

– Według mnie nie obejdzie się bez pożywnej dania.

– Tej potrawy z tym wszystkim.

– Naturalnie, właśnie pomyślałem o tym samym.

Kiedy wsiedli do windy, Eve uśmiechnęła się do niego z wyższością.

– Kurczak z tym wszystkim i z tymi kluskami.

– No właśnie. Zobaczymy, czy nam się uda.

Najpierw poszli do sypialni, bo Eve chciała włożyć coś na nogi.

W swoim gabinecie uaktualniła tablicę, a Roarke wybrał w tym czasie białe wino do kurczaka z kluskami i sałatką ze szpinaku.

Nie podobało mu się, że Eve jest taka blada, a zdarzało się to często, kiedy zbyt się eksploatowała.

Zaczęła mu opowiadać, co się wydarzyło w ciągu dnia i wtedy usłyszeli, jak wchodzi pozostałi.

Skończył się spokojny czas.

Gdy wmaszerowali, Eve doszła do wniosku, że cała trójka wygląda na równie zmęczonych, jak ona. Uświadomiła sobie, że oni też mają za sobą długi dzień.

– Szykujemy coś do jedzenia. Macie trzydzieści minut, idźcie popływać.

Peabody przystanęła i zamrugnęła zdziwiona.

– Serio?

- Wróćcie odświeżeni.
- Popływać? Czy to znaczy, że naprawdę macie w domu basen?
- I to nie zwyczajny basen – powiedziała Bannerowi Delia. –

Niesamowity, z jacuzzi.

– Kurczę blade. Chętnie bym skorzystał, ale nie wziąłem kąpielówek.

– Znajdziesz ich tam do wyboru do koloru. Na pewno dobierzesz coś dla ciebie – uspokoił go McNab.

– Zaraz do was przyjdę. Jedną chwileczkę, pani porucznik. Chciałem, by pani wiedziała, że skontaktowałem się z szefem, poinformowałem go, że Małego Mela zamordowano. Przesłałem mu raport, dotyczący śmierci jego oraz Fastbindera. Porozmawia z mamą Małego Mela. Powiedział... Powiedział, że jest ze mnie dumny.

Kompletnie wyczerpany, Banner musiał urwać, żeby odchrząknąć.

– To dobry człowiek, dobry szef, ale nie co dzień słyszy się od niego takie słowa. Zamelduję się z powrotem na czas, ale powiedział, że mogę tu zostać tak długo, jak długo będę potrzebny.

– Poinformuję cię, kiedy przestaniesz być potrzebny.

Uśmiechnął się do niej.

– Świetnie. Idę popływać.

– Macie tu być za trzydzieści minut! – zawołała Eve, gdy cała trójka wsiadła do windy. – Tyle im wystarczy – zwróciła się do Roarke'a, kiedy drzwi się zasunęły. – Ponieważ nie sądzę, by zdecydowali się na seks we trójkę.

Pokręcił głową.

– Zjedz i przedstaw mi aktualny stan śledztwa, żebyśmy nie zmarnowali tych trzydziestu minut.

Kiedy usiadła z nim przy stole i wzięła do ust pierwszy kęs potrawy, poczuła się, jakby jadła ambrozię. Nie miała pojęcia, co to takiego ta ambrozja, ale gotowa była się założyć o każde pieniądze, że kurczak z kluskami bije ambrozię na głowę.

– Ella-Loo Parsens, Darryl Roy James.

Roarke wskazał głową uaktualnioną tablicę.

– Tyle wiedziałem.

Uśmiechnęła się lekko.

– Facet wchodzi do baru... – zaczęła.

*

Eve prawie skończyła jeść i zdawać Roarke'owi relację, kiedy cała trójka wróciła, trajkocząc jak...

– Jak się nazywają te ptaki w Irlandii?

– Mamy ich wiele gatunków.

– Te z przysłowia.

– Kukułki?

– Nie, ale może być. Jedne robią coś, a drugie robią co innego.

– Sam się sobie dziwię, jakim cudem wiem, o czym mówisz. Sroki.

– No właśnie.

– Zajrzeliśmy do nowego *dojo*. Nie weszliśmy do środka – dodała szybko Peabody. – Chcieliśmy tylko zobaczyć. Jest super.

– To niesamowity dom – zachwycał się Banner. – Nie przestaje mnie zadziwiać.

– Bierzcie się do jedzenia. Roarke już prawie wszystko wie.

– To, co jecie, pachnie cudownie. – McNab wciągnął nosem powietrze.

– Potrawka z kurczaka z kluskami – powiedział Roarke.

– Mniam mniam! Starczy dla wszystkich? – zaniepokoiła się Peabody.

– Starczy.

– Ja się tym zajmę. Umieję obsłużyć autokucharza, którego tu macie. Przynajmniej tyle mogę zrobić – powiedział Banner.

– Jeden napój z alkoholem, wino albo piwo. A potem kawa.

– Dla ciebie wino, prawda, Peabody? – Roarke wstał, żeby wziąć dla niej kieliszek. – Ian?

– Też wino. Może wino dla wszystkich. Wtedy wszyscy będziemy po tej samej stronie.

– Co wiadomo o sprzęcie elektronicznym, który przyniósł Banner? – spytała Eve.

– Zajęliśmy się tym razem z Feeneyem, wciągnęliśmy też do pomocy Callendar. Zostawiliśmy na całą noc automatyczne przeszukiwanie.

McNab wziął jedną chrupiącą bułeczkę z płytkiego koszyczka, stojącego na stole, podrzucił ją w powietrze i złapał ustami. Od razu ją pożarł.

– Jeśli chodzi o telefon z chińskiej restauracji, problem w tym, że jest bardzo tradycyjny – powiedział, jedząc pieczywo. – I kiedy miliony razy nagrywają jedne zamówienia na drugich, wiadomości nakładają się na siebie nawet, kiedy uda się je wyodrębnić. Gdybyśmy znali kod telefonu, którego szukamy, wtedy naturalnie po pewnym czasie byśmy to wyłuskali. Ale działając po omacku, próbując odszukać połączenie bez znajomości kodu i nazwiska, na które zarejestrowano aparat, możemy jedynie liczyć na łut szczęścia.

– Rzucimy na to okiem w moim laboratorium. – Roarke przyniósł kieliszki i nalał im wina. – Ale zgadzam się z tobą. To duże wyzwanie, nawet kiedy się wie, czego konkretnie się szuka. Bez podstawowych danych to błędzenie po omacku.

Banner podszedł do stołu z tacą, na której stały talerze z parującą potrawką.

– Gość z restauracji sądzi, że przynajmniej częściowo pamięta ich zamówienie, i orientacyjnie podał godzinę. Ale McNab mówi, że dużo wiadomości nagrano później, dużo osób dzwoniło w tym samym czasie, złożono dużo zamówień na kurczaka kung pao i sajgonki oraz tym podobne dania.

– Już wyczyściliśmy część zapisu z kamery monitoringu. – McNab od razu wziął się do jedzenia. – Ale nie oczekujemy zbyt wiele. Pomyśleliśmy, że jeśli obejrzymy zapisy z kamery w drzwiach do baru, może uda nam się zobaczyć, jak wchodzi.

– Ta potrawka jest równie dobra, jak mojej mamy, o ile nie lepsza. – Banner spojrzął po wszystkich, siedzących wokół stołu i nabrał na łyżkę kolejną porcję. – I byłbym wdzięczny, gdyby nikt z was jej tego nie powtórzył, jeśli kiedykolwiek ją spotka. Odnoszę wrażenie, że mieszkają bliżej chińskiej restauracji niż składu budowlanego, bo przyszli tam piechotą. Chociaż, z drugiej strony, James kupił dużą rolkę folii plastikowej, a trudno tam znaleźć miejsce do zaparkowania, więc równie dobrze można założyć, że mieszkają niedaleko składu.

Ostrożnie pociągnął łyk wina i uniósł brwi.

– Bardzo dobre. Kiedy razem z Baxterem krążyliśmy po tamtej części miasta, pomyślałem, że gdybym chciał coś kupić w składzie budowlanym, poszedłbym tam na piechotę. Nawet zrobiłbym dwa kursy, gdyby zaszła taka potrzeba. Wy jesteście przyzwyczajeni do wielkomiejskiego ruchu. Natomiast przypuszczam, że James pod tym względem bardziej przypomina mnie. Najchętniej zostawiałbym samochód na jakimś parkingu.

Eve usadowiła się wygodnie na krześle.

– Zaparkowali gdzieś furgonetkę i korzystają z niej tylko wtedy, kiedy udają się na polowanie. A poza tym chodzą pieszo albo korzystają z komunikacji miejskiej.

– Jazda samochodem w tym mieście to szaleństwo, a wszyscy kierowcy zawsze sprawiają wrażenie nieco wkurzonych. Zapłacę tyle, ile mi każą, żeby ktoś z agencji wynajmu samochodów zabrał auto, którym tu przyjechałem. A na lotnisko pojedę autobusem. A może metrem.

Eve wstała i podeszła do tablicy.

– Bez względu na to, gdzie uwili sobie gniazdko, jest wysokie prawdopodobieństwo, że znaleźli to miejsce przypadkiem. Jakieś puste mieszkanie, opuszczony budynek. Równie dobrze jednak mogli się włamać do czyjegoś mieszkania w centrum miasta, w modnej dzielnicy, o której ta kobieta gdzieś czytała albo którą widziała w telewizji. Nie wiem, dlaczego tak uważam, ale myślę, że są gdzieś w Lower West Side, poniżej West Village. Na północ od Tribeca, na zachód od SoHo i Greenwich Village. Inne miejsca nie pasują tak dobrze.

– Sądziś, że może przetrzymują jeszcze kogoś... Może nawet kilka osób – powiedział Roarke. – Jeśli nadarzyła się okazja, żeby włamać się do jakiegoś domu, mieszkania.

– Też rozważałam taką ewentualność, sprawdzałam zgłoszenia wszystkich zaginionych. Ale porwali Mulligana. Czyli mają dwoje, o ile już nie zabili Campbell. Mogli poświęcić nieco czasu i trudu na ukrycie jej zwłok.

– Czemu mieliby ukryć jej zwłoki, skoro nie ukryli ciała Kupera? – wtrąciła się Peabody.

– Przetrzymują jeszcze kogoś, małżeństwo, może nawet całą rodzinę? – Eve pokręciła głową, patrząc na twarze zabójców. – To

trudne, kłopotliwe, wymaga sporo zachodu. A jeśli się ich zabije, ma się jeszcze więcej kłopotu. Nie można zbyt długo przetrzymywać zwłok. Zanim porwali Mulligana, przetrzymywali tylko jedną osobę naraz. Uważam, że to mało prawdopodobne, by trzymali jeszcze kogoś. Ale mają mieszkanie. – Wyświetliła mapę, wzięła laserowy wskaźnik, zatoczyła nim kółko. – Gdzieś tutaj.

– Zaczniemy chodzić od drzwi do drzwi? – spytała Peabody.

– Chciałabym bardziej zawęzić obszar, ale może będziemy musieli to zrobić. Federalnym zajmie trochę czasu zapoznanie się z raportami DeWinter, przeanalizowanie ich, ustalenie, kogo kopnąć w tyłek. Zweck wie to samo, co my, przekonamy się, co z tym zrobi. Może posłużymy się pretekstem: wyciek gazu lub coś w tym rodzaju. Ale chcę zawęzić obszar, nim tego spróbujemy.

Wskazała tablicę.

– Nie znaleźliśmy furgonetki. Nie mamy żadnych informacji od dodatkowych patroli, skierowanych do tej części miasta.

– Kiedyś muszą wyjść z kryjówki. – McNab wzruszył ramionami.

– Jaki jest sens przyjechać do Nowego Jorku i cały czas siedzieć w domu?

– Naprawdę doskonale się tam bawią – odparła Eve. – Częstoście się – poleciła. – A potem weźmiemy się do pracy.

Rozdział 19

W gabinecie unosił się zapach kurczaka z kluskami i mocnej, czarnej kawy oraz wiśni z napojów gazowanych, które hektolitrami wlewał w siebie McNab.

Eve rozdzieliła zadania, a Roarke przyniósł jeszcze jeden komputer. Peabody miała zbierać informacje o Darrylu Royu Jamesie, Banner – o Elli-Loo Parsens. Roarke i McNab zajęli się przeglądaniem zapisów z kamer monitoringu, zainstalowanych przed wejściami do sklepów, które może zarejestrowały, jak podejrzani idą ulicą.

Eve zostawiła sobie analizę map i skupiła się na próbie zawężenia, centymetr po centymetrze, obszaru poszukiwań.

Od tej żmudnej pracy oderwał ją telefon od agenta specjalnego Zwecka. Kiedy skończyła z nim rozmawiać, rozsiadła się w fotelu i położyła nogi na biurku.

– Będę was informowała na bieżąco – obiecała mu. – A wy mi powiecie, jak zamierzacie działać.

Wzięła swoją kawę i chociaż zdążyła wystygnąć podczas rozmowy, napiła się zimnej.

– FBI nie będzie traktowało Little’a i Fastbindera jako ofiar naszych seryjnych zabójców.

Banner gwałtownie uniósł głowę.

– Co?

– Ktoś może dużo stracić z powodu raportu DeWinter. –
Widocznie wymieniła z nazwisk wiele osób i podała je na tacy.

Tak, zdecydowanie winna jest DeWinter tego drinka, uznała Eve.

– Szczątki „zakwestionowanych ofiar” mają zostać przekazane rano do FBI, gdzie ich specjaliści je obejrzą i zbadają.

– Gówno prawda.

– To biurokracja. DeWinter szaleje i naciska innego palanta, żeby dostarczyli jej szczątki Noaha Pastona. Najbliższy krewny chłopaka wyraził zgodę, założę się, że za jej namową. Och, zapomniałabym. – Eve zatoczyła palcem kółko w powietrzu. – Jeszcze jedno. W czasie, kiedy

FBI będzie prowadziło śledztwo w sprawie Jamesa i Parsens, dokładnie zapoznawało się z naszymi raportami i ustaleniami, na razie nie uznają ich za podejrzanych. Oficjalnie są jedynie „osobami, będącymi przedmiotem zainteresowania”.

– Przecież ich wyśledziliśmy... – zaczęła Peabody.

– Potwierdziliśmy, że James i Parsens poznali się w Oklahomie w pięćdziesiątym siódmym roku. Są dość mocne dowody na to, że James ukradł pikap z pięćdziesiątego drugiego roku, którego opis pasuje do wozu, odholowanego nielegalnie przez Dorranów. Agenci FBI odszukają to, co zostało z tego samochodu, żeby potwierdzić albo odrzucić hipotezę, że to ten sam, który jakoby James ukradł. Ustaliliśmy, że Ella-Loo Parsens urodziła dziewczynkę, ale póki nie przeprowadzimy badań DNA, ojcostwo dziecka pozostaje dla FBI nieustalone.

– Co za dupki – mruknął Banner.

– Odnoszę wrażenie, że Zweck jest takiego samego zdania, jednak był na tyle przezorny, żeby nie powiedzieć tego na głos. W tej chwili nie możemy na sto procent dowieść, że Parsens i James kogokolwiek zabili ani nawet, że przejechali trasę, jaką ustaliliśmy w toku naszego śledztwa. Według nich niewystarczająco udowodniliśmy, że Parsens i James rzeczywiście przebywają w Nowym Jorku. Przeanalizują zapis kamery z zatoki dla samochodów dostawczych, Zweck odwiedzi rano skład budowlany, lombard i restauracje.

– Idąc naszym śladem – powiedziała Peabody. – Tracąc czas i środki.

– Kutasy – skwitowała Eve i zrobiła taki gest, jakby coś wiązała. – Oto, co to dla nas oznacza. FBI nie udzieli nam pełnego wsparcia podczas śledztwa. Lecz z drugiej strony nie będą nam przeszkadzać. Zweck, o ile dobrze znam się na ludziach, będzie się starał naciskać. Najwyraźniej nie jest idiotą. Ale oznacza to również, że nie musimy się obawiać, iż FBI ujawni mediom nazwiska Jamesa i Parsens oraz ich podobizny. Na razie, póki ktoś będzie udawał idiotę, skreślając ich jako osoby, którymi powinni się zainteresować.

Banner przez chwilę się zastanawiał.

– Czyli właściwie nic się nie zmienia.

– Właściwie nie. Według mnie Zweck będzie się trochę pieklił. Ale

ktoś, kto zajmuje wyższe miejsce w hierarchii, nie lubi, jak mu się mówi, że się myli – a błąd może ich ukazać w złym świetle w mediach.

Federalni nie posłuchali was, Banner, chociaż mieliście rację. Czyli że oni się mylą. Zastępca szeryfa z małej miejsciny... Bez urazy.

– Nie czuję się obrażony.

– Miał rację. Natomiast FBI było w błędzie. Takie coś to policzek dla wielu osób. – Eve, nie wstając ze swojego miejsca, wskazała głową tablicę. – A gdyby zrobili to, co wy, gdyby uwzględnili małego Mela i Jansena, być może szybciej złapaliby tych popaprańców. I może kilka osób nadal by żyło.

– Będą musieli żyć z tą świadomością – skwitował Banner jej słowa.

Eve wiedziała, że ten, kto bał się przyznać, że się mylił, potrafi żyć z tą świadomością. Po prostu zrzucą winę na kogoś, znajdującego się niżej w hierarchii.

– To tylko przypuszczenia – ciągnęła – a tego rodzaju spekulacje nie wpływają pozytywnie na wizerunek i szkodzą polityce. Dla nas to niczego nie zmienia. Więc dajcie mi więcej informacji o Jamesie.

Banner przeciągnął ręką po włosach, poprawił się na krześle.

– W szkole nie był orłem, jakoś się prześlizgiwał z klasy do klasy, kilka razy powtarzał, parę razy przydzielono mu korepetytora, opłacanego przez władze stanu. Nie należał do żadnych kółek zainteresowań, robił tylko tyle, ile było wymagane. Dotyczy to również sportu, a to raczej wyjątek niż reguła w małych miasteczkach tam, skąd pochodzę.

– Nie lubi pracować zespołowo – wyciągnęła wniosek Eve. – I nie jest zbyt bystry.

– W żadnym wypadku. Ma słabość do seksu i kobiet.

– Szczegóły.

– Znalazłem kilka artykułów o jego romansie z jedną ze swoich nauczycielek. Miał wtedy piętnaście lat, a ona dwadzieścia sześć. Trafiała za to do więzienia.

Eve usiadła prosto w fotelu.

– Czy zmuszono go do seksu?

– Nie wygląda mi na to. Prześlę pani te artykuły, ale dość jasno

z nich wynika, że nie został do niczego zmuszony ani namówiony. W najmniejszym stopniu nie usprawiedliwia to nauczycielki. Nieważne, jak na to spojrzeć, to uwiedzenie osoby nieletniej, ale James był chętny i się nie opierał. Powiem więcej: to on przejawiał inicjatywę.

– Znów miłość.

– Kupował jej kwiaty, pisał dla niej kiepskie wiersze, robił jej drobne prezenty. Okazało się, że większość z nich ukradł. I w ciągu tych samych sześciu miesięcy uprawiał seks z dwiema innymi dziewczynami – wyszło to na jaw, kiedy zeznawały jako świadkowie. Jednej się za to dostało, bo miała osiemnaście lat. Druga miała szesnaście, czyli w świetle prawa uprawiali seks za obopólną zgodą.

– Seks, kradzieże, romanse. Wcześniej zaczął wszystko to robić.

– Miał kilka zatargów z prawem, jego kartoteka młodocianego przestępcy nie jest utajniona – dodał Banner. – Zaczęło się od kradzieży sklepowych, potem były kradzieże samochodów, niszczenia własności, ma na swoim koncie również parę drobnych napaści. Jak zwykle bywa w takich przypadkach sąd załatwił mu pomoc psychologa, do tego James musiał pracować społecznie. I na krótki czas trafił do poprawczaka, kiedy przyłapano go z narkotykami. Nie mogę dotrzeć do żadnych raportów psychologów – są utajnione.

Eve pomyślała, czy nie skorzystać z pomocy Roarke'a. Tak byłoby najszybciej. Albo Miry, działającej drogą oficjalną.

– W razie potrzeby do nich dotrzemy. – Tak czy inaczej.

– Zdradzał zdolności do naprawiania samochodów. Miał szczęście, kiedy na rok umieszczono go w szkole zawodowej. Wykazywał większe od przeciętnych zainteresowanie i smykałkę w dziedzinie elektroniki. Jednym zdaniem, pani porucznik, nie jest specjalnie bystry, ale ma żyłkę do mechaniki i elektroniki. Wyjechał z domu w wieku szesnastu lat, dotarł do Teksasu, wpadł, gdy próbował ukraść samochód. Odsiedział wyrok w tamtejszym zakładzie dla nieletnich. Resztę już wiemy.

– Przekażcie to doktor Mirze. Będzie miała pełniejszy obraz.

Peabody, Parsens.

– Wiele się tu powtarza. W szkole słaba uczennica, żadnych zajęć dodatkowych, kilka razy zawieszona w prawach ucznia, wpisy za bójki, nieusprawiedliwione nieobecności. Oskarżyła nauczyciela

o molestowanie. Przeprowadzono dochodzenie, według mnie skrupulatne. Nauczyciel został całkowicie oczyszczony z zarzutów. Podrywała innego, który miał w kieszeni włączony magnetofon. Proponowała seks za dobrą ocenę, jakiego tylko by sobie zażyczył. Obowiązkowe zajęcia z psychologiem, prace społeczne. Przerwała naukę, jak tylko osiągnęła pełnoletność. Żadnego stałego miejsca zatrudnienia, jeśli pracowała, to zawsze w barach. W wieku osiemnastu lat i ponownie, w wieku dwudziestu jedna chciała zostać licencjonowaną prostytutką. Ale nie otrzymała licencji.

Wzięła swój kubek i zmarszczyła czoło, kiedy do niego zadrżała.

– Pusty? – zapytał Banner.

– Tak.

– Zaraz przyniosę kawy.

– Właściwie wołałabym coś słodkiego. Może napój pomarańczowy?

– Nie ma sprawy. Możesz mówić dalej – powiedział, kiedy wstał. – Słyszę cię.

– Dotarłam do paru raportów z okresu, jak była nieletnia. Dwa razy oskarżono ją o zabicie psa.

No proszę, pomyślała Eve. Jest. Potrzeba rozlewu krwi, zadawania bólu.

– Ile miała lat?

– Za pierwszym razem trzynaście. Policji niczego nie udało się udowodnić, ale ta Parsens pobiła dziewczynę z powodu chłopaka. A pies tamtej dziewczyny zdechł po tym, jak zjadł zatrutą karmę. Drugim razem miała piętnaście lat, identyczny scenariusz. Tylko tym razem pokroiła psa, spaliła i powiesiła na drzewie.

– Suka – mruknął Banner z kuchni. – Mam słabość do psów. Wiem, że morduje ludzi, ale mam słabość do psów.

– Torturowanie i zabijanie zwierząt. Jedna z cech seryjnych zabójców. Wcześniej czy później zaczęłaby torturować i zabijać ludzi. Z Jamesem czy bez niego. Jeszcze coś? – spytała Eve.

– Jest kilka raportów policyjnych, gdzie występuje jako powódka. Pobicie przez chłopaka, kolejne zarzuty o gwałt lub molestowanie. Ze zdjęć i raportów wynika, że rzeczywiście doszło do pobicia, powódka

nie pozostała dłużna. Żaden zarzut o gwałt i molestowanie się nie utrzymał.

– Seks jako zapłata, broń, waluta. Już kiedyś rozmawiałam o tym z Charlesem.

– Jakim Charlesem? – spytał Banner, który wrócił z dwoma napojami gazowanymi.

– Były licencjonowany facet do towarzystwa – wyjaśniła Eve. – I gdybyśmy spytali go o opinię, przypuszczam, że powiedziałby, że seks nigdy nie sprawiał jej prawdziwej przyjemności. Zawsze był orężem lub narzędziem. Może się okaże, że z Jamesem jest jej dobrze w łóżku i to ją przy nim trzyma. To oraz zabijanie.

Peabody pociągnęła długi łyk napoju, skrzywiła się i potarła czoło.

– Zrobiło mi się zimno. Co ją do tego skłania? Jako nastolatka parę razy uciekała z domu, ale zawsze sama wracała. Na dobre się wyprowadziła, kiedy miała osiemnaście lat. Ojczym zgłaszał kradzież różnych rzeczy i pieniędzy, zawsze jednak wycofywał zarzuty.

– Pod naciskiem jej matki – domyśliła się Eve.

– Obijała się, a potem skończyła w „Rope ‘N Ride”.

– Uporządkuj to i prześlij do Miry. Kiedy dopadniemy tę dwójkę, już nam się nie wywinie.

Eve wyciągnęła telefon, który akurat zadzwonił.

– Santiago, mów, czego się dowiedziałeś.

– Rozmawialiśmy z naczelnikiem więzienia, paroma strażnikami, główną kelnerką z baru, gdzie pracowała Parsens, właścicielem mieszkania, które wynajmowała, a na koniec z położną, która odbierała poród jej dziecka. Zagoniliśmy ich do korralu, szefowo.

– Za długo tam siedzicie.

– O tak.

– Zreferuj pokrótce, czego się dowiedzieliście. Będiesz widoczny na ekranie – powiedziała. Wróciła do swojego gabinetu i włączyła tryb głośnomówiący. – Słyszają cię wszyscy obecni w pokoju.

– Rozumiem. Żałuję, że mnie tam nie ma. Zgodnie ze wszystkimi raportami, James siedział cicho i nie rozrabiał w więzieniu. Zapisał się na zajęcia komputerowe, nawet dobrze mu szło. Pracował w warsztacie samochodowym, był wyjątkowo dobry. Prawdę mówiąc, polecono go do

pracy w miejscowym warsztacie samochodowym, ale po przedterminowym zwolnieniu z więzienia poprosił o zgodę na powrót do domu. Twierdził, że razem ze swoją kobietą chce wrócić w rodzinne strony, gdzie krewni opiekują się ich dzieckiem. Udzielono mu zgody. Oczywiście nigdy się nie pokazał w domu.

– Wyruszyli na wschód.

– Strażnicy z jego bloku mówili, że był sympatyczny i nie sprawiał kłopotów. Dużo czytał, opowiadał o swojej kobiecie, która co tydzień go odwiedzała. Korzystali ze wszystkich przysługujących im wizyt małżeńskich. Według szefowej z baru, Parsens nie była bardzo operatywna, nie miała dobrych relacji z pozostałym personelem, podejrzewano, że na boku świadczy usługi seksualne. Właściciel mieszkania to potwierdza. Sprowadzała mężczyzn do domu i żaden nie zabawił dłużej niż godzinę, zwykle krócej. Wyprowadziła się bez uprzedzenia, zalegała z czynszem. Jeździła pikapem, raz czy dwa oddała go do warsztatu – i w powszechnym przekonaniu zapłaciła usługą za usługę.

– Żadnych niespodzianek.

– Położna mówi, że Ella-Loo niewątpliwie piła podczas ciąży, choć nigdy nie udało się tego udowodnić. Podczas porodu darła się jak opętana – to słowa położnej – mimo że według niej poród był tak łatwy, jak u kotki. Nie mogę nic powiedzieć na ten temat, bo nigdy nie rodziłem kociąt ani dziecka, za co pozostaję dozgonnie wdzięczny Bogu.

– Co to za hałas?

– To krowy, pani porucznik. Albo woły opasowe. Zdaje mi się, że to jakaś różnica, ale nie zamierzam pytać. W przyczepie, obok której Carmichael postanowiła zaparkować, są... Przedstawiciele rodziny krów, wołów opasowych czy też bydła. Naprawdę odnoszę wrażenie, że im się tu nie podoba.

– Powinniście stamtąd odjechać, na wypadek, gdyby uciekły.

– Też tak uważam. – Odszedł kilka kroków, oglądając się przez ramię. – Była pani poza Ziemią, prawda, pani porucznik?

– Tak.

– Ja nie, ale wyobrażam sobie, że to coś podobnego. No więc położna oświadczyła, że poród przebiegł szybko i podręcznikowo, ale

Parsens od samego początku nie okazywała zainteresowania dzieckiem. Położna na tyle się niepokoiła, że przychodziła dwa razy dziennie, poza godzinami pracy, żeby sprawdzić, co u noworodka, upewnić się, że mała jest nakarmiona i czysta. Butelka i mleko ze sklepu wywołały zdecydowaną dezaprobatę położnej. Podobno Parsens oświadczyła – cytuję – że nie zamierza pozwolić, żeby jakiś bachor zdeformował jej cycki, ssąc ją kilka razy dziennie. Kiedy wyjechała z dzieckiem, a wróciła bez niego, ta kobieta na tyle się zaniepokoiła, że zebrała informacje – znów na własną rękę – ustaliła adres i telefon matki Parsens i do niej zadzwoniła. Tamta zapewniła, że wnuczka jest u niej, ale położna nie wyjaśniła, dlaczego interesuje się dzieckiem Parsens ani nie ujawniła miejsca pobytu Parsens, bo mogłaby przez to stracić licencję. Lecz musiała mieć pewność, że dziewczynka żyje i ma się dobrze. Uważa, że Parsens jest zdolna do porzucenia gdzieś córeczki albo nawet do dzieciobójstwa.

– To poważny zarzut.

– Położna powiedziała, że Parsens o wiele bardziej przejmowała się tym, by odzyskać dawną figurę niż dzieckiem. Twierdzi, że kiedy dziecko płakało i starała się nakłonić matkę do zaopiekowania się nim, widziała nienawiść w oczach tej dziewczyny.

Eve nic na to nie powiedziała, bo przypomniała sobie oczy własnej matki i bijącą z nich nienawiść, gdy sama była dzieckiem.

– Głównie obojętność, a także ta nienawiść, której jak twierdzi, była świadkiem, przez całą noc nie pozwoliła jej zasnąć ze zdenerwowania. Nie miała jednak nic, z czym mogłaby się zgłosić do władz, tylko te złe przeczucia.

– Rozumiem.

– W skrócie, ludzie na ogół lubią Jamesa. I na ogół nie lubią Parsens.

– Ale James ją lubi i to wystarcza. Wracajcie do domu, Santiago. Tym razem mówię poważnie.

– *Gracias a Dios*. A kiedy myślę po hiszpańsku, jestem *verklempt*. Nie mogła się nie roześmiać.

– Po drodze wszystko spiszcie i zadbajcie, żeby Mira dostała kopię. Zameldujcie się w komendzie o ósmej zero zero, bo na *Dios* jutro

złapiemy tę dwójkę w sieć.

Rozłączyła się i skinęła głową, kiedy zobaczyła, że wrócili Roarke z McNabem.

– Słyszeliście wszystko?

– Wystarczająco dużo.

– Peabody i Banner piszą raporty o tym, czego dowiedzieli się o Parsens i Jamesie. Jeśli chcecie, możecie je przeczytać, ale głównie będą przydatne podczas procesu. Potwierdzają wzorzec ich postępowania i profil każdego z nich, skłonności, patologię i motywację działań. Okroiłam jeszcze bardziej obszar poszukiwań przy prawdopodobieństwie osiemdziesiąt procent, posługując się swoimi własnymi parametrami.

– Może będziemy mogli ci w tym pomóc. – McNab wziął napój gazowany Peabody, pociągnął łyk. – Poszczyło nam się i na nagraniach z kamer monitoringu w paru sklepach wypatryliśmy ich oboje. Mamy Jamesa, jak wychodzi ze składu budowlanego z rolką folii plastikowej na ramieniu, z torbą na zakupy w ręku. Ruszył na północ.

– Na północ. – Eve odwróciła się w stronę mapy. – Gdybyśmy mogli wyeliminować obszar na południe od składu budowlanego... Nie ostatecznie, ale mogę przygotować dwie mapy. Jak długo udało się go wam śledzić?

– Tylko przez pół kwartału. Kamery w tej części miasta są rzadko rozmieszczone. Widzieliśmy go, jak się giba. Pokażę to na ekranie. Rozglądał się na prawo i lewo, zadzierał głowę, jak to robią turyści.

Eve przyglądała się, jak James się giba – rzeczywiście było to celne określenie. Kiedy tak kręcił głową i wyciągał szyję niczym turysta, mało brakowało, a uderzyłby rolką folii plastikowej kilku przechodniów.

Potem zaczął iść bliżej krawężnika i znalazł się poza zasięgiem kamer.

– Do diabła. Mogło mu się poszczyścić i znalazł miejsce do zaparkowania. Mógł wracać do furgonetki. Albo złapać taksówkę.

– Może szedł do furgonetki – zgodził się McNab. –

Prawdopodobnie nie do taksówki. Analizowaliśmy ten trop. Największe szanse złapania taksówki są na skrzyżowaniach. Ale oficjalnie poprosiliśmy o sprawdzenie, czy jakieś taksówki brały pasażerów na

wszystkich czterech rogach bądź gdziekolwiek w promieniu dwóch kwartałów od składu budowlanego. To spory obszar, usłyszeliśmy, że „sprawdzenie tego wymaga czasu”, więc...

Spojrzał na Roarke'a.

– Sprawdziłem to. – Wzruszeniem ramion skwitował spojrzenie Eve i zwrócił się do Bannera. – Czy macie jakieś zastrzeżenia, że... Ominąłem oficjalne kanały, zastępco szeryfa?

– Absolutnie żadnych.

– No więc stwierdziliśmy, że w tym czasie kilka osób wsiadło do taksówek. W dwóch przypadkach byli to samotni pasażerowie. Jeden wysiadł w Midtown, na rogu Pięćdziesiątej Pierwszej i Madison.

– Jako funkcjonariusz policji – wtrącił McNab – skontaktowałem się bezpośrednio z taksówkarzem. Nie pamięta dokładnie, jak wyglądał pasażer, ale zapewnił, że nie zabrał z centrum nikogo, kto taszczył rolkę folii plastikowej.

– Drugi pasażer pojechał na róg Franklina i Hudson.

– Tribeca. Właściwie wykreśliłam ten sektor.

– Kierowca taksówki – w tym wypadku kobieta – również twierdzi, że nie brała żadnego pasażera, niosącego rolkę folii plastikowej. Nie mamy stuprocentowej pewności, Dallas, ale raczej skłaniamy się ku temu, że nie zatrzymał taksówki.

– Skupimy się na północy. Warto spróbować. Kolejny raz poszukamy opuszczonych budynków, pustych mieszkań albo noclegowni w tym zawężonym sektorze. W razie potrzeby będziemy chodzili od drzwi do drzwi, sprawdzimy wszystkie miejsca parkingowe na ulicy, parkingi, puste działki i garaże podziemne. Ta furgonetka musi gdzieś stać.

– Może prywatny garaż – zasugerował Roarke.

– Nie wydaje mi się, żeby płacili za garaż, ale być może. Może trafili na kogoś z mieszkaniem i garażem, zabili tego nieszczęśnika i uwili sobie gniazdko w jego mieszkaniu, korzystają z jego garażu. Uwzględnimy prywatne garaże.

– Mogę poszukać mieszkańców tego sektora, którzy wynajmują garaże albo są ich właścicielami.

– Dobrze. Zrób to. Z tego, co ustaliliśmy, zna się na elektronice. –

Trzeba to uwzględnić, pomyślała. – Na tym terenie muszą być hotele, biurowce z podziemnymi parkingami, jakieś mieszkania z garażami. Jak trudno byłoby z nich korzystać na lewo, za friko?

– Jeśli zna się na elektronice i ma przyzwoity zagłuszacz? – McNab skinął głową. – To wcale nie takie trudne. Mamy w wydziale przestępstw elektronicznych parę dronów, które cały czas są wykorzystywane w tego typu działaniach.

– Nie mogą się powstrzymać, żeby nie kraść, więc czemu mieliby płacić za garaż? Prywatne garaże – powiedziała po chwili namysłu – mają całkiem przyzwoite kamery monitoringu. Zajmiemy się również tym. Ogólnodostępne parkingi też mają zainstalowane kamery, lecz wiele z nich to atrapy. Sprawdzimy to. Kiedy się ściemni, powiedzmy, po dziewiątej – ciągnęła, chodząc tam i z powrotem po gabinecie. – Przed dziewiątą byłoby za wcześnie. Dziewiąta to też wcześnie, ale zaryzykujemy. Uwzględnimy opinię Bannera – w mieście nie ma konieczności jeżdżenia samochodem. Z wyjątkiem przypadków, kiedy polują. Czyli po dwudziestej pierwszej przystąpimy do sprawdzania zapisów kamer, zainstalowanych w garażach prywatnych i ogólnodostępnych.

Zwróciła się do McNaba.

– Czy możesz wykorzystać drony, z których zwykle korzystacie?

– Spytam kapitana, ale sądzę, że tak.

– Skontaktuję się z Feeneyem. Zróbcie, co się da, dziś wieczorem, a jeśli nam się nie poszczęści, rano wykorzystamy drony. Peabody, sprawdź wszystkie zawiadomienia o zaginionych osobach z tego sektora. Znajdź nazwiska zamordowanych ludzi, którzy pracowali albo mieszkali w tej części miasta. Banner, wyszukajcie puste budynki albo mieszkania. Zwróćcie też uwagę na ostatnio wynajęte lokale. Może zainwestowali część pieniędzy, skradzionych po drodze. Skupcie się na mieszkaniach w suterrenach i domach wolnostojących. Przede wszystkim z wejściem z tyłu budynku albo z boku. Już zaczęłam takie wyszukiwanie, więc będziecie mieli ułatwione zadanie.

Teraz zwróciła się do Roarke'a.

– Masz ochotę się przejechać?

– Czemu nie.

– Muszę obejrzeć ten sektor. Chcę się po nim przejść nocą. Polują nocą. Może to nie najbardziej efektywne wykorzystanie mojego i twojego czasu, ale chcę to zrobić. Muszę zobaczyć to miejsce, poczuć atmosferę.

– Będą ci potrzebne te nowe botki – powiedział. – Wciąż pada deszcz ze śniegiem.

– Jeśli cokolwiek, powtarzam, cokolwiek znajdziecie, natychmiast macie mnie informować – powiedziała i wyszła po swoje buty.

– Dasz sobie radę, Ianie? – spytał Roarke McNaba. – Pani porucznik nie będzie tym zbyt zachwycona, ale Summerset może ci pomóc. Mogę go poprosić, żeby popracował z tobą pod moją nieobecność.

– Rozumiem, ale dziękuję.

– Jedzcie, jak zgłodniejecie. Zapowiada się długa noc.

Spotkał się z Eve na dole, wyjął szalik z kieszeni jej płaszcza i starannie owinął nim szyję żony.

– Na dworze jest zimno i mokro.

– Rozumiem. Są niewielkie szanse, żeby udali się na polowanie. Ale... – Wyszła z domu na deszcz ze śniegiem i przenikliwy ziąb. – To również idealna pora, żeby kogoś dorwać. Większość ludzi siedzi w domu lub w barach.

Wsiadła do terenówki i rozejrzała się po jej wnętrzu, marszcząc czoło.

– To nie ta sama, co poprzednio.

– Nie, inna. Trochę mniejsza, bo nie zabieramy pasażerów. Szybka – powiedział Roarke i nacisnął pedał gazu. Eve zdecydowałaby się na taką prędkość tylko wtedy, gdyby ruszyła za kimś w pościg. – I zwinna.

Żeby to zademonstrować, wznosił auto pionowo w górę i przemknął nad bramą.

– Masz rację. Raczej nie przypuszczałeś, że tak spędzisz ten wieczór.

– Chyba już minął wieczór. Lubię pracować z McNabem. Ma bystry umysł, zaraża innych swoim entuzjazmem. I jeśli jesteś zainteresowana, mam najnowsze wiadomości o Belli.

Eve popatrzyła na ulice. Dużo taksówek, niewiele wolnych, mniej

prywatnych samochodów. I tylko pojedynczy przechodnie.

– McNab zdał ci raport o Belli?

– Ma na jej punkcie prawdziwego bzika. Razem z Peabody pilnowali małej w zeszłym tygodniu, żeby Mavis i Leonardo mogli wybrać się gdzieś wieczorem. Dowiedziałem się, że we trójkę urządzili przyjęcie z tańcami. Były też kostiumy.

– Hm.

– Zbliżają się jej pierwsze urodziny. Myślałaś o tym?

– Nie. – Poczula, jak ogarnia ją panika. – Nie umiem kupować prezentów dla rocznego dziecka. Ty to zrób.

– Coś wymyślimy.

Na chwilę przeniosła uwagę z ulicy na niego. Znał się niemal na wszystkim, ale nie była pewna, czy wie, co należy kupić rocznej dziewczynce na urodziny.

– Spytam Peabody.

– Świetny pomysł.

– Będzie przyjęcie, prawda? Wielkie, szalone przyjęcie, zorganizowane przez Mavis. Być może kostiumowe.

– Przypuszczam, że tak.

– Nie włożę kostiumu nawet dla Mavis. Ani tej czapki. Tej spiczastej czapki.

– Powinien być tort.

– Lubię torty. Zaczynają się nudzić.

Nie Bella, domyślił się Roarke, ani jej rodzice. Zabójcy.

– Dlatego postanowili wprowadzić urozmaicenie.

– Tak sądzę.

Znała ich już, znała ich i...

– Takie mam przecucie. Przez cały czas znajdowali się w drodze, zdążali do celu – do jej wymarzonego Nowego Jorku, a on, jak prawdziwy romantyk, chciał spełnić jej marzenie. W końcu dotarli tutaj. Założyliśmy, że Kuper był ich pierwszą ofiarą w Nowym Jorku, ale teraz wcale nie jestem tego taka pewna.

– Lokator albo właściciel mieszkania, gdzie... Uwili sobie gniazdko, jak się wyraziłaś.

– Tak. Mogli oficjalnie wynająć mieszkanie, jednak to do nich nie

pasuje. Wykręcali się od płacenia czynszu, kradli w miejscu pracy. Założę się o wieczór z przebierankami, że kiedy ich dopadniemy, okaże się, że po drodze do Nowego Jorku uciekali z moteli i noclegowni, nie płacąc za pobyt, albo korzystali z pustych mieszkań czy też zabijali właścicieli i lokatorów.

– Przykro mi. Wciąż się zastanawiam, dlaczego założyłaś się o wieczór z przebierankami, bo nie widzę, jak mógłbym przegrać.

– Miej oko na nagrodę, kolego.

Spojrzał prosto na nią.

– Nigdy nie spuszczam jej z oka.

– Głuptas. – Ale na chwilę położyła rękę na jego dłoni. –

Wyświetlę mapę na ekranie w desce rozdzielczej. Podświetlę garaże, które już wcześniej wyszukałam. Peabody będzie nas informowała, jak coś ustali.

Zajął jej to trochę czasu, lecz ponieważ im się nie spieszyło, Roarke pozwolił Eve zmagać się z komputerem samochodowym.

– Kurde. Dlaczego nie można zwyczajnie powiedzieć „wyświetl przeklętą mapę”, żeby komputer ją wyświetlił?

Ponieważ w zasadzie można było tak zrobić, Roarke nic nie powiedział.

Jechał Siódmą Aleją, a kiedy znaleźli się na południe od West Village, zaczął się rozglądać razem z Evą.

– Nie pozwolę im zabić kolejnej ofiary. Dla Campbell może być za późno, ma minimalne szanse, podobnie jak Mulligan, bo coś mi mówi, że mogą się zdecydować na podwójne zabójstwo.

– Większy dreszczyk emocji.

– A teraz tylko o to chodzi. Zresztą zawsze o to im chodziło.

Spróbujmy na tym parkingu.

Sprawdzili wszystkie poziomy piętrowego parkingu, wyjechali na ulicę i ruszyli na wschód.

Eve przyglądała się uważnie każdemu pojazdowi, każdemu pieszemu.

– To dla nich idealna pora na polowanie – powiedziała, kiedy spróbowali szczęścia na kolejnym parkingu. – Wszyscy są opatuleni, mniej ludzi na ulicach. W taką pogodę nawet ćpuny i dilerzy załatwiają

interesy w pomieszczeniach albo pod ziemią.

Poświęcili godzinę na sprawdzanie każdej sekcji każdego kwartału, jeżdżąc po garażach i parkingach.

– Spróbuj tu. – Wskazała prywatny wielopoziomowy garaż dla kilku budynków. – Zaparkujemy i szybko zrobię obchód. Możesz na mnie poczekać.

– Naprawdę?

Naprawdę inni mężczyźni mieli przy nim marne szanse, pomyślała.

– Możesz. Nie zrobisz tego, ale mógłbyś. To ostatni garaż, który sprawdzamy dziś w nocy, potem pochodzimy trochę, a rano zdamy się na drony Feeneya.

Roarke wątpił, czy Eve wie, że zbliża się północ. Miała trop, więc nie potrafiła się poddać i kontynuować poszukiwania następnego dnia, ze świeżym umysłem.

Okej, przyjrzymy się samochodom na trzech poziomach garażu, pomyślał, kiedy obszedł polecenie, by okazać kartę i bez zatrzymywania się wjechał do środka. Potem wyruszyli na wcale nie romantyczną przejażdżkę między rzędami pojazdów

Na drugim poziomie Eve złapała go za ramię.

– Stój! Popatrz tam! Tamta furgonetka. Nowojorskie tablice rejestracyjne, ale reszta pasuje. Granatowa, przyciemnione szyby, odpowiednia marka i model. Zmiana tablic zapewnia dodatkowy kamuflaż.

Wyciągnęła swój palmtop, bardziej do niego przyzwyczajona niż do komputera w samochodzie, sprawdziła tablicę rejestracyjną.

– Zarejestrowana na Anthony'ego Charlesa Lappansa, lat siedemdziesiąt trzy, zamieszkałego przy East Broadway. To nie tylko nie tutaj, to blisko miejsca, gdzie porzucono zwłoki Kupera. Osłaniaj mnie.

Wyskoczyła z terenówki, odchyliła płaszczyznę, żeby mieć łatwiejszy dostęp do broni i zbliżyła się do furgonetki.

Wskazała nalepkę na tylnej szybie, okrążyła wóz.

– Poproszę o nakaz, ale teraz mam tutaj ciebie.

Roarke zrozumiał, o co jej chodzi, wysiadł i wyjął swoje podręczne narzędzia. Szybko obrzucił wzrokiem zamek, wybrał to, czego potrzebował. W kilka sekund otworzył tylne drzwi.

Zobaczyli w środku duży fotel, torbę z narzędziami, zwinięty koc oraz plamy. Eve gotowa była się założyć o swoją odznakę, że to zaschnięta krew.

– Zamknij, z łaski swojej, tylne drzwi i otwórz te od strony pasażera.

– Psy wyczuły kość – mruknął, wykonując jej polecenie.

– Co?

– Nie poddajesz się. Kopiesz, aż się dokopiesz do kości. Twoi zabójcy są flejtuchami.

– Tak, czy nam to nie na rękę? – odparła z jadowitym uśmiechem, przyglądając się opakowaniom po fast foodach, jednorazowym kubkom i paragonom. – Nie sędzę, żebyś w tym swoim nowym samochodzie miał zestaw podręczny.

– Naturalnie, że mam, ale uważam, że w tej chwili potrzebna ci jedynie... – Wyjął ze swojego kompletu pincetę.

Eve skinęła głową i podniosła nią jeden z paragonów.

– Ze „Stop ‘N Go” w New Jersey. A drugi z kawiarni na West Broad. Zamknij drzwiczki. Mamy ich. Już nam się nie wywiną.

Rozdział 20

Najpierw zadzwoniła do zastępczyni prokuratora Cher Reo, wyrrywając ją ze snu. Cher mogła szybko załatwić nakaz przeszukania, co zaoszczędzi im czas.

Zgodnie z procedurą następnie Eve powinna się skontaktować z komendantem Whitneyem, ale jej ekipa zasłużyła sobie, żeby się dowiedzieć pierwsza. No i dzięki temu sprawy potoczą się szybciej.

– Cześć – powiedziała Peabody, kiedy jej twarz ukazała się na wyświetlaczu. Zamrugła zaczerwienionymi z niewyspania oczami.

– Mamy furgonetkę.

– Macie... Co? Kurczę blade, Dallas, żartujesz sobie?

– Zmienili tablice rejestracyjne. Sprawdź Anthony'ego Charlesa Lappansa, zamieszkałego przy East Broadway, żebyśmy mieli pewność. Reo stara się o nakaz przeszukania samochodu.

– Gdzie jesteś?

– Na drugim poziomie prywatnego garażu. – Podała jej adres. – Przekaż to McNabowi. Chcę mieć zapisy kamer monitoringu z ostatnich pięciu dni. Niech Banner zacznie sprawdzać trzy budynki, których lokatorzy korzystają z tego garażu. Puste mieszkania, osoby zaginione, denaci. Zlecę kilku mundurowym, żeby wypytali mieszkańców tych budynków.

– Chcesz, żebyśmy do ciebie przyjechali?

– Nie, zostańcie tam, gdzie jesteście. Wyszukaj wszystkie dane. Włączę cię, jak ich zlokalizujemy, żebyśmy razem ich ujęli.

– Nie o to mi chodzi. Chciałam tam być.

– Wiem, ale ściągnę cię, kiedy będziesz mi tu potrzebna. Teraz chcę mieć szybko informacje.

Rozłączyła się i obudziła komendanta. Zastanawiała się, czy zadzwonić do Miry, ale uznała, że bardziej jej się przyda pomoc psychologa, kiedy ujmą zabójców. Chciała mieć Mirę pod ręką, kiedy James i Parsens trafią do aresztu.

Chodząc tam i z powrotem, ściągnęła mundurowych, ich

dowodzenie przekazała swojemu mundurowemu Carmichaelowi, wydała szczegółowe instrukcje. Funkcjonariusze mieli pracować po dwoje, mówić, że w budynku widziano dziecko, którego zaginięcie zgłoszono.

– Nie wpuszczą nikogo do mieszkania – zauważył Roarke. – Przynajmniej jest to mało prawdopodobne.

– Wiem. Ale będziemy mogli wykreślić wszystkie lokale, do których mieszkańcy otworzą nam drzwi. Możliwe, że tamci przetrzymują zakładników – poza Campbell i Mulliganem – ale nie wydaje mi się. Torturowaliby i wykorzystywali każdego, kogo mają.

– Jest jeszcze jedna możliwość... – zaczął Roarke.

– Zaparkowali furgonetkę tutaj, ale sami są gdzie indziej – weszła mu w słowo. – Jeśli się okaże, że tak jest, będę się tym martwiła później. Ale i tak musimy porozmawiać ze wszystkimi lokatorami.

Znów wyjęła komunikator, wezwała ekipę techników, aby zajęli się furgonetką.

– Czy mógłbyś znaleźć gdzieś miejsce, by zaparkować swoją terenówkę? I zostaw mi zestaw podręczny. Jeśli Reo przyśle nakaz, zanim przyjadą technicy, mogłabym zacząć oględziny. Ale wolałabym, żebyś zabrał stąd swój wóz. Może sprawcy zaraz się tu zjawią, dojdą do wniosku, że to odpowiednia noc, by poszukać nowej ofiary. Nie chcę ich spłoszyć.

Roarke dokładnie rozejrzył się wkoło, ocenił możliwości.

– Może zablokowałbym windy, skoro tu jestem? To by ich zmusiło do skorzystania ze schodów, jeśli są w budynku. A nawet jeśli wejdą z ulicy, usłyszysz ich, nim tu dotrą.

– Masz rację.

Kiedy będzie pracowała razem z technikami, każe dwóm mundurowym ukryć się przed wjazdem do garażu. Spojrzała na zegarek i zobaczyła, że jest po północy.

– Wciąż mogą wyruszyć na łowy, ale kończy się przedział czasowy, w którym porwali trzy osoby w Nowym Jorku. Są coraz mniejsze szanse, że dziś w nocy zechcą porwać kolejną ofiarę. Chcę, żeby dokonano oględzin furgonetki, a potem zlecę jej obserwację. Zostawimy ją tu, gdzie jest.

Wzięła od Roarke'a zestaw podręczny i znów okrążyła furgonetkę.

Korciło ją, by spróbować zdjąć odciski palców. Słyszając warkot silnika, odeszła i ukryła się za innym samochodem.

Obserwowała ze swojej kryjówki ubłocony sedan, prowadzony przez rozczochraną kobietę, która objechała całe piętro, jak to zrobił wcześniej Roarke.

Eve miała nadzieję, że nie zajął miejsca parkingowego sedana, ale jeśli nawet, to jakoś to załatwi.

Zadzwoiła jej komórka.

Na wyświetlaczu Cher Reo z blond włosami sterczącymi na wszystkie strony i jasnoniebieskimi cieniami na powiekach, uśmiechała się z dumą.

– Złapałam sędziego Haydena, jak oglądał w telewizji transmisję sportową. Nie spał i był w dobrym humorze. Niebawem otrzymasz nakaz.

– Dzięki za szybką akcję. Wracaj do łóżka.

– W ogóle z niego nie wyszłam.

Kiedy wyświetlacz zgasł, Eve usłyszała sygnał o przyjściu nowej wiadomości. Przeczytała nakaz – lepiej niczego nie przeoczyć. Usatysfakcjonowana, otworzyła zestaw podręczny. Roarke szedł wolno w jej stronę.

– Winda zablokowana.

– Przyjechał czterodrzwiowy sedan.

– Zaczekałem, aż ta kobieta zjechała na dół. Nakaz?

– Mamy.

Włączyła rekorder i przystąpiła do pracy, zaczynając od drzwi od strony kierowcy. Zdjęła dwa wyraźne odciski palców. Kiedy zleciła sprawdzenie, do kogo należą, i pojawiło się nazwisko Jamesa, uśmiechnęła się ze złośliwą satysfakcją.

– Mamy go. Bądź tak dobry i otwórz tylne drzwi furgonetki.

– Z największą przyjemnością.

Wyłączyła rekorder i wręczyła Roarke'owi swój klucz uniwersalny. Zaczekał, aż się odwróciła, by sprawdzić drzwi od strony pasażera, i szybko wyjął swoje narzędzia.

– Ją też mam – powiedziała mu. – Odcisk dłoni.

Obeszła furgonetkę, zabezpieczyła buty i weszła przez tylne drzwi,

które otworzył.

– W torbie jest kabel, sznur, taśma klejąca, łom, klucze francuskie, młotek.

Wyjęła więcej narzędzi ze swojego zestawu, zbadała klucz francuski.

– Na dużym kluczu francuskim znajduje się krew. I na łomie, a także na młotku.

Obejrzała podłogę furgonetki.

– I na wykładzinie. Technicy wezmą próbki, przekażą do laboratorium. Dopasują krew do ofiar. Przynajmniej do części z nich.

Otworzyła schowek na rękawiczki.

– Latarka, dyskietka z instrukcją obsługi, apteczka pierwszej pomocy i to.

Zabezpieczonymi dłońmi uniosła przed sobą duży nóż.

– To nóż myśliwski. Mam podobny w swojej kolekcji – oświadczył Roarke.

– Nóż byłego pracodawcy Jamesa. Nóż przyjaciela jego matki – powiedziała Eve.

Podczas badania stwierdziła obecność krwi na ostrzu i odciski palców Jamesa oraz Parsens.

– Nawet go nie wytarli. Czemu mieli sobie zawracać tym głowę? – powiedziała. – Skoro i tak znów się nim posłużą. Jak ich dorwiemy, nigdy się nie wywiną.

Odłożyła nóż z powrotem tam, gdzie go znalazła i odebrała telefon od mundurowego Carmichaela.

– Szybko, cicho, dokładnie – powiedziała mu. – Jeśli ktokolwiek zauważy coś podejrzanego, natychmiast chcę o tym wiedzieć. Zapisać numery wszystkich mieszkań, do których nie otwarto wam drzwi.

Nim dotarli technicy, zrobiła wszystko, co mogła zrobić w furgonetce. Podeszła do Dawsona, szefa ekipy, ale mając w pamięci to, co się wydarzyło w Nowy Rok, uważnie się przyjrzała jego dwuosobowemu zespołowi.

– Jak leci? – spytała.

– No cóż, raz lepiej, raz gorzej, ale co można na to poradzić? A co u ciebie?

– Dziś w nocy? Dobrze, bo kiedy dopadniemy tych łotrów, mamy dość dowodów, żeby wsadzić ich za kratki nie na jedno dożywocie, ale na kilka. Chcę, żebyście zrobili tu, co trzeba, i zostawili wszystko dokładnie tam, gdzie znaleźliście. Jeśli nie dopadniemy ich dziś w nocy, może jutro skorzystają z furgonetki. Będziemy ją obserwować. Teraz głównie zależy mi na tym, żeby zabójcy nas zaprowadzili do swoich ofiar. Nie chcę spłoszyć drani.

– Zanim cokolwiek ruszymy, wszystko zarejestrujemy.

– Mam odciski palców, mam ślady krwi. Zostawiam wam pobranie próbek krwi i pilne przekazanie ich do laboratorium. Nie szukałam włosów ani włókien, wy zrobicie to szybciej ode mnie. Chcę, żeby zajęła się tym Harpo.

Uśmiechnął się lekko.

– Wszyscy chcą Harpo, ale postaram się, żeby jej zlecono tę sprawę.

– Macie przy sobie lokalizator?

Poklepał swój zestaw.

– Zgodnie z poleceniem.

– Facet jest mechanikiem. I to dobrym. Upewnijcie się, że się nie zorientuje, gdyby przyszło mu do głowy obejrzeć samochód. Zna się też na elektronice, więc...

– Rozumiem, Dallas.

– Chcę, żebyście się z tym uwinęli raz-dwa. My popytamy lokatorów, a dwóch mundurowych przyjedzie nieoznakowanym wozem, żeby obserwować furgonetkę z pierwszego poziomu garażu. Prawdopodobnie dziś już za późno, by się pojawili i urządzili sobie przejażdżkę, ale w pobliżu są policjanci. Jesteście bezpieczni.

– Ile ofiar?

– Dwadzieścia cztery. Przynajmniej o tylu wiemy. Ale wciąż ich przybywa. Dwie kolejne, o ile nam wiadomo, nadal żyją.

– Z naszej strony zrobimy wszystko, co trzeba.

Skinęła głową i podeszła do Roarke'a.

– Chcę zapukać do drzwi kilku mieszkań. Wtedy będzie szybciej.

– W takim razie będę ci towarzyszył. – Ujął ją ręką pod brodę, przesunął kciukiem po płytkim dołączku, przyglądając się uważnie

twarży Eve. – Jesteś taka blada, kiedy się przepracowujesz. Odwiedzimy tylu lokatorów, ilu będziesz chciała, ale jeśli nie natrafimy na tych dwoje albo nie będziemy mieli wyraźnego tropu, wrócimy do domu i trochę się prześpisz.

Pomyślał, że da jej coś na wzmocnienie – chociaż bardzo tego nie lubiła – by nie padła ze zmęczenia przed końcem śledztwa.

Razem zastukali do drzwi wszystkich mieszkań na czterech piętrach w drugim budynku. W jednym wypadku nie zostali wpuszczeni do środka.

Ale wyjrzała sąsiadka z naprzeciwka.

– To mieszkanie państwa Delwicky. Miłej, młodej pary. Wyjechali na kilka dni.

Eve odwróciła się i przyjrzała drzwiom tak, jakby mogła coś przez nie zobaczyć, gdyby wystarczająco się skupiła.

– Razem z grupką przyjaciół wybrali się na Florydę. Podczas ich nieobecności podlewam im kwiatki.

Eve przestała się tak mocno skupiać.

– Była pani w ich mieszkaniu w ciągu kilku ostatnich dni?

– Zaglądam tam co rano. Alice bardzo dba o swoje rośliny. I ma do nich dobrą rękę. Wyhodowała małe drzewko pomarańczowe, które owocuje. To rzadkość.

Kobieta ziewnęła i przesunęła ręką po stalowosiwych włosach.

– Chyba nie myślą państwo, że Delewicky mają coś wspólnego z zaginięciem tej małej dziewczynki. To mili młodzi ludzie. Spokojni, ale nie wzbudzają złych przeczuc, jak to czasem bywa ze spokojnymi sąsiadami, którzy, jak się potem okazuje, są seryjnymi mordercami. On jest drugim zastępcą szefa kuchni. Przynajmniej raz w tygodniu przynosi mi i mojemu mężowi coś z wykwintnej francuskiej restauracji, w której pracuje.

Informacja, że kobieta każdego ranka wchodzi do mieszkania sąsiadów, powinna wystarczyć, lecz Eve nadal pozostała czujna.

– No dobrze, bardzo dziękuję. Przepraszam, że panią niepokoiłam.

– Sama mam dzieci i wnuki. Będę wypatrywała tej małej. Niech będzie błogosławione jej serduszko.

We wszystkich trzech budynkach nie otwarto im drzwi tylko do

sześciu mieszkań – nie licząc państwa Delwicky, bo Eve uznała, że można ich skreślić.

Sprawdziła całą szóstkę i okazało się, że dwoje lokatorów pracuje na nocną zmianę. Po rozmowie z nimi potwierdziło się, że są w pracy. Dwoje podobno wyjechało z miasta, pozostałe dwa mieszkania mieściły się na dwunastym i piętnastym piętrze.

Małe prawdopodobieństwo.

Ale i tak wezwała bardzo nieszczęśliwych administratorów i poprosiła ich o zgodę na wejście do zamkniętych lokali. Wszystkie okazały się rzeczywiście puste.

– Wystarczy. – Roarke wziął Eve pod ramię i pociągnął w stronę wind, które odblokował, kiedy przyjechali nieoznakowanym wozem policjanci.

– Nie ma ich w tych budynkach, co oznacza, że osiągnęłaś duży postęp. Masz furgonetkę, masz dowody, które pozwolą ci zamknąć ich w więzieniu. Nie możesz sprawdzić wszystkich mieszkań w tej okolicy, przynajmniej nie dziś w nocy.

– Do kilku mogłabym zapukać. Ta bajeczka o zaginionej dziewczynce jest bardzo przekonująca.

– Eve, przysięgam, że jeśli jeszcze bardziej zbledniesz, staniesz się przezroczysta. Musisz się wyspać, potem znów zajmiesz się śledztwem. Dochodzi trzecia nad ranem. Cokolwiek zrobili dziś w nocy twoim ofiarom, już się to stało.

Myślała tak samo, więc się nie sprzeczała, tylko wsiadła do terenówki.

– Zawężiliśmy obszar, i to znacznie. W porównaniu z tym, od czego zaczynaliśmy, zostało tylko kilka bloków. Muszę sprawdzić, co ustalił Banner i Peabody. Puste mieszkania, osoby zaginione, zmarli.

Pozwolił jej mówić, chociaż wkrótce poszczególne słowa zaczęły się zlewać. Trochę podniósł temperaturę, wiedząc, jak ciepło odpręża Eve. A jak już zapadła w drzemkę, opuścił oparcie fotela. Nim dotarli do Midtown, spała jak zabita.

Poruszyła się, gdy wziął ją na ręce, wymamrotała coś, kiedy niósł ją do domu, ale zupełnie oprzytomniała, jak próbował otworzyć drzwi.

– Co? Jezu, usnęłam.

– I śpij dalej – poradził jej, wchodząc po schodach.
– Nie, postaw mnie na podłodze. Boże, nie mogę pozwolić, żebyś mnie nosił na rękach w obecności innych gliniarzy.
– Wątpię, by w naszej sypialni był chociaż jeden gliniarz, póki cię tam nie zaniosę.
– Muszę zajrzeć do gabinetu.
– Eve, jest wpół do czwartej. Wszyscy poza nami są w łóżkach.
– Muszę coś sprawdzić.
Skierował się do gabinetu, ale nie postawił jej na podłodze.
– Sama mogę pójść.
– Nie ma sensu, skoro trzymam cię na rękach.
Zobaczył, że w środku pali się światło i zatrzymał się na progu.
Peabody i McNab spali na amerykańce jak dwa szczeniaczki.
Banner wyciągnął się na brzuchu na podłodze, Galahad leżał na nim bezwładnie niczym gruby, włochaty pas.
– Chryste, gliny – mruknął Roarke i postawił Eve na podłodze.
– Obudź Bannera – powiedziała mu, a potem podeszła do Peabody i trąciła ją w ramię.
– Nie teraz. – Peabody odwróciła się na bok. – Zrobimy to rano.
– Fuj! – Eve się wzdrygnęła i mocniej szturchnęła w ramię swoją partnerkę.
– A-ha, rano. – Delia otworzyła oczy i spojrzała na nią zaspanym wzrokiem. Po chwili oprzytomniała. – Co? Ty? Gdzie?
– Obudź McNaba, idźcie do łóżka i ani słowa więcej o tym, co zrobicie rano.
– Co? Zaczekaj. – Chciała usiąść. McNab poruszył się i przytulił ją mocniej. Położył rękę na jej lewej piersi. – Hm. – Peabody odsunęła jego rękę. – Musieliśmy chwilę przysnąć.
– Teraz możecie sobie pospać trzy i pół godziny.
– Eve, miej trochę litości – wtrącił Roarke.
– Cztery. Macie tu być o siódmej trzydzieści.
– Nie mamy ich?
– Będziemy mieli. Pełna odprawa o siódmej trzydzieści, ale wyeliminowaliśmy trzy budynki, a furgonetka jest pod obserwacją. Spać.
Wyszła, minęła Bannera, który obudził się i siedział na podłodze

jak człowiek, który nie wie, co się dzieje.

Kot trącił go przyjaźnie łebkiem, a potem zostawił i podreptał za Eve.

*

Eve miała nieprzyjemne sny pełne krwi, sny, w których martwa Jayla Campbell otworzyła oczy, by ją oskarżyć.

„Gdzie byłaś? Potrzebna mi była pomoc. Chciałam żyć”.

Jej matka dręczyła ją z za grobu, zsyłając koszmary senne.

„Mogłam równie dobrze wyrzucić cię przez okno, jak miałam ochotę to zrobić wiele razy za to, co mi zrobiłaś”.

Tej nocy wszyscy zamordowani, których śmiercią się zajmowała, znaleźli się w jej gabinecie.

„Jak możesz spać? – pytali. – Ty możesz spać?”

Więc ledwo trzy godziny po tym, jak zamknęła oczy w swoim własnym łóżku, znów je otworzyła.

Roarke objął ją mocniej, kiedy próbowała wstać.

– Masz jeszcze czas.

– Nie pozwalają mi spać. Zmarli nie pozwalają mi spać. Jak mogę spać? W kółko mnie o to pytają. Jak mogę spać?

– To ty zadajesz sobie to pytanie, najdroższa Eve, nie oni. – Miał nadzieję, że uda mu się ją nakłonić, żeby jeszcze trochę pospała. Pogładził ją po plecach. – Według mnie po śmierci odkrywamy to wszystko, czego nie rozumieliśmy za życia. Więc zmarli wiedzą, co robisz, ile im dajesz siebie.

– No nie wiem. Chociaż jeśli rzeczywiście tak dużo wiedzą, to może dlatego zawsze wydają się tacy wkurzeni.

Roześmiał się lekko.

– Odpocznij jeszcze trochę.

– Nie mogę. Muszę się tym zająć. To już dziś, Roarke. Jeśli nie znajdziemy ich dziś, Campbell zginie, Mulligan prawdopodobnie też. Wiem o tym, jak wiedzą wszyscy zmarli. Zostały tylko godziny, dopadnę ich albo stracę tamtych dwoje.

– No dobrze, w takim razie zaczynamy.

Najpierw pozwolił jej wziąć prysznic, bo chciał napalić w kominku

i zaprogramować kawę. I jeszcze coś. Kiedy przyszła, wyciągnął w jej stronę szklankę.

Spojrzała na nią podejrzliwie.

– Oho!

– Wypij to albo nie dostaniesz kawy.

– Pieprz się. I ugryź mnie.

– Nie będziesz po tym nakręcona, jak po tych środkach, które akceptuje policja, ale ten napój doda ci energii. Rozcieńczyłem go, bo przez cały dzień będziesz jeszcze piła kawę. Powinnaś mi już ufać pod tym względem.

Przypomniała sobie, że ostatni wspomagacz, do którego wypicia ją nakłonił, był w porządku.

– Nie wygląda tak, jak tamten wcześniejszy.

– Bo to nowość. Od kilku tygodni sprzedajemy go za granicą i w Azji. Nasza Agencja Żywności i Leków wolniej działa w takich sprawach – podobnie jak Federalne Biuro Śledcze i inne agencje, kryjące się pod różnymi inicjałami i skrótami.

– Ale nie Policja Miasta Nowy Jork.

Roarke się uśmiechnął.

– To zależy od punktu widzenia. Zrób to dla mnie. – Znów wyciągnął ku niej rękę ze szklanką.

Wzięła od niego, wypiała i zmarszczyła czoło.

– Smakuje jak... Zielone winogrona.

– Które lubisz. – Teraz podał jej kawę. – Wezmę prysznic. Ubierz się ciepło, dobrze? Sprawdziłem prognozę, koniec deszczu ze śniegiem, temperatura w granicach minus piętnastu stopni. Maksymalnie minus trzynaście.

– Ładne mi „maksymalnie”.

Włożyła podkoszulkę, szary, kaszmirowy sweter, a do tego czarną marynarkę, spodnie, buty.

Roarke przypuszczalnie wzniesie oczy ku niebu, pomyślała, powie, że przydałaby się odrobina żywszego koloru, jak to miał w zwyczaju, ale...

Wyszedł okręcony rącznikiem, przyglądając jej się uważnie, przechyliwszy głowę.

– Widać, że traktujesz sprawę poważnie. Bije od ciebie siła, powaga, nawet lekka zaciętość. W sam raz na dziś.

– Naprawdę?

– Bez dwóch zdań.

– Nigdy tego nie zrozumiem. Nigdy. Chcę od razu przystąpić do pracy. Domyślam się, że przygotowujemy bufet śniadaniowy, zanim pozostali wstaną.

– Świetny pomysł. Zaraz będę gotów.

– Nie masz jakiegoś holo-spotkania w Katmandu? Naprawdę istnieje takie miasto?

Roześmiał się, idąc do garderoby.

– Istnieje, ale nie mam żadnego spotkania. Trochę -poprzesuwałem terminy. Dziś rano popracuję w domu, lecz jestem do twojej dyspozycji, gdybyś mnie potrzebowała.

Eve ruszyła do drzwi, ale zatrzymała się, wróciła, objęła go i przytuliła.

– Zapomniałam o tym.

Pocałował ją w usta.

– Dopilnuję, żebyś pamiętała.

– Pracuję nad tym.

Poszła prosto do swojego gabinetu. Pomyślała, że najpierw napije się kawy, a potem od razu weźmie się do pracy, nim pojawią się pozostali. Miała prawie godzinę na ponowne przejście zapisków, zastanowienie się, analizę.

Kiedy tam weszła, okazało się, że Peabody już siedzi przy komputerze, pijąc kawę.

– Wcześniej wstałaś.

Eve skinęła głową i nie zatrzymując się, poszła do kuchni po kawę.

– Ty też.

– Pomyślałam sobie, że poświęcę godzinkę na drugie dochodzenie, nim zajmiemy się Jamesem i Parsens.

Drugie dochodzenie, przypomniała sobie Eve. Uwzględniając sytuację, przyda się cały dzbanek kawy, a nie jeden kubek.

Zostawiła tamto śledztwo Peabody, obiecała, że jej pomoże. A do tej pory nic nie zrobiła.

- Powiedz, co to za sprawa.
- Jesteś pewna? – spytała Peabody, kiedy Eve wróciła do gabinetu.
- Powiedz mi wszystko.
- No dobrze. Denata wyłowiono obok moło numer czterdzieści.

Lekarz sądowy mówi, że leżał w wodzie sześć dni.

- Któremu lekarzowi sądowemu to zlecono?
- Porterowi. Ofiara to mężczyzna rasy mieszanej, wiek dwadzieścia pięć, trzydzieści lat. Nie ustalono jego tożsamości, bo zmiażdżono mu twarz, a potem ryby... No wiesz. I nie ma palców u rąk.
- Dzieło zabójcy czy ryb?
- Zabójcy. Więc być może to mafijne porachunki. Może. Z całą pewnością zabójca nie chciał, żeby zidentyfikowano denata, kiedy jego zwłoki wypłyną, o ile wypłyną.

- DNA?
- Zleciłam badanie, ale – niespodzianka – powiedzieli, że zajmie im to przynajmniej trzydzieści sześć godzin. Może udałoby ci się trochę ich przycisnąć.

- Zrobię to. Przyczyna śmierci?
- Ofiarę kilkakrotnie dźgnięto nożem. Porter mówi, że bezpośrednią przyczyną śmierci była rana w brzuch. Część palców ucięto mu za życia, część po śmierci. Jakby próbowali wyciągnąć z niego jakieś informacje, zanim wyzionął ducha... Albo może chodziło o okup i porywacze wysyłali palce w charakterze bodźca.

- Czyli potencjalnie zaczęło się jako forma perswazji, a zakończyło próbą ukrycia tożsamości.

- Na to wygląda – zgodziła się z nią Peabody. – Długi czas w wodzie... Zwłoki wsadzono do dużego worka na śmieci i obciążono starymi cegłami; technicy próbują je zidentyfikować. Spędził długi czas w wodzie – powtórzyła – i ryby zrobiły swoje. Torba nie była zawiązana, więc miały dostęp do zwłok.

- Badanie toksykologiczne?
- Jeszcze nie ma wyników. Początkowo uważałam, że padł ofiarą zorganizowanej grupy przestępczej lub gangu, ale zmiażdżona twarz – przynajmniej jeden cios zadano przed śmiercią, wybijając temu mężczyźnie kilka zębów – świadczy, że mamy do czynienia z osobistymi

porachunkami. No i torturowanie ofiary.

– Obcięcie palców u rąk.

– Tak, to po pierwsze, lecz stwierdzono również inne ślady tortur.

Eve opuściła rękę, w której trzymała kubek.

– Co mu zrobiono?

– Porter napisał w swoim raporcie, że niektóre rany cięte i kłute są płytkie. Ofierze zmiądzono również lewą stopę i kostkę jakimś ciężkim przedmiotem. Przed śmiercią. I złamano mu obie nogi w kolanach.

– Są ślady oparzeń?

– Nie wspomniano o tym w raporcie, ale ryby...

Eve podeszła do biurka i zadzwoniła do Morrisa do domu.

Nie zablokował obrazu – jak zwykle. Odebrał, siedząc wygodnie w łóżku, włosy miał luźno splecione, oczy wciąż zaspane.

– Campbell?

– Nie, lecz jest coś, co może mieć związek z tą sprawą. Trafiły do was niezidentyfikowane zwłoki, Porter przeprowadził sekcję. Mężczyzna rasy mieszanej, wiek między dwadzieścia pięć a trzydzieści lat.

Wyłowiono go z rzeki w pobliżu mola numer czterdzieści, znajdował się w wodzie przez sześć dni. Ślady tortur, Morris. Twarz zmiądzona w stopniu, uniemożliwiającym identyfikację, ucięte palce u rąk.

Przyczyna śmierci: rany kłute brzucha. Proszę, żebyś natychmiast się tym zajął i zlecił pilne badanie DNA. Chcę, żeby go zidentyfikowano. Na wczoraj.

– Natychmiast zlecę badanie DNA. – Odrzucił kołdrę. Eve dostrzegła tatuaż, przedstawiający Kostuchę, a później bardzo wyraźnie zobaczyła zgrabny tyłeczek Morrisa, nim ten zniknął z pola zasięgu kamery. – Wyniki otrzymasz za godzinę. Już jadę do kostnicy.

– Dzięki.

– Nigdy bym tego nie powiązała. – Peabody wstała. – Nie pomyślałam, że...

– Peabody, dostałaś tę sprawę niespełna dwanaście godzin temu, zajmując się jednocześnie innym ważnym śledztwem.

– Ale w ogóle... Tobie wystarczyło niespełna pięć minut i podstawowe informacje, które ci przekazałam.

– Gdybym ostatniej nocy poświęciła ci pięć minut, wcześniej bym

na to wpadła. Nie wiemy, czy sprawy są powiązane. Dowiemy się tego, kiedy ofiara zostanie zidentyfikowana.

– Nigdy nie robili czegoś takiego... To nie pasuje do ich wzorca postępowania. Ale powinnam była...

– Daj spokój z tym „powinnam była” – przerwała jej Eve. – Poza tym, kto tu jest porucznikiem?

– Ty – wymamrotała Peabody.

– Jeśli chcesz coś sobie wyrzucać – ciągnęła Eve, kiedy wszedł Roarke – zrób to później. Jednak nie masz powodu, by cokolwiek sobie zarzucać. Sprawdzimy to. Może zrobili coś takiego już wcześniej, tylko nikt nie znalazł zwłok... A może zrobili to po raz pierwszy. Albo może te sprawy w ogóle nie są ze sobą powiązane. A „być może” ma taką samą wartość jak „powinnam była”. Żadną. Rzecz w tym, że widać pewne podobieństwa, a im potrzebne było lokum w Nowym Jorku.

– Więc może korzystają z mieszkania naszego NN. Przepraszam za to „może”. Sprawdzimy hipotezę, że zabili tego mężczyznę i pozbyli się zwłok, by móc wprowadzić się do jego mieszkania.

Wyczuwając przygnębienie Peabody, Roarke podszedł do niej i cmoknął ją w policzek.

– Spartaczyłam robotę – powiedziała.

– Czy powiedziałaś, że spartaczyłaś robotę? – warknęła Eve. – Od razu wiedziałabyś, gdybyś coś spartaczyła, bo skopałabym ci tyłek. Nikt nie zgłosił zaginięcia tego faceta. Sprawdziłam wszystkie zgłoszenia, w ciągu ostatniego tygodnia nie szukano nikogo w jego wieku i jego rasy. Nie miałaś do dyspozycji Morrisa. Porter jest dobry, ale nie tak dobry, jak Morris, który uwzględniłby możliwość istnienia związku między tymi sprawami i sprawdziłby to. Ich wcześniejsze ofiary nie były okaleczone w taki sposób. Starasz się wyjaśnić okoliczności śmierci tego mężczyzny i przy pierwszej nadarzającej się okazji omówiłaś to ze swoją partnerką w stopniu porucznika. Skopałam ci tyłek?

– Nie.

– Czyli, że niczego nie spartaczyłaś. Przygotuj śniadanie. Dla wszystkich. Nie ma czasu snuć się z kąta w kąt z nieszczęśliwą miną. Rusz się.

- Co chcesz, żebym przygotowała... Na śniadanie?
- Czy wyglądam, jakby mi na czymś szczególnie zależało? Jest mi to absolutnie obojętne.
- Widzę.
- Peabody szybko uciekła do kuchni.
- Eve zmrużyła oczy i spojrzała na Roarke'a.
- I nawet nie myśl, żeby mnie denerwować z tego powodu.
- Wprost przeciwnie. – Podszedł i dotknął palcem dołeczka w jej brodzie. – Chciałem cię pochwalić. Powiedziałaś jej dokładnie to, co powinna usłyszeć. A teraz może byłabyś tak dobra i wyjaśniła mi, co ten NN ma wspólnego z twoimi zabójstwami?
- Może nic, może bardzo dużo. – Zrelacjonowała mu wszystko, wróciła do swojego biurka i znów sprawdziła zgłoszenia zaginięć osób w wieku niezidentyfikowanego mężczyzny.
- Molo numer czterdzieści... To by pasowało do twojej mapy.
- No właśnie. Więc należy dopuścić ewentualny scenariusz: NN spotkał się z Parsens i Jamesem albo wypatrzyli go, kiedy szukali gniazdka dla siebie. Nasz NN najprawdopodobniej mieszkał sam, bo w przeciwnym razie ktoś zgłosiłby jego zaginięcie. To tylko założenie, ale całkiem uzasadnione. Napadli na niego w mieszkaniu albo gdzieś w pobliżu. Głosuję za tym pierwszym. Trochę się z nim zabawili, a potem zrobili, co mogli, żeby utrudnić ustalenie jego tożsamości, wsadzili go do worka razem z kilkoma cegłami, które skradli z jakiegoś placu budowy. Przewieźli furgonetką, wrzucili zwłoki do Hudsonu, a potem uwili sobie gniazdko w mieszkaniu NN.
- Kiedy ustalisz tożsamość NN...
- Udamy się do jego mieszkania. Może się okaże, że NN jedynie miał pecha, ale równie dobrze właśnie to jest nam potrzebne, żeby złapać tych popaprańców.
- Raczej skłaniasz się ku temu drugiemu.
- Przecucie jej mówiło, że tak jest.
- Wszystko na to wskazuje. – Przeszła wzdłuż tablicy i zbliżyła się do komputera Peabody, by przeczytać pełny raport. – Naprawdę wszystko na to wskazuje. Mogę cię prosić o przysługę?
- Jaką?

– Wyciągnij McNaba i Bannera z łóżek. Kiedy Morris oddzwoni, chcę, żebyśmy byli gotowi.

Rozdział 21

Eve zajadała się goframi – dobry wybór na śniadanie, a Peabody przedstawiła sytuację zaspanym McNabowi i Bannerowi. Nie minęło trzydzieści minut, odkąd Delia powiedziała jej o NN, a Dallas już ułożyła sobie w głowie scenariusz wydarzeń.

Mogło się okazać, że NN mieszkał z żoną i trójką dzieci w luksusowym apartamencie w centrum miasta, wyjechał służbowo i nikt się nie przejmował, iż od tygodnia jest nieobecny w domu.

Lecz jeśli jej przecucia są słuszne, będzie gotowa do działania.

– McNab, skontaktuj się z Feeneyem. Chcę, żeby przygotował sprzęt do obserwacji i nasłuchu oraz czujniki ciepła, jak tylko zdobędziemy adres. Peabody, zadzwoń do Carmichael i Santiago. Zasługują, żeby ich włączyć do akcji, jeśli nasze przypuszczenia, jak mam nadzieję, są słuszne. Niech włożą kamizelki kuloodporne i cywilne ubrania. Gdy tylko ustalimy adres, skierujemy ich tam.

Wzięła talerz i kończyła jeść gofra, chodząc wzdłuż tablicy, analizując mapę na ekranie.

– Banner, sprawdź kilka prawdopodobieństw. Uwzględnij furgonetkę, NN, zawężony przeze mnie sektor. Nikt nie zbliżył się do furgonetki, odkąd ją znaleźliśmy, czyli nie była im potrzebna. Ostatniego wieczoru nie odwiedzili żadnej restauracji. Może z uwagi na pogodę zaryzykowali dostawę do domu, a może mają wystarczające zapasy, lecz wcześniej czy później muszą wyjść na miasto.

– Można założyć, że Campbell i Mulligan wciąż żyją – powiedział Banner. – Nie potrzebowali furgonetki, by podrzucić gdzieś zwłoki.

– Słuszna uwaga. Kiedy przystąpimy do akcji, będziemy działać z założeniem, że w środku znajdują się dwie osoby, którym grozi niebezpieczeństwo. Lekarze będą w pogotowiu. – Odstawiła pusty talerz na stół. – Wszyscy, którzy nie mają magicznych płaszczy, muszą włożyć kamizelki kuloodporne.

– FBI? – spytała Peabody.

– Poinformujemy ich, kiedy będziemy jechać na miejsce akcji. Po

rozmowie z Whitneyem skontaktuję się ze Zweekiem. – Znów sprawdziła, która godzina, spojrzała na Roarke'a. – Chcesz przy tym być?

– Myślę, że to się rozumie samo przez się.

Złapała telefon po pierwszym dzwonku.

– Morris, co wiadomo?

– Samuel Zed, lat dwadzieścia osiem, Downing dwieście pięćdziesiąt jeden, mieszkanie jeden-A.

– Bingo. Roarke!

– Już sprawdzam.

– Informacje właśnie są wysyłane do ciebie – powiedział Morris.

– Miałeś okazję rzucić na niego okiem?

– Nie zbadalem go dokładnie, ale widać podobieństwa, jeśli chodzi o część ran, szczególnie tę, która spowodowała śmierć. Spójrz sama.

– Wszyscy to obejrzymy. Komputer, przekaż obraz z telefonu na ekran.

– Woda i ryby uszkodziły zwłoki. Widać to tutaj.

– Po takim czymś człowiekowi mija ochota na śniadanie – mruknął Banner, patrząc na zbliżenie bladych, pokrytych plamami, zmasakrowanych zwłok.

– Widzę uszkodzenia – powiedziała Eve, podchodząc bliżej. – I widzę coś, co wygląda na fragment tatuażu w kształcie serca. Ta zakrzywiona linia tutaj. Ryby tego nie zrobiły.

– Zgadzam się. Nie zrugam za bardzo Portera, że to przeoczył. Sam może bym nie zauważył, gdybym specjalnie nie szukał.

Zauważyłbyś, pomyślała Eve.

– To nam wystarczy. Mamy wszystko, czego potrzebujemy.

– Do tego, co masz zrobić, tak. Ale Samuel zasłużył na więcej uwagi z mojej strony. Przed południem otrzymasz pełne, skorygowane wyniki sekcji zwłok. Mam nadzieję, że do tego czasu uda ci się dopaść tych, którzy mu to zrobili.

– Możesz na to liczyć. Dzięki.

Odwróciła się, zakończywszy rozmowę.

– Roarke?

– Mam. – Wciąż pracował na swoim palmtopie. – To budynek

z dwunastoma mieszkańcami.

– Powiedz, że Jeden-A mieści się w suterenie.

– Tak. Daj mi chwilę. Moja pani porucznik, możesz nadal słuchać swoich przeczuć. Lokal Jeden-A to mieszkanie w suterenie z jedną sypialnią, obecnie wynajmowane przez Samuela Zeda.

– Ubierzcie się – poleciła Eve. – I wyruszamy.

Roarke prowadził większą terenówkę, Eve zaś czytała pozostałe informacje o denacie.

– Peabody, Zed pracował jako kucharz w „Fish Mouse”. Sprawdź, dlaczego nikt nie zgłosił, że od kilku dni nie pojawia się w pracy. Matka i brat mieszkają w Indianie i prawdopodobnie nie wiedzą, że zaginął. McNab?

– Właśnie ustalam wszystko z Feeneyem. Zadbamy, żebyś miała to, czego chcesz.

Odwróciła się w swoim fotelu i spojrzała na Bannerę.

– Jest wam wystarczająco ciepło, zastępco szeryfa?

– Jasne.

– To nie potrwa długo. Roarke na chwilę przystanie w pobliżu interesującego nas budynku, żebyście mogli wysiąść. Mundurowi z ukrycia obserwują dom. Ty też zajmiesz się jego obserwacją. Nie chcę, żeby tamci wyjrżeli przez okno i zobaczyli glinę, więc znajdziesz sobie odpowiednie miejsce. Może koło budki z jedzeniem albo w kawiarni. Pod warunkiem, że będziesz stamtąd widział budynek. Powinieneś wyglądać jak turysta.

– Dobrze.

– Jeśli któreś z nich wyjdzie, razem czy osobno, pójdziesz za nimi. Nic nie rób, nie zbliżaj się do nich zanadto, tylko informuj mnie na bieżąco.

– Zrozumiałem.

– Peabody, powiedz zastępcy szeryfa, co będzie, jak spartaczy robotę.

Jej partnerka uśmiechnęła się słodko.

– Porucznik Dallas skopie ci tyłek.

– Lepiej, żeby się tak nie stało, Banner. Więc miejcie oczy otwarte, póki Santiago i Carmichael nie dotrą na miejsce. Wtedy wam powiem,

co macie dalej robić.

– Dziękuję za włączenie mnie do akcji. Mam dobry wzrok, pani porucznik.

Postanowiła w to wierzyć i wyświetliła przesłany jej przez Roarke'a widok budynku i jego sąsiedztwa.

– Ostatniej nocy przejeżdżaliśmy obok niego. Dzień wcześniej przechodziłam tamtędy sama. Właśnie tamtędy.

– Ponieważ nie masz zdolności przenikania murów wzrokiem, mogłaś tylko przejść tędy. – Roarke spojrział na nią zza kierownicy. – Nie pora teraz cokolwiek sobie wyrzucać – powiedział, powtarzając jej słowa, skierowane do Peabody.

Eve nie mogła się z tym nie zgodzić, więc skontaktowała się z mundurowymi, by im powiedzieć, że dołączy do nich Banner.

Pochyliła się do przodu w fotelu, kiedy Roarke skręcił w Downing. Była to spokojna ulica, przynajmniej o tej godzinie, trochę zaniedbana, ale starająca się trzymać fason.

Eve popatrzyła na zakratowane okna w mieszkaniach w suterrenach i na parterze. Mieszkanie Jeden-A w budynku numer dwieście pięćdziesiąt jeden miało kraty w oknach i opuszczone żaluzje. Nie dostrzegła żadnych kamer na zewnątrz. Z samochodu nie udało się zobaczyć rodzaju zamków.

– Wysadź Bannera na rogu. Tylko obserwujcie, Banner. Nic poza tym.

– Tak jest.

Wysiadł, skulił się z zimna, a potem wolnym krokiem przeszedł po pasach na drugą stronę ulicy.

– Jeśli wyjrzą przez okno i dokładniej mu się przyjrzą, mogą uznać go za gliniarza, ale z całą pewnością nie wezmą go za nowojorskiego gliniarza.

– I właśnie dlatego wyznaczyłaś go do tego zadania.

– Owszem – przytaknęła. – I dlatego, że gdyby nie on, byłibyśmy z naszym śledztwem w lesie.

Sprawdziła, która godzina, oceniła odległość od komendy, skontaktowała się z Whitneyem.

Wciąż z nim rozmawiała, kiedy Roarke zaparkował w garażu pod

budynkiem komendy.

– Jestem w komendzie, panie komendancie, idę do swojego wydziału. Zrobię odprawę dla ekipy, skoordynuję nasze działania z kapitanem Feeneyem. Za niespełną godzinę powinniśmy być na miejscu akcji. Przepuszczalnie za czterdzieści minut. Za chwilę zadzwonię do agenta Zwecka, żeby przedstawić mu sytuację, by FBI mogło się włączyć.

– Ja zadzwonię do Zwecka. Na razie to akcja policji nowojorskiej – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Poinformuję was, o ile coś się zmieni pod tym względem.

– Tak jest, panie komendancie. I dziękuję. – Rozłączyła się, kiedy weszli do windy. – Bardzo słusznie. Zakończmy to, zanim biurokraci z FBI nam przeszkodzą. Roarke, możesz sprawić, żeby ta winda wjechała na moje piętro, nie zatrzymując się po drodze, prawda?

– Ekspresowa jazda? Z największą przyjemnością. – Wyjął swój palmtop i przystąpił do działania.

Kilka sekund później Peabody powiedziała „Fru!”, kiedy błyskawicznie dotarli na piętro, gdzie mieścił się wydział zabójstw.

Gdy tylko drzwi windy się rozsunęły, Eve wysiadła i pospieszyła do swoich ludzi.

– McNab, skorzystaj z naszego jedyne go i często zawodnego ekranu w sali ogólnej wydziału. Nie mam czasu, żeby się starać o konferencyjną. – Weszła do sali. – Pokaż zdjęcia budynku. Carmichael, Santiago, do mnie.

Zawahała się przez chwilę, widząc szafirowoniebieskie buty kowbojskie z błyszczącymi ćwiekami po bokach.

– Nie przesadziłaś trochę?

– Wyściełane owczą skórą, Dallas. Bardzo ciepłe. Powiedziałaś: po cywilnemu. Santiago kupił sobie kapelusz.

Tamten uśmiechnął się lekko.

– Ale go nie włożyłem.

– Nie dziś na akcję, lecz będziesz w nim przychodził do pracy przez całe pięć dni. Przegrał zakład.

Pokręcił głową smutno, patrząc na Eve.

– Nie uczę się na własnych błędach i teraz muszę za to zapłacić.

– Zapłacisz później. Interesuje nas mieszkanie w suterenie w budynku numer dwieście pięćdziesiąt jeden. Sądźmy, że w środku nadal przebywają dwie ofiary i wciąż żyją. Banner obserwuje dom. Jest tam też czterech mundurowych. – Posłużyła się laserową wskazówką. – Dwoje koło tylnego wyjścia. To wyjście przeciwpożarowe, od którego krótka alejka prowadzi do Bedford.

Pokazała wszystko na zdjęciach.

– Według naszego rzeczoznawcy, który uzyskał plany budynku, te drzwi należy otworzyć od środka, żeby rozsunąć kraty, a potem podnieść je ręcznie. Żeby wyjść, trzeba się wspiąć i następnie wyskoczyć. Mało prawdopodobne, by postanowili tędy uciec, ale nasi informatycy sobie z tym poradzą. Zajmiecie pozycje z tyłu, w pobliżu tej drogi ucieczki.

– Jasne – powiedział Santiago.

– Ratownicy medyczni będą czekali na nasz znak na rogu Siódmej i West Houston. Komputerowcy zaparkują swoją furgonetkę na końcu kwartału po wschodniej stronie. W mieszkaniu są cztery osoby, dwie ofiary i dwójka przestępców. Ludzie z wydziału przestępczości elektronicznej zbliżą się do budynku od wschodu, w miarę możliwości włączą nasłuch i podgląd. Ruszamy na mój znak. Kamizelki kuloodporne?

Santiago poklepał się po torsie.

– Pamiętaliśmy o nich.

– Możecie się udać na swoje pozycje. Poinformujcie Bannera, kiedy tam dotrzecie. I zadzwońcie do mnie. McNab, kamizelka kuloodporna. Roarke, możesz pokazać drzwi do interesującego nas mieszkania? Chcę się przyjrzeć zamkowi.

– To standardowy zamek z zasuwką – powiedział. – Przeciętnej jakości. Nie zupełnie badziewie, ale też nic wyszukanego. Może od środka jest sztaba, ale dowiemy się tego dopiero, jak będzie podgląd.

– Na wszelki wypadek zabierzemy ze sobą taran.

– Nie widać żadnych kamer, żadnych alarmów. Wiemy, że nie zainstalowano ich podczas remontu budynku jakieś dwanaście lat temu. Są tylko judasze.

McNab wrócił w czarnej kamizelce kuloodpornej, którą włożył na jaskrawoczerwony sweter w połyskujące, srebrne paski. Eve

przypuszczała, że nosił ten sweter specjalnie do srebrnych spodni.

– Ludzie z wydziału przestępczości elektronicznej są w garażu, pani porucznik. – Podszedł do niej tanecznym krokiem, na nogach miał botki w czerwono-zieloną kratkę. – Kapitan Feeney jest w furgonetce.

– Ruszajmy. Roarke, ty będziesz z Feeneyem. Jedźmy uratować bezbronnych ludzi i ująć zabójców.

Podczas jazdy jeszcze raz wszystko sprawdziła i przeanalizowała, lecz aż za dobrze wiedziała, że nie sposób wszystkiego przewidzieć. Akcję dodatkowo utrudniała obecność dwóch przetrzymywanych ofiar, prawdopodobnie związanych, z całą pewnością rannych.

Najważniejsze jest uratowanie im życia.

– Peabody, ty zajmiesz się porwanymi. Jak tylko wydział przestępczości elektronicznej ustali miejsce ich przetrzymywania, masz do nich dotrzeć i ich osłaniać. To twoje najważniejsze zadanie. Dołączy do ciebie mundurowy Carmichael. Ma największe doświadczenie. Pilnujcie ofiar, pilnujcie własnych tyłków, pilnujcie siebie nawzajem.

– Czy to rozkaz?

– Właściwie tak. U żadnej z ofiar, które badano, nie stwierdzono śladów od paralizatora. Ale to wcale nie znaczy, że przestępcy nie mają paralizatorów. Wiemy, że mają różne narzędzia.

Zatrzymała się za furgonetką komputerowców.

– On będzie bardziej skłonny chronić ją niż ona jego. Ale ona nie podda się łatwo. Są głupi, lecz przebiegli. Nie zapominajcie o tym.

– Ty też.

Wysiedli. Nim zdążyła zabębnić w tył furgonetki, Roarke otworzył drzwi, wyciągnął rękę, żeby pomóc wsiąść Eve, a potem Peabody.

– Przygotowujemy urządzenie na podczerwień – poinformował ją. Feeney obsługiwał sprzęt, McNab podrygiwał obok swojego szefa.

– Uściślamy współrzędne. Ten lokal prawie w całości znajduje się poniżej poziomu ulicy. – Feeney kombi-nował, stosował różne sztuczki, w końcu poruszył ramionami.

– Mam twoją czwórkę. Dwoje w północno-wschodnim narożniku.

– To przypuszczalnie sypialnia – powiedział Roarke, sprawdzając coś w swoim palmtopie.

– I dwoje w pomieszczeniu od frontu.

– Pokój dzienny.
Eve pochyliła się nad ramieniem Feeneya.
– Podejrzani najprawdopodobniej są jeszcze w łóżku. Ofiary też leżą, odległość między nimi wynosi jakieś pół metra.
I żyją, pomyślała. Nadal emitują ciepło.
Znow wysiadła, żeby zadzwonić i przekazać informacje ekipie.
Roarke wyskoczył za nią.
– Mamy nasłuch i podgląd, pani porucznik.
Powinna się domyślić, że on nie zostanie w furgonetce, tylko będzie chciał wziąć aktywny udział w akcji.
– Daj.
Najpierw wręczył słuchawki jej, a potem Peabody.
– Wchodzimy – powiedziała. – Feeney, w razie jakichkolwiek zmian natychmiast mnie informuj.
– Ej, Peabody?
McNab wychylił się przez tylne drzwi furgonetki i wyciągnął rękę tak, żeby mogli na chwilę złączyć palce, czego Eve była świadkiem dziesiątki razy.
– Niedługo wracam – powiedziała mu Peabody.
– Zbliżamy się – zakomunikowała Eve, kiedy ruszyli ulicą. – Zachowajcie czujność. W mieszkaniu cisza i spokój.
Ale i tak ostatnie kilka metrów przebiegli pochyleni. Eve wyciągnęła broń i pierwsza zeszła po kilku stopniach, zatrzymała się przed drzwiami. Peabody stanęła po drugiej stronie, a Roarke przykucnął z przenośnym komputerem.
– Daj nam kilka sekund.

*

W środku Reed ostrożnie obracał ręką od samego ramienia. Złamana dłoń bolała go nieznośnie przy każdym ruchu, niemal słyszał ten ból w głowie. Oddech miał świszczący, a usta tak spierzchnięte, że krwawiły.

Miał wrażenie, jakby spędził tu wiele dni. Kilka razy zemdlał z bólu, ale przez opuszczone żaluzje widział, że wciąż jest dzień. Wciąż ranek, pomyślał.

– Jayla. – Ledwo rozpoznał swój głos. – Jayla, obudź się. Nie możesz teraz spać. Porozmawiaj ze mną. Trochę poluzowałem więzy. Gdyby udało mi się wyswobodzić rękę...

Otworzyła oczy.

– Chce mi się spać. Chce mi się spać.

– Nie wolno ci teraz spać. Spójrz na mnie. Zapamiętaj, zapamiętaj – tak mi wcześniej mówiłaś. Wciąż śpią. Oswobodzę rękę. Może tym razem uda mi się nas uwolnić. Wiem, że sprawiłem ci ból. Przepraszam.

– Nie chodzi o to. Nic mi nie zrobiłeś. Nie ty. Zabiją mnie dziś, tak jak powiedziała. Powiedziała „Zabijemy cię jutro”, a nie chcę, żeby mnie zabili. Chcę usnąć i już się nie obudzić. Kiedy śpię, pojawiają się anioły.

– Nie. Jayla. – Zaczął mocniej wykręcać ramię i poczuł taki ból, jakby ktoś wbijał mu w ciało rozpalone do białości szpile. Pocięli ją nożem, a potem zmusili go, by ją zgwałcił – drugi raz poprzedniej nocy. Widział jej świeżą krew na plastikowej płachcie.

Za drugim razem nie miała sił opierać się ani krzyczeć. Leżała bez ruchu. I nie słyszała, co powiedziała ta suka, przynajmniej nie wszystko. Nie powiedziała, że jutro ją zabiją. Powiedziała, że zmuszą jego, by ją zabił.

Kiedy to sobie teraz przypominał, przerażenie zagłuszyło ból. Przerażenie urosło jak gula w jego gardle, kiedy usłyszał ich chichot.

Obudzili się i wszystko zaczęło się od nowa.

*

– Jakiś ruch najbliżej okna od frontu – mruknęła Eve. – Jedna z ofiar się obudziła. I, zaczekaj... Ruch w sypialni. Muszę mieć podgląd, Roarke.

– Jedna chwileczka.

Wpatrywała się w ekran, widziała, jak miga, w końcu obraz stał się wyraźny. Podłoga zasłana ubraniami. Zanim Eve poprosiła, Roarke zaczął wolniutko przesuwać obiektyw kamery.

– Zatrzymaj. Mamy widok na ofiary. Mulligan nie śpi, szamoce się niezdarne. Campbell sprawia wrażenie nieprzytomnej. Oboje są związani. Kobiecie leci krew. Dużo krwi na podłodze. Nie widzę podejrzanych.

- Zaraz będziesz miała podsłuch – mruknął Roarke.
- Jeśli wciąż są w łóżku, wkroczymy, osłonimy ofiary.

Mundurowy Carmichael, do mnie. Banner, przejdźcie od frontu budynku.

Roarke włączył podsłuch. I Eve usłyszała chichot.

- Podejrzani wstali i chodzą po pokoju. Pokaż zamki.
- Jedna chwila. Nie ma sztaby od środka. – Roarke odstawił komputer przenośny, sięgnął po narzędzia. – Ty, jak zawsze, dół.
- Nie, oboje góra. Peabody, Carmichael, wchodźcie tuż za nami, skręćcie w prawo, gdzie są ofiary. Banner, sprowadźcie pozostałych.
- Wszystko gotowe – powiedział jej Roarke.
- Wchodzimy za pięć, cztery, trzy... – Eve dokończyła odliczanie, pokazując na palcach. I napanarli na drzwi.

Trzask wypełnił powietrze. Potem rozległy się głośne krzyki.

James, nagi, trzymał w ręku młotek. Parsens w skradzionej w sklepie seksownej bieliźnie ścisnęła mały kuchenny nóż. Krzyknęła i odwróciła się, by uciec.

– Stać! Policja!

James rzucił młotkiem. Eve się uchyliła. Usłyszała, jak młotek trafił w ścianę.

– Jest mój – powiedział zimnym tonem Roarke. – Zajmijcie się kobietą.

Tamten, z oszalałym wzrokiem, natarł na Roarke'a. Znając swojego mężczyznę, Eve zostawiła Jamesa jemu, a sama skupiła się na Parsens.

Kiedy stwierdziła, że drzwi do sypialni są zamknięte na klucz, tylko pokiwała głową. Cofnęła się, kopnęła raz, drugi i uchyliła się przed rzuconą w jej stronę butelką, kiedy drzwi ustąpiły.

- Poddaj się, Ella-Loo.
- Nie zbliżaj się do mnie, bo cię zabiję! – Złapała drugą butelkę, stojącą na podłodze. Rozbiła ją o ścianę, po czym natarła na Eve, trzymając w jednej ręce wyszczerbioną butelkę, a w drugiej – nóż.
- Żartujesz sobie? Nie widzisz, że mam paralizator?
- Pokroję ci twarz.
- No dobrze, spróbuj.

Wymachując nad głową rozbitą butelką, a drugą ręką dźgając powietrze nożem, Ella-Loo rzuciła się na Eve. Ta przez ułamek sekundy rozważała posłużenie się paralizatorem, ale potem zdecydowała się na dający większą satysfakcję lewy prosty.

Musiała go trochę podkręcić, żeby uniknąć noża. Ale niewiele.

Wcale nie było jej żal, kiedy napastniczka upadła do tyłu na potłuczone szkło i odsunęła się z wrzaskiem, przekręciła się na brzuch, pokazując zakrwawione plecy.

– No i jak ci się to podoba?

Eve miała ochotę odwrócić morderczynię z powrotem na odłamki szkła, lecz zamiast tego przycisnęła nóż i nadepnęła jej na palce.

Głośny skowyt nic a nic jej nie wzruszył.

Kopnęła nóż w róg sypialni, złapała wrzeszczącą kobietę i pchnęła ją na łóżko twarzą w dół.

– Aresztuję cię. – Założyła jej kajdanki – Pod zarzutem popełnienia kilku zabójstw z premedytacją. To na początek.

Ella-Loo piskliwie nawoływała swojego partnera.

– Darryl! Darryl! Uwolnij mnie od tej suki!

Eve nachyliła się ku niej, zasłoniwszy rekorder.

– Mój mężczyzna jest bez porównania lepszy od tego twojego pseudofaceta. I już obezwładnił Darryla.

Odsłoniła rekorder i szarpnęła Ellę-Loo, żeby wstała.

– Masz prawo do zachowania milczenia, ale proszę bardzo, możesz krzyczeć. W moich uszach brzmi to jak muzyka.

Ella-Loo odwróciła głowę, wyszczerzyła zęby.

– Och, ale się przestraszyłam.

Kiedy Eve wlokła ją w stronę drzwi, wbiegł Banner.

– Ma ją pani. Nic pani nie jest?

– Ze mną wszystko w porządku. Ona upadła na potłuczone butelki, więc potrzebna jej pomoc lekarska. Jeszcze nie skończyłam odczytywać przysługujących jej praw. Zastępco szeryfa, może przejmiecie ode mnie zatrzymaną i to zrobicie?

– Z największą przyjemnością, pani porucznik.

– Lubi gryźć.

Banner pokazał zęby.

– Już nieraz miałem z takimi do czynienia.

Eve odetchnęła głęboko, kiedy Banner wyprowadził Ellę-Loo. Parę razy zacisnęła prawą dłoń, po czym wyszła za nimi.

Darryl, wciąż nagi, leżał nieprzytomny na podłodze, jakiś mundurowy zakładał mu kajdanki. Eve spojrzała na Roarke'a.

– Powiedziałbym, że to była świetna zabawa, gdyby nie...

Obydwoje spojrzeli na rannych.

Ratownicy medyczni zajęli się nimi, mundurowi przecinali krępujące oboje więzy, a Peabody ich uspokajała.

– Nie pozwólcie jej umrzeć. – Po twarzy Reeda pły-nęły łzy. – Błagam, nie pozwólcie jej umrzeć. Kazali mi ją gwałcić. Zgwałciłem ją, ale była silna. Nie miała do mnie pretensji. Nie pozwólcie jej umrzeć. Ma na imię Jayla. Bardzo się nad nią znęcali. Nie chcieli przestać.

– Wiemy, kim jest. – Eve podeszła do niego. – I wiemy, kim ty jesteś, Reed. Nic, co się tutaj wydarzyło, nie jest twoją winą. Lekarze zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby ją uratować.

McNab okrył go kocem, zrobił miejsce dla ratowników medycznych. Położyli Mulligana na noszach.

– Nie pozwólcie jej umrzeć. – Chłopak utkwiał wzrok w Eve. – Ma na imię Jayla.

Spojrzała na szarą twarz Jayli i odwróciła się do jednego z ratowników.

– Przeżyje?

– Straciła dużo krwi. Podajemy jej teraz krew i płyny. – Pokręcił głową. – Nie mogę niczego obiecać, ale już jesteśmy prawie gotowi, żeby ją stąd zabrać.

– Chcę być informowana o jej stanie. I Mulligana. Porucznik Dallas z komendy głównej.

– Wiem, kim pani jest. Większość z nas to wie. Napiszę o tym w raporcie. Te łobuzy nieźle sobie z nią poczynały. Proszę nie mieć nad nimi litości.

Wcale nie miała zamiaru patyczkować się z nimi.

– Chcę, żeby zbadano mieszkanie – poleciła. – Niech wejdą tu technicy. Wszyscy mają się zabezpieczyć. I włączyć rekordery. Podejrzani skuci, zbadani przez ratowników medycznych. Udzielono im

pierwszej pomocy. Wszystko ma być wykonane zgodnie z procedurą.

Podeszła do Carmichael i Santiago.

– Jeśli chcecie, zostawiam wam miejsce popełnienia przestępstwa.

– Bierzemy – powiedział Santiago.

– Udokumentować wszystko, do najdrobniejszego pyłku kurzu.

Informujcie mnie, Whitney, Mirę, Reo i agenta specjalnego Zwecka.

Carmichael spojrzała na kałużę krwi na plastikowej płachcie, na zaschnięte rozbryzgi, na wymazane krwią noże, młotki, śrubokręty, odłamki szkła.

– Daj im porządnie popalić.

– Możesz na to liczyć.

Wyszła na ulicę i z przyjemnością wdychała zimne powietrze po zaduchu, jaki panował w mieszkaniu.

– Dziękuję za pomoc – powiedziała, kiedy Roarke stanął obok niej.

– O nie, chcę być przy tym obecny do samego końca. Jak już ci mówiłem, poprzesuwałem kilka spotkań, zresztą mogę trochę popracować w komendzie. Z przyjemnością będę się przyglądał, jak weźmiesz ich w obroty.

– Jayla może nie przeżyć. Widziałam to w spojrzeniach ratowników medycznych. Obawiają się, że nie przeżyje. Kilka godzin wcześniej... Kto wie.

– Eve.

– Wiem, wiem. To nie moja wina ani niczyja, tylko tej dwójki, która jej to zrobiła. Ale Jayla trzymała się mimo tego, co jej robili.

A teraz może nie przeżyć.

Mocno potarła twarz dłońmi.

– Muszę się skontaktować z jej współlokatorką.

– Ja to zrobię – powiedziała Peabody, stojąca za nią. – Skontaktuję się i z nią, i z matką Reeda. Może w obecności przyjaciół i krewnych oboje będą mieli większe szanse. Banner i ja wrócimy do komendy furgonetką komputerowców, podzwonię do wszystkich.

– Dobrze. Ja zdam relacje Whitneyowi... I ściągnę Mirę. –

Wypuściła z płuc powietrze, które przemieniło się w obłoczek pary. – Do roboty.

Odeszła kilka kroków od mieszkania zamordowanego człowieka –

zapisła sobie w pamięci, że muszą powiadomić o jego śmierci najbliższych krewnych.

– Uznaj, że cię objąłem.

– Co?

Uśmiechnął się do niej.

– Nie lubisz, kiedy to robię w obecności gliniarzy, ale wiedz, że cię obejmuję i możesz się oprzeć na moim ramieniu.

– Nic mi nie jest. Ujęliśmy złoczyńców.

– Peabody się domyśliła, że chciałaś trochę pobyć ze mną sam na sam. Wykorzystaj to.

– On... Reed... Też ucierpiał, ale nie tak, jak ona. Nie znęcali się nad nim tak bardzo, bo chcieli, żeby miał siłę ją gwałcić. Przeżyje, ale... Może nigdy nie zapomni, do czego go zmusili. Jest zwykłym facetem, najwyraźniej dość przyzwoitym, i będzie musiał z tym żyć. Jego też zgwałcili, narzucając mu swoją wolę.

– Mira albo ktoś taki jak ona pomogą mu to zrozumieć i sobie z tym poradzić.

– Potrzeba dużo czasu, żeby poradzić sobie z czymś takim. Dużo czasu. Niektórym nigdy się to nie udaje.

Przypomniała sobie, jak sama nie mogła się otrząsnąć ze swojej traumy.

– Nie sądzę, że ja bym sobie poradziła bez ciebie. Bez ciebie nie poradziłabym sobie z tym nawet z pomocą Miry.

– Ale udało ci się – mruknął. – Gwiżdżę na obecność glin. – Objął ją jednym ramieniem, potem drugim. – Poradziłaś sobie. Oboje sobie poradziliśmy. I nie zmieniłbym ani jednej chwili, dobrej czy złej, jaką razem spędziliśmy, odkąd po raz pierwszy cię ujrzałem. Przeszedł mnie wtedy dreszcz. – Musnął ustami jej czoło. – I nigdy się z tego nie otrząsnąłem.

– Nie zmieniłbyś ani minuty?

– Ani jednej.

– Bo jak się zmieni jedno, zmienia się wszystko.

– Zapamiętałaś to sobie.

– No dobrze. – Odsunęła się od niego i wzięła głęboki oddech. – Wystarczy tych czułości na ulicy. – Podeszła do furgonetki, krzyknęła do

Feeneya:

– Mamy ich!

– Wiesz, co teraz z nimi zrobić, dziecino.

Roarke dostrzegł złowieszczy uśmiech, który pojawił się na jej twarzy, i pomyślał: Oto moja policjantka.

Rozdział 22

Nakręcona i gotowa, Eve szła w kierunku wydziału zabójstw.

– Już wiesz, jak będziesz z nimi postępować – zauważył Roarke.

– Mam plan działania. – Zwolniła kroku, kiedy zobaczyła Zwecka.

– Może będę musiała dokonać jego korekty. Witam, agencie specjalny Zweck.

– Pani porucznik, musimy porozmawiać.

– Jasne. Zapraszam do gabinetu. – Spojrzała na Roarke'a, a potem weszła do sali ogólnej wydziału, gdzie wszyscy obecni obrzucili agenta niechętnym spojrzeniem.

Dała Zweckowi znak, żeby za nią poszedł. Roarke został w sali, może by z bliska przyjrzeć się najnowszemu krawatowi Jenkinsona.

– Proszę usiąść – powiedziała, ale Zweck pokręcił głową.

Domyślając się, w jakiej sprawie do niej przyszedł, Eve zamknęła drzwi, a potem przysiadła na skraju swojego biurka.

– Parsens i James są w areszcie.

– Słyszałem.

– Sprawna akcja, żaden z funkcjonariuszy nie ucierpiał.

Podejrzany jest teraz udzielana pomoc medyczna, bo podczas zatrzymania doznali drobnych obrażeń. Zarówno Campbell, jak i Mulligan trafili do szpitala Clinton. Ratownicy medyczni, którzy przyjechali po poszkodowanych, mówią, że Campbell ma małe szanse przeżycia.

Na chwilę zacisnął usta.

– Wiem, kto u nas spartaczył robotę.

Eve dostrzegła z trudem powstrzymaną wściekłość, która sączyła się wszystkimi porami skóry Zwecka, i tylko skinęła głową.

– To moi przełożeni, ale zamierzam wykorzystać wyniki pani śledztwa, raporty i poranną akcję, żeby obu im udzielono nagany. Oni też mają swoich zwierzchników. Zamierzam dotrzeć, do kogo trzeba. Nie zostawię tak tej sprawy. Swój raport z porannej akcji policji nowojorskiej opóźnię, bo... Chcę poznać szczegóły i w oparciu o to

zadecydować, co dalej.

Znów skinęła głową.

– Dobrze. Proszę zrozumieć, że chciałam ich dopaść, a zastępca szeryfa Banner niewątpliwie zasłużył na udział w naszej akcji, ale jest mi najzupełniej obojętne, kto poinformuje o tym dziennikarzy i który sąd wsadzi tych dwoje za kratki do końca ich chorego, pokręconego życia.

– Władze federalne będą się domagały, by zamknąć ich do końca ich chorego, pokręconego życia, ale na razie niech ich pani przesłucha. Zadbam, żeby miała pani dość czasu.

– Zgoda. Czy chce pan uczestniczyć w przesłuchaniu?

– Na razie jedynie będę się przysłuchiwał.

– W porządku. Wszystko załatwię. Wejść! – zawołała, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Peabody wsunęła głowę.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale pomyślałam, że chciałabyś wiedzieć, że podejrzani otrzymali już pomoc medyczną. Podobno idzie do nas Whitney, doktor Mira też jest już w drodze.

– Umieście podejrzanych w osobnych celach. Niech trochę się podenerwują.

Peabody spojrzała na Zwecka.

– W naszym areszcie?

– Tak, w naszym areszcie. Ale w osobnych celach.

– Nie będę pani przeszkadzał – powiedział agent. – Proszę mnie poinformować, kiedy będzie pani gotowa do przesłuchania.

– Dobrze.

Peabody odsunęła się, żeby go przepuścić.

– Nie przejmuje sprawy?

– Jest wkurzony na swoich przełożonych, więc pokaże im środkowy palec. Na razie będzie się przysłuchiwał przesłuchaniu, więc postarajmy się dobrze spisać. Chcę z nimi rozmawiać, mając przy sobie na zmianę ciebie i Bannera. Najpierw przesłucham Jamesa z Bannerem, potem Parsens z tobą, następnie wrócę do Jamesa prawdopodobnie najpierw z tobą, a później z Bannerem. Ale zobaczymy, jak się to potoczy.

– Przygotuję wszystko. Jest Whitney – dodała cicho Peabody, ale Eve już usłyszała jego zdecydowane kroki. – Panie komendancie.

– Pani detektyw, dobra robota. Pani porucznik – powiedział, kiedy przekroczył próg gabinetu Eve.

– Panie komendancie, zamierzałam się zameldować u pana.

– Wydaje mi się, że będzie pani dziś bardziej zajęta ode mnie. – Wypełniał sobą jej gabinet, potężny mężczyzna w małej klitce.

– Detektyw Peabody, proszę ich przyprowadzić.

– Tak jest, panie komendancie.

– Panie komendancie, pod koniec dnia będę miała gotowy pełen raport, ale najpierw chciałabym przystąpić do przesłuchania podejrzanych. Agent specjalny Zweck na razie pozwolił policji nowojorskiej to zrobić.

– Gdyby potrzebowała pani więcej czasu, załatwię to z FBI. Pani ich zatrzymała, pani zakończy to śledztwo. Mamy też pełne poparcie Tibble'a dla naszych poczynań.

– Dziękuję, panie komendancie.

– Na razie zastępca prokuratora Reo weźmie udział w przesłuchaniu, a federalny prokurator przejmie sprawę później. Podejrzani zostaną przewiezieni do aresztu federalnego, kiedy z nimi skończymy.

– Wszystko zrozumiałam, panie komendancie.

Uśmiechnął się lekko.

– To dobrze. Dziennikarze nie rozgłosili tego, ponieważ nie skojarzyli faktów, ale ta sprawa wybuchnie i to już wkrótce.

Przypuszczam, że pierwszy przeciek do prasy miał miejsce... –

Ostentacyjnie spojrzął na zegarek. – Jakies dziesięć minut temu.

Co oznaczało, że komendant trzymał rękę na pulsie.

– Policja nowojorska zidentyfikowała, ustaliła miejsce pobytu i aresztowała dwie osoby, które jechały z zachodu na wschód, po drodze mordując ludzi. Pozbawili życia przynajmniej dwadzieścia cztery osoby, odkąd w sierpniu ubiegłego roku wyruszyli na krwawe łowy. Federalni dostaną swój kawałek tortu – podsumował Whitney – lecz nie cały.

– Pokażny kawałek tego tortu należy się zastępcy szeryfa Bannerowi, panie komendancie.

– Zgadzam się, wydział doceni jego daleko idącą pomoc. Przypuszczam, że FBI uczyni to samo.

Odwrócił się, kiedy Mira i Reo pojawiły się na progu.

– Jack, Eve. – Mira weszła, a potem odsunęła się, żeby zrobić miejsce zastępczyni prokuratora. – Jesteście zajęci.

– Wyjątkowy ranek. – Cher Reo, starannie uczesana, o czujnym, przenikliwym spojrzeniu, postawiła swoją teczkę na biurku Eve. – Czy jest szansa na kawę, nim zaczniemy?

Eve podeszła do autokucharza.

– Musi istnieć jakiś sposób powiększenia tego gabinetu – zauważył Whitney. – Znajdę na to pieniądze w budżecie.

– Jak będzie większy, więcej ludzi będzie tu przychodziło. Z całym szacunkiem, panie komendancie – dodała Eve, programując kawę.

Ponieważ miała czas, przedstawiła im szczegóły swojej strategii.

Gdy znów została sama w gabinecie, odetchnęła głęboko. Cztery osoby w takiej klitce zużyły cały tlen. Wzięła akta i wyszła.

– Banner, wy pierwsi będziecie mi towarzyszyli. Peabody, do pokoju obserwacji. Zadzwoń do Zwecka, poinformuj go, że zaczynamy. Gdzie jest James?

– W sali przesłuchań B.

– Pójdzie na pierwszy ogień.

Banner dogonił Eve.

– Dziękuję za szansę udziału w przesłuchaniu.

– Zasłużyliście sobie na to.

– Ale i tak dziękuję.

– Macie już tę bluzę policji nowojorskiej, zastępczo szeryfa?

– Jasne, że tak.

– Noście ją z dumą. No to zaczynamy – powiedziała i otworzyła drzwi do sali przesłuchań B. – Włączyć nagrywanie. Porucznik Eve Dallas i zastępca szeryfa William Banner przystępują do przesłuchania Darryla Roya Jamesa w sprawach numer H-52310, H-52314, H-52318 i innych, z nimi związanych. Panie James, czy poinformowano pana o przysługujących mu prawach?

Umyli go, nałożyli NuSkin na rozcięcie powyżej lewej brwi, ubrali w więzienny drelich. W ostrym kolorze pomarańczowym nie było mu zbyt do twarzy. Szpecił go też przybierający fioletową barwę siniak na brodzie.

– Gdzie moja Ella-Loo?

– W areszcie, a jej położenie jest nie do pozazdroszczenia, podobnie jak pańskie. Czy poinformowano pana o przysługujących mu prawach?

– Chcę się z nią zobaczyć. Chcę się z nią zobaczyć i upewnić, że nie zrobiliście jej krzywdy.

Eve usiadła przy stole naprzeciwko niego. Położyła akta.

– Może pan zachować milczenie... – zaczęła.

– Już mi to wszystko powiedzieli. Natychmiast przyprowadźcie do mnie Ellę-Loo.

– Czyli poinformowano pana o przysługujących mu prawach?

– Przecież powiedziałem, że tak, no nie? – Uderzył pięścią w stół, aż zadzwoniły kajdanki. – Nic nie powiem, póki nie zobaczę Elli-Loo.

– Nie zobaczy pan Elli-Loo, dopóki nie powie nam pan wszystkiego. – Eve rozsiadła się na krześle. – Wysłuchał pan swoich praw? Bo tylko one panu przysługują. Prawdę mówiąc, Darrylu, mogę się postarać, żeby już nigdy w życiu nie zobaczył pan swojej partnerki na oczy.

Aż poczerwieniał ze złości.

– Nie może mnie pani z nią rozdzielić. Jesteśmy prawdziwymi kochankami na całe życie.

– Tak pan sądzi? Przekonamy się, czy Ella-Loo uzna waszą miłość za „prawdziwą” i „na całe życie”, kiedy dotrze do niej, że owo całe życie przyjdzie jej spędzić w betonowej celi gdzieś poza Ziemią.

Nachyliła się ku niemu.

– Zapłaci pan za to, co pan zrobił, i to bardzo drogo. Już nigdy więcej nie zobaczy pan naturalnego światła dziennego. To nie będzie parę lat w zakładzie karnym stanu Oklahoma, z widzeniami i pokojami do intymnych spotkań, gdzie jest czas na lektury i zajęcia dokształcające. To kilkanaście wyroków dożywotniego więzienia w zakładzie o najbardziej zaostrowym rygorze.

– Nie przestraszy mnie pani. Wdarliście się do naszego mieszkania...

– Waszego? Samuela Zeda.

Darryl spojrział na nią przebiegle.

– Jasne, poczciwego, starego Sammy’ego. Powiedział, że możemy się u niego zatrzymać. Musiał wyjechać na jakiś czas, a my wprowadziliśmy się do niego, żeby pilnować jego mieszkania.

– Czyżby?

– No jasne.

– Czy ten wyjazd obejmuje pływanie z obciętymi palcami w rzece Hudson?

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– Gdzie go poznaliście?

– W jakimś barze.

– W jakim?

Uśmiechnął się do niej z wyższością.

– Kurczę, skarbie, tyle ich macie, że kto by zapamiętał?

– Czy Ella-Loo pokazała mu cycki, skarbie, podrywała go?

Znów poczerwieniał ze złości.

– Nie pozwalałam w taki sposób mówić o mojej ukochanej.

– Obiecała, że go przeleci, więc zabrał ją do siebie? Które z was wybiło mu zęby? Które z was obcięło mu palce u rąk?

– Nie wiem, o czym pani mówi. Jeśli Zed ściągnął na siebie jakieś kłopoty, pozwolił się zabić, to nie nasza wina. My tylko pilnowaliśmy jego mieszkania.

– Czy Jayla Campbell i Reed Mulligan też pilnowali jego mieszkania?

Utkwił wzrok tuż nad głową Eve.

– Nie znam nikogo takiego.

Po raz pierwszy usłyszała, że mówił prawdę. Nawet nie wiedział, jak się nazywają.

– Dwoje ludzi, których porwaliście, żeby ich torturować. Pan i Ella-Loo cięliście ich nożem, przypalaliście i biliście, bo torturowanie i zabijanie was podnieca, wy nędzne kreatury.

Wyciągnął nogi pod stołem i wciągnął powietrze przez zęby.

– Nic pani nie wie. Poznaliśmy ich, powiedzieli, że lubią tak się zabawiać, że sporo jest takich ludzi w dużym mieście. Tylko się wygłupialiśmy, nic więcej. Jeśli twierdzą coś innego, to kłamią. Niczego nam nie udowodnicie.

Eve otworzyła akta, rzuciła na stół zdjęcia torturowanych ofiar.

– Wszyscy ci ludzie, Darrylu, lubili takie zabawy?

– Nie znam tych ludzi. – Ale patrzył na zdjęcia z lubością, w jego wzroku można było dostrzec podniecenie i dumę.

Eve chciała go mocniej przycisnąć, a wtedy Banner odezwał się cicho:

– Melvin Little.

– Słucham?

– Melvin Little. Ten tutaj. – Zastępca szeryfa przysunął jego zdjęcie.

– Skąd pan jest?

– Z Silby's Pond w stanie Arkansas, tak samo jak on. Był moim przyjacielem.

– Przykro mi z powodu śmierci pańskiego przyjaciela, ale ani ja, ani moja Ella-Loo nigdy nie byliśmy w Silby's Pond.

– Chce pan chronić Ellę-Loo, prawda, Darrylu?

– Zrobię dla niej wszystko.

Palcami przesunął po sercu, wytatuowanym na piersiach.

– Nie pozwolę nikomu jej skrzywdzić. Gotów jestem za nią umrzeć.

– Widzę. – W tonie głosu Bannera można było dosłyszeć lekki podziw. – Widzę, że jesteście dla siebie stworzeni, tak jak pan powiedział. Musi więc pan zrozumieć, że możemy udowodnić, co zrobiliście mojemu przyjacielowi i wszystkim pozostałym. Możemy udowodnić, że byliście w Silby's Pond i jak się poznaliście z Ellą-Loo w „Rope 'N Ride” w Oklahomie.

– „Ledwo się poznali, a się pokochali”. To Szekspir, mój przyjacielu.

– W porządku. Możemy udowodnić, że pan i Ella-Loo kochaliście się na swój sposób, jeżdżąc po kraju, że po tym, jak wypuścili pana z więzienia, we dwojkę wyruszyliście na wschód pikapem, który cztery lata wcześniej ukradł pan Barlowowi Hanksowi.

– Kurde. – Na jego twarz powrócił zarozumiały uśmiech. – Zapłaciłem Barlowowi gotówką za samochód, a jeśli mówi co innego, to kłamie.

– Wjechaliście do Arkansas – ciągnął Banner tym samym swobodnym tonem – i łyżką do opon zabiliście Roberta Jansena, zabraliście jego samochód, pojechaliście do Silby's Pond i włamaliście się do pustego domku. Potem zjawił się tam Mały Mel.

– Nie znam tych ludzi – oświadczył Darryl z tym samym głupim uporem. – To, że tak mówicie, nie znaczy, że to prawda.

– Możemy to wszystko udowodnić, możemy udowodnić, że wszyscy ci ludzie ponieśli śmierć z waszych rąk. Musi pan zrozumieć, Darrylu, że my teraz dajemy panu szansę, by pomógł pan sobie i ochronił Ellę-Loo. Jeśli nie powie nam pan, co pan zrobił, prawdopodobnie już nigdy jej pan nie zobaczy. Możliwe, że umieszczą ją gdzieś, gdzie ktoś spróbuje ją skrzywdzić, bo nie będzie tam pana i nie będzie pan mógł jej chronić.

Darryl nachylił się, zacisnął dłonie w pięści.

– Nie pozwolę wam tego zrobić.

Eve wstała z krzesła.

– Zrobimy, co zechcemy. Skorzystaj z dobrej rady, dupku. Pomyśl o tym, pomyśl o Elli-Loo, siedzącej w więzieniu, gdzie nie będziesz miał do niej dostępu, nie będziesz jej mógł dotknąć, nie będziesz mógł jej pomóc. Pomyśl o tym – powtórzyła, stukając w zdjęcia na stole. – Może przypomnisz sobie niektórych z tych ludzi, jak wrócimy. Dallas i Banner opuszczają salę przesłuchań B. Wyłączyć nagrywanie.

Wyszła na korytarz.

– Nieźle – powiedziała do Banner. – Całkiem nieźle.

– Miałem ochotę złapać go za gardło i tak długo walić jego głową w stół, aż nie zostałoby z niej nic, tylko krwawa miazga. Nigdy wcześniej nie czułem w sobie takiej żądzy zemsty.

– Zabójcy potrafią w nas wywołać takie emocje. – Trochę zbladł, zauważyła Eve, kiedy oparł się o ścianę. – Może zrobicie sobie przerwę?

– Chyba tak. Pójdę do pokoju obserwacji, ale najpierw zrobię sobie przerwę.

Patrzyła za nim, jak szedł, a potem wróciła do gabinetu, wydrukowała drugi zestaw zdjęć i zadzwoniła do Peabody.

– Przyszła pora na Parsens.

– Jestem gotowa.

Eve postanowiła zmienić taktykę, o czym poinformowała Peabody.
– Mocno ją przyciśniemy. Nie będzie dobrego i złego gliny, tylko dwóch złych policjantów.

– Jestem za.

– Zrób groźną minę, Peabody. – Eve otworzyła drzwi i stwierdziła, że partnerce Darryla też nie jest do twarzy w pomarańczowym. – Włączam nagrywanie. Porucznik Eve Dallas i detektyw Delia Peabody przystępują do przesłuchania Elli-Loo Parsens. – Podała numery spraw spokojnym tonem, udając, że nie słyszy, jak tamta się stawia.

– Nie wolno wam tak mnie traktować! – zaprotestowała Ella-Loo.
– Jestem cała poraniona. Chcę jechać do szpitala. Molestowałeś mnie, złapałeś mnie za cycki. Nie chcę z tobą rozmawiać. – A na koniec wrzasnęła: – Co zrobiliście z Darrylem? Chcę do mojego Darryla!

– Czy odczytano pani przysługujące jej prawa, Ella-Loo?

– Pieprzę was i wasze prawa. Chcę jechać do szpitala. Chcę do Darryla.

– Lekarze zezwolili na pani przesłuchanie, a spotkanie z Darrylem w ogóle nie wchodzi w rachubę. Prawdopodobnie nigdy.

Doznała takiego wstrząsu, że aż cała krew odpłynęła jej z twarzy.

– Jak to „nigdy”? Jest moim najdroższym mężem i mam pełne prawo widzieć się z nim.

– Ma pani tylko jedno prawo: zachować milczenie.

Odczytała Elli-Loo przysługujące jej prawa, nie zważając na wrzaski i żądania kobiety.

– Rozumie pani swoje prawa i obowiązki?

– Rozumiem, że jesteś suką bez cycków.

– Mogę odczytać jeszcze raz i powtarzać tyle razy, aż powie pani, czy je pani rozumie czy nie. Albo możemy wyjść i pozwolić pani zastanowić się nad tym przez kilka godzin.

– Świetnie je rozumiem. Chcę włożyć swoje ubranie i chcę do Darryla. I nie muszę nic mówić jakiejś policjantce-lesbie.

– Nie obchodzi nas, czego chcesz – odezwała się Peabody tak zjadliwym tonem, że Eve poczuła dumę. – Od tej pory będziesz nosiła jedynie to, co masz teraz na sobie, i więzienne drelichy.

W pomarańczowym wyglądasz jak zbyt mocno upieczona dynia, ale

założę się, że kobiety w Riker's i tak cię zjedzą.

– Nie wiem, co to takiego Riker's i tam się nie wybieram.

– Trafisz tam tylko na krótko – ciągnęła Eve. – Założę się, że potem trafisz na Omegę. To poza Ziemią. Jayla Campbell i Reed Mulligan, których torturowaliście, kiedy się pojawiliśmy, z pewnością będą mieli dużo do powiedzenia o tobie i o Darrylu.

– To łgarze. Imprezowaliśmy. Prawo nie zabrania robić we własnym domu tego, na co się ma ochotę. Świadomym swoich czynów dorosłym.

– Zgodzili się na to, żeby ich związano, zadawano im rany nożem, przypalano, bito, gwałcono?

– Są chorzy i tyle. Darryl i ja tylko eksperymentowaliśmy. Ale mieliśmy tego dosyć i zamierzaliśmy pozbyć się ich z naszego domu.

– Z waszego domu? – zawołała Peabody. Wzięła akta, rzuciła zdjęcia na stół, odszukała zdjęcie Samuela Zeda. – To jego mieszkanie, ty pokręcona cipo. Czy jesteś aż tak głupia, że myślałaś, że jeśli obetniecie mu palce, to nie uda nam się ustalić jego tożsamości? Spójrz, co mu zrobiliście.

Zerwała się z krzesła, okrążyła stół i podsunęła zdjęcie prosto pod nos przeszukiwanej. Eve siedziała bez słowa, pozwalając działać swojej partnerce.

Dalej, Peabody, pomyślała.

– Nie zbliżaj się do mnie! – wrzasnęła Ella-Loo. – Nie dotykaj mnie. Nie wolno ci mnie dotykać.

– Wolno mi zrobić wszystko z chorą zdzirą-psychopatką.

– Wcale nie! Darryl! Zabierz ją ode mnie! Wszystko powiem!

– Komu powiesz? – spytała Eve. – Kto uwierzy tobie, a nie glinom? A rekordery ciągle się psują, są kiepskiej jakości. Może zdejmujemy jej kajdanki, Peabody? Możesz z nią zrobić to samo, co zrobiłaś z ostatnią. Będę cię kryła.

Peabody wyszczerzyła zęby, oczy jej się zaświeciły.

– Świetnie.

Kiedy Eve zaczęła wstawać, Ella-Loo próbowała się skulić.

– Nie możecie... Nie możecie... Napadł na mnie i tyle. Darryl tylko stanął w mojej obronie. Ten facet, ten tutaj, chciał mnie zgwałcić.

Darryl mu przeszkodził. To była obrona własna.

– I jakimś cudem, kiedy się broniliście, Samuel Zed stracił wszystkie palce.

– My... Baliśmy się. Baliśmy się, że będziemy mieli kłopoty, więc wrzuciliśmy go do rzeki.

Siedziała skulona, rzucając Peabody spojrzenia pełne nienawiści.

– Musieliśmy gdzieś zamieszkać, więc poszliśmy do jego mieszkania. I to wszystko. Gwałcił mnie, a Darryl go powstrzymał. Zachował się jak bohater.

– Najwyraźniej. Gdzie pani była, kiedy wydarzyła się ta rzekoma próba gwałtu? – spytała Eve.

– Nie wiem. Dopiero co przyjechaliśmy do Nowego Jorku. Było ciemno. Poszliśmy się czegoś napić, wyszłam na chwilę z baru, a ten facet złapał mnie i zaczął zdzierać mi ubranie. Wtedy przybiegł Darryl i go powstrzymał.

– Przed jakimś barem, w nocy, przy temperaturze dobrze poniżej zera, jakiś facet złapał panią i zaczął zdzierać z pani ubranie.

– No właśnie. To była obrona własna.

– Nikt nie zauważył próby gwałtu, a obrona własna zakończyła się zabiciem człowieka. A mimo to jakoś znaleźliście czas, żeby zabrać zabitemu dokumenty tożsamości, znaleźliście czas, żeby wywieźć trupa skradzioną furgonetką.

Ella zmieszała się nieco.

– Ja... My... Nikt nie chciał nam pomóc. Nikt. Niczego nie ukradliśmy.

– Furgonetką, którą ukradliście – ciągnęła Eve – z parkingu długookresowego na lotnisku Newark. Zdenerwowani i zdezorientowani

– próba gwałtu, zabicie rzekomego napastnika – nie uciekliście, zostawiając ciało, nie skontaktowaliście się z policją, tylko postanowiliście zabrać go, zrobić miazgę z jego twarzy, uciąć mu palce, wsadzić go do worka, obciążonego cegłami, i wrzucić do rzeki Hudson.

– Nie chcieliśmy mieć kłopotów. Tylko pożyczylimy tę furgonetkę. Zamierzaliśmy ją oddać.

– Tak samo, jak zamierzaliście oddać samochód Roberta Jansena? – warknęła Peabody, podsuwając Elli-Loo pod nos nowe zdjęcie. – Po

tym, jak zatłukliście go na śmierć łyżką do opon i zaciągnęliście ciało w krzaki nieopodal szosy numer dwanaście w Arkansas? Czy on też próbował panią zgwałcić?

– Ja nie...

– Powiedz, że nie wiesz, o czym mówimy. – Eve wypowiedziała te słowa lodowatym tonem. Ella-Loo przeniosła wzrok na nią. – Tylko spróbuj. Czy zawsze działaliście w obronie własnej i imprezowaliście? Nie wymienię nazwisk, bo nawet nie wiecie, jak ci ludzie się nazywali. Od szosy numer dwanaście do Silby's Pond.

Kiedy Eve wymieniała kolejne miejscowości, Peabody brała zdjęcia i podtykała je zabójczynie pod nos.

– Już po tobie i nic tego nie zmieni. Daję ci trochę czasu na oswojenie się z tą myślą. Gdzie trafisz i na jak długo? Może masz tu jakieś pole manewru. Powiesz nam wszystko. Po pierwsze, czy jest ich więcej? Po drugie, opowiesz nam ze wszystkimi szczegółami, Ella-Loo, co zrobiliście, ty i Darryl, a może uda nam się załatwić, byście trafili tam, gdzie nie zjedzą was żywcem, gdzie będziecie mieli szansę wyjść na wolność. Wciskaj nam dalej kit, a trafisz za kratki do końca życia.

– Mam dziecko!

Eve wstała, okrążyła stół, stanęła za Ellą-Loo i nachyliła się ku niej.

– Wiem. Podrzuciłaś je swojej matce, zostawiłaś je i wyjechałaś. I od tamtej pory go nie widziałaś. Wykorzystaj dziecko, Ella-Loo, wykorzystaj swoją córkę, a znajdę nowe sposoby, żeby tak ci zająć za skórę, że to, co razem z Darrylem zrobiliście wszystkim tym ludziom, będzie wyglądało jak majówka na łące. Obiecuję.

Eve się wyprostowała.

– Masz tylko jedną szansę. Opowiesz nam wszystko, co zrobiliście. Ze szczegółami. Mamy świadków, dowody rzeczowe, znamy trasę waszego przejazdu, mamy wszystko, czego potrzebujemy, żeby was zamknąć. Jeśli będziesz kłamać, koniec rozmowy. Trafisz do zakładu karnego poza Ziemią i zostaniesz tam do końca życia. A Darryl do innego. Już nigdy się nie zobaczycie. Dallas i Peabody opuszczają salę przesłuchań. Wyłączyć nagrywanie.

Stojąc pod drzwiami sali, w której szlochała histerycznie Ella-Loo,

Eve zwróciła się do Peabody:

– „Pokręcona cipa”? „Chora zdzira-psychopatka”?

– Jakoś tak samo mi to przyszło do głowy.

Eve trzepnęła ją w ramię, co było wyrazem najwyższego uznania.

– Groźna Peabody świetnie się spisała.

– Podobało mi się to. Sama trochę się przestraszyłam siebie, ale nie rozumiem, dlaczego zgodziłaś się na układ, Dallas. Niepotrzebne nam żadne układy.

– Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, zrozumiesz. – Przeszła razem z Peabody do sali obserwacji. – Banner, wasza kolej. Agencje Zweck, podam wam ich na tacy.

– Oboje wierzyli, że mogą to dalej ciągnąć – powiedziała jej Mira.

– Że mają pełne prawo tak postępować, bo dzięki temu zbliżyli się do siebie, zaspokoiли swoje potrzeby, wzbogacili to, co uważają za miłość. Nie wierzę, żeby całą winę zrzuciła na niego. Może, tak jak do tej pory, utrzymywać, że ją chronił. Ale jest mu równie oddana, co on jej.

– Wcale nie muszę się starać, żeby zwróciła się przeciwko niemu. Pograżą się, próbując ratować siebie nawzajem i osobno. Najpierw skończymy z Darrylem. Ich złamanie wcale nie zajmie mi tak dużo czasu, jak sądziłam.

Razem z Bannerem wróciła do sali przesłuchań, włączyła nagrywanie, usiadła.

– No więc, Darrylu, skończył się czas na rozmyślenia. Oto moja propozycja. Proponuję panu to samo, co zaproponowałam Elli-Loo.

– Chcę się z nią zobaczyć. Musicie mi pozwolić z nią się zobaczyć. Przysięgaliśmy sobie, że nigdy się nie rozstaniemy.

– Nie, wcale nie musimy panu pozwolić się z nią zobaczyć.

Chociaż... – Urwała, jakby się zastanawiała. – Zrobię to, jeśli dokona pan mądrego wyboru. Już mi trochę powiedziała, bo dba o własną skórę, ale i o pańską, lecz to się uda tylko, jeśli oboje do wszystkiego się przyznacie, bez kręcenia.

– Co powiedziała?

– Kocha pana, Darrylu, każdy to widzi.

– Jesteśmy dwojgiem ludzi, ale nasze serca biją jednakowo.

– Zgadza się. I dlatego wykrawaliście serce z waszymi inicjałami

na ciele osób, które nawzajem dla siebie zabiliście. Nie mogę panu powiedzieć, czego się od niej dowiedziałam, bo wtedy wpłynęłabym na pańskie zeznania. Mogę tylko ujawnić, że częściowo mi to wytłumaczyła. Na przykład, jak pożyczyciście furgonetkę, którą jeździliście, z parkingu długoterminowego w Newark.

– No właśnie. Tylko ją pożyczyciście. Nikt z niej nie korzystał.

– I powiedziała mi o Samuelu Zedzie. Człowieku, w którego mieszkaniu się zatrzymaliście. Musi nam pan powiedzieć, co mu pan zrobił, Darrylu. Jeśli pan skłamię, to koniec. To już po was. Prokurator bardzo naciska, domaga się, jak już powiedziałam, umieszczenia was w zakładzie karnym poza Ziemią na zawsze. Może pan sobie wyobrazić więzienie, do którego trafi Ella-Loo, jeśli sprawa będzie rozpatrywana przez sąd w Nowym Jorku? Jeżeli nasz prokurator będzie was oskarżał?

Eve pokręciła głową.

– Inne więźniarki, strażnicy? Jak zobaczą taką śliczną kobietę jak Ella-Loo, skrzywdzą ją. Będą jej robić straszne rzeczy. Wiem, że nie chce pan tego. Wiem, że chce ją pan chronić. Powiedziała mi, jak pan ją zawsze chronił.

– Bo to prawda! I zawsze będę ją chronił.

– W takim razie ochroń ją teraz, Darrylu, wtedy będę mogła zwrócić się do wymiaru sprawiedliwości stanu Nowy Jork, by was nie rozdzielono. Traficie za kratki, to nie ulega wątpliwości. Ale jeśli powiecie mi to, co chcę usłyszeć, wstawię się za wami u prokuratora okręgowego.

– Gdybym tylko mógł ją zobaczyć...

– Kiedy skończymy przesłuchania, załatwię, żeby mógł ją pan zobaczyć.

– Obiecuje pani?

– Obiecuje – a wszystko to jest nagrywane – że kiedy skończę was przesłuchiwać, zobaczycie się.

– I potem będziemy razem?

– Póki ja będę kierowała śledztwem, będziecie razem. Jednak musi nam pan powiedzieć wszystko. I zostanie to nagrane. Jeśli pan skłamię, koniec. Zaczniemy od Zeda, którego wrzuciliście do rzeki.

– Dobra. Musicie zrozumieć, że tu chodzi o miłość. Nasza miłość

jest najważniejsza. Ella-Loo bardzo chciała przyjechać do Nowego Jorku. To było jej marzenie. Ale musieliśmy gdzieś tu zamieszkać. Zagadnęła tego gościa, tego tutaj. – Stuknął w zdjęcie. – W barze. Powiedział jej, gdzie mieszka, że mieszka sam i tak dalej. Rozumie pani, to było przeznaczenie. Po jakimś czasie powiedziała, że bardzo chciałyby zobaczyć jego mieszkanie, i wyszli. To tylko dwie przecznice dalej. Upewniła się, że nie zamknął drzwi na klucz.

– No dobrze – powiedziała Eve. – Co stało się później?

– Kiedy wszedłem za nimi, obłapiał ją. Wpadłem w szal. Nie zamierzaliśmy go zabić tak szybko. Tylko że wszystko potoczyło się błyskawicznie. Zamierzaliśmy zostawić go przy życiu, zorientować się, jak to będzie, ale ją obłapiał, więc przywaliłem mu mocniej, niż zamierzałem.

– Jednak nie zabiliście go od razu, prawda?

– Nie, nie od razu. Musiał nam powiedzieć kilka rzeczy, żebyśmy mógł wysłać z jego komputera e-mail do miejsca pracy. Napisać, że wynikła pilna sprawa rodzinna i na jakiś czas musi wyjechać. Potem musieliśmy się go pozbyć. Po naradzie obcięliśmy mu palce z uwagi na linie papilarne.

– Czy wciąż żył, kiedy obcięliście mu palce? Pamiętaj, jeśli skłamiesz, nie będziesz mógł być razem z Ellą-Loo.

Darryl oblizał usta.

– Może na początku wciąż jeszcze żył. I kiedy waliliśmy go po twarzy. Ale dość szybko wyzionął ducha. Potem wyszedłem i przyniosłem kilka cegieł z pewnego domu, który oglądałem wcześniej, gdzie zamierzaliśmy się zatrzymać. Tam było za zimno dla Elli-Loo, dlatego potrzebowaliśmy porządnego mieszkania. Jeśli chce się rozpocząć życie razem, trzeba mieć jakieś mieszkanie.

– A wam spodobało się mieszkanie Zeda.

– To było przeznaczenie. Tak jak to, że spotkaliśmy się z Ellą-Loo. Więc wsadziliśmy go do worka, obciążonego cegłami, związaliśmy worek i wywieźliśmy nad rzekę.

– Bardzo dobrze, Darrylu. Tylko pan zyska, mówiąc nam prawdę. Ale wydaje mi się, że coś pan pominął. Coś, co zrobiliście razem z Ellą-Loo... Po tym, jak zabiliście Zeda, a przed pozbyciem się jego

zwłok. Zrobiliście to na jego łóżku?

Uśmiechnął się szeroko.

– Za bardzo nam się spieszyło, żeby zrobić to na łóżku. Poczuliśmy tak silne pożądanie i byliśmy podnieceni tym, że go zabiliśmy. Podłoga jest piernatem, kiedy ludzie się Kochają.

– Więc... Uprawialiście miłość – odezwał się Banner – na podłodze obok jego zwłok.

– Potem wzięliśmy worek i cegły.

Wyczuwając wściekłość swojego towarzysza, Eve ścisnęła jego rękę pod stołem.

– No dobrze, Darrylu, mamy już jasność. Cofnijmy się do początku. Nie może pan niczego pominąć, bo wtedy nie będę mogła chronić Elli-Loo. Czy Jansen na szosie numer dwanaście był pierwszą osobą, którą wspólnie zabiliście?

– Ten gość z Arkansas? Nie zamierzaliśmy go zabić.

Potrzebowaliśmy samochodu, bo nasz pikap się rozkraczył. Ella-Loo zatrzymała tego faceta, ale potem zaczął się ze mną bić, więc musiała go uderzyć łyżką do opon. Mocno oberwał i... Ale wtedy to był czysty przypadek, przysięgam. Musieliśmy go zdzielić jeszcze raz czy dwa, żeby mieć pewność, a potem zaciągnęliśmy go w krzaki, porządnie wytarliśmy wszystkie ślady w pikapie, załadowaliśmy nasze rzeczy do samochodu. Ella-Loo była strasznie napalona. Widok krwi i tak dalej... Kawalek dalej zjechaliśmy z szosy, a kiedy się Kochaliśmy...

Jego twarz się rozpromieniła, niemal biło z niej światło.

– Zupełnie jakbyśmy lecieli na spadającej gwiazdzie.

Wiedzieliśmy, że nikt nigdy nie czuł tego, co my. A kiedy to powtórzyliśmy następnego dnia, już nie było tak samo. Wiedzieliśmy, co musimy zrobić, żeby znów znaleźć się w niebie. Musieliśmy to robić, żeby się zrealizować, wypełnić nasze przeznaczenie. Nasza miłość daje nam do tego prawo.

– Więc następnym razem już poszukaliście kogoś.

– Nie, następnym razem to on znalazł nas. Pożyczyliśmy ten domek niedaleko Silby's Pond, a ten gość wszedł i zapytał, co tam robimy. I powiedział, że nie powinno nas tam być, bo wyłamaliśmy zamek. Jakiś zasraniec, któremu brakowało piątej klepki. Więc

uderzyłem go pogrzebaczem. A potem pomyśleliśmy sobie, że jeśli go zostawimy przy życiu, nie będziemy się spieszyli z jego zabiciem, to dłużej będziemy lecieć na tej spadającej gwiazdzie. I rzeczywiście. Bóg mi świadkiem, że znów znaleźliśmy się na tej gwiazdzie.

– Szczegóły, Darrylu, i muszą się zgadzać z tym, co nam powiedziała Ella-Loo.

*

Przez następne dwie godziny opowiedział im ze wszystkimi szczegółami o krwawym szlaku przez kraj.

Eve dwa razy wysłała zastępcę szeryfa po słodkie napoje, których zażył sobie James... I żeby dać Bannerowi chwilę wytchnienia od przesłuchania.

Kiedy skończyła, spojrzała w stronę weneckiego lustra i skinęła głową.

– To wszystko, Darrylu? Nic pan nie ukrył?

– Przysięgam na Boga, że powiedziałem wszystko. Jeśli coś pominąłem, to tylko dlatego, że zapomniałem albo coś mi się poplątało. Może teraz pani załatwić, żebyśmy razem z Ellą-Loo byli razem, żebym mógł przypilnować, by nic złego jej nie spotkało.

– Umowa obowiązuje, póki ja będę kierowała śledztwem.

Właśnie wtedy agent Zweck wszedł do pokoju przesłuchań razem z dwoma innymi agentami, z którymi się skontaktował.

– Darrylu Royu James, aresztujemy pana za zamordowanie dwudziestu dziewięciu osób, za ich porwanie, przetrzymywanie wbrew woli i torturowanie. Za porwanie i przetrzymywanie pod przymusem Jayli Campbell i Reeda Mulligana oraz zgwałcenie zarówno Campbell, jak i Mulligana.

– Nie rozumiem. Myślałem, że już wcześniej zostałem aresztowany.

– Przez policję nowojorską – wyjaśniła Eve, wstając.

– Jesteście teraz oskarżeni o przestępstwa federalne, które podlegają kompetencjom FBI. Zostaniecie przewiezieni do aresztu federalnego.

– Z Ellą-Loo?

– Wykluczone.

– Przecież pani obiecała! – Darryl natarł na Eve. – Powiedziała pani!

– Póki będę kierowała śledztwem. – Eve wzruszyła ramionami. – Teraz już nim nie kieruję. Skończyłam swoją pracę. – Podeszła do Zwecka i coś mu cicho powiedziała. Skinął głową.

– Zatrzymajcie go tutaj – polecił Zweck.

Gdy wyszła ze Zweckiem i Bannerem, słyszała, jak Darryl domaga się spotkania z Ellą-Loo.

– Przesłucham ją z Peabody. Banner, nie musicie znów tego słuchać.

– Chcę być obecny do samego końca. Tylko zadzwonię do mojego szefa. Muszę z nim porozmawiać, a potem wrócę, żeby uczestniczyć w przesłuchaniu.

– To samo? – spytał Zweck, kiedy Banner odszedł.

– To samo, ale, Zweck, wyświadcz mi przysługę. Automaty do sprzedaży mnie nienawidzą. Weź dla mnie pepsi.

Kiedy sięgnęła po kredyty, pokręcił głową.

– Ja stawiam. Jestem pani winien więcej niż puszkę pepsi.

– Zgoda. – Napiła się, ale i tak nie udało jej się pozbyć mdłości.

Potem poszła, żeby wysłuchać tego samego, co już usłyszała, tym razem z ust Elli-Loo.

EPILOG

Kiedy skończyła, marzyła o trwającym tygodniu prysznicu, a najchętniej usnęłaby i obudziła się dopiero za rok.

Opowieść Elli-Loo niewiele się różniła od tego, co usłyszeli od Jamesa. Jego partnerka może nie była taką romantyczką, nie mówiła o spadających gwiazdach, ale poza tym wszystko się powtarzało.

Częściowo powodował nią strach – strach o siebie, gdy sobie uzmysłowiła, że może trafić tam, gdzie ktoś robi jej to, co ona robiła innym. A częściowa chora i nieopanowana żądza, pragnienie mężczyzny, który obudził w niej mordercze instynkty.

Gdy przesłuchanie się skończyło, kiedy Ella-Loo próbowała się uwolnić od kajdanek, przeklinając i wrzeszcząc na agentów FBI, którzy ją wyprowadzili, Eve dotrzymała danego słowa.

W tym samym czasie inni federalni wyprowadzili Darryla z drugiej sali przesłuchań.

I mogli się nawzajem zobaczyć.

– Darrylu, Darrylu, pomóż mi! Nie pozwól im mnie skrzywdzić!

Szarpał się jak szalencie, krzyżąc do niej:

– Ella-Loo! Kocham cię, Ella-Loo! Odnajdę cię. Nie rozdziela nas!

– Kocham cię, Darrylu. Będę na ciebie czekała. Choćby całą wieczność!

Agenci federalni poprowadzili oboje w przeciwne strony, na korytarzu rozbrzmiewały przysięgi o niezłomnej miłości.

Zweck wyciągnął rękę do Eve.

– Pani porucznik, jeśli kiedykolwiek będzie pani czegoś ode mnie potrzebowała, proszę dzwonić o każdej porze dnia i nocy.

– Dziękuję. Chciałabym wiedzieć, dokąd trafią.

– Na pewno bardzo daleko od siebie. Tyle mogę pani obiecać.

Kiedy odszedł, Eve przycisnęła palce do powiek. Gdy opuściła rękę, zobaczyła przed sobą Roarke'a.

– Wciąż tu jesteś?

– Kilka razy wychodziłem i wracałem, ale tak, wciąż tu jestem. –

Kiedy położył dłonie na jej ramionach, wskazała mu salę przesłuchań. Zamknęła za nimi drzwi.

Wsparała się na nim i pozwoliła się przytulić.

– Człowiek zawsze myśli, że to najgorsza sprawa. Że nie może być gorszej. Musi tak myśleć, w przeciwnym razie nie mógłby tu pracować. Musi tak myśleć, chociaż wie, że będą gorsze. Jednak do tej pory to najgorsza sprawa. Słuchanie, jak o tym opowiadali, jak im się podobało, jak tego potrzebowali, jak ich to podniecało... I co uważali za miłość.

– Przekazałaś sprawę FBI, zrobiłaś wszystko i podałaś im sprawców na tacy. To jest miłość. Do pokrzywdzonych, sprawiedliwości, do pracy. I to jest miłość.

Przyciągnął ją do siebie, pocałował prosto w usta. Długi pocałunek, czuły i delikatny, sprawił, że oczy zaczęły ją szczypać od łez.

– Wiem. Dobrze to usłyszeć, ale wiem. Mam jeszcze trochę pracy.

– Chcę cię zabrać do domu.

– Jeszcze nie. Muszę się skontaktować z matką Kupera, powiedzieć jej, że ich aresztowaliśmy.

– Jasne.

– Oby jej to pomogło zamknąć ten rozdział życia. I chcę sprawdzić, jak się czuje Jayla Campbell.

– Żyje. Zarówno Mira, jak i Whitney dzwoniли do szpitala. Dzielna z niej kobieta. – Przytulił Eve i pomasaował jej ramiona. – Żyje i ma spore szanse, że się z tego wykaraska. Poza tym nie jest sama. Są przy niej przyjaciele i krewni, no i ten chłopak, Mulligan.

– Bardzo dobrze. To jedyny jasny punkt w całej tej wstrętnej sprawie. Nie, jest jeszcze jeden. Chodź ze mną. Też możesz to wykorzystać.

– Lubię jasne punkty.

Otworzyła drzwi i spojrzała na niego.

– Cokolwiek było przedtem, cokolwiek jeszcze się wydarzy, dzięki tobie wiem, co to miłość.

Roarke ujął jej wolną dłoń.

– Cokolwiek było przedtem, cokolwiek jeszcze się wydarzy, to ty mi pokazałaś, że miłość wszystko zmienia. Daje wszystko.

– Zjemy dziś wieczorem kolację tylko we dwoje. Żadnych

gliniarzy poza mną, żadnych służbowych spraw. Jakbyśmy umówili się na randkę. Dobrze?

– Bardzo chcę iść na randkę z tobą, a ty?

Zdumiało ją to bardziej niż jego.

– Też, nawet bardzo.

– W takim razie jesteśmy umówieni.

Uspokojona, Eve wyszła razem z nim z sali i pomaszerowała do wydziału zabójstw.

– Zaczekaj chwilkę – mruknęła do Roarke’a i skierowała się do biurka Baxtera.

– Doskonała akcja, pani porucznik.

– Wzorowa. Słuchaj, wiem, że się denerwowałeś o wyniki egzaminu Truehearta, ale byłam zajęta tą dwójką seryjnych, sadystycznych zabójców, zakochanych w sobie.

– Rozumiem. On też jakoś się trzyma. Byliśmy zajęci, właśnie zamknęliśmy śledztwo, które wczoraj nam przydzielono. Próbowałem się dowiedzieć o wyniki egzaminu Truehearta, niestety, trzeba czekać jeszcze dwadzieścia cztery godziny.

– Ach. Czyli uważasz, że pozwolę dwóm swoim najlepszym ludziom denerwować się przez czterdzieści osiem godzin? Uważasz, że nie potrafię znaleźć chwili, żeby zadzwonić tu i tam, wyrzucić lekką presję?

– Zrobiłaś to? Och, wielkie dzięki, Dallas. Czy mogę...

Urwał, kiedy zobaczył jej minę.

– O, kurde.

– Słuchaj, Baxter, to trudny egzamin, wielu nie udaje się go zdać przy pierwszym podejściu.

– Tak, tak. Do diabła. Chciałbym sam mu to powiedzieć. Zrobię to delikatnie.

– Chyba powinienes. Uznałam, że ty powinienes poinformować Truehearta, że będziemy mieli w wydziale nowego detektywa. Dostanie swoją złotą odznakę.

– Ja... Co?

– Co to za glina, który nie wie, że się go wkręca?

– Zdał.

– Zdał celująco, Baxter. Możesz być z niego dumny.

– Kurde. Kurde.

Zobaczyła minę Baxtera, kiedy wstał.

– Detektywie, spróbujcie mnie pocałować, a przez tydzień się nie ockniecie.

– Muszę kogoś pocałować. Peabody!

– Co?

Wykończona, uniosła wzrok na chwilę przed tym, nim podniósł ją z krzesła, odchylił do tyłu i pocałował prosto w usta.

– Ejże, ejże! – udało jej się w końcu zawołać, kiedy ją puścił.

– Trueheart! – krzyknął. – Do mnie.

– Dostaliśmy jakąś sprawę? – Trueheart podszedł spieszenie, przejęty i elegancki w swoim mundurze.

– Tym razem nie. Moje gratulacje, detektywie.

– Zdałem? – Z trudem przełknął ślinę. – Zdałem?

– I słyszałem, że celująco. – Baxter uścisnął mu dłoń, a potem go objął. – Dobra robota, partnerze.

– Zdałem – powtórzył z niedowierzaniem Trueheart i zamknął oczy.

Ale zaraz je otworzył i spojrzał na Eve. Baxter znów poklepał go po ramieniu, inni obecni w sali bili mu brawo. Podszedł do Eve.

– Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie pani, pani porucznik.

– Ja cię przyjąłem, a ty zdałeś egzamin. Moje gratulacje, detektywie Trueheart.

Uścisnął jej dłoń, a potem ją objął.

Ponieważ był młody, a chwila była wyjątkowa, Eve się nie wzbraniała.

– Nie ściskaj tak swojej pani porucznik – poradziła mu jednak.

– Tak jest, pani porucznik. Znaczy się nie, pani porucznik. – Roześmiał się uszczęśliwiony.

– „Niebieska Linia” – ogłosił Baxter. – Po pracy. Wszyscy, co do jednego! Ja stawiam. Uczymy sukces mojego chłopaka.

Do oklasków doszły okrzyki w związku z perspektywą darmowych drinków.

– Mam...

Roarke ścisnął Eve za ramię, żeby ją powstrzymać.

– Oboje z wielką chęcią przyjdziemy – dokończył za nią.

Kiedy wszyscy gliniarze wstali, żeby poklepać Truehearta po plecach, uścisnąć mu rękę i trochę się z niego ponabijać, przesunął dłonią po policzku Eve.

– Powiedziałaś ci, że dziś wieczorem żadnych gliniarzy – przypomniała mu. – Nie musisz tego robić.

– Jego szefowa powinna wznieść za niego toast, ja też chętnie to zrobię. Znajdzie się miejsce dla jeszcze kilku gliniarzy w naszym jasnym punkcie. Mam do załatwienia kilka rzeczy. Spotkamy się, jak skończysz zmianę.

Tak, przyjdzie tu, pomyślała, spoglądając za odchodzącym Roarkiem. Wzniosą toast za młodego, zdolnego gliniarza. I może jeszcze jeden, za dobrą robotę. A potem pójdą na swoją randkę.

Całkiem dobry sposób zakończenia długiego dnia.

Spis treści

Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6
Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11 Rozdział 12
Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział 16 Rozdział 17 Rozdział
18 Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21 Rozdział 22 EPILOG

